

BibuKa

2020

Redakcja: Jacek Giżyński, Jan Strękowski

Współpraca: Katarzyna Boruń-Jagodzińska, Szczepan Rudka, Katarzyna Strękowska

Opracowanie graficzne: Jacek Giżyński

Druk i oprawa:

Czarne Na Białym

ul. Krucza 51/29

00-022 Warszawa

Ministerstwo **Kultury** i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Wydawca:

Stowarzyszenie Wolnego Słowa

00-626 Warszawa, ul. Marszałkowska 7, tel. (22) 405 66 30

www.sws.org.pl

Wydanie I, Warszawa, 2020

ISBN 978-83-62699-19-3

W podziemi, szczególnie w stanie wojennym, czyli całej dekadzie lat 80. mieliśmy do czynienia z prawdziwą mozaiką na polu działań niezależnych. W kulturze, na jej pograniczach, w sztukach wszelkich, rzemiośle. Wszędzie coś się działo. I uczestniczyli w tym nie tylko zawodowi twórcy, ale także amatorzy, którzy odkrywali dla siebie jakieś nieznane dotychczas lądy. Słowu niezależnemu towarzyszyła cała armia twórców reprezentujących wszystkie dziedziny sztuki, ale też rzemiosła. Bywały też działania na pograniczu legalnego i nielegalnego. Dziś więcej wiemy o tym co było bezpośrednią walką o wolne słowo czy wolną kulturę. Mniej o tym, co sytuowało się na pograniczu, zarówno na pograniczu sztuki jak i pograniczu legalności. Polacy walczyli z komuną na wiele sposobów, które warto przypomnieć. Bywało heroicznie, ale bywało i śmiesznie.

Coraz bardziej oddalają się od nas tamte wydarzenia i tamte historie. Rozwiązanie SDP i powołanie na jej miejsce nowego tworu, likwidacja ZLP i powołanie posłusznego tworu o tej samej nazwie, a potem odrodzenie się niezależnych organizacji dziennikarzy i pisarzy w pamiętnym 1989 roku, powstawanie zupełnie nowych inicjatyw jak Towarzystwo „Pomost”, pierwsze próby mówienia o problemach kobiet.

Nawet powstanie w wiele lat później, bo w 2003 roku Stowarzyszenia Wolnego Słowa, które jest Wydawcą tego tomu, ginie powoli w pomroce dziejów. Odchodzą kolejni ludzie...

Niech ten numer „Bibuły” będzie podziękowaniem dla Wojtka Borowika, wieloletniego prezesa SWS, ofiary pandemii, za to wszystko co zrobił dla byłych aktorów tamtych wydarzeń.

Żegnaj Wojtku!

Jan Strękowski

Na okładce – Janusz Ruciński w drukarni na ul. Nowogrodzkiej 27 w Lublinie. Drukowano tu m.in. „Informator „Solidarność” Region Środkowo Wschodni”.

Bernard Nowak o Januszu Rucińskim

W tym właśnie domu na ulicy Nowogrodzkiej 27 przez osiem lat mieściła się drukarnia u pani Izy i Janusza Rucińskiego, obydwójce już niestety nie żyją, a dom powoli popada w ruinę. Była to jedna z najważniejszych lubelskich podziemnych drukarni. Nigdy nie została odkryta, mimo że zdarzało się, iż przychodziły tutaj tak zwane służby porządkowe, trójki, zdaje się to się nazywało... jakiś ubek plus zomowiec plus robotnik, żeby „sprawdzać porządek na działce”. I zdarzało się, że przychodzili w czasie, gdy myśmy byli w środku i drukowali, ale pani Iza świetnie zawsze ich zbywała, zachęcając by weszli do piwnicy, tylko żeby uważali, bo w domu było pełno kotów, bo mogli się poślizgnąć na minie. I to ich wtedy zniechęcało na tyle, że odchodzili.

Wojciech
Borowik
1956 – 2020



fot. Jerzy Sobociński

Ostatni wpis Wojtka na FB
12 grudnia 2020 o 19:25

No i stało się! Pieprzony Covid zaatakował z całych sił! Bez ostrzeżenia! Z dnia na dzień, z godziny na godzinę straciłem możliwość ruszenia ręką czy nogą. Utrzymanie telefonu w dłoni choć przez moment to istny cud. Walka o tlen niesłuchanie wyczerpująca i stresująca. Od wczoraj rano jestem pod wspólną opieką medyków ze Szpitala MSWiA. Bardzo dziękuję wszystkim za wsparcie i pamięć oraz proszę o wybaczenie, że nie odpowiadam na maile i telefony. Po prostu brakuje mi siły.

Wojciech Borowik

Wojtek zmarł 21 grudnia 2020 r.

Jest mi bardzo, bardzo przykro, że ze względu na wciąż trzymającą mnie chorobę nie mogłem pożegnać Wojtka dzisiaj (5 stycznia 2021 – red.) na Powązkach. Zrobił to w moim imieniu jego starszy brat Marek, któremu bardzo za to dziękuję. Wszyscy wiemy, kim był Wojtek w życiu publicznym i jakie są jego zasługi dla Polski. To, co Marek przeczytał na cmentarzu, jest moim wspomnieniem o Wojtku „prywatnym”, takim z którym przyjaźniliśmy się przez ponad 40 lat.

Nie pamiętam już dokładnie, kiedy, gdzie i w jaki sposób poznaliśmy się z Wojtkiem. Było to tak dawno, ponad czterdzieści lat temu... Polska była wtedy zupełnie innym krajem niż dzisiaj, a my – niewiele ponaddwudziestoletni, buntowaliśmy się przeciwko regułom narzucanym przez komunistyczną władzę. Przegadaliśmy z Wojtkiem tysiące godzin i wiem, że jego motywacja przystąpienia do opozycji demokratycznej była taka sama jak moja. Nie walczyliśmy z powodu pustych półek w sklepach mięsnych, to była dla nas tylko drobna dolegliwość. Przeszkadzała nam natomiast cenzura i brak wolności. Nie umieliśmy i nie chcieliśmy zaakceptować faktu, że komunistyczni władcy ówczesnej Polski mają decydować o tym, jakie książki możemy czytać, a których nam nie wolno. A ponieważ nie ograniczaliśmy się tylko do czytania tych zakazanych książek, tylko sami je także drukowaliśmy i kolportowali, więc pewnie spotkaliśmy się z Wojtkiem po raz pierwszy przy jakiejś wspólnej robocie w Niezależnej Oficynie Wydawniczej. A później byliśmy przez wiele lat właściwie nierozłączni.

Robota podziemna – robotą, ale najbardziej połączyła nas właśnie miłość do książek. W czasie solidarnościowego karnawału, od sierpnia 1980 do 13 grudnia 1981, co najmniej kilka razy w tygodniu przemierzaliśmy wspólnie z Wojtkiem nasz ulubiony księgarski szlak w poszukiwaniu nowości, które – jak wszystkie atrakcyjne rzeczy w PRL – można było kupić tylko spod lady od zaprzyjaźnionego księgarza. Nasz szlak zaczynał się od księgarni „wojskowej” przy Krakowskim Przedmieściu i wiódł przez księgarnię Prusa, antykwariat przy Nowym Świecie, dwie kolejne księgarnie przy tej samej ulicy, potem skok na drugą jej stronę i w dół, na Foksal do saloniku PIW-u, królestwa niezapomnianej pani Blanki, a następnie empik przy rondzie de Gaulle’a, księgarnia morska im. Josepha Conrada w Alejach Jerozolimskich, księgarnia przy Brackiej, a później maszerowaliśmy przez antykwariat przy placu Trzech Krzyży do księgarni „Czytelnika” na Wiejskiej. Stamtąd zaś jeszcze na Koszykową przy placu Konstytucji, po drodze zahaczając o antykwariat przy Hożej. Kończyliśmy na ogół w jakimś barze, gdzie opijaliśmy nasze zdobycze. Często wymienialiśmy naszą „bibułę” na rarytasy z piwowskich serii „Współczesna Proza Świata”, tzw. „ceramowskiej” i „Biblioteki Myśli Współczesnej” zwanej potocznie „plus minus nieskończoność”, a w „Czytelniku” na pozycje „Nowego Sympozjona” i nowości ze świata. Natomiast w antykwariatach szukaliśmy głównie pozycji dotyczących historii, filozofii i socjologii. Dużo czytaliśmy i dużo o książkach gadaliśmy.

W dwupoziomowym mieszkaniu Wojtka i Ani przy Prostej goście byli podejmowani na ogół na poziomie pierwszym. Nieliczni tylko, najbardziej zaufani byli przez Wojtka zapraszani na antresolę, która była jego królestwem. Miałem zaszczyt zaliczać się do tego grona. Czułem się tam jak u siebie w domu, bo na wszystkich ścianach, od podłogi po sufit stały regały z książkami, poupychanych często w dwóch rzędach. Ilekroć tam godzin przegadaliśmy o tych książkach, nie zawsze zresztą na trzeźwo, bo przecież byliśmy młodzi i skorzy do psot...

13 grudnia Wojtek został internowany w Białoleścu. Ze wszystkich drukarzy NOWEJ zostało na wolności raptem kilku. Udało mi się uniknąć internowania, bo SB przyszła pod adres zameldowania, a nie tam, gdzie wtedy mieszkałem. Rano przyszli do mnie Andrzej Górski, Przemek Cieślak i Adam Grzesiak. Na sicie pożyczonym od kolegi z KPN wydrukowaliśmy w mieszkaniu Adama pierwsze ulotki wzywające do oporu społecznego przeciwko juncie Jaruzelskiego. Przemka i Andrzeja też nie ma już wśród nas...

Wiedziałem, że jakoś latem 1982 Wojtka i wielu innych kolegów zwolniono z internowania, ale ponieważ ukrywałem się przed SB i drukowałem „Tygodnik Mazowsze” i różne inne rzeczy, unikałem kontaktów ze zwalnianymi kolegami, obawiając się, że mogą być obserwowani przez SB. Los jednak zrządził, że w listopadzie spotkaliśmy się z Wojtkiem przypadkiem. Gdzie? Oczywiście w księgarni! Mimo że się ukrywałem przed SB, nie zaprzestałem „patrolowania” naszego szlaku, chociaż robiłem to znacznie rzadziej niż wcześniej. Wojtek oczywiście też natychmiast po wyjściu z internatu powrócił na nasz księgarski szlak. I któregoś listopadowego dnia po prostu wpadliśmy na siebie w księgarni wojskowej przy Krakowskim Przedmieściu. Natychmiast poszliśmy do knajpy, zupełnie nie przejmując się ewentualnym „ogonem” Wojtka, już po drodze dzieląc się informacjami, co robimy i co robić dalej zamierzamy. Okazało się, że Wojtek razem z Markiem Kossakowskim wydawali w Białoleścu biuletyn „Koniem przez świat” i po wyjściu z więzienia chcieli robić pismo społeczno-polityczne. Akurat byłem po kilku rozmowach na identyczny temat z Jankiem Gogaczem, my też chcieliśmy robić pismo. Następnego dnia spotkaliśmy się we czwórkę. Długo trwała dyskusja zarówno nad profilem pisma jak i jego tytułem. Jakoś już dobrze po północy Jasiek Gogacz wymyślił, że skoro generał Kiszczak twierdzi, iż w polskim alfabecie nie ma litery „V”, w kształt której unosiliśmy palce podczas demonstracji antyreżimowych, niech nasz miesięcznik nosi tytuł „Vacat”. I tak zaczęła się kolejna nasza wspólna z Wojtkiem przygoda, która trwała przez siedem lat, aż do końca 1989 roku.

Być może wydawalibyśmy „Vacat” do dzisiaj, ale ustrój się zmieniał, a w Wojtku odezwał się polityczny instynkt. Gdy tylko skończyły się obrady Okrągłego Stołu, Wojtek włączył się w organizowanie biura Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, którego sekretarzem był nieodżałowany Henio Wujec. Oczywiście Wojtek natychmiast wciągnął w tę robotę także mnie. Najpierw jeździliśmy po Polsce, wspierając kandydatów Komitetu Obywatelskiego do parlamentu, a gdy już wybory wygraliśmy, zaczęła

się kolejna wspólna przygoda. W biurze Komitetu pracowaliśmy ze wspaniałymi ludźmi, wspomnianym już Heniem Wujcem i jego żoną Ludką, z Wojtkiem Onyszkiewiczem, Mirkiem Odorowskim, Joasią i Tomkiem Karpińskimi, Inką Słodkowską, Markiem Kulczykiem, Radkiem Świtkiewiczem, długo by jeszcze trzeba było wymieniać wszystkich współpracowników. Mielśmy poczucie, że robimy coś fajnego, że pomagamy zmieniać Polskę na normalny, europejski kraj. A później, gdy zaczęła się pierwsza „wojna na górze”, to właśnie Wojtek parł najmocniej z nas wszystkich do założenia partii, która będzie przeciwwagą dla Porozumienia Centrum braci Kaczyńskich. Wojtek miał dar przekonywania, najpierw tak długo męczył Henia Wujca, aż go przekonał, a później stworzył trzyosobowy zespół organizacyjny Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna w składzie: Borowik, Onyszkiewicz, Siemieński, na czele Ruchu stanęli zaś Zbyszek Bujak i Władek Frasyniuk. I była to kolejna fantastyczna przygoda, którą przeżyłem dzięki Wojtkowi i Heniowi Wujcowi.

Później Wojtek pozostał przy polityce, a ja zająłem się dziennikarstwem i żeglowniem. Przez jakiś czas pracowaliśmy jeszcze razem w „Expressie Wieczornym”, gdzie Wojtek był szefem biura reklamy, a ja pracownikiem redakcji. Kiedy Wojtek zdobył mandat posła na Sejm, odszedł z „Expressu”. Mimo że stał się osobą publiczną, człowiekiem bardzo zajęтым, zawsze mogłem się do niego dodzwonić, spotkać i pogadać tak samo jak wcześniej. Nigdy nie usłyszałem od niego, że nie ma czasu, nawet wtedy gdy naprawdę go nie miał. O czym gadaliśmy? Już nie było problemów ze zdobywaniem nowości, problemem stał się raczej czas, który mogliśmy poświęcić na ich lekturę. A jednak nadal czytaliśmy sporo i rozmawialiśmy nie tylko o polityce, zawsze także o książkach. Już nie tak często jak w latach osiemdziesiątych, ale zawsze, gdy tylko się spotykaliśmy.

Ostatnich kilkanaście lat Wojtek poświęcił tworzeniu i działaniu Stowarzyszenia Wolnego Słowa, którego po rezygnacji Mirka Chojeckiego został prezesem. Atakowany z lewa i z prawa, oskarżany o „symetryzm”, nie przejmował się tym i robił swoje. Pomagał wielu ludziom z opozycji demokratycznej czasów PRL, którym po 1989 roku nie powiodło się w życiu. Bardzo wielu ludzi bardzo dużo Wojtkowi zawdzięcza.

Kiedy dowiedziałem się, że Wojtek został zaatakowany przez covid, sam też akurat zmagalem się z tym wirusem. Wiadomość o odejściu Wojtka rozbiła mnie doszczętnie, nie byłem w stanie choćby w kilku słowach pożegnać Go na Facebooku. Nadal nie umiem pogodzić się z faktem, że ta przeklęta zaraza zabrała tak dobrego, skromnego, oddanego innym ludziom Człowieka, że straciłem Przyjaciela.

Żegnaj, Wojtku kochany. Dziękuję Ci za te ponad czterdzieści lat przyjaźni, dziękuję Ci za wszystko.

Krzysztof Siemieński

Bardzo dobrych znajomych ma się czasami dziesiątki, ale prawdziwych przyjaciół ma się tylko kilku. A takim był dla mnie Wojtek. Poznaliśmy się działając w szeroko rozumianej opozycji Korowskiej. Było to na przełomie 78/79r. Niezależnie od niego w tym samym czasie poznałem Marka Borowika, z którym postanowiliśmy wspólnie budować struktury opozycyjne na Okęciu. Dopiero po roku zorientowałem się, że są to bracia. Odtąd moje życie towarzyskie, opozycyjne a później społeczno-polityczne było związane z nimi. Pod koniec lat siedemdziesiątych Wojtek namówił mnie do działań na rzecz tworzenia niezależnego ruchu studentckiego, natomiast ja wciągnąłem Jego do stworzenia wspólnego wydawnictwa NOWEJ i Redakcji „Robotnika”, której zadaniem było wydawanie przystępnych broszur dotyczących historii i niezależnego ruchu związkowego. Potem wspólna praca w Biurze Krajowej Komisji Koordynacyjnej Niezależnego Zrzeszenia Studentów oraz w strukturach podziemnego wydawnictwa NOWA. Był to dla nas najpiękniejszy czas wchodzenia w dorosłość. Strach, a zarazem radość z udanych akcji opozycyjnych, rewizje, ucieczki, przemyślane akcje, aby zmylić często towarzyszącą nam obstawę służby bezpieczeństwa. Ale były też imprezy koleżeńskie i długie dyskusje przy szklaneczkach. Przy nich powstawały też anegdoty opowiadane w późniejszych latach.

Tak mocno byliśmy z sobą związani, że na ślubie Jego z Anią byłem świadkiem. Razem też spędziliśmy internowanie w Białoleścu. Po wyjściu z więzienia działaliśmy w osobnych strukturach, ale co tydzień rozgrywaliśmy mecze piłkarskie, co było pretekstem do spotkań i wymiany informacji. Później połączył nas okrągły stół, wybory i tworzenie Komitetów Obywatelskich. Tworzyliśmy też wspólnie Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna. Potem nasze drogi znowu się rozeszły. Wojtek, który zawsze był społecznie lewicowy, współtworzył Unię Pracy, gdzie był jej wiceszefem i posłem na sejm. Ja pozostałem w UD (Unii Demokratycznej – red.), ale już kilka lat później współtworzyliśmy Stowarzyszenie Wolnego Słowa, którego zadaniem miała być pomoc osobom walczącym o demokrację w innych krajach, udokumentowanie i propagowanie działań demokratycznej opozycji w okresie PRL-u oraz pomoc tym wszystkim opozycjonistom, którzy z powodu swojej działalności popadli w ubóstwo. Wojtek, zaraz po Mirku Chojekim, został przewodniczącym stowarzyszenia, które stało się Jego pasją życiową.

To w dużej mierze dzięki niemu udokumentowano działania dziesiątek działaczy, organizowano wystawy, sympozja, prelekcje czy spotkania kombatanckie po latach. Jego dziesiątki wysiedzianych godzin w urzędach, sejmie, senacie z licznymi politykami różnych opcji przyniosło po latach efekty. Osobom walczącym o wolną i demokratyczną Polskę nie tylko publicznie podziękowano ale ułatwiono im korzystanie z publicznej służby zdrowia, wprowadzono specjalne zasiłki dla będących w trudnej sytuacji, minimalną emeryturę, jak też możliwość otrzymania odszkodowania za czas spędzony w więzieniu. Wojtek robił to wszystko społecznie, a przecież też musiał z czegoś

żyć, więc co pewien czas poszukiwał pracy i to nie tylko dla siebie, ale też dla znajomych będących w podobnej sytuacji.

Ceniłem pasję w Jego działaniach, ale podziwiałem Go za coś innego. Za umiejętność współpracy z osobami o różnych, czasami wręcz skrajnych orientacjach politycznych. Wojtek miał swoje wyraziste poglądy, był społecznie lewicowym demokratą. Ale nie narzucał swoich poglądów innym. W swoich działaniach potrafił odnajdować w nas to, co nas łączy a nie dzieli. To dzięki niemu były możliwe wspólne działania osób z tak odmiennych środowisk. Jego działalność nie była też idyllą. Spotykały go czasami nieprzyjemności, nawet ze stronnych bliskich Mu środowisk. Ale jak mówi jedna z mądrości ludowych, tylko osoba bezwartościowa nie ma wrogów.

A Wojtek był tą osobą, która wraz z innymi potrafiła zmieniać nasz świat na trochę lepszy i takim pozostanie w naszej pamięci.

Witold Sielewicz

Cerowanie pamięci

Galera Repassage. Czyli wielka podróż w przeszłość

Jan Strękowski:– Jak doszło do powstania Galerii Repassage?

Elżbieta Cieślak: – Zanim powstała Galeria Repassage w tym samym lokalu uniwersyteckiego budynku na Krakowskim Przedmieściu 24 w Warszawie w 1972 r istniała „Galeria 0” prowadzona przez Pawła Freislera, który po roku jej animowania nie chciał dalej jej prowadzić. Tak więc ludzie z nią związani zorganizowali zebranie w klubie Sigma SZSP w celu wybrania nowego animatora. Namówiona przez Grzegorza Kowalskiego – rzeźbiarza, performer a i krytyka sztuki zgłosiłam moją kandydaturę. Równocześnie kandydowali Włodek Borowski i tandem Zofia Kulik i Przemysław Kwiek. Wybrano mnie i Włodka Borowskiego. Pracowaliśmy razem przez pierwszy rok. Jednak tylko ja podpisałam umowę z SZSP na etat sprzątaczk, zaś Włodek pracował jak wolontariusz. Zrezygnował z tej pracy po roku.

– Galeria na tle innych tego typu miejsc?

– Od września 1973 do marca 1974 wraz z Włodkiem Borowskim zaprosiliśmy kolejno wszystkie istniejące galerie polskie NIEZALEŻNE od władz: Galeria „Pi” z Krakowa, Galeria Sztuki Aktualnej z Wrocławia, Galeria „Tak i nie” z Wrocławia Anastazego Wiśniewskiego, Galeria Remont Henryka Gajewskiego z Warszawy, Galeria Matuszewskiego „Akumulatory” z Poznania, „Biuro poezji” Andrzeja Partuma z Warszawy, Ośrodek Sztuki Andrzeja Ekwińskiego z Wrocławia, Galeria Współczesna Janusza Boguckiego z Warszawy, Galeria „El” – Gerarda Kwiatkowskiego z Elbląga, Studio Kompozycji Emocjonalnej z Wrocławia, Galeria EM z Wrocławia, Galeria „80 x 140” Jerzego Trelińskiego i Tadeusza Piechury z Łodzi, Galeria Adres Ewy Partum z Łodzi, Galeria Krzysztofora Tadeusza Kantora z Krakowa, Galeria Laboratorium z Poznania.

– Ludzie, którzy przewinęli się przez Galerię – i weszli do historii sztuki XX?

– Nazwiska i daty podaję w kolejności wystąpień w katalogu Galerii Repassage, który został wydany przez Zachętę z okazji retrospektywnej wystawy Galerii w 1993 r.:

Andrzej Dłużniewski 25 czerwiec do 8 sierpnia „Zewnętrzność” i „DO DO DO – 10 sierpień 1973 r.

Tomasz Osiński 5 marzec – 17 kwiecień 1974 r.

Elżbieta i Emil Cieślakowie – 14 – 24 maj „Słoń”. „Labirynt” 15 – 30 wrzesień 1974. „Camera obscura” 7 – 9 czerwiec 1974. Zbiór butów używanych czyli plagiat” od 17 lutego 1975 do końca istnienia Galerii Repassage 13 grudnia 1981. „Karuzela postaw” 13 październik 1975. Performens w trzech aktach „Dobrze Stańczyk” 17 – 18 – 22 grudnia 1977.

Paweł Freisler– 4 czerwiec performens „Czajnik” 1973. „Kontekst 30 gagów” 28 luty 1975. „Teatr Hildegarda” udział Jerzego Juka Kowarskiego – 8 marzec 1975, z Anną Bohdziewicz „Reportaż” 8 – 16 luty.

Jerzy Kalina „Obchód” 14 – 18 czerwiec 1975.

Wiktor Gutt i Waldemar Raniszewski – tandem „Krakowskie Przedmieście – studium zapisu fotograficznego” 24 – 30 kwiecień 1975. „Kultura niszcząca” 20 listopad – 5 grudzień 1977.

Michał Bogucki scenariusz, aktor Tomasz Konart – 3 maj 1975 performans „Czyste ręce” .

Ryszard Winiarski „5 x 5” – 2 – 10 maj 1974. Wystawa dokumentacji prac 27 maj – 30 czerwiec 1977.

Prof. Viencesław Kostow „Odbicia” 15 – 30 marzec 1974 – Rumun artysta znany w swoim kraju.

Teresa Murak „Przyjście zieleni” 21 luty do 3 marca 1975.

Zbigniew Warpechowski „Stagnacja Totemiczna” 3-5 maj 1974. „Garda gardzie” 16 czerwiec 1975.

Jerzy Treliński i Tadeusz Piechura „Mieszkanie” 7 – 9 Maj 1974. „Dokumentacja Treliński” 1976.

Prof. Grzegorz Kowalski „Buty Kolekcja” 17 do 28 lutego. „Dokumentacja prac” 17 styczeń – 2 luty 1976. „Odbitka” 18 maj 1977. „Kompilacja” 26 listopad.

Tomasz Sikorski „Przyjaciele” 25 – 30 Czerwiec 1975. „Listy”, „Sałatki”, „Obrazki” „Propozycje do atlasu” 15 – 28 kwiecień 1976.

Ewa Partum „Dokumentacja prac” grudzień 1975.

Krzysztof Jung „Wizualne i niewizualne aspekty przestrzeni” czerwiec – lipiec 1976. „Publiczne motanie przestrzeni” 12 – wrzesień 1977.

Andrzej Partum „Smród” 13 grudzień 1975 – 13 styczeń 1976.

Krzysztof Zarębski – performans „Ciepłe powietrze” i wystawa dokumentacji prac 5 – 20 luty 1976.

Elżbieta i Emil Cieślarowie przed wyjazdem na stałe do Francji w lutym 1978 r. opracowali też plan wystaw na pierwsze półrocze 1978 r. oraz z ich poręczenia przygotowano w Galerii wystawę „Portret Karola Marksa”. Krzysztofa Bednarskiego (1978) dziś znanego w Europie rzeźbiarza.

Jeśli wszystkich policzyć, to nieźle dla polskiej sztuki żniwo zostało zebrane tylko dlatego, że jakąś część naszego czasu poświęciliśmy na to, by oni wszyscy robili dokładnie to, co chcieli.

– Inne osoby, które prowadziły Galerię?

– Przez rok 1973 Włodek Borowski. Cały czas istnienia Galerii Repassage inwestował swój czas i energię Emil Cieślar, mój mąż. Po naszym wyjeździe galerię prowadził Krzysztof Jung pod nową nazwą „Repassage 2”. W jej ramach wystawiali między innymi Krzysztof Jung, Grzegorz Kowalski, Krystyn Jarnuszkiewicz, tandem Zofia Kulik i Przemysław Kwiek, Wiktor Gutt, Jerzy Słoma... Od marca 1980 r. Galerii nosi nazwę Re'Repassage i prowadzona jest przez Romana Woźniaka. Od października do 13 grudnia 1981 r. galerię prowadzi Jerzy Słoma-Słomiński i nazywa się ją „Repassage

Słomy". Włącza on ją w życie strajkującego Uniwersytetu Warszawskiego. W tamtym czasie okna Galerii nie mogą działać, bo z niewiadomych przyczyn postawiono przed nimi i bramą wysokie ogrodzenie z plansz. 13 grudnia ZOMO weszło do Galerii i na dziedzińcu obok spaliło wszystkie dokumenty które zostały w Galerii.

– W jakich okolicznościach pozbawiono Was możliwości pracy? Jaki to miało związek z Czerwcem 76?

W tym czasie w Warszawie i innych miastach zwolniono z pracy wiele osób. Pano- wało wtedy przekonanie, że zwolnienia te w każdej instytucji dla postrachu spowodowa- ła partia PZPR. Faktem jest, że pod pretekstem zlikwidowania rzeźby na wydziale Architektury Wnętrz w ASP Emil, który ją prowadził otrzymał wypowiedzenie na początku sierpnia, a już w listopadzie jego stanowisko w tej pracowni rzeźby objął inny rzeźbiarz.

W tym samym czasie zostałam zwolniona z pracy w Teatrze w Płocku, gdzie pro- wadziłam dla tego Teatru Galerię i miałam tam normalną na te czasy pensję. Równocze- śnie pracowałam na zlecenie jako scenograf w Telewizji na Woronicza. Od sierpnia 1976 nie zlecono mi już żadnej scenografii. Byłam też designerką i mimo że Łódz- ka Fabryka Zegarów chciała u mnie zamówić następny projekt zegarka to spółdziel- nia plastików nie miała już prawa zawrzeć ze mną umowy. Tak mi powiedział jej pre- zes Stanisław Siemek.

Pisząc o współpracy Grzegorza Kowalskiego z Galerią Repassage napisała Maryla Sitkowska (Culture.pl), że artysta znalazł w niej «warunki do, jak to określa, „prakty- kowania wolności” wbrew cenzurze i opresji politycznej panującej na zewnątrz. Miej- sce to, skupiające artystów z warszawskiej ASP (głównie z pracowni Jarnuszkiewicza i Hansena) i specyficzną publiczność tego punktu Krakowskiego Przedmieścia (Uni- wersytet, Akademia, szykowny deptak), funkcjonowało poza oficjalnym życiem arty- stycznym, jak wiele podobnych galerii „off” tego okresu. Specyfiką Repassage’u na ich tle był założony brak programu artystycznego w rozumieniu kryteriów ideowych, warsztatowych czy „jakościowych” przykładanych do prezentacji w galerii. Inaczej mówiąc, przed artystami i nie-artystami prezentującymi się w Repassage’u nie stawia- no warunków innych, niż bezwzględnej szczerości i otwartości wypowiedzi. Każda była dopuszczalna i wysłuchiwana z uwagą. Tak rozumiana i praktykowana „bezprogramo- wość” była wynikiem przeciwstawienia się grona związanego z galerią (głównie pro- wadzących ją Elżbiety i Emila Cieślarów) konwencjonalnym podziałom między artystą i odbiorcą, sztuką i życiem. Pobrzmiwały w tym dalekie echa hansenowskie i bliższe – równoległych tendencji kontrkulturowych. (Należy dodać, że Grzegorz Kowalski był oponentem braku kryteriów artystycznych i nazbyt daleko posuniętej dezynwoltury przy prowadzeniu galerii.) (...).

Wybrane ze strony Elżbiety i Emila Cieślarów: Art et Montagne

Galeria Repassage mieściła się na Krakowskim Przedmieściu 24 w budynku zarządzanym przez SZP-UW (Zrzeszenie Studentów Polskich Uniwersytetu Warszawskiego).

Galeria Repassage wydała 7 katalogów zbiorowych i 5 indywidualnych. Pierwszy z wydanych katalogów zbiorowych przez Galerię w 1974 r. rozpoczynał się niniejszą preambułą:

„Galeria Repassage pragnie przedstawiać koncepcje artystyczne niesprawdzone, budzące wątpliwości, niezidentyfikowane i bez klasyfikacji, których konsekwencje, możliwości i ograniczenia nie są w pełni rozeznane. Przedstawiać pod rozważę nieznane. „

Sezon 1974/75

Prasować – Przejść ponownie – Cerować? Nr 1

Sztuka przebywania z sobą

Sztuka przebywania z sobą praktykowana jest w najróżniejszych środowiskach, w grupkach przyjaciół. Obecna u dzieci, młodzieży – emerytów i marginesu społecznego, nie istnieje, lub też jest w zaniku w grupie wieku produkcyjnego.

Zjazdy koleżeńskie po „x” latach, próby nawiązania dawno zerwanych przyjaźni... Treści, wokół których powstały, były być może nawet błahe. Ważna była i pozostała w pamięci niezwykłość – autentyczność, niepowtarzalność kontaktów.

Waga – błahość tych kontaktów – ich treści są względne, uzależnione od osobistego przeżywania.

Sztuka przebywania z sobą, brak jej formy, konstrukcji. Nie cierpi zafalszowań, pozoru, choć „pretekst”, mistyfikacja jej służą. Wymaga wolnego czasu.

Jest „zwykła”, należy do dnia powszedniego.

Kluby, salony, jarmarki, rynki, zakony, dwory ... agora. Naturalnie wytworzone „instytucje” kontaktów międzyludzkich. Trwające nieraz przez pokolenia w jednym miejscu ...

Powstają pytania:

Co jest istotą tych kontaktów?

Czym jest dla człowieka „porozumienie”?

Jaką rolę spełnia, czy jest dla niego niezbędne?

Jakie są konieczne warunki, by mogło powstać?

(W następnych latach cykl p.t. „– Prasować – Przejść ponownie – Cerować” kontynuowany jest pod nowymi podtytułami.)

Repassage Gdziekolwiek w Polsce

28.2.1974

„Buty” Grzegorz Kowalski

Na wystawie przedstawiono plansze fotograficzne przedstawiające 162 pary butów.

Zapis autora dołączony do wystawy:

„27 października 1974 r. Płock. Zamierzenie: Sfotografować ile się da par butów noszonych przez mieszkańców miasta. Uzyskać zgodę właścicieli na umieszczenie ich nazwiska lub inicjałów oraz zawodu w drukowanym przewodniku po kolekcji.

Grupy:

aktorów

alumnów Seminarium Duchownego

członków bractw

stowarzyszeń i zrzeszeń

niezrzeszonych

żołnierzy

17 grudnia 1974 r.

Realizacja:

Rano przy bufecie rozstawiona aparatura. Proszę aktorów o udostępnienie butów do fotografii.

Reakcje

– nie teraz, może po próbie ...

– przyniosę po południu

– ci z wielkich miast są tak zbławozani, że twarze już ich nie interesują ...

Po południu totalny brak czasu.

27 grudnia 1974 r. Warszawa. Sfotografowane zostały buty przyjaciół i znajomych, ich dzieci, studentów, robotników budowlanych, osób nieznanych (buty znalezione na śmietniku) oraz osób zmarłych podarowane przez rodziny”.

Relacja autora po wystawie :Będąc w Płocku miałem wrażenie, że ludzie patrzą tam na siebie i wiedzą o wzajemnych kontaktach, powiązaniach, że na przybysza patrzą z pozycji grup – parafialnych, sąsiedzkich, rodzinnych, że jeszcze bardziej obserwują miejscowych notabli.

Zdjęte z nóg buty, pozbawione prestiżu właściciela, niejako gołe, miały być podniesione i wydane zarazem na publiczne oglądanie. – Nie wiem, co by z tego wynikło.

Próba realizacji wypadła zniechęcająco, nieufności nie dało się pokona.

Ostatecznie kolekcja powstała wbrew pierwotnej idei, nie jest kolekcją butów ludzi, którzy się mogą znać czy obserwować. Robiłem ją z niedowierzaniem, że mogło to być niemożliwe. Następnie z satysfakcją, że traktowano „fotografowanie tak mało ciekawych rzeczy” jako zabawne wydarzenie, lub wyróżnienie dla właściciela (!). Nie było strachu przed kompromitacją. Ale też uczestnicy mieli świadomość własnej anonimowości w wielkim mieście. Jeśli ta kolekcja nie jest spełnieniem idei, to czym jest? Traktuje ją jako materiał do dalszych manipulacji.

17. 2. 75 r – 13. 12. 1981

Zbiór butów używanych czyli plagiat

Elżbieta i Emil Cieślar

Kolekcja stworzona z butów przyjaciół oddana została do dyspozycji publiczności w gale-

rii Repassage. Każda para została opatrzona nazwiskiem i imieniem byłego użytkownika. W wyniku wymiany butów, metki zyskiwały nowe nazwiska osób wymieniających je.

W ciągu roku zebrano od znajomych używane buty (120 par). Stanowią one zbiór płynny, t. j. permanentnie uzupełniany i przemieniany.

Do zbioru należą „klucze odczytywania”:

a) napisy: tytuł pracy,

„Zbieramy, wymieniamy, pożyczamy – używane buty”

„Przymiarka butów używanych to nawiązanie kontaktu z byłymi użytkownikami”

„Przymierzajcie stopy do butów”

b) rozmowy z nami.

Zbiór butów został udostępniony gościom Galerii w sytuacjach licznego zgromadzenia (1 – wernisaż, 2 – chodnik przed Galerią w porze letniej) oraz w sytuacji indywidualnego kontaktu, w czasie powszedniego dnia Galerii

c) notatki z rozmów i refleksji wokół „Zbioru”.

Prace i manipulacje ze Zbiorem trwają.

Interwencja Zomo na Uniwersytecie Warszawskim 13 grudnia 1981 r zakończyła prezentację Zbioru butów poprzez spalenie ich – wszystkich na dziedzińcu UW.

17.02. 1975

Interwencja Waldemar Raniszewski

(aktywność spontaniczna w czasie spotkania z okazji „Butów” G. Kowalskiego i „Zbioru butów” Cieślarów)

Autor mocował na swych gołych stopach płonące świece. Spacerował „w nich” po ulicy i przebywał w czasie „w e r n i s a ż u” w Galerii wśród gości obutych w zimowe buty.

Protokół z rozmowy

Obecni: Waldemar Raniszewski, Grzegorz Kowalski, Jarek Deminet, Elżbieta i Emil Cieślars.

Motywy autora interwencji:

Znając wcześniej program działania kolegów podległem spontanicznej ochocie współuczestnictwa. Chciałem wyrazić mą aprobatę dla nich, a równocześnie pójść dalej w pojmowaniu buta jako elementu ciała. Mój protest przeciwko konwencjonalnemu pojmowaniu własnego ciała. Była to próba zanegowania „ubrania nogi” – odejście od buta – odkrycie ciała.

E i E. Cieślars: Dla nas było to wyjście z Twojej strony z zamkniętego kręgu problemów osobistych, przedarcie przedmiotowej powierzchowności wydarzeń, skuteczne dotarcie do ich istoty. Decyzji tej towarzyszyło ryzyko w związku z istniejącą sytuacją publiczną. Ryzyko współodpowiedzialności za cudze problemy i cudzą postawę. Ryzyko, iż „drobny” incydent, który dokonałeś, musi być uznany za błahą chęć zaistnienia. Ryzyko spowo-

dowane ogólną atmosferą Odpowiedzialności, Ważności, Wyczynu Artystycznego – konkurencji na polu sztuki.

K.: Ciekawi mnie źródło pomysłu w związku z równoległością podjęcia tematu – butów. Czy moglibyście to zrelacjonować?

E i E. C.: Źródła to fakty wokół butów:

- 3 – zakupy poprzedzane przymiarką butów do stóp
- 4 – kształtowanie buta do właściwości stopy i sposobu chodzenia
- 5 – kształtowanie stopy i całego układu somatycznego do właściwości buta
- 6 – zużycie butów – wyrzucenie, chomikowanie, przekazywanie.

Przy rozpatrywaniu tych faktów powstała refleksja: Buty notują na sobie ślady realizacji przez ludzi postawy stojącej i uwarunkowanej biologicznie postawy wobec życia. Skonfrontować martwe ślady wyciśnięte na butach z żywymi, bo podlegającymi ciągle jeszcze przekształceniom na stopach ludzi, i wszystko, co się koło tego wydarzy obserwować.

K.: W tej sytuacji niejasne jest dla mnie dołączenie do tytułu słowa „plagiat”.

i E. C.: „Plagiat” miało krótko zaanonsować nasze zdecydowanie jawnego korzystania z wszelkich środków osiągniętych w sztuce, czy ogólnie świadomości. W wypadku butów zewnętrzna sfera obrazowa jest tylko okolicznością techniczną.

Hasło to miało również drugie znaczenie. Wskazywało na właściwych autorów zawartej w „Zbiorze” informacji: projektantów, producentów, użytkowników, wreszcie autorów dekodowania – współuczestników naszej pracy. Nasze autorstwo byłoby tu uzurpacją.

Dla projektanta obuwia jest to fakt oczywisty, który bada środkami naukowymi. Początki zaś wiedzy w tej dziedzinie pochodzą z odległych epok.

K.: Wydaje mi się, że naszym pracom można zarzucić, iż potrzebują protezy, werbalizacji. Może nasz język formalny jest jeszcze niedopracowany i stąd konieczność komentarza autorskiego. Uważam, że mieszanie środków osłabia przeżycie.

R.: To pewnik.

i E. C.: Możliwe, że jest to pewnik dotyczący terenu sztuki. My staramy się drać problem wszystkimi dostępnymi środkami, niezależnie od tego, czy utrzymują one naszą pracę na terenie sztuki, gdyż nie ona jest treścią naszego zainteresowania.

K.: Skonfrontujmy nasze postawy: Ja ujawniam tylko ślad kontaktu. Wy idziecie dalej. Doprowadzacie do konfrontacji. Ryzykujecie na granicy kłęski. Mówię to z podziwem. Jesteście brutalni, każąc przymierzać brudne buty, publicznie! – Gdy ja stwarzam tylko sytuację krępującą, lecz intymną, kamuflowaną jeszcze zabiegiem technicznym.

i E. C.: Liczymy na ludzi, ich inwencję i współpracę. Oni się sprawdzają – my zaś mamy tylko płynną sytuację, nie poddającą się konstrukcji. Ty zaś masz określone, czysto i precyzyjnie, dzieło, pod którym możesz podpisać „facit” Grzegorz Kowalski.

K.: Tak – uważam się za tradycjonalistę.

i E. C.: Sytuacja, w której to mówisz i robisz, jest tak „nadmuchana”, że to twoje przekonanie też będzie uważanie za prowokację.

Protokół z rozmowy – artysta z „zewnątrz” Jan Stanisław Wojciechowski

Obecni: Jan Wojciechowski, Elżbieta i Emil Cieślars.

Elżbieta Cieślars: Jak widzisz naszą Galerię w relacji do ruchu artystycznego, i szerzej, w kontekście kulturowo-społecznym?

Jan Wojciechowski : Z Galerią łączą mnie związki emocjonalne, które powstały w latach 1972 – 1973. Patrzę na nią przez pryzmat moich osobistych doświadczeń, zdobywanych w grupie osób związanych z Galerią w tamtym czasie ... Sądzę, że również w obecnym składzie Galeria pielęgnuje wartości, które dla tego miejsca wydają mi się charakterystyczne. Najistotniejsze – otwartość, związki nieformalne, wspólnota emocjonalna ... Stara ekipa Galerii, mam tu na myśli między innymi siebie – uczestniczy w wystawach rzadko. Pojawiło się natomiast sporo nowych ludzi – skład Galerii odmłodziła nowa grupa studentów ... Waszą zasługą jest przyciągnięcie sporej grupy nieprofesjonalistów sztuki ... Do miejsca tego ciążyły zawsze jednostki poddające w wątpliwość sens „życiowej praktyczności”. Punktem odniesienia dla waszej Galerii mogą być w środowisku warszawskim takie galerie, jak Remont, Galeria Współczesna, Foksal.

Elżbieta Cieślars: Może nie mówmy o Galerii Foksal, gdyż różnice programowe są dla wszystkich oczywiste.

Jan Wojciechowski : Galeria Remont proponuje nieco inny tok działalności, wynikający chociażby z innego charakteru miejsca, jakim dysponuje klub-kawiarnia-kelnerka-rytuał wernisażowy. Mówię tu warunkach zewnętrznych zmieniających klimat Galerii, ponieważ ludzie „Remontu” są wam raczej bliscy ... Program galerii Remont jest ściśle ukierunkowany – przestrzega się standardu artystycznego, wynikłego z aktualnego rozwoju fotografii i jej koneksji z konceptualizmem ...

U was ten standard nie jest przestrzegany. Działalność wynika z mniej lub bardziej przypadkowych kontaktów, przyjaźni, emocji ... Łączy was z „Remontem” idea wychodzenia na zewnątrz, dążenie do utrzymania kontaktów ze światem. Różnice w realizowaniu tej idei wydają mi się charakterystyczne – w „Remoncie” większa formalizacja kontaktów, decyduje miejsce, galeria – u was większa swoboda, przypadki, decyduje znajomość, wzajemne przyjaźnie.

Emil Cieślars: Różnice w działaniach „na zewnątrz” wynikają być może z faktu, iż trzon ludzi działających w naszej Galerii ma wykształcenie artystyczne, i stąd naturalny odruch próby wyjścia – nawiązania kontaktu z innymi środowiskami pozaartystycznymi. Ludzie prowadzący Galerię Remont są bliscy nauce i stąd zapewne ich dążenie do nawiązywania ścisłych kontaktów ze środowiskami artystycznymi.

Jan Wojciechowski: W Galerii Współczesnej znajduję wiele tych samych stałych czynników, co w „Remoncie” – mam na myśli działania (galeria) i punkt docelowy (sztuka aktualna, ściślej mówiąc, wprowadzenie informacji o pewnych ludziach i ich działalności w „układ formalny” sztuki) ... Galeria Współczesna realizuje swoje cele najbardziej świadomie, wykorzystując środki, jakie posiada. Rezygnuje ze wszyst-

kich sentymentów i kontaktów towarzyskich, takich, które „rozcieńczałyby” przyjęte formy i cele działania.

A zatem, podsumowując – Repassage i Galeria Współczesna to dwa przeciwne bieguny – z jednej strony przypadek, otwartość, emocje, z drugiej – celowość, ścisły program, strukturalizacja. Galerię Remont umieściłbym pomiędzy tymi biegunami, jako łączącą wiele różnych cech.

Spróbuję skupić się teraz na drugiej części twojego pytania – próba określenia działalności galerii Repassage w kontekście społeczno-kulturowym ... Prowadzimy luźną rozmowę, nie jest to wykład, przemyślenia moje mogą być więc powierzchowne. Ustaliłem sobie, że cechą charakterystyczną waszego programu jest między innymi poszukiwanie optymalnych warunków dla zawiązywania i podtrzymywania emocjonalnych kontaktów między ludźmi. Pretekstem do tego jest sztuka ... Doświadczenia tego typu podejmowane są ostatnio dosyć często przez ludzi teatru, muzyki. Również nauka podejmuje to zagadnienie bardzo konsekwentnie, pomyślałem akurat o psychiatrii humanistycznej ...

Emil Cieślak: Powstaje tu doświadczenie nie izolowane od żywych struktur społecznych, a więc różne od tych, które prowadzone są na terenie psychiatrii, badania zaś na terenie psychologii pracy są wyraźnie ukierunkowane ekonomicznie. Brak bezpośredniej celowości użytkowej w działaniach na naszym terenie wyróżnia je również od pozostałych.

Jan Wojciechowski.: To, co mówisz, sugeruje, że istnieje specyfika waszego doświadczenia na terenie Galerii. Specyfika, która nie pozwala redukować go do innych form poznawczych ludzkiego działania. Interesuje mnie, na czym ta specyfika polega. Z czego wynika – czy to określa miejsce przy Krakowskim Przedmieściu, skromne warunki techniczne i ekonomiczne, wasz temperament i wiedza jako kierowników galerii, ludzie, którzy przychodzą?

Jakie wartości rzeczywiście proponuje ten układ? Może da się to określić tylko tak ogólnie, jak to zrobiłem na początku swojej wypowiedzi. A może specyfika ta najpełniej ujawnia się w działaniu, w codziennej pracy tej galerii, w tym konkretnym miejscu i czasie ... Wszelkie systemowe, językowe ujęcia są być może grubymi przybliżeniami spoza sfery waszego doświadczenia ...

Elżbieta Cieślak: Czy ten typ działalności interesuje ciebie?

Jan Wojciechowski: Mam trochę inny temperament. Dążę do innej skali oddziaływania, a złożą się nań zapewne i inne elementy, inny krąg ludzi ... Takie rozbudowane struktury nie sprzyjają ani bezinteresowności, ani swobodzie, w konsekwencji deformując to, co nazwałbym jednostkowym temperamentem, jednostkowymi potrzebami, uczuciami ...

Zdaję sobie sprawę, że są to koszty dążenia do szerokiej, społecznej skali, dla zrealizowania zamiaru „bycia artystą” ... Sens waszej działalności widzę w przeciwstawianiu się tamtej totalizacji, wszelkiej ogólności i powszechności ...

Działalność wasza tak rozumiana stanowi dla mnie punkt wyjścia, oraz miejsce odświeżających powrotów.

7. 1975 Protokół z rozmowy

Obecni: Prof. Stefan Morawski, Elżbieta Cieślar

Stefan Morawski:... Do oceny globalnej nie jestem zdolny, chociażby dlatego, że nie widziałem wszystkiego. Widziałem połowę, może dwie trzecie. Jest to jednak dostateczna próbka, by móc powiedzieć, jaki jest mój stosunek do działalności Galerii Repassage. Uznając, że to, co działo się w tym roku jest kontynuacją lat poprzednich, wypada stwierdzić, że Galeria ta jest jedną z najpotrzebniejszych w życiu artystycznym Warszawy, czy – w perspektywie szerszej, całego kraju. Jeśli nawet popełnia się tutaj pomyłki, czy są nawet niewypały, ten typ poszukiwań i prób jest ze wszech miar pożądany. Jeśli z kolei zastanawiam się, czy była choć jedna akcja, która mnie „wzięła”, którą zapamiętałem, to mógłbym wskazać tylko spektakl „Czyste ręce”, który miał jakiś aspekt moralistyczny i symbolikę ogólniejszego charakteru. – Przy użyciu środków najprostszych: zderzenie czerni z bielą – reflektor rzucony na widzów – było w nim coś z ostrego black-outu, z atmosfery zadziornego teatru studenckiego. W całości biorąc, były jednak rzeczy w tej lub innej mierze wtórne w stosunku do tego, co robi się gdzie indziej. Nie jest to wcale mechaniczne naśladownictwo, ale zapożyczone, nawet we własnym wydaniu, jest nudne, zużyte. Włącznie z Waltherem, który był dla mnie jeszcze bardziej mdły niż tutejsi artyści.

Najmilszy z pomysłów – tableaux „Krzesło” G. Kowalskiego i jego kolekcja „Buty”. Pierwsza o tematyce seksualnej, funkcjonująca na zasadzie skandalu i druga, działająca na mnie, jako chaotyczne usypisko przedmiotów codziennego użytku, na które należałoby zwrócić uwagę, choć pomija się je notorycznie. Wszelako intencje autorskie były ambitniejsze niż samo dokonanie. Jeśli intencja nie przedziera się przez aranżację, zostaje zawieszona w próżni.

Sprawa kolejna: zmierzanie do stworzenia klimatu, w którym ludzie mogą wyrazić siebie. Mogą spotkać znane na ogół grono osób tak powiązanych wzajemnie, iż de facto są to więzi nieformalne, a więc niegaleryjne. Możliwa jest tu dla przykładu taka aura towarzyska, jaką stworzyli państwo wokół p. Zawadzkiej. Aura tego rodzaju jest czymś arcyzadkiem w warunkach polskich, powiedziałbym nawet na świecie. Jest z pewnością bardziej żywa i spontaniczna niż w happeningach, które się zazwyczaj nie udają. Ciekawa była forma tego spotkania towarzyskiego, ale frekwencja na ostatnim spotkaniu z p. Zawadzką wskazuje, że i to nie chwyta.

Akceptuję więc taką galerię, szczególnie jeśli chodzi o typ wytworzonego w niej mikroklimatu. Utrzymanie go byłoby dużym i ważnym osiągnięciem. Dziś ludzie żyją na ogół w pustce. Wszystko jest sztuczne i pozorne, także życie artystyczne wydaje się nadęte.

Tyle uwag ogólnych w odniesieniu do rzeczy przeze mnie widzianych. Moje postulaty idą jednak znacznie dalej. Mam głębokie poczucie nieprzydatności tego, co się robi, do otaczającej rzeczywistości. Jeśli tutejsza awangarda ma mieć sens, powinna być znacznie bardziej agresywna, znacznie silniej uderzać w problemy, które nas nurtują najgłębiej, tyleż w aspekcie indywidualnym, co w makroskali, z której nie można się przecież wyzволzić.

Powinna dotyczyć spraw, które gorąco się dyskutuje w „nocnych rodaków rozmowach”, a także zadania przy każdej pomyślnej okazji. To znaczy całą rzeczywistość, w której żyjemy, o jej podstawach, zwichrzeniach, perspektywach. Formułując moje oczekiwania nie mam żadnych wątpliwości, że rzeczy nie da się nikomu narzucić. Kto sam z siebie nie odczuwa potrzeb takiej wypowiedzi, zaledwie mnie wysłucha. Dlaczego tak jest, że młodsze pokolenie nie odczuwa owych potrzeb, nie dąży do tego, by się zaangażować, nie umiem odpowiedzieć w sposób rzetelny. Mam swoje wstępne robocze hipotezy, ale to temat oddzielny. Uderzyło mnie, warto to zacytować, że na spotkaniu młodych artystów wielu myślało i głosiło tezę, iż sztuka jest jak natura, jak miłość – politycznie jest neutralna.

Elżbieta Cieślak: Działalność naszą nie odczuwamy jako neutralną. Wydaje nam się, że codzienne trwałe istnienie w sferze obrazowej ulicy, widoków sytuacji niestandardowych jest dokładnie tym, na co w naszym skomplikowanym czasie można sobie pozwolić. Aktywność, która stawia in oculos ludzi Krakowskiego Przedmieścia fakt, iż można istnieć poza standardem, mechanicznym programem ...

Stefan Morawski: Jest to uderzenie w potoczną apatię, ale nie w obfity kokon zakłamania. Jest to dowód, że można się przebić przez życie oficjalne. Lecz w waszej galerii dotyczy to wyłącznie sfery intymnej, psychologicznej, której bynajmniej nie lekceważę. Dla mnie to niewystarczające, za bardzo sprywatyzowane.

Prasować – Przejść ponownie – Cerować – Nr 3

Instytucjonalizm

(Poniżej podajemy krótki opis powszechnie znanej choroby w jej objawach ekstremalnych, które pozwolą lepiej zrozumieć znacznie łagodniejsze jej objawy, z którymi mamy do czynienia w kontaktach z ludźmi z tytułu działań Galerii, a które mają istotny wpływ na ich przebieg).

Instytucjonalizm – stadium I

Człowiek nim dotknięty cierpi na brak własnej osobowości. Zastąpiona jest ona przez ogólny program instytucjonalizacji świata, w szczegółach zaś przez program jego własnej instytucji. Nie są mu dane powszechnie dostępne ludziom – poczucie zdrowego rozsądku i jego zaprzeczenie – poczucie absurdu. Również uczucia wyższe, choć w łagodniejszym przebiegu dają wprawdzie znać o sobie, lecz są świadomie przesuwane na miejsce pośledniejsze, którym jest wyłącznie realizacja programu instytucji.

Instytucjonalizm – stadium II

Instytucjonalista w tym stadium cierpi na rozdwojenie jaźni. Posiada wprawdzie poczucie rozsądku i absurdu, lecz używa go jedynie do zachowania swojego bytu w łonie instytucji. Przyjęta przez niego chorobliwie konieczność bezkrytycznej realizacji programu instytucji nie pozwala mu wykonywać wskazań jego własnego zdrowego rozsądku. Brak możliwości reakcji na jego impulsy jest przyczyną tej frustracji.

Oba stadia są nieuleczalne. Tylko wielkie wstrząsy zdrowszym z nich mogą dać szansę rehabilitacji psychicznej. Dla nas istotnym jest to, że każde naruszenie status quo w sferze motywów, zachowań, przedstawień, podjęte bez zbawczej decyzji instytucji, uznane będzie przez nich za działanie albo niebezpieczne, albo pozorne – bezsensowne.

Swego czasu zwróciliśmy się do jednego z ogniw władz Miasta z propozycją współpracy. Miała ona obejmować realizację programowych działań Galerii w miejscach otwartych i lokalach publicznych. Program nasz został zakwestionowany pytaniem:

Czemu to konkretnie służy?

Pytanie to stawiane było nam już wielokrotnie. Odpowiadaliśmy na nie, starając się wyjaśnić sens poszczególnych artystycznych rozważań. Do współpracy jednak nie doszło, ponieważ instytucjonalista nie może przyjąć faktu, że jakaś aktywność nie ma służebnej roli do potrzeb użytkowych, że powstała tylko z chęci poznania, wyrażania, działania, i że właśnie jako taka może być naturalnie przyjęta przez ludzi. Jak nas poinformowano, współpraca byłaby możliwa, niezależnie od „ekscentryczności” środków wyrazu, gdyby była związana z bezpośrednimi problemami zachowania porządku w mieście.

Druga o podobnym charakterze próba wyjścia poza galerię, miała miejsce w kontaktach z Ośrodkiem Kultury i Sztuki, a więc z miejscem naturalnie tłumaczącym naszą artystyczną aktywność. Również i ona nie doszła do skutku.

Przedstawiony przez nas program działania, obejmujący scenariusze indywidualnych wystąpień, był kwestionowany:

a – jako posiadający „niezrozumiały” „język”,

b – jako pozbawiony bezpośredniej celowości użytkowo – społecznej.

Instytucjonalizm w strukturach utylitarnych jest od dawna odkryty jako patologiczne wynaturzenie, i tam, gdzie tylko to jest możliwe, ujawniany i tępiony. Przeniesiony w sposób mechaniczny na grunt sztuki, staje się pozorną podporą. Pozwala, w myśl swoich instytucjonalnych reguł, na weryfikację wartości artystycznych. Zostaje przyjęty jako reguła gry na terenie sztuki. Reguł gry jako umownych wszakże nie można podważać. Albo się na nie godzi (gra), albo nie. Jest się na terenie sztuki lub poza nią.

W ten sposób zakamuflowany jest pewny siebie, a każdy, kto zna reguły jego gry, może ją podjąć. Perfekcja w niej daje pewność wygranej.

Również teren Galerii Repassage jest zagrożony chorobą instytucjonalizmu, przez sam fakt nazwania tego miejsca galerią, ludzi w niej działających – artystami, a samej

ich działalności – sztuką. Przez nomenklaturę tę działalność nasza jest automatycznie wciągana w grę, którą prowadzą instytucjonałisci wokół sztuki.

Na terenie Galerii dochodzi jednak do konfrontacji, głównie dzięki opóźnieniu informacyjnemu dużej części naszych gości, którzy, kwestionując prawidłowość naszych działań w sztuce, sami podważają naszą przynależność do instytucji artystycznych. Pomocni są nam, bardziej zaawansowani w grze wokół sztuki, instytucjonałisci dążący do wyeliminowania nas z gry.

Gdy mamy do czynienia z ludźmi, którzy orientują się, że to, co robimy, od dawna już znajduje się na terenie sztuki, jak „czarownica z bajki” zjawia się instytucjonalna klasyfikacja (happening, multiplikacja, działania parateatralne, konceptualizm ...), uniemożliwiając naturalne, zdawałoby się, porozumienie. W wyniku [tego] odczytują tylko instytucjonalny naskórek, zasłaniający im prawdziwy sens wypowiedzi artystycznej. Nic dziwnego, że przy takim odczycie rzecz musi się wydawać zużyta i nudna.

Jeśli tak się dzieje, to może jest to przestroga dla nas samych. I może trzeba zerwać z wszelkimi pozorami instytucji sztuki i zawodowości. Jest jednak sprawą otwartą, czy próba taka nie równałaby się samobójstwu – gdyż możliwe jest, że pozbawieni opieki instytucjonalnego nazewnictwa, automatycznie bylibyśmy skazani na praktykę w ścisłym prywatnym gronie.

Nie proponujemy kruczaty antyinstytucjonalnej, staramy się tylko zachować naturalną ludzką zdolność rozpatrywania otaczającego nas i tkwiącego w nas świata.

Emil i Elżbieta Cieślak

Prasować – Przejść ponownie – Cerować? – Nr 4

Wydaje się, że nasze działanie w Galerii wynika z osobistych potrzeb artystów. Choć u części z nas można by się z pewnością doszukać impulsów z zewnątrz, to jednak ma ona zapewne swe źródła w naturalnej ludzkiej potrzebie twórczości. Spróbujmy rozpatrzeć relacje artysta – odbiorca w całości tego zjawiska.

Twórcy zajęci egocentryczną twórczością w zamkniętym kręgu wtajemniczonych „znawców”. W swojej pracy dążą do podporządkowania procesu twórczego (często nawet uciekając się do deprecjonowania spontaniczności jako jednego z elementów twórczości). W wyniku ich trudu wydaje się, że wszystko, co możliwe, zostało już wyznaczone i pozostaje tylko szansa na twórczość epigońską.

Grupa odbiorców nie zna celów ich działania, które skierowane są do wewnątrz, autotematyczne dla sztuki. Pozbawiona kompetencji twórczych, sama nie tworząc, oczywiście nie może rozpoznać problemów, którymi zajmują się artyści.

W przeważającej większości ten brak kompetencji, zrozumienia problemów, dotyczy też krytyków. Jedyna szansa, jaka pozostała odbiorcom dla spełnienia potrzeb naturalnych kreatywności, to MITOTWÓRCZOŚĆ. Wypełniają ją spontanicznie, ku chwale artystów i ich niepojętej sztuki, tworząc mit GENIUSZA, DZIEŁA.

Podział ról i wynikała z niego „niezwykłość” aktu twórczego, „tajemnica” wynikająca z hermetyczności sztuki, zwiększając siłę oddziaływania mitu. Jest ona tak wielka, że sami artyści uwierzyli w swą WAŻNĄ, ZBAWCZĄ, ODPOWIEDZIALNĄ ROLĘ SPOŁECZNĄ.

Nie znajdując potwierdzenia w swoim życiu codziennym, artyści winią za tę sytuację „profanów”, ich lenistwo myślowe, brak wrażliwości, brak potrzeb innych jak użytkowe – przyziemność.

Odbiorcy, opierając się na ogólnie obowiązującej zasadzie wymiary „dóbr”, „produktów” między wyspecjalizowanymi grupami zawodowców, zakładają wymianę również na terenie sztuki. Za dostrzegany jej brak winią artystów, ograniczając ich prawo samostanowienia w realizowaniu własnej twórczości, domagając się od nich spełnienia „oczekiwań?” ogółu. Rozjemcy postulują „doksztalcenie” odbiorców.

Absurdalny podział:

TWÓRCA – ODBIORCA

Przydzielenie naturalnych odruchów spontanicznego konstruowania, wyrażania, poznania, grupie zawodowej – TWÓRCÓW.

Te same odruchy wykonane przez grupę ODBIORCÓW pozbawione są ważności. Są bez znaczenia. Grupa ta ma tylko prawo, a może i obowiązek KONSUMPCJI sztuki.

Podział ten wydaje się być ważną przyczyną nieporozumień wokół sztuki. Wielokrotne próby zlikwidowania go podejmowane przez obie grupy (artyści, happeningi, akcje uliczne, teatr uliczny, współuczestnictwo odbiorców programowane przez artystów) – (odbiorcy – propozycje upolitycznienia sztuki, uspołecznienia, domaganie się „sztuki popularnej”) nie wprowadziły istotnych zmian.

Ta nerwicowa sytuacja jest motorem stwarzanej wokół sztuki pozornej gry konkurencyjnej oraz pozornego rynku sztuki. Należałoby rozpatrzyć, czy pełne zaangażowanie w sztuce nie jest tylko możliwe w osobistym akcie twórczym.

Zachodzi też pytanie, czy ten arystokratyzm znajduje potwierdzenie w wyjątkowych właściwościach artystów i ich braku w ogóle społeczeństwa? Czy problem leży we właściwościach, czy też w naturalnych potrzebach ...

Czy istniejące struktury cywilizacyjne – techniczne możliwości obiegu informacji, świadomość ogółu własnych potrzeb i możliwości – pozwala na zmiany w kierunku demokratyzacji prawa do twórczości ...

Czy ogólny trend kulturowy zmierza w tym kierunku ...

Elżbieta i Emil Cieślak

– Prasować – , Przejść ponownie – , Cerować? – Nr 5

Wszystkie teksty pod tym tytułem są naszymi osobistymi wypowiedziami i choć wnioski i przypuszczenia z nich wynikające mają zapewne wpływ na tok wydarzeń w Galerii, to w żadnym stopniu nie reprezentują poglądów działających w niej naszych przyjaciół-artystów i nie mają charakteru „obowiązującej wiary” czy mani-

festu, ani tym bardziej spójnej teorii. Są wynikiem sytuacji roboczej w Galerii, dotycząc wąskiego wycinka spraw ludzkich i sztuki. W trybie działania Galerii musiały się pojawić automatycznie, gdyż na jej terenie krzyżują się wpływy uporządkowanych systemów instytucji i obiegowych poglądów, ze spontanicznym aktem twórczym i spontaniczną reakcją.

Są to dla nas, podobnie jak indywidualne działania artystów, kolejne próby dotarcia do mechanizmów ludzkich zachowań i określonych nimi poglądów – postaw. Jaka jest ich natura, jakie są ich konieczności?

Elżbieta i Emil Cieślar

REPASSAGE MIEJSKI

Intencją organizatorów było włączenie działań artystycznych w życie organizmu miejskiego. Konfrontacja sztuki czerpiącej inspirację z codzienności życia, z nim samym – z życiem.

Konfrontacja taka pozwolić może na odkrycie nowych terenów działania myśli artystycznej. W celu ich odkrycia wydaje się konieczne stworzenie sytuacji dających okazję do powstania sprzężenia zwrotnego artysta – społeczeństwo.

– ETAP I – PRZYGOTOWANIA

Organizm miejski to, najogólniej – zbiorowisko ludzi kierujących się wspólnymi regułami myślenia i postępowania, rządzonych zaś przez organizacje stworzone dla prawidłowego [tych] reguł funkcjonowania.

W tej sytuacji oczywistą jest rzeczą, że każde zachowanie, które reguły te w jakiś sposób narusza, znaleźć się musi pod kontrolą zarządzających organizacją.

Tak więc opracowano scenariusze wystąpień (plastyków) i przedstawiono do akceptacji odnośnym władzom:

Urząd Miasta Stołecznego – Warszawa

a) Wydział Kultury i Sztuki

b) Wydział Komunikacji

Komenda Stołeczna MO

Departament Plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki

Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Ogrodniczych.

Poczyniono więc wszystkie przewidziane prawem kroki, w wyniku których uzyskano komplet zezwoleń na realizację planowanych akcji artystycznych.

Etap ten uważa się za w pełni zrealizowany, bowiem idea „Repassage’u miejskiego” włączona została w organizacyjny tok życia miasta.

– ETAP II – REALIZACJA (niedziela 9. VI. 1974 r. – godz. 12)

Z przyczyn niezależnych od artystów i organizatorów szereg planowanych akcji uległo zmianom i ograniczeniom, wydaje się jednak, że idea wtopienia działań artystycznych w życie miasta została zarysowana. Jej charakter określają najlepiej scenariusze i opisy wystąpień, które zamieszczamy w części dokumentacyjnej.

(Zakaz policji politycznej był przyczyną niezrealizowania na terenie Miasta Warszawy planowanych działań artystów choć wszystkie one miały akceptację przewidzianych prawem urzędów miejskich. Rektorat UW wyraził zgodę na ich realizację w ogrodach uniwersyteckich z wymogiem zamknięcia głównej bramy wejściowej.)

MIESZKANIE

– Jerzy Treliński, Tadeusz Piechura

Teren działania: przejście podziemne na skrzyżowaniu ul. Krakowskie Przedmieście z ul. Traugutta. W przejściu tym planowano zaaranżować wnętrze małego, współczesnego, typowego mieszkania. W mieszkaniu tym w dn. 7. – 10. VI. (trzy doby) mieli przebywać autorzy akcji. Akcja ta została ograniczona przez decyzję Partii do zmagazyňowania mebli w bramie Galerii.

KOMPOZYCJA HORYZONTALNA II – wariant (1974)

Grzegorz Kowalski –

Teren planowanego działania: polana między drzewami w parku publicznym.

Czas: wczesne popołudnie niedzielne.

Czynności, w obecności przypadkowych widzów, wykonuje ogrodnik zaangażowany przez Galerię Repassage – bez zrozumienia dla tej pracy, ale i bez ostentacji.

Czynności:

Oznaczenie miejsc po sześć w siedmiu szeregach, w odstępach co 1,2 m.

Zdjęcie darni w oznaczonych miejscach. – Wykopianie niegłębokich prostopadłościennych dołków. – Wyjęcie z furgonetki i rozłożenie obok dołków czterdziestu dwu paczek.

Odwinięcie z papieru i włożenie do ziemi przedmiotów.

Zasypanie dołków i pokrycie tych miejsc darnią, tak aby nie pozostał ślad po wykonywanych czynnościach.

Przedmiotami są cementowe odlewy z twarzy przyjaciół i znajomych, zdejmowane na przełomie lat 72/73 i wykorzystane do innych wariantów „Kompozycji horyzontalnej”.

Na skutek zakazu policyjnego przedstawiono jedynie fotografie « Kompozycji horyzontalnej I » uznając za « dzieło » sam opis czynności wokół tego projektu..

CAMERA OBSCURA

– Elżbieta i Emil Ciešlar

Teren planowanego działania – ul. Krakowskie Przedmieście.

Realizacja: wykonany z dermy sześcian o wym. 3 m x 3 m, ustawiono w dn. 7. VI. na chodniku ul. Krakowskie Przedmieście.

Wykorzystano zasadę camera obscura do projekcji obrazów ruchu ulicznego na wewnętrzne ściany sześcianu. W wyniku ograniczeń, w dn. 9. VI. Camera obscura ustawiona była na skwerze Uniwersytetu. Eksponowano zaś jedynie powierzchnie, na których uprzednio dokonywano projekcji.

LABIRYNT – Elżbieta i Emil Ciešlar

Teren planowanego działania – Ogród Saski.

Realizacja przed Biblioteką Uniwersytetu Warszawskiego.

Czas: 9. VI. – Na maszty (wysokość 6 m) wciągnięto „Labirynt” złożony z metrowych kawałków gazy o wym. 12 m x 24 m.

Na gazach wymalowano słowa wersetu 2 -go Księgi Genezis.

Na flecie sopranowym utwory J. S. Bacha grała Barbara Kwiatkowska.

Dobrze Stańczyk

Elżbiety i Emila Cieślarów

Akt I – 13.12.1977

Wariatka, Elżbieta Cieślar, uwięziona w dybach wybuchu niekończącym się śmiechem. Towarzyszy jej pijacki chór śpiewający popularne melodie do słów „DOBRZE, DOBRZE”.

Malarz (Emil Cieślar) pokrywa czerwienią jej białe ubranie. (Patrz diaporama poniżej.)

Akt II – 15. 12. 1977

Królewski błazen, Emil Cieślar – w swym czerwonym stroju, pozostaje nieruchomy w geście rozpacz z obrazu Jana Matejki, do czasu, gdy malarka (Elżbieta Cieślar) pokryje białą farbą jego ubranie.

Królewski błazen pokryty białą farbą kobiecym głosem intonuje «Międzynarodówkę» używając jedynie słów «Dobrze, dobrze, dobrze...», a przyjęty teraz gest oklasku kończy drugi akt.

Akt III – 22. 12. 1977

Przybyłej do Galerii licznej publiczności przedstawiono przeżrocza dwu poprzednich aktów oraz tekst :« Wyznanie szaleństwa ».

Zakwestionowanie rozsądku, zakwestionowanie niezbędności poczucia bezpieczeństwa.

W świecie, w którym racjonalne i funkcjonalne jest wszystko, co służy władzy państwowej, w którym potrzeby ludzi mają prawo głosu na granicy bezpieczeństwa władzy, w którym publiczne ujawnienie poglądów w sprawach istotnych, różne od oficjalnych, jest praktycznie niemożliwe, w którym codzienne „dobrze, dobrze“ dotyczy osobistej zgody na ubezwłasnowolnienie, wszelka dyskusja przekazanych tradycją systemów wartości, sposobów współżycia, sensu istnienia okazać się musi mową do człowieka ogarniętego apatią spowodowaną własną niemocą rozwiązania problemów dnia dzisiejszego – codziennej swojej godności, okazać się musi mową do człowieka wypierającego wszelką inną myśl poza tą o codziennych staraniach, w rozsądku znajdującego uzasadnienie spełnienia swej potrzeby bezpieczeństwa.

Zakwestionowanie niezbędności potrzeby bezpieczeństwa na rzecz spełnienia potrzeby wolności i autonomii jednostki. (zobacz stronę)

1978

Prasować, Przejść ponownie-, Cerować-? Nr 8

Tożsamość Galerii

Tekst « Prasować, przejść ponownie, Cerować? Nr 8 » nigdy się nie ukazał, bowiem przygotowany katalog ostatnich wystąpień artystów powierzony jednemu z przyjaciół zaginął. Uratowało się tylko kilka kartek...

Grupa Ludzi Galerii, obecnie najbardziej dla nie reprezentatywna, powstała z gości Galerii. Są to ludzie, którzy z biegiem czasu zbliżyli się do siebie wskutek rozpoznania głęboko odczuwanej potrzeby – samodzielności we własnym istnieniu. Ten wyróżnik jest przyczyną, iż grupa ta jest zróżnicowana. Są wśród nich ludzie w różnym wieku, o różnym stopniu wykształcenia, różnych zawodów, różnej kondycji społecznej. Grupa ta jest wciąż otwarta.

Równie liczną, aktywną grupą w Galerii są artyści występujący w niej gościnnie, których własne programy często daleko odbiegają od programu prowadzących Galerię. Ich obecność wynika z przyjętych założeń, które podamy niżej.

Trzecią grupą obecną w Galerii są przypadkowi goście – przechodnie Krakowskiego Przedmieścia i studenci Uniwersytetu Warszawskiego. Nawiązanie kontaktu z nimi, wyłożenie wzajemnych racji dotyczących aktualnego „dziania się” w Galerii, porozumienie uzależnione są od przyjęcia przez rozmówców postawy otwartej, a więc dążącej do postrzegania i rozumienia, lub postawy zamkniętej opartej na przyjętych, niepodważalnych deklaracjach. Nie decydują o porozumieniu wiek, wykształcenie, kondycja.

Działania w Galerii są wynikiem wyłącznie osobistych, indywidualnych potrzeb ich inicjatorów. Inicjatorem może być każdy, a proponowane działanie weryfikowane jest w dyskusji z obecnymi w Galerii. Argumentem ostatecznie decydującym o publicznej jego realizacji jest przekonanie projektodawcy o słuszności swej koncepcji i jej prezentacji w tym miejscu. Drugim etapem weryfikacji jest konfrontacja zamierzenia z władzami, gdzie argumentem decydującym jest wyłącznie szkodliwość lub nieszkodliwość działania z punktu widzenia interesów społecznych. Działanie w Galerii nie daje żadnych dodatkowych szans osiągnięcia sukcesu w hierarchii społecznej.

Ekspozycyjna działalność w Galerii stanowi jedynie fragment aktywności, mającej na celu konfrontację przemyśleń, odczuć, intuicji z szerszą opinią. Równie bowiem ważną działalnością Galerii są rozmowy, pozwalające na konfrontowanie poglądów i precyzowanie problemów. O składzie grup dyskutujących decyduje przypadek chwili i wzajemna sympatia. Ich udziałowcami są zarówno stale z Galerią związani ludzie, ich przyjaciele. Naturalnie poszerzający krąg Ludzi Galerii, jak i goście Galerii. Cechą tych spotkań dyskusyjnych jest ich prywatny, nieodpowiedzialny charakter. Ich przebieg z biegiem czasu ma coraz większy wpływ na tok wydarzeń w Galerii. Stanowią one komentarz do jej bieżących ekspozycji, a także są przyczyną następnych.

Te „rozmowy” poczęły przekształcać się kolejne publiczne wystąpienia w Galerii. Proces ten wydaje się narastać...

Katalog VIII. 1978

Zamknięcie Galerii Repassage

W 1981 r ostatnim prowadzącym Galerię Repassage był Jerzy Słoma – Słomiński i to on był świadkiem wejścia ZOMO do Galerii 13 grudnia 1981 i zniszczenia przez nie dokumentów Galerii i „Zbioru butów” Cieślarów spalonych na dziedzińcu UW.

W 1993 r Dyrektor Galerii Zachęta, Agnieszka Morawińska i Dyrektor Muzeum Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie Maryla Sitkowska zaproponowały mi przedstawienie w Zachęcie dorobku Galerii Repassage. Zaprosiłam więc do współpracy wszystkich kolejnych prowadzących Galerię (Krzysztof Jung, Roman Woźniak, Jerzy Słoma-Słomiński, Przemek Kwiek Daniel Wnuk. Zmieniali oni nazwę galerii dorzucając przedrostek « re » lub numer). Podzieliliśmy między siebie przestrzeń Zachęty tak że każdy z nas mógł samodzielnie przedstawić działalność swego okresu w lokalu na Krakowskim Przedmieściu 24.

Dyrektor Maryla Sitkowska opracowała katalog dokumentujący całość historii Galerii Repassage a Dzrekto Agnieszka Morawińska wydała to ważne opracowanie,

Ostatnim działaniem Galerii było wystąpienie Daniela Wnuka. Na wysokim parkanie zasłaniającym okna i wejście do Galerii wybudowanym przez « siły pomocnicze » reżimu Daniel wymalował taki oto napis »zostaw proszę słowo «.

Elżbieta Cieślar, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, rzeźbiarka, performerka, projektantka form przemysłowych, scenograf TVP, autorka filmów o sztuce, szeregu tekstów o roli sztuki w życiu społecznym, była dyrektorka Galerii Repassage w Warszawie. Po studiach pracuje w tandemie z Emilem Cieślarem.

Współzałożycielka Stowarzyszenia Projektantów Wzornictwa Przemysłowego. Jest autorką wielu projektów dla przemysłu, między innymi współautorką z Andrzejem Wróblewskim projektu pierwszego polskiego skutera Osa.

Emil Cieślar urodził się w 1931 roku w Rougement le Chateau – Francja. Profesor w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Współzałożyciel Stowarzyszenia Projektantów Wzornictwa Przemysłowego. Jest autorem wielu projektów dla przemysłu, między innymi projektu pierwszego polskiego komputera, motocykla dla WSK w Świdniku.

Od 1968 roku w tandemie z Elżbietą Cieślar realizuje szereg performansów i artystycznych projektów publicznych. Razem prowadzą Galerię Repassage. Jest ona jednym z istotnych ich dokonań w Polsce.

«Trzy okna dawały nam bezpośredni kontakt z przechodniami i ludźmi oczekującymi na liczne autobusy przystające tuż przy oknach Galerii. Bezpośrednie sąsiedztwo Uniwersytetu i Akademii Sztuk Pięknych powodowało, że publiczność Galerii stanowili studenci i profesorowie tych obu uczelni. Do niej też należeli przechodnie deptaka jakim jest ulica Krakowskie Przedmieście»

Uniwersyteckie środowisko artystyczne stanowiące publiczność Galerii Repassage było jednym z najważniejszych w ruchu kontrkultury i neoawangardy polskiej lat siedemdziesiątych.

Na koniec kilka akcji zrealizowanych przez Cieślarów we Francji w ponurych czasach istnienia w Europie żelaznej kurtyny:

1979 07. 09. – «Trumna Malewicza» – interwencja w Centrum Georges Pompidou
Akcja «Trumna Malewicza» była interwencją artystów z okazji otwarcia wystawy «Paryż

– Moskwa». Dysydenci rosyjscy i intelektualiści francuscy wnieśli zbudowaną przez Cieślarów kopię «Trumny Malewicza» do Centrum Sztuki Georges Pompidou, Nieśli przed nią «Czarny kwadrat na białym tle», na którego odwrocie widniał tekst: «Tu spoczywa awangarda rosyjska zamordowana przez sowiecki socjalizm» /.../

19.07. do 4.08. 1980 – Pokój Olimpijski Interwencja przed Centrum Sztuki Georges Pompidou w Paryżu podczas Igrzysk Olimpijskich w Moskwie.

Dla poparcia Afganistanu odgrywamy pantomimę przed Centrum Sztuki Georges Pompidou w Paryżu.

Osoby: ofiara – Elżbieta Cieślár, sprinter – Emil Cieślár, świadkowie Ania i Stefan Cieślár.

Scena I – Chór Armii Radzieckiej śpiewa pieśń pt. „Pokój”.

Słychać salwy karabinowe. Biegacz w czerwonym dresie rusza do biegu. Równocześnie ofiara ubrana na czarno, z oczami zawiązanymi, stojąca przed transparentem „Prawa człowieka dla Afganistanu”, pada na bruk. Scena powtarza się wielokrotnie.

Scena II – Cisza. Ofiara pozostaje w bezruchu, leżąc w kałuży krwi. Biegacz w koszulce ze sztandarem USA stojąc nad nią, myje ręce. Świadkowie rozdają ulotki.

1988 – «Schody pamięci» – (W zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie) Artyści zwrócili się do ludzi zaangażowanych w działalność podziemnej Solidarności, z prośbą o przekazanie śladów ich pamięci. Otrzymane przedmioty zatopili w przezroczystych kostkach z plastiku. Teksty przekazane przez ofiarodawców wydrukowali na plexiglasie. Stanowią one integralną część dzieła. Tekst artystów towarzyszący ankiecie: Ziemia przechowuje pamięć wszystkich procesów, które się na niej odbywały. Pamięć o lasach, które na niej dziko rosły, o liściu, który spadł w pewnej chwili, pamięć pożaru i nasienia, które z popiołu rodzi nowe życie. Wkopując się stopniowo w głąb możemy odkryć ślady tych dawnych wydarzeń./.../

W październiku 1980 r. Elżbieta z mężem Emilem i francuskimi przyjaciółmi była współzałożycielką Paryskiego Komitetu Solidarności z «Solidarnością», w którym działała do 1989 r jeżdżąc wielokrotnie do Polski w celu utrzymania ścisłych kontaktów Paryskiego Komitetu Solidarności z polskim podziemiem.

W 2009 r. Cieślarrowie przenoszą się do stóp Vercors, do miasteczka Die, gdzie kontynuują swoją artystyczną działalność w ramach stowarzyszenia Art et Montagne.

(wybrał i streścił : js)

lekonferencja 30.III.1982.Tow. Stefan Olszowski.
 Dzisiejsza konferencja jest poświęcona sprawom SD PRL.Jak towarzysze wiedzą, grupa inicjatywna przeprowadziła określone prace - Stowarzyszenie zostało zarejestrowane. W tej chwili, tak jak mówiliśmy na spotkaniach sekretarzy z wielkich miast, nasze zadanie będzie polegało na tym, żeby Stowarzyszenie możliwe szybko ukonstytuowało się.Można powiedzieć, że są już pewne symptomy, w tym również na terenie środowiska warszawskiego - bo jak wszyscy zdajemy sobie sprawę, liczyliśmy się z określonymi trudnościami. Jeśli chodzi o dzisiejszą telekonferencję, przewidujemy następujący program.Teraz zabrakłoby głosu kierownikowi Wydziału Prasy, Radia i TV, tow.Lesław Tokarski, później chcielibyśmy was prosić o pytania czy zwięzłe informacje dot. rozwoju sytuacji w terenie, jeśli chodzi o sprawę SD PRL.
 Tow. Lesław Tokarski:
 Środowisko dziennikarskie znajduje się obecnie w szczególnym momencie.Rozwiązanie SDP i powołanie nowego Stowarzyszenia wywołuje wiele komentarzy i pytań na które musimy w naszej działalności odpowiedzieć.Dlatego dzisiejsza telekonferencja poświęcona jest właśnie tej sprawie.Przeciwnik w swej propagandzie atakuje przede wszystkim sam fakt rozwiązania SDP.Codziennie w wielu audycjach Wolnej Europy i innych radiostacji porusza się ten temat, rozdziera się szaty nad pokrzywdzonym Bratowskim i jego przyjaciółmi.Sam ten fakt jest już potwierdzeniem kroków słuszności, jakie podjęliśmy, wiadcą bowiem, że swój bronił swego. Jaki kierunek nadawały w ostatnich miesiącach działalności SDP władze Stowarzyszenia, to wszyscy wiemy.Nie rozwódca się więc szeroko nad tą sprawą, podam tylko kilka mniej znanych przykładów.Szczególnie znamienne było to, co działo się na posiedzeniach Rady SDP.To, co mówili członkowie Rady, a przynajmniej wielu z nich, potwierdza te oceny, z jakimi już nie raz do towarzyszy zwracaliśmy się. Na przykład, na Radzie SDP 2.XI.81, a więc nie tak dawno, zabrał m.in. głos Rapacki - jeden z najbardziej radykalnych działaczy poprzednich władz SDP, który wyrażając uznanie dla Bratowskiego, odczytał list otwarty do Rady SDP podpisanym przez kilkunastu dziennikarzy, członków Solidarności - i co jest bardzo charakterystyczne - dokument ten wyznaczał próbę dla uczestników i inicjatorów strajku poligrafów, a więc dla dni bez prasy, oraz opowiadał się za kontynuowaniem tego rodzaju akcji.Dlaczego o tym przypominam? Dlatego, że obecnie niektórzy działacze władz SDP, ci skupieni najbliższej Bratowskiego, mówią, że nie mieli nic wspólnego z takimi poczynaniami, jak dni bez prasy. Toczyła się walka na tych posiedzeniach Rady SDP. Mówił np.Kiełb, również na tym samym posiedzeniu Rady, że w SDP zauważyć można coraz mniej tolerancyjności, że ten proces powoduje, iż Bratowski i SDP nie cieszą się dziś takim samym uznaniem społeczeństwa i środowiska, jak po Nadzwyczajnym Zjeździe SDP.Powiedział też, że nie on jeden zresztą o tym mówił, że po ostatnim oświadczeniu władz SDP, chodzi tu o skynne oświadczenie podpisanie przez 5 działaczy z Bratowskim na czele, więc po tym ostatnim oświadczeniu wielu dziennikarzy zauważa, podlega manipulowaniu.Drogi dziennikarzu i SDP, jak zapowiadał już wówczas tow.Kiełb, ale mówili także i inni towarzysze, mogą się rozejść.SDP milczy wobec antyradykalności, a także wobec takich faktów, jak niedopuszczenie dziennikarzy na imprezy Solidarności.Wezmy dla przykładu choćby Zjazd Solidarności,przeciw temu organizacja twórczo-zawodowa na całym świecie, w każdym kraju by protestowała, a nie protestowała tylko SDP. Takim jednak towarzyszem, jak Kiełb, podobnie jak tow.Róg-Swiostel jednak odpowiadali inni, coraz bardziej emocjonalnie, coraz bardziej radykalnie i gdy mówiono krytycznie o Stefanie Bratowskim, jeden z członków Rady SDP odpowiedział, relacjonując przebieg pielgrzymki do Częstochowy, w której, jak powiedział,brak również udziału grupa 300 dziennikarzy i intelektualistów i podczas tej pielgrzymki młodzież modliła się w intencji Bratowskiego i, jak oświadczył, wiadomość o tym będzie najlepszym prezentem imienionowemu dla...

19 marca 1982 r. rozwiązano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, a na jego miejsce powołano podporządkowane komunistom SD PRL (zwane złośliwie... duperelkiem).

SDP było pierwszym rozwiązaniem przez partyjną - wojskową juntę stowarzyszeniem. W 1989 r. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich wznowiło działalność pod tą samą nazwą.

Inaczej było z literatami. W 1983 r. władze stanu wojennego rozwiązały Związek Literatów Polskich i powołały na jego miejsce... Związek Literatów Polskich (zwany złepem). Pod tą nazwą istnieje ono i dzisiaj, natomiast niezależni pisarze powołali w 1989 r. nową organizację Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

Telekonferencja 30.III.1982. Tow. Stefan Olszowski

Dzisiejsza konferencja jest poświęcona sprawom SD PRL. Jak towarzysze wiedzą, grupa inicjatywna przeprowadziła określone prace – Stowarzyszenie zostało zarejestrowane. W tej chwili, tak jak mówiliśmy na spotkaniach sekretarzy z wielkich miast, nasze zadanie będzie polegało na tym, żeby Stowarzyszenie możliwie szybko ukonstytuowało się. Można powiedzieć, że są już pewne symptomy, w tym również na terenie środowiska warszawskiego – bo jak wszyscy zdajemy sobie sprawę, liczyliśmy się z określonymi trudnościami. Jeśli chodzi o dzisiejszą telekonferencję, przewidujemy następujący program. Teraz zabralby głos kierownik Wydziału Prasy, Radia i TV, tow. Lesław Tokarski, później chcielibyśmy was prosić o pytania czy związane informacje dot. rozwoju sytuacji w terenie, jeśli chodzi o sprawę SD PRL.

Tow. Lesław Tokarski:

Środowisko dziennikarskie znajduje się obecnie w szczególnym momencie. Rozwiązanie SDP i powołanie nowego Stowarzyszenia wywołuje wiele komentarzy i pytań, na które musimy w naszej działalności odpowiedzieć. Dlatego dzisiejsza telekonferencja poświęcona jest właśnie tej sprawie. Przeciwnik w swej propagandzie atakuje przede wszystkim sam fakt rozwiązania SDP. Codziennie w wielu audycjach Wolnej Europy i innych radiostacji porusza się ten temat, rozdziera się szaty nad pokrzywdzonym Bratkowskim i jego przyjaciółmi. Sam ten fakt jest już potwierdzeniem kroków słuszności, jakie podjęliśmy, widać bowiem, że swój broni swego. Jaki kierunek nadawały w ostatnich miesiącach działalności SDP władze Stowarzyszenia, to wszyscy wiemy. Nie rozwodząc się więc szeroko nad tą sprawą, podam tylko kilka mniej znanych przykładów. Szczególnie znamienne było to, co działo się na posiedzeniach Rady SDP. To, co mówili członkowie Rady, a przynajmniej wielu z nich, potwierdza te oceny, z jakimi już nie raz do towarzyszy zwracaliśmy się. Na przykład, na Radzie SDP 2.XI.81, a więc nie tak dawno, zabrał m. in. głos Rapacki (Marek – red.) – jeden z najbardziej radykalnych działaczy poprzednich władz SDP, który wyrażając uznanie dla Bratkowskiego (Stefan – red.), odczytał list otwarty do Rady SDP, podpisany przez kilkudziesięciu dziennikarzy, członków Solidarności – i co jest bardzo charakterystyczne – dokument ten wyrażał aprobatę dla uczestników i inicjatorów strajku poligrafów, a więc dla dni bez prasy, oraz opowiadał się za kontynuowaniem tego rodzaju akcji. Dlaczego o tym przypominam? Dlatego, że obecnie niektórzy działacze władz SDP, ci skupieni najbliżej Bratkowskiego, mówią, że nie mieli nic wspólnego z takimi poczynaniami, jak dni bez prasy. Toczyła się walka na tych posiedzeniach Rady SDP. Mówił np. Kiełb, również na tym samym posiedzeniu Rady, że w SDP zauważyć można coraz mniej tolerancyjności, że ten proces powoduje, iż Bratkowski i SDP nie cieszą się dziś takim samym uznaniem społeczeństwa i środowiska, jak po Nadzwyczajnym Zjeździe SDP. Powiedział też, że nie on jeden zresztą o tym mówił, że po ostatnim oświadczeniu

władz SDP, chodzi tu o słynne oświadczenie podpisane przez 5 działaczy z Bratowskim na czele, więc po tym ostatnim oświadczeniu wielu dziennikarzy zauważa, podlega manipulowaniu. Drogi dziennikarzy i SDP, jak zapowiadał już wówczas tow. Kiełb, ale mówili także i inni towarzysze, mogą się rozejść. SDP milczy wobec antyradzieckości, a także wobec takich faktów, jak niedopuszczenie dziennikarzy na imprezy Solidarności. Weźmy dla przykładu choćby Zjazd Solidarności, przeciw temu organizacja twórczozawodowa na całym świecie, w każdym kraju by protestowała, a nie protestowała tylko SDP. Takim jednak towarzyszom, jak Kiełb, podobnie jak tow. Rógświostek (Mieczysław – red.), jednak odpowiadali inni, coraz bardziej emocjonalnie, coraz bardziej radykalnie i gdy mówiono krytycznie o Stefanie Bratowskim, jeden z członków Rady SDP odpowiedział, relacjonując przebieg pielgrzymki do Częstochowy, w której jak powiedział, brała również udział grupa 300 dziennikarzy i intelektualistów, i podczas tej pielgrzymki młodzież modliła się w intencji Bratowskiego i, jak oświadczył, wiadomość o tym będzie najlepszym prezentem imieninowym dla niego. Sytuacja zaostreza się coraz bardziej na posiedzeniu Rady 45.XI.ub.r. Mieliśmy do czynienia z takimi wystąpieniami, jak Pawluczuka (Andrzej W. – red.), który oświadczył, że proces odnowy jeszcze się nie zaczął, władza przez rok nic nie zrobiła, dla władzy socjalizm – to obrona pozycji, jaką zajmuje. Odnowa dla nich, mówił, tzn. dla władzy – to kolejna próba oszukania społeczeństwa. Dziennikarze powinni dokonać moralnego wyboru, zdecydować się – jak apelował – na opuszczenie prasy partyjnej i przejście do prasy niezależnej. Dni władzy i systemu są policzone, my musimy zachować czystość i moralność. I takie rzeczy opowiadał członek władz SDP na oficjalnym posiedzeniu tych władz i nie znalazł się tam nikt ze ścisłego kierownictwa SDP, kto w sposób zdecydowany by im odpowiedział. Natomiast na tym posiedzeniu Rady SDP, i nic w tym dziwnego, wystąpił przedstawiciel Solidarności, który zgłosił akces współpracy z SDP i gotowość ochrony przez Solidarność dziennikarzy. Oczywiście tych dziennikarzy, którzy z Solidarnością współdziałali. Problem SDP musiał więc być rozwiązany. SDP stało się bowiem organizacją dyspozycyjną wobec radykalnego trzonu Solidarności. Dopuszczenie do wznowienia działalności dotychczasowego kierownictwa SDP przekreśliłoby możliwość poprawy sytuacji, którą stworzono po ogłoszeniu stanu wojennego. Miałoby to szkodliwe następstwa nie tylko w środowisku dziennikarskim, komentarze na temat zastosowanej metody, a więc mówię tutaj o rozwiązaniu SDP i powołaniu nowego stowarzyszenia, komentarze te są różne. Gdzie nie gdzie uważa się, że można było znaleźć inne rozwiązanie problemu. Warto to sobie wyjaśnić. Rozpatrywaliśmy rozmaite warianty rozwiązania sytuacji. Przede wszystkim zdaliśmy sobie sprawę z tego, że problemu nie można było rozwiązać przez ustanowienie zarządu komisarycznego SDP, bowiem rozwiązanie takie w prawie o stowarzyszeniach nie jest przewidziane; jest ono przewidziane wyłącznie w stowarzyszeniach wyższej użyteczności, a takim SDP nie było. Rozpatrywaliśmy wariant polegający na wyborze nowego kierow-

nictwa SDP przez Radę SDP. Nasuwały się tutaj jednak uwagi następujące. Po pierwsze – skład Rady stanowił zasadniczą przeszkodę w zweryfikowaniu Zarządu Głównego. Po prostu chodzi o to, że ci członkowie Rady większością głosów wybrali te władze SDP, z którymi mieliśmy do czynienia i wybraliby w nowym głosowaniu najprawdopodobniej władze jeśli nie te same, to b. podobne. Następnie braliśmy pod uwagę, że sama Rada ze względu na swój skład nie może działać zgodnie z wymogami obecnej sytuacji, a ta Rada była przecież najwyższą władzą między Zjazdami. Chciałbym tutaj dodać taką informację, że wśród członków Rady wielu jest takich dziennikarzy, którzy w czasie weryfikacji kadry dziennikarskiej nie zostali zweryfikowani. Świadczy to chyba nieźle o tym, jaki był skład Rady. Wreszcie braliśmy pod uwagę ten fakt, że gdy Rada z jakichś względów podjęła uchwałę o zawieszeniu prezesa Bratkowskiego w czynnościach, musiałaby zgodnie ze statutem, powierzyć funkcję wiceprezesowi, a to nie zmieniłoby sytuacji, bowiem wiceprezesi reprezentowali tę samą linię polityczną, co Bratkowski. Wreszcie w związku z tym, że prezesa wybiera Zjazd, Rada musiałaby, zgodnie ze statutem, w terminie 30 dni wznowić obrady Zjazdu SDP z tym samym składem delegatów, którzy wybrali Bratkowskiego na prezesa, no i ta nowa sesja Zjazdu musiałaby dokonać wyboru. Jest wysoce prawdopodobne, że ci sami delegaci wybraliby ponownie tego samego prezesa lub dziennikarza z jego najbliższego otoczenia. Szkody polityczne – to jest oczywiste – byłyby ogromne, a ryzyko z tego rodzaju wariantem byłoby zbyt wielkie. Rozpatrywaliśmy również wariant polegający na zwołaniu nowego Zjazdu SDP, z zupełnie nowym składem delegatów. Nasuwały się tutaj również pewne uwagi. Otóż emocje i poglądy szerzone wśród dziennikarzy w ostatnich kilkunastu miesiącach nadal wywierają duży wpływ na postawy w środowisku dziennikarskim. Przedzjazdowa kampania wyborcza odbywała by się więc w toku ostrej walki politycznej. Jest b. możliwe, że wybrano by w znacznej mierze tych samych delegatów, co na Nadzwyczajny Zjazd SDP w 80 roku. Niemniej możliwe jest, że skład władz wybranych na tym nowym zjeździe byłby w pewnej mierze podobny do dotychczasowego lub byłby odbiciem chwiejności politycznej znacznej części środowiska, co przy pierwszej okazji doprowadzić by mogło do nawrotu złych zjawisk. Nie mogliśmy sobie na takie ryzyko polityczne pozwolić. Wreszcie warto było wziąć pod uwagę, że rozpętanie kampanii przedzjazdowej, a nawet już zbieranie podpisów pod żądaniem zwołania Zjazdu musiałoby się wiązać z odwołaniem zawieszenia SDP. Oznaczać by to musiało automatyczne wznowienie działalności dotychczasowych władz SDP, a więc Bratkowskiego, jego wiceprezesów i całego Zarządu Głównego. Oznaczałoby to, że Bratkowski przygotowywałby nowy Zjazd. Towarzysze zdają sobie sprawę z tego, że dopuszczenie do takiego wariantu byłoby niemożliwe. No więc wybrano ostatecznie wariant polegający na rozwiązaniu SDP i powołaniu nowego. Wariant ten znajduje uzasadnienie w prawie o stowarzyszeniach. Oczywiście związane są z tym wariantem liczne okoliczności, które przemawiałyby za przyjęciem go, ale i takie, które nakazy-

wałyby pewne refleksje. Otóż wielu dziennikarzy niewątpliwie odczuwa przywiązanie do SDP, co przez pewien czas jeszcze może mieć wpływ na ich stosunek do sprawy. Możliwe także jest zjawisko odsuwania się od nowego SDP, ale wydaje się na podstawie dotychczasowych obserwacji, że takie odsuwanie się będzie występować tylko w niektórych redakcjach i zapewne tylko przez pewien czas. Ten wariant rozwiązania sprawy jest wreszcie bardzo ważnym i potrzebnym sygnałem dla środowiska dziennikarskiego, że istnieje granica działalności politycznej, której przekraczać nie wolno, sygnałem, że nie czas na wahania, po której stronie się opowiedzieć, i że nie ma co liczyć się z tymi, którzy mówili jeszcze nie tak dawno, że „zima wasza, wiosna nasza”. Rozwiązanie, z jakim mieliśmy do czynienia, utrudni w zasadniczy sposób w przyszłości działalność tych, którzy przyczynili się do ograniczenia wpływu partii i władz państwowych w środkach masowego przekazu. Inne warianty, o których mówiłem; choć pożądane z wielu względów, najprawdopodobniej nie przyniosłyby właściwych rezultatów – a ten wariant – choć wzbudza uzasadnione wątpliwości i zastrzeżenia – jest jednak rozwiązaniem realnym, ma szansę być zaakceptowanym przez wzrastającą w niedługim czasie liczbę dziennikarzy. Jak towarzysze wiedzą powstała grupa inicjatywna, skupiająca aktyw dziennikarski w Warszawie i poza Warszawą. Grupa ta zwróciła się do władz z prośbą o wyrażenie zgody na zorganizowanie krajowej narady aktywu dziennikarskiego. 20.III.82 doszło do spotkania dziennikarzy z całego kraju. Uczestniczyło 95 osób, w tym 59 z Warszawy i 36 z terenu. Wobec faktu rozwiązania SDP postanowiono tam powołać nową organizację SD PRL. Spotkanie, które odbyło się 20.III.82, było dla wielu zaskoczeniem i wywołało wśród dziennikarskiej ekstremy, w tym wśród członków byłych władz SDP, konsternację. Osoby z otoczenia Bratkowskiego nie przypuszczały, że tempo rozwoju wydarzeń będzie tak wielkie i działanie grup inicjatywnych spotka się z szerokim poparciem środowiska. Część dotychczasowego kierownictwa łudziła się, że SDP zostanie reaktywowane w oparciu o dotychczasowy aktyw, po dokonaniu być może personalnych retuszy. Zastanawiano się np. nad tym, czy elementem odzyskania wiarygodności u władz nie mogło by być ustąpienie Bratkowskiego i ewentualnie Fikusa (Dariusz – red.), przy czym niektórzy podpowiadali władzom SDP, aby na nowego prezesa wysunąć Łłowieckiego (Maciej – red.). Oczywiście nie zmieniliby to sytuacji, bowiem Łłowiecki nie reprezentuje politycznie niczego innego niż sam Bratkowski. Rozważano także koncepcję podania się do dymisji całego Zarządu i wybrania ludzi, którzy choćby w jakiejś mierze odpowiadaliby władzom. Jednak zakładano przy tym rozwiązanie polegające na tym, że nowy zarząd będzie na każdym posiedzeniu Rady ostro krytykowany i Rada decyzje Zarządu będzie odrzucać. Czyli de facto sytuacja niewiele się zmieni. W sytuacji, kiedy tego rodzaju koncepcje i przygotowania okazały się spóźnione, wśród byłego kierownictwa SDP odżyła krytyka Bratkowskiego. Zarzuca się Bratkowskiemu przerost osobistych ambicji, nierealistyczne podejście do sprawowania funkcji, myślenie wyłącznie w katego-

riach wielkiej polityki ze szkodą dla spraw socjalnobytowych środowiska. Niektórzy dziennikarze nie wykluczają, że obecna ekstrema dziennikarska będzie zainteresowana w nadaniu rozgłosu odezwie napisanej przez środowisko zbliżone do Bratkowskiego, podpisanej przez dziennikarzy z Bratkowskim na czele, no i że ten dokument i inne dokumenty będą kolportowane w środowisku, po to, aby utrudnić powstanie SD PRL. Tutaj do towarzyszy zwracamy się z prośbą, aby pilnie obserwować, czy w środowisku dziennikarskim nie kolportuje się takich materiałów, czy nie występują jacy – nazwijmy to w cudzysłowie – pełnomocnicy poprzednich władz SDP, którzy chcieliby utrudnić organizowanie SD PRL. Oczywiście tego rodzaju poczynaniom należy przeciwdziałać. Chcę jeszcze dodać, że na tym spotkaniu 20.III.82, na którym założono nowe stowarzyszenie, dyskusja była autentyczna. To nie było tak, jak niektórzy zwolennicy Bratkowskiego mówią, że przyjechali ludzie, którzy dostali nakaz, aby po prostu wziąć udział w założeniu. Dyskusja była autentyczna, była tam polemika, wygłaszano różne poglądy, no i trzeba powiedzieć, że w trakcie dyskusji aktyw partyjny w pełni zdał egzamin, był bezkompromisowy i ofensywny. W rezultacie przeważał pogląd, że inicjatywa jest słuszna i daje możliwość szerokiej aktywizacji środowiska. Sposób rozwiązania problemu, a także zachowanie się dziennikarskiego aktywu partyjnego tutaj działało wzorowo. Wszystko to może mieć duże znaczenie dla procesu budowania nowej organizacji w podejmowaniu walki politycznej o socjalistyczny charakter innych stowarzyszeń twórczych i zawodowych. Na 95 uczestników tego spotkania 94, czyli wszyscy poza jednym – złożyli deklaracje członków założycieli SD PRL. Przyjęto tam tymczasowy statut organizacyjny, przy czym chcę towarzyszom zwrócić uwagę szczególnie na ten fakt, że w statucie owym wyraźnie powiedziano, że nowe stowarzyszenie uznaje kierowniczą rolę partii. Oczywiście takiego sformułowania w poprzednim statucie, przyjętym na Nadzwyczajnym Zjeździe w 1980 r., kiedy to powołano Bratkowskiego na prezesa, nie było. Nie będę tutaj mówił o tym, jacy dziennikarze weszli w skład nowego zarządu, towarzysze znają te nazwiska, były one także podawane w prasie. Natomiast chciałbym tutaj powiedzieć, że nie mają nic wspólnego z prawdą twierdzenia przeciwników, a także ludzi zbliżonych do poprzednich władz SDP, mianowicie stwierdzenie, że wśród założycieli nowego stowarzyszenia nie ma liczących się dziennikarzy. Jest to po prostu nieprawda. Nie będę tutaj wymieniał wszystkich, którzy wchodzi w skład Komitetu Założycielskiego, a więc tych 94, którzy są do chwili zwołania nowego Zjazdu najwyższą władzą stowarzyszenia. Wszystkich nie sposób tutaj wymienić, ale chciałbym wymienić kilkanaście chociaż nazwisk, żeby zadać kłam tym stwierdzeniom, że nie ma wśród tych ludzi liczących się znanych dziennikarzy. W skład tego komitetu wchodzi np. Ambroziewicz (Jerzy – red.), Erazm Fetke – jeden z najwybitniejszych radiowych dziennikarzy, obecnie szef dziennika telewizyjnego; Olgierd Jędrzejczyk – znany na terenie Krakowa; Alfred Dąbek – naczelny Żołnierza Wolności; Lech Wieluński – poprzedni przewodniczący klubu publicystów kulturalnych SDP; Andrzej

Slisa – postać znana tym, którzy interesowali się prasoznawstwem; Józef Królikowski – dziennikarz, b. znany zarówno w Trójmieście, jak i działacz SDP od wielu lat no i wreszcie jako autor artykułów; Edward Pochroń – znany dziennikarz z Opola i także działacz SDP, no i Klemens Krzyżagórski – niektórzy dziennikarze zachodni w pierwszym odruchu, gdy dowiedzieli się, że powstało SD PRL pisali i powtarzali w audycjach radiostacji zachodnich, że Klemens Krzyżagórski jest to człowiek mało znany. Jest faktem, że jest to dziennikarz, który w sposób niezwykle interesujący redagował kiedyś czasopismo Odra, następnie Kontrasty, który był niejako organem polskiego reportażu, potem był działaczem SDP, przewodniczącym komisji interwencyjnej SDP, naczelnym redaktorem miesięcznika Prasa Polska, która była organem SDP. Jakie są poglądy Krzyżagórskiego, towarzysze mogą się dowiedzieć z dzisiaj opublikowanego wywiadu w Trybunie Ludu i zresztą nie tylko w TL, jak sądzę, bo wywiad robiony jest przez dziennikarza PAP; Bogdan Michalski należy także do Komitetu Założycielskiego, jest to znany prasoznawca, najwybitniejszy w Polsce ekspert od prawa prasowego; Julian Bartosz – b. znany dziennikarz z Wrocławia, dziennikarz niemcoznawca, znany także na forum ogólnopolskim działacz dziennikarski; Bronisław Zapała – dziennikarz znany wśród tych, którzy działali w rozmaitych okresach w SDP, znany w Kielcach, niegdyś naczelnym redaktorem tamtejszego organu KW, obecnie przedstawiciel Gromady – Rolnik Polski, no i reportażysta b. znany i b. dobry – Jerzy Bielecki (!/), Trybuna Ludu; Marian Podkowiński – dziennikarz, również niemcoznawca, autor kilkudziesięciu książek, znany nie tylko w Polsce, ale i na świecie, przewodniczący klubu publicystów międzynarodowych SDP; Zbigniew Łakomski, którego rekomendować nie trzeba. Piotr Ziarnik – dziennikarz ludowy; Henryk Maziejuk – dziennikarz, członek ZSL, autor wielu publikacji poświęconych problemom rolnictwa i wsi, no np. Witold Kulisiewicz – dziennikarz, członek SD, naczelnym redaktorem Tygodnika Demokratycznego; Leonard Wąchalski – kiedyś długoletni prezes SDP w Poznaniu; Barbara Sidorczuk, działaczka SDP w ciągu wielu lat, no chciałoby się wymienić wielu dziennikarzy znajdujących się na tej liście, bo chcę towarzyszom powiedzieć, że jeśli nie wszyscy, to większość z nich są to dziennikarze znani, cenieni w środowisku i jest kłamstwem, to co mówią ludzie zbliżeni do Bratkowskiego, że jest to drugi, trzeci czy czwarty sort polskiego dziennikarstwa. Dlaczego tak mówią i dlaczego nadają tego typu informacje dziennikarzom zachodnim akredytowanym w Polsce? Dlatego, iż uważają, że znani dziennikarze to są tylko ci, którzy zbliżeni są do Bratkowskiego, którzy są przyjaciółmi Bratkowskiego, oni tylko takim ludziom starali się nadawać popularność, popularyzować ich nazwiska, a wszystkich, którzy mają inne poglądy, choćby byli najznakomitszymi ludźmi, o bardzo dobrych piórach, uważają za drugi, trzeci i czwarty nurt dziennikarstwa. Chciałbym jeszcze powiedzieć o innych kłamstwach szerzonych przez Bratkowskiego i jego sztab. Np., że w Trybunie Ludu do założycieli i inicjatorów nowego stowarzyszenia należy kilku dziennikarzy. Tego rodzaju informacje przekazywali niektórzy ludzie korespondentom

zagranicznym, działającym w Warszawie; informacje tego typu ukazywały się na zachodzie, popularyzowane były w Wolnej Europie i innych radiostacjach, że kilku dziennikarzy z TL, a prawdą jest, że kilkudziesięciu dziennikarzy z Trybuny należało do inicjatorów rozwiązania, z którym mieliśmy do czynienia i że parę dni temu w TL powstało koło nowego stowarzyszenia, do którego w pierwszym dniu zapisało się 66 dziennikarzy, a był to dopiero pierwszy dzień. No i wreszcie kłamstwo Bratkowskiego, z którym on wyszedł do dziennikarzy zagranicznych w czasie konferencji prasowej, którą zorganizował na ulicy Foksal przed lokalem rozwiązanego SDP i powiedział tam, że w czasie weryfikacji kadry dziennikarskiej straciło pracę 2000 dziennikarzy. Jest to kolejne kłamstwo Stefana Bratkowskiego. Oczywiście, że staraliśmy się wraz z towarzyszami sekretarzami, aby ta weryfikacja przeprowadzona była solidnie, rzetelnie, aby nie krzywdzić ludzi, ale także, aby była ona przeprowadzona w sposób pryncypialny. Jakie są dotychczasowe wyniki tej weryfikacji? Otóż w RSWPrasa podjęto w sumie 426 decyzji kadrowych; w 175 decyzjach, to przesunięcie międzyredakcyjne, tzn., że dany dziennikarz nie powinien pracować w danej redakcji RSW, w której pracował dotychczas, ale może pracować w innej redakcji RSW; 38 w ramach tych 426 – decyzji przechodzi na emeryturę i rentę, no 112 przenosi się poza RSW, czyli mogą pracować w zawodzie, ale nie w ramach naszego partyjnego wydawnictwa no i wreszcie są wskazania, że 103 prowadziło tego rodzaju działalność w okresie ostatnich kilkunastu miesięcy i obecnie wykazuje tego rodzaju postawę, że tych 103 nie powinno pracować w zawodzie dziennikarza. W Komitecie d/s RTV w skali całego kraju podjęto 227 decyzji kadrowych, nie mówię tutaj o obsłudze technicznej, więc jakby nie liczyć i podsumowywać, to do 2000 wymienionych przez Bratkowskiego jest bardzo daleko. Przy czym zwraca on jeszcze uwagę, że te 2000 to dopiero początek. W każdym razie warto wiedzieć, że z tego rodzaju kłamstwami Bratkowskiego i jego przyjaciół mamy do czynienia, i że warto te kłamstwa, towarzysze, w środowisku dziennikarskim i poza środowiskiem dementować. Stoją przed nami związane z tworzeniem nowego SD PRL/zadania/. Podejmowane są próby zastraszania dziennikarzy. Mówi się im, że nie powinni popierać nowego SD, bo sytuacja się zmieni i wygrają ci, którzy popierają Bratkowskiego, a przegrają ci, którzy popierają nowe stowarzyszenie. Ta metoda nie jest nowa. Zadaniem naszym jest udzielenie zdecydowanego poparcia SD PRL. Trzeba szybko tworzyć oddziały w województwach i szybko przyjmować nowych członków. Nie wolno czekać, nie wolno dać czasu grupie Bratkowskiego na torpedowanie poczynąń władz.

Odbłyło się w sobotę zebranie władz nowego stowarzyszenia i ich spotkanie z pełnomocnikami z województw, którzy mają organizować nowe stowarzyszenie w terenie. Towarzyszy sekretarzy prosimy o okazanie tym pełnomocnikom i przedstawicielom władz nowego stowarzyszenia, którzy także pojadą w teren, o okazanie pomocy, oczywiście, dyskretnej, by nie dostarczać przeciwnikom argumentów. Działać trzeba w znacznej mierze przy pomocy partyjnej w redakcjach. Ja może podam tutaj nazwi-

ska wyznaczonych przez nowe władze SD – pełnomocników, którzy organizować będą oddziały stowarzyszenia w województwach.

Szczecin – Kiman, Koszalin tow. Kiełb, Gdańsk – tow. Józef Królikowski, Białystok – Jastrzębski, Lublin – Kwaśniewski, Wójcikowski, Kielce – Zapala, Kraków – Jędrzejczyk, Wrocław – Bartosz, Katowice – Wasilewski, Rzeszów – Ambroziewicz i Szymczyk, Opole – Pochroń. Raz jeszcze towarzysze serdecznie proszę o okazanie tym pełnomocnikom pomocy. Jeszcze chcę – dla informacji – powiedzieć, że w sobotę powołano na przewodniczącego komisji kwalifikacyjnej nowego SD – Lecha Wieluńskiego, który był poprzednio przewodniczącym klubu publicystów kulturalnych. Zadaniem komisji kwalifikacyjnej, jak łatwo się domyślić, będzie dbanie o to, aby wśród członków nowego stowarzyszenia byli dziennikarze stojący na gruncie politycznym tego stowarzyszenia, żeby nie znaleźli się w szeregach ludzie, którzy chcieliby odgrywać rolę konia trojańskiego. Wiceprzewodniczącym tej komisji jest Aleksander Roliński, dziennikarz ze ściślejszej czołówki polskiego dziennikarstwa, znany reportażysta. Przewodniczącym komisji socjalnej został towarzysz Frey, który wchodził w skład Zw. Zaw. Dziennikarzy, a wiceprzewodniczącym jest tow. Kołaciński. W komisji socjalnej przewidziano 17 miejsc dla przedstawicieli województw. Wydaje mi się, że jest to bardzo istotna informacja i prosiłbym towarzyszy sekretarzy o przekazanie jej w środowisku dziennikarskim, bo są pewne uwagi krytyczne związane ze składem nowych władz, mianowicie mówi się gdzieś-niegdzie, że za dużo jest w Zarządzie Głównym nowego SD przedstawicieli Warszawy a za mało przedstawicieli województw. Ja chcę tutaj zwrócić uwagę, że pewne propozycje są następstwem tego faktu, że w Warszawie pracuje ogromna większość środowiska dziennikarzy polskich. Więc oni chcą mieć swoją reprezentację we władzach. Jednakże sądzimy tutaj, w Wydziale Prasy, że jednak trzeba będzie doprowadzić do tego, żeby we władzach nowego stowarzyszenia była właściwa reprezentacja dziennikarzy z województw i teraz już będą podejmowane pewne kroki, nowy statut przewiduje możliwość rozszerzenia składu Komitetu Założycielskiego i sądzę, że ta możliwość i różne inne możliwości będą wykorzystywane, aby zagwarantować towarzyszom z województw właściwą reprezentację we władzach. Na tym kończę, dziękuję bardzo.

Tow. Stefan Olszewski: Chciałbym zwrócić uwagę na to, że są już pierwsze sygnały o uznawaniu SD PRL przez organizacje dziennikarskie bratnich krajów socjalistycznych. Z pewnością tutaj te związki będą ściśle zbudowane i rozwijane. Wspomniano o kwestii dokumentów nowego stowarzyszenia. Wygląda to tak, że dokumenty są opracowane i pełnomocnicy egzemplarze statutu mają. I jest prośba o pomoc w ich powieleniu i rozmnożeniu. Bardzo byśmy prosili po kilku dniach o informacje do wydziału organizacyjnego w sprawach związanych ze sprawami nowego stowarzyszenia. Już na marginesie – poza tą sprawą – zwracam uwagę dzisiaj na krótki felieton w Trybunie Ludu, mianowicie „Prawdziwa twarz doktora N”, jest to felieton o nowym szefie sekcji polskiej radia Wolna Europa. Jest to dość interesująca sprawa z uwagi na to, że w tak

otwarty sposób Centralna Agencja Wydawnicza owego agenta przeforsowała na dość wysokie stanowisko w nomenklaturze amerykańskiej. Z tą sprawą Najdera (Zdzisław – red.) będziemy jeszcze nie raz mieli do czynienia, gdyż jest to i nazwisko i problem, który powinien być w centrum naszej uwagi.

Dziękuję bardzo. Zamykam telekonferencję.

Do Członków Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, jeśli zamierzają pozostać nimi nadal, obowiązuje Dziennikarski Kodeks Obyczajowy i prawomocne uchwały Nadzwyczajnego Zjazdu SDP z r. 1980. Zobowiązaliśmy się dbać o wiarygodność dziennikarstwa polskiego w każdych warunkach. Nie z wrogości wobec kogokolwiek, lecz w imię interesu społeczeństwa. Jeśli myślisz tak samo, proponujemy Ci stosowanie poniższych Zasad Postępowania i Zaleceń Koleżeńskich.

Zasady Postępowania Dziennikarza na Czas Stanu Wojennego

1. Jeśli możesz jakąś działalność dziennikarską uprawiać w sposób, w jaki byś ją uprawiał przed wprowadzeniem stanu wojennego, rób to bez wyrzutów sumienia; Twój czytelnicy, słuchacze i widzowie są z Tobą.
2. Jeśli nie możesz swojej działalności dziennikarskiej uprawiać w sposób, w jaki byś ją uprawiał przed wprowadzeniem stanu wojennego, ale musisz żyć z dziennikarstwa, to dopóki nie zmuszają Cię do chwalenia stanu wojennego lub udawania i wmawiania odbiorcom, że wszystko jest w porządku, nikt nie będzie miał do Ciebie pretensji; Twój czytelnicy, słuchacze i widzowie zrozumieją Cię.
3. Jeśli chwalisz stan wojenny i starasz się uzyskać dla niego społeczną akceptację, jeśli atakujesz niemogących się bronić, jeśli podajesz informacje fałszywe lub tendencyjne dobrane, jeśli świadomie robisz cokolwiek, co osłabia ducha solidarności Polaków bądź pewny, że w oczach Twoich czytelników, słuchaczy i widzów tracisz twarz i dobre imię. Co gorsza, narażasz na szkodę dobre imię kolegów i całego zawodu. Nie dziw się, jeśli przyjdzie Ci kiedyś ponieść tego konsekwencje.

Zalecenia Koleżeńskie władz SDP:

1. Podpisuj wszystko, co zrobiłeś. Żadnych anonimów ani pseudonimów czy inicjałów, których czytelnik, słuchacz bądź widz nie zna od dawna. Teksty nie podpisane, opatrzone pseudonimami lub inicjałami nie do rozszyfrowania niech same przez się zdradzają swą nieuczciwość.
2. Jeśli zająłeś w gazecie, na antenie lub ekranie miejsce po kimś, kto go zajmować w obecnej sytuacji nie chce lub nie może, musisz podwójnie strzec się podejrzenia o dwuznaczność. Wymagania punktu 2 Zasad uzupełnij wymaganiami koleżeńskimi lojalności.
3. Staraj się nie występować razem ani w roli współautora z ludźmi, którzy naruszają punkt 3 Zasad. Pamiętaj: ich zła sława się udziela.

4. Jeśli wiadomo Ci, że ludzie innych zawodów, naukowcy, pisarze, aktorzy, artyści, odmawiają współpracy z jakąś instytucją masowego przekazu, nie próbuj wpływać na zmianę ich stanowiska. Jeśli nie możesz poprzeć ich sprzeciwu, uszanuj cudzą szansę odmowy współpracy z instytucjami, które straciły wiarygodność.
5. Jeśli dobrze zarabiasz, uczestniczysz w akcji pomocy na rzecz kolegów pozbawionych pracy przez stan wojenny lub znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej. I pamiętaj, że liczą się nie tylko pieniądze. Także-pamięć.
6. Wybierz jakąś gazetę, program radiowy lub telewizyjny /poza swoim miejscem pracy/ i prowadź systematyczną dokumentację przestrzegania w nich DKO i Zasad. Kopię dokumentacji przekaz komuś, do kogo masz zaufanie.
7. Wstąpienie w szeregi jakieś organizacji /np. SDPRL/, przynależność do której nie licuje z naszą wiarygodnością zawodową, lub przyjęcie pracy w gazecie, programie radiowym bądź w telewizyjnym, uznanym powszechnie przez opinię publiczną za niewiarygodny, usprawiedliwić może tylko przymusowa sytuacja życiowa. Jeśli więc działasz pod jej przymusem, sformułuj odpowiednie pisemne oświadczenie, potwierdzone podpisami dwóch świadków i zdeponuj u osoby uważanej za człowieka o nieposzlakowanej uczciwości, albo w obecności takiej osoby i dwóch świadków złóż odpowiednie ustne oświadczenie. Ochroni to w przyszłości Twoją pozycję koleżeńską w naszym środowisku zawodowym.

*Powyższe dokumenty odnalazła w papierach po ojcu, dziennikarzu i pisarzu
Krzysztofie Boruniu, jego córka Katarzyna Boruń – Jagodzińska.*

Okiem Aborygena, czyli „tego, kto był tu od początku” (30 i więcej lat SPP)

Wybłąkły maszynopis formatu A4, w lewym górnym rogu moje imię i nazwisko, niżej, pośrodku, tytuł O znaczeniach łańciskowego słowa „liber”. „Cóż takiego powoduje pisarzami, że od prawników ci ostro rywalizujący ze sobą egocentrycy, skazani na osobność, indywidualizm i osobiste poczucie misji wobec – rzecz jasna – całej ludzkości, chętnie skrzykują się w konwentykle, grupy czy zawodowe gildie? Najwcześniej pojawia się instytucja salonu literackiego, znana już kulturze i obyczajowości antycznej, a jak żartował August Wilkoński, wymyślona w Chinach na trzy tysiące czterysta dwadzieścia jeden lat przed narodzeniem Chrystusa w ówczesnym mieście stołecznym Kinikoj przez «nadobną i piękną przyjaciółkę gwardii Państwa Niebieskiego, jasnobrewą Mou-Mik-Fou-Pfy». Obok salonów pojawiły się wnet grupy literackie, początkowo związane z kręgami mistrzów, ze szkołami retoryki, poetyki i filozofii sztuki. Pogranicze średniowiecza i renesansu zna już literackie gildie i cechy, czyli skupiska pisarzy zawodowe, ale i jednak ideowe, czyli przypominające grupy artystyczne. Jeszcze w baroku natykamy się na konwentykle o strukturze średniowiecznej, takie jak przywołane przez Güntera Grassa w powieści Spotkanie w Telgte autentyczne Towarzystwo Owocodajne, Zakon Kwiatowy, Pegnezyjczy Pasterze czy Szczere Towarzystwo Jodłowe. Wiek dziewiętnasty i także, mimo wszystko, dwudziesty – nie są czasami zmierzchu prastarych tradycji literackich konwentykli, które wydają się silniejsze od ruchu odśrodkowego i atrofii z kilku powodów: zawodowych, społecznych, sytuacyjnych, artystycznych, ideowych i psychologicznych. W każdym razie nadal żywotne są – choć czasami odmienione – tak instytucje salonu literackiego, grupy literackiej, jak gildii czy cechu zawodowego pisarzy. Co powoduje artystami pióra, że wbrew naturze egotycznego zawodu wciąż się zrzeszają?

Według mnie głębszą przyczyną tego zjawiska jest trudna do zniesienia, czasami przerażająca samotność, nieodstępna naszej pisarskiej profesji i powołaniu. Tuż obok, lecz jednak na drugim miejscu, wymieniłbym tak specyficzne problemy, jak wymogi warsztatu, szczególne wyrzeczenia, codzienne niedogodności, a nawet klęski życiowe, które wywołuje i których nieustępliwie wymaga dobre wykonywanie zawodu pisarza. Wszystkie te obce większości innych zawodów surowe reguły budzą potrzebę samopomocy, budują więź opartą na wzajemnym zrozumieniu i koleżeńskej empatii. To na pohybel przypisanej do zawodu samotności zawiązujemy wspólnoty przeżywania, czyli salony literackie, wspólnoty tworzenia, czyli grupy artystyczne, i wspólnoty zawodowe, czyli gildie, cechy, związki i stowarzyszenia artystów pióra. Zresztą z tego też powodu, w związku z nieodłączną naszej profesji samotnością tworzenia, z życiem i pisanem na własne ryzyko – nasze literackie wspólnoty są specyficznie niedojrza-

te, pozornie kruche. Wstrząsają nimi dezercje liderów albo poszczególnych uczestników, którzy co jakiś czas owładnięci zostają uczuciem pogardy czy, delikatnie mówiąc, dystansu do wszelkich form i różnych postaci istnienia i trwania zbiorowego, gromadnego, społecznego.

Literackie wspólnoty przeżywania, wspólnoty tworzenia i wspólnoty zawodowe – nawet te ostatnie – niewiele się w gruncie rzeczy zmieniły i jak zawsze autor poszukuje czytelników, artysta bratnich dusz, a literat wyklóca się o swoje z wydawcą i redaktorem. Wiek dziewiętnasty i szczególnie nasz wiek dwudziesty wyostrzyły przede wszystkim problem filozoficzny i moralny misji pisarza nie tylko w Europie Środkowej i Wschodniej, gdzie śmiertelnie zagrożona była wolność słowa, swoboda wypowiedzi, a nawet dziedzictwo narodowego języka. Można chyba twierdzić, że naród pisarzy jest nadal najważniejszą częścią republiki «ludzi książkowych» (jak nazywa ich Adam Ważyk), ale też twierdząc tak, trzeba przypomnieć – i wciąż przypominać – stare, zacne znaczenia słowa liber. Karl Dedecius, urodzony w Łodzi wielki niemiecki przyjaciel literatury polskiej, pisze: «Po łacinie liber z krótkim i oznacza książkę, z długim i człowieka wolnego. Tak więc książki służą wolności, wolni ludzie zaś lubią książki. Pień słowa liber tworzy całą rodzinę czcigodnych słów, jak libertas – niezależność, otwartość; liberalitas – hojność ducha; liberatio – oswobodzenie».

Słowa te trafnie konstytuują republikę «ludzi książkowych», czyli pisarzy, wydawców, bibliotekarzy, czytelników, zamieszkujących naszą trudną współczesność. Urodzony w 1921 roku Dedecius jest równolatkami założonego przez Władysława Stanisława Reymonta w Poznaniu 8 maja 1921 roku Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich, stowarzyszenia powołanego rok wcześniej w Warszawie jako zawodowy cech pisarzy pod prezesurą Stefana Żeromskiego. Daje mi to nieco metaforyczny pochoch do twierdzenia, że podobne rozumienie wszelkich zacnych odcieni słowa liber było bardzo bliskie członkom ZZLP. A dziś członkom Stowarzyszenia Pisarzy Polskich”.

Mówiłem tak z tej kartki 8 maja 1996, w siedemdziesiątą piątą rocznicę utworzenia w Poznaniu Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich pod prezesurą Reymonta; tego dnia w południe współotwierałem w Bibliotece Raczyńskich wystawę Poznań literacki 1921-1996. „Działalność ZZLP przerwała druga wojna światowa, lecz zaraz po niej środowisko literackie za zgodą sowieckich komisarzy wojskowych przystąpiło do organizowania się w Związek Literatów Polskich. Stowarzyszenie nie całkiem kryształowe, ale przecież w miarę solennie przestrzegające niepisanego ethosu i wyposażone w ową szczyptę pluralizmu i tolerancji, która jest niezbędną dla ludzi różniących się talentami, poglądami i temperamentami, którzy mimo to pragną jednak od czasu do czasu bywać razem. Niestety, w 1983 roku Związek Literatów Polskich został rozwiązany po uprzednim zawieszeniu na mocy dekretu o stanie wojennym, w tymże też roku z inicjatywy literatów – członków partii komunistycznej i dawnego ZLP – powstał neo-ZLP, do którego nie wstąpiła lwia część środowiska na czele z właściwie wszytki-

mi liczącymi się osobistościami polskiej literatury. Niezrzeszeni działali w podziemiu, w roku 1989 zarejestrowali się jako Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Wkrótce nadeszła niepodległość, wolność i demokracja, a z nią pluralizm; dziś w Polsce działa bodaj pięć czy sześć stowarzyszeń literackich, nie licząc pomniejszych. (...)

Historia i współczesność literatury to przestrzeń rywalizacji, pola sporu o wartości i o artystyczne idee. Zawodowa wspólnota pisarzy musi bardziej demokratycznie traktować swoich udziałowców niż może się to dzieć we wspólnocie tworzenia, a nawet we wspólnocie przeżywania. Mimo wewnętrznej i zewnętrznej demokracji – pluralizm postaw, jak też wyborów poszczególnych stowarzyszeń literatów, przynosi różnice. Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich najbliższą do idei światowego PEN Clubu. Międzynarodowa Karta PEN składa się z czterech punktów. Mowa w niej o misji literatury, która «jakkolwiek narodowa w swej genezie, nie zna granic i winna pozostać elementem stałej wymiany między narodami bez względu na polityczne czy też międzynarodowe zaburzenia». O tym, że «we wszelkich okolicznościach, a szczególnie podczas wojny, dziełom sztuki – spuściźnie całej ludzkości – nie powinny zagrażać namiętności narodowe czy polityczne». O tym, że pisarze «zobowiązują się czynić wszystko, co jest w ich mocy, ażeby rozpraszać nienawiści rasowe, klasowe i narodowe i bronić ideału jednej ludzkości żyjącej w pokoju na jednym świecie». Wreszcie o tym, że obowiązkiem pisarzy jest «występować przeciwko każdej formie tłumienia wolności słowa w kraju i w społeczności, do której należą». Dawniej bywało z tym różnie i pewnie różnie będzie wyglądało to w przyszłości, ale w drugiej połowie dwudziestego wieku nie tylko w Europie Środkowej i Wschodniej autentycznym pisarzem można było być dopiero wówczas, gdy słowo *liber* znów znaczyło to wszystko, co powinno było znaczyć.

W trzydziestolecie rejestracji SPP, przed przyszłorocznym stuleciem ZZLP przeglądam swoje archiwum, szeleszczę rękopisami, maszynopisami, oryginałami i kopiami dokumentów, wertuję książki, notatki, korespondencje, sprawozdania, protokoły, relacje, wycinki prasowe i co chwila trafiam na zapis, czasami zapomniany, od którego trudno się oderwać. Rzeczy niepublikowane albo niskonakładowe, efemeryczne, półprywatne, rozproszone, archiwalia do oficjalnej i sekretnej historii SPP „przed” i „po” roku 1989. Czuję się wśród nich Aborygenem, „tym, kto był tu od początku”, chociaż nie potrafię powiedzieć, czy pierwsi nie przyszli mi na myśl aborygeńskie pieśni drogi i malarstwo kropkowe. Jubileusz daje okazję do spisania oficjalnej biografii jubilatą, a jeszcze lepszą, bo usprawiedliwioną sposobność do opatowania jego biografią sekretną. Skoro jednak tego nie czynię, przynajmniej w tej chwili – mogę, a może nawet powinienem oddać smak całości, sprawy, fenomenowi za pomocą charakterystycznych epizodów, punktów zwrotnych. Najsmakowitsze archiwalne zapiski, przytaczane *in extenso*, by nie zagubić klimatu, stylu czy ducha – niekoniecznie antologia, „zbiór kwiatów” – powinny ułożyć się w punktualistyczną, ziarnistą opowieść, spoza której jak znak wyłoni się kontur i ciało obrazu. Chwył, fundujący styl i poetykę malarstwa krop-

kowego Aborygenów. Ich pieśni drogi wiodą idącego truchtem wędrowca od punktu w terenie do punktu – drzewa, kamienia, źródła, góry, zakrętu – i prowadzą do celu.

12 czerwca 1981 (reminiscencja): Miłosz w Lublinie łapie się za głowę i powołuje na swój brzuch

„W piątek dwunastego czerwca 1981, nazajutrz po uroczystości nadania Czesławowi Miłoszowi doktoratu honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, o jedenastej piętnaście, z kwadransem akademickim, na dziedzińcu uczelni rozpoczyna się spotkanie noblisty z «Solidarnością». Sprawozdawca dodatku nadzwyczajnego «KUL-iera», zeszytu Niezależnego Zrzeszenia Studentów KUL, Zygmunt Kęszycki podaje, że Miłosza i Lecha Wałęsę przywitało około trzy tysiące ludzi «od niemowlaków po osiemdziesięciolatki, robotnicy i profesorowie uniwersytetów, jednym słowem cała piramida społeczna Polski».

Nie wybrałem się do Lublina, toteż jestem ciekaw relacji przyjaciół, lecz gdy słucham już taśmy magnetofonowej z zapisem spotkania – nie dowierzam własnym uszom. Najpierw Jan Bartczak, przewodniczący «Solidarności» Regionu Środkowo-Wschodniego mówi na podium do mikrofonu: «Każdy robotnik jego [Miłosza] pisma i wiersze nosi za pazuchą, czyta je po cichu do poduszki, rozważa je rano, tak jak wielu z nas rozważa Pismo Święte czy wiele innych książek». Po nim Wałęsa bez zająknięcia: «Tu tylko chciałem zwrócić uwagę na to, że pan Czesław Miłosz był rzeczywiście wcześniej niż ja, wcześniej niż nasz ruch, rzeczywiście braliśmy wzorce z tego co pisał, rzeczywiście dwa razy siedziałem za to, co pan pisał». W tym momencie, jak prawią świadkowie, słysząc to poeta łapie się obiema rękami za głowę, a dopuszczony do głosu powołuje na swój brzuch: «Lech Wałęsa mówił o roli mojej poezji. Ja osobiście uważam się za człowieka, który jest zobowiązany Lechowi Wałęsie i robotnikom polskim. Mój wkład jest niczym w porównaniu z ich wkładem. Jeżeli jestem tutaj na tej trybunie i uważają, że w jakimś stopniu przyczyniłem się do tego co się w Polsce stało, to chyba tylko dlatego, że sam mój brzuch odmawiał przyjęcia słów fałszowanych, że starałem się przywracać słowom ich prawdziwe znaczenie».

Naiwna wiara we wszechobecność i masową popularność zakazanego do niedawna w kraju, od kilkudziesięciu lat nie wydawanego oficjalnie, skądinąd trudnego poety, mieszkającego i tworzącego w Ameryce, i szczery entuzjazm trzech tysięcy słuchaczy, wśród nich – ramię w ramię z robotnikami – intelektualistów, pisarzy, profesorów, rektorów, dziekanów, księży, zakonnic, studentów, nawet na chwilę nie zostają zmagcone. Może za przyczyną wydarzenia z początku spotkania, którego nie zdołało już przyćmić ani łapanie się Miłosza za głowę, ani powoływanie się noblisty na brzuch, obiektywnie wyřeczający go z mąk subiektywnych decyzji semantycznych i wyborów aksjologicznych? Scena z profesorem Jerzym Kłoczowskim na podium będzie odtąd nosiła tytuł Lech Miłosz Czesław Wałęsa, a podtytuł – pióra Kęszyckiego – Dwa gry-

by w barszczu: «Proszę państwa, proszę drogich i szanownych zebranych. Otwieram w imieniu Wszechnicy Związkowej Regionu Środkowo-Wschodniego 'Solidarności' uroczyste spotkanie 'Solidarności' i Wszechnicy z panem Czesławem Miłoszem. (owacja) Witam serdecznie wszystkich przybyłych, reprezentowane są tutaj MKZ-ety związkowe z całej Polski. Witam w szczególności bardzo serdecznie tak drogą nam osobę, jak pan Czesław Wałęsa, przewodniczący Krajowej... (śmiech, brawa, gwar, okrzyki 'Lech Miłosz Czesław Wałęsa'). Lech Wałęsa... Niestety... Ja z przejęcia... Pomyłka imion jest bardzo symboliczna... Właśnie w tej chwili panowie wymienili uścisk dłoni dla podkreślenia jedności, która ich łączy! (brawa)»" (Sceny z życia codziennego artystów1).

13 grudnia 1981 – 19 sierpnia 1983: rozwiązanie ZLP

„Związek Literatów Polskich został zawieszony 18 grudnia 1981 r., a w Poznaniu Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego wyznaczył dwoje urzędników, którzy niebawem opieczętowali wszystkie szafy i szuflady w naszej siedzibie przy ul. Noskowskiego. Potem dano nam na stałe komisarza (...). Rychło dowiedzieliśmy się o internowaniu czterech kolegów z Koła Młodych: Jana Krzysztofa Adamkiewicza (obecnie nie żyjącego), Lecha Dymarskiego (członka Komisji Krajowej NSZZ «Solidarność»), Mariana Dźwinela i Piotra Czartołomnego (zamieszkałego dziś w USA). Wszczęliśmy starania o ich uwolnienie. Kilkakrotnie interweniowałem na ul. Kochanowskiego u Komentanta SB, składając poręczenie za uwięzionych, przy czym – co trzeba podkreślić – (...) pan komisarz podpisywał pisma w powyższej sprawie razem ze mną. Byłem też w kontakcie z rodzinami internowanych. Wysłałem pismo do Prymasa ks. Józefa Glempa" (Egon Naganowski, Sprawozdanie z działalności Zarządu Poznańskiego Oddziału ZLP w roku 1981, maszynopis).

„W przeszłość odeszło nagle wiele z tego, co pisarze w Poznaniu zdołali zbudować w ciągu kilkunastu zaledwie gorących miesięcy. I zanim spustoszone pola znów się zazieleniły, może i nawet intensywniej – straty były i na długo pozostaną znaczne. Przerwana została działalność poznańskiego Dyskusyjnego Klubu Literackiego, który świetnie prowadzili Ewa Najwer, Edward Balcerzan, Stanisław Barańczak i Józef Ratajczak. Klub działał dynamicznie, organizował wiele spotkań autorskich i odczytów, które przyciągały spore rzesze słuchaczy i dyskutantów do nagle ciasnej salki przy ul. Noskowskiego. Skończyły się Czwartki Literackie, nareszcie odzyskane dla wszystkich pisarzy. Nie było innych spotkań. Zapanowała cisza. A przecież w ciągu tych kilkunastu minionych miesięcy, licząc od Sierpnia '80, do Poznania przyjeżdżali Jerzy Andrzejewski, Miron Białoszewski, Urszula Koziół, Wiktor Weintraub, Tomasz Burek, Jacek Łukasiewicz, Marek Nowakowski, Jan Józef Szczepański, Ewa Lipska, Leszek Prorok, Jaroslav Simonides, Raymond Federman i wielu innych znanych autorów. Nie miał się też ukazać ani jeden numer znakomicie zapowiadającego się pisma eseistycznego o zasięgu ogólnopolskim, zatytułowanego «Wers». Nie można było kontynuować wielu inicja-

tyw Komitetu Porozumiewawczego Środowisk Twórczych, tych choćby, które poznańskie środowiska artystyczne zgłosiły jeszcze na spotkaniu 2 grudnia 1981. Heroiczne, jeśli nie niemożliwe do realizacji, okazały się też po 13 grudnia '81 uchwały i rezolucje Ogólnopolskiego Zjazdu Kół Młodych Pisarzy, który po dwunastu latach urzędowych sprzeciwów odbył się 28 listopada '81 w Poznaniu i postulował budowę jak najrozleglejszego kontaktu z literaturą emigracyjną w imię jedności kultury polskiej, postulował pluralizm estetyczny i filozoficzny w sztuce, wskazywał skostniałe struktury instytucjonalne i absurdy dotychczasowej tak zwanej polityki kulturalnej. Nie było też już łatwo organizować spotkań autorskich w zakładach pracy, trzeba było przenosić je do mieszkań prywatnych, kościołów i salek katechetycznych, a i to z narażeniem się na zarzut odbywania zakazanych zgromadzeń czy też prowadzenia działalności konspiracyjnej lubo regularnych szkoleń przyszłych dynamitardów" (Kilka niezbędnych faktów, maszynopis).

1980, 1983: dwa statuty

„Związek Literatów Polskich jest organizacją pisarzy, która stoi na gruncie zasad ustrojowych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. (...) III §13. Członkami zwyczajnymi Związku mogą być pisarze i tłumacze literatury pięknej, obywatele polscy" (Statut Związku Literatów Polskich, Warszawa, styczeń 1981).

„Związek Literatów Polskich jest organizacją pisarzy, uznających konstytucyjne zasady socjalistycznego ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. (...) III §12. Członkami Związku mogą być mający polskie obywatelstwo prozaicy, poeci, dramatopisarze i eseści. (...) III §17. Podstawą przyjęcia do Związku mogą być tylko utwory opublikowane legalnie w kraju. (...) III §20. Członek Związku ulega skreśleniu z listy członków przez Zarząd Główny: (...) d) na skutek współpracy z krajowym lub zagranicznym ośrodkiem działalności sprzecznej z interesami PRL" (Statut Związku Literatów Polskich, Warszawa, październik 1983).

1982: Orbis Vestitus. Z Księgi Odzieży

„Przedpołudnie wtorkowe spędziłam w naszym lokalu, buszując w gąszczu rzeczy, które zacni dominikanie przekazali nam z transportu od Francuzów. Po telefonie Egona [Naganowskiego] byłam przekonana, że mam przyjść i pomóc w rozpakowaniu kartonów, ale gdy przyszłam, tłum literatów już w nich bobrował, wyławiając, co się komu upatrzyło. Na uboczu bezradny Andrzej Zeyland, któremu trzeba pomóc. Obok smułka, wysoka Krystyna Krynicka – takiej to we wszystkim pięknie. Leszek K.[onopiński], tekściarz, satyryk, jeden z najlepiej zarabiających, który jęczy przede mną, że widmo nędzy już zagląda mu w oczy. Łucja Danielewska taka radosna, że mówię jej na powitanie: – Wygląda pani jakby wprost z Arkadii. (A taki właśnie tytuł ma jej wiersz drukowany minionej niedzieli w «Gazecie Poznańskiej»). Porównanie kłujące, ale pani Łucja

jakby nigdy nic proponuje mi pójście na herbatę. Dziękuję, bo jakże pójść do kawiarni z tobołem ciuchów? Francuzki wyprzątnęły z szaf ubiory z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych lub zgoła wcześniejszych, na które patrzy się niemal z rozrzewnieniem jak na muzealne eksponaty. No, to przebieramy się za Europejczyków – powiedziałam sobie i też ruszyłam na połów. Odkładałam wybrane rzeczy na stosik za siebie, ale kiedy się obejrzałam – już ich nie było. Widocznie też się komuś podobały. Trzeba było, jak inni, wrzucać od razu do torby albo kartonu. Więc ruszyłam do zabawy jeszcze raz, wyciągając na widok ciekawe okazy – ochraniacz na spodnie do konnej jazdy, połamany kanotierek, parę hokejowych rękawic lub sukieneczkę z marszczoną żółtej organdy, która pasowałaby na chudą szprotkę. Czułam się przy tym jak właścicielka second handu, która reklamuje, doradza i pomaga przymierzyć perły swojej kolekcji. Aż się w końcu znudziłam. Przyniosłam do domu jasny prochowiec, zupełnie nową bawełnianą piżamę i kamizelkę z popielatego moheru, żeby ją spruć i przerobić na coś oryginalnego. Nasi panowie byli bardzo zadowoleni, bo mieli dla siebie duży kopiec ubrań, kurtek i płaszczy. Dobierali z nich i dzielili według gustu i figury. Więc na przykład marynarka od brązowego garnituru dostała się niedużemu Korczakowi, ale spodnie, na niego za długie, pasowały na Balcerzana. Odtąd spotykając się, odziani w nie panowie komplementowali wzajemnie swoją elegancję” (Ewa Najwer, Krajobraz po szoku. Wspomnienia (nie)kontrolowane 1981-1982, 2017).

„W salonach Związku Literatów odsunięto pod ściany stoliki, przy których kiedyś obradowaliśmy i na środek parkietu zwalono dziesiątki pudeł z używanymi rzeczami, które przysyłano z Zachodu. Segregowaliśmy je przez wiele godzin w chłodzie (kaloryfery nie działały) na kilka hałd: ubrania męskie, dla dzieci i dla kobiet. W środku stos butów. Wełna wydzielala woń środków antymolowych, a wszystko razem całą gamę zapachową ostrych proszków detergentowych. Większość rzeczy była bardziej zniszczona niż te, które jeszcze parę lat temu wyrzucałam. Wiele ubrań dla dzieci pedantycznie pocerowanych. Nasze dobrze się zapowiadające poetki, zwłaszcza te najmłodsze, które w życiu niczego nie pocerowały, z niedowierzaniem oglądały duże cery na śpioszkach, łaty na kolanach spodenek, podawały je sobie, jak rzeczy kuriozalne, oglądały pod światło fachowe, prędkie ścięgi. Sensację budził fakt, że niemieckie czy francuskie matki te zniszczone fatalaszki starannie wyprały, wyprasowały i zaniosły do punktu zbiorczego, wierząc, że się nam przydadzą. Miały rację.

Z perłowych ścian patrzyły na ten stos znoszonych rzeczy portrety Reymonta, autoportret Witkacego i kilka jego pastelowych, «metafizycznych» dam. Dźwigając stale nowe, czekające na rozpakowanie pudła, raz po raz spoglądałam w oczy ironicznie uśmiechniętemu «gówniarzowi z Krupowej Równi», nawet on by tego nie wymyślił. Cóż bowiem znaczyło jego chińskie wojsko, traktujące zachodnią Europę, wobec poety o sławie europejskiej, który z błyskiem nadziei w oku szamotał się między szybami wykuszu, próbując wcisnąć na siebie czyjeś stare, za ciasne spodnie: – Cholera! Cze-

mu oni wszyscy są jednakowi, jak wysocy to szczapy, jak kurduple to pękaci! Znajdzie mi ktoś wreszcie jakieś niekompromitujące portki? Ostatnie spadają mi z dupy!

Przez kilka minut wszyscy przerzucaliśmy dla niego barwne kupy, dostał jedenaście par. Z naręczem, jak z rzadkim łupem, poszedł je przymierzać do ustępu. Znowu otwieraliśmy pudła, aż tłumacz Biblii nie poprosił: – A skarpety? Czy widział kto skarpety? – Tego nie rusz! – wrzasnęła pisarka dla dzieci, z zawodu pediatra, wydzierając znawcy hebrajskiego wełniane skarpety. – Zostaw, są granice. Możesz złapać grzyba, albo jakieś inne świństwo. – Ale... oddaj – prosił. – Oni są czyści, cztery razy dziennie biorą prysznic, sam widziałem.

Edek upychał w worek rzeczy dla niemowlaków. W jego instytucie było parę młodych matek, zupełnie bezradnych wobec pustek w sklepach. Początkujący krytyk literacki J. zgubił własny sweter. – Tu go położyłem – rozpacział. – O tu, na parapecie. Ktoś mi świsnął. To był mój sweter, nie z darów. Przywiozłem go z Włoch. – Biegał po pokojach. Jeżeli sweter wpadł do zwałów zalegających podłogi, to może go nigdy nie odzyskać. Prezes musiał zarządzić: – Przerywamy. Wszyscy szukamy w swoich workach swetra kolegi J. Jaki miał kolor? Szukamy czerwonego swetra!

Początkowo chodziłam po obrzeżach tłumu pochylonego w zupełnym zapamiętaniu nad stertami rzeczy i nie potrafiłam się skupić na wyborze. Nadmiar, ilość poszukujących ogłuszały. Do tego ten Witkacy z portretu... Ale to minęło, gdy Mieżał po godzinie podszedł do mnie z długim, czarnym szalem w wyciągniętej ręce: – Zobacz tylko, jak ci się podoba? – spytał z dumą. – To wszystko, co znalazłeś? Kurtkę miałeś sobie wybrać, kurtkę, mówię! – zaczęłam szukać w najbliższej stercie i wreszcie wciągnęłam się. To miało posmak hazardu. Raz po raz udawało się znaleźć coś cennego. Robiłam to sprawniej od innych, bo dzięki «krawieckiemu oku» prędko umiałam ustalić rozmiar. Przywieźliśmy do domu dwa worki. Teraz rozpoczęło się ponowne segregowanie, co dla kogo, dla znajomych, dzieci znajomych, rodziców, siebie. (...) Prało się to wszystko, przerabiało, pruć, zszywało i latało.

Na koniec kolacja u przyjaciół. Edek w brązowych spodniach w czarną cienką kratkę, które udało mi się, likwidując mankiety, przedłużyć, rozszerzając jednocześnie w pasie na tyle, że był w stanie wytrwać w nich przez parę godzin, naprzeciwko niego, na fotelu autor książek wojennych w trochę przyszerokiej w ramionach marynarce – tak samo brązowej, w identyczną cienką czarną kratkę! Garnitur został rozparcelowany" (Bogusława Latawiec, Ciemnia, 1989).

„13 grudnia 1982 / zebraliśmy się w lokalu ZLP / jak nigdy punktualnie / wśród szaf zalepionych / białymi paskami papieru / i czujnych oczu pieczętek // Radość była ogromna / a konkurencja pracowita / Pisarz dziecięcy / znalazł sobie / normalną jar-mułkę / a w kieszeni pepity / – prawdziwe trzy pensy / Było dużo butów na prawą nogę / i skarpet na lewą / Poszedłem na błysk / bo «Weź, weź» – słyszę / – «Do trumny» – / gdy pakuję do worka / parę lakierów pośpiesznie / jakbym jutro / miał po Nob-

la iść / Sekretarz znalazł sobie buraczkowy golf / Docent – spodnie / Krawaty krawaty / ileż dobra zwieźli / ojcowie dominikanie // Od gorączki / od złotej żyły / wyrwa mnie krzyk Sterny / Oczy w słup w obłęd / Wymachuje jakby w rocznicę / wiekańskiej odsieczy / zdarł pałatę / wielkiego wezyra / Podaje mi / damskie monstrum / dolne – nadobne / Opanować się staram / i z godnością

patrząc prosto w oczy / zimnym głosem mówię / «Nie chcę – nie wezmę / Tylko gumki / wypruję z nogawek» (Jerzy Grupiński, Odsiecz z tomu Jeszcze noc, 1990).

19 sierpnia 1983 – 31 maja 1989: z prenatalnego życia SPP

„Czwartki Literackie znakomicie zastępowały nam środy w Collegium Novum [Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu], organizowane przez Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, do którego spora część naszego niezależnego środowiska zapisała się – niektórzy zresztą, jak ja osobiście, byli już uprzednio jego członkami. Utworzyliśmy sekcję krytycznoliteracką, która nie okazała się zbyt żywotna, ale ogólne spotkania przy przeważnie pełnej czy wręcz przepełnionej sali C2 (niekiedy trzeba było nagłaśniać jeszcze sąsiednią) udawały się znakomicie i miały też znakomitych gości. Przy 200-300 słuchaczach występowali koledzy miejscowi, właściwie wszyscy aktywni, młodszy i starsi, a z innych środowisk od Jana Józefa Szczepańskiego, Zbigniewa Herberta, Wiktora Woroszyńskiego, Marka Nowakowskiego (dopiero za trzecim razem dojechał), Ewy Lipskiej – po Tomasza Jastruna i Adama Michnika. Wielu autorów podrzucaliśmy sobie nawzajem z OO. Dominikanami, którzy przez kilka lat też prężnie działali, urządzali spotkania literackie”. Z czasem powstały „Struktury Trzecie”, żywa mówiona gazeta uniwersytecka pod naczelną redakcją Bogusławy Latawiec, miejsce debiutów i prezentacji własnych tekstów przez samych autorów również spoza Poznania. Działo Duszpasterstwo Środowisk Twórczych, wreszcie pisarze niezależni i niestowarzyszeni spotykali się w mieszkaniach prywatnych, zamienionych w miejsca literackich zjazdów i zebrań. „Rychło zaczęły się też działania organizacyjne, mające przede wszystkim na celu utrzymanie kontaktu, przynajmniej w ramach towarzyskich. W październiku 1983 odbyło się pierwsze ogólnopolskie spotkanie pisarzy, jeszcze o niezbyt dużej pozapoznańskiej frekwencji, u koleżanki Krystyny Byczewskiej. Potem, 26 października 1985, odbyło się większe spotkanie u kolegi Jerzego Korczaka, gdzie spoza Poznania były reprezentowane środowiska Warszawy, Krakowa, Gdańska, Wrocławia, Torunia i Łodzi. Pod tym względem Poznań odgrywał rolę inicjującą. Finał tego zaledwie rozpoczętego spotkania – to wkroczenie SB. Ale ponadto Poznań wziął czynny udział w spotkaniach pisarzy w Tyńcu w 1984 i 1985 roku; w 1986 przeszkodziła SB, nachodząc między innymi Jerzego Korczaka, Eugeniusza Wachowiaka i mnie. Natomiast szczęśliwie bez przeszkód odbyło się kilka spotkań w Warszawie, w prywatnych mieszkaniach, i w Krakowie (przy kościele). Na spotkaniach tych omawiano też przyszły kształt nowego związku – stowarzyszenia. Ostatnie takie spotka-

nie miało miejsce 1 marca 1989 roku w klasztorze Księży Pallottynów w Warszawie” (Egon Naganowski, Sprawozdanie z działalności Zarządu Poznańskiego Oddziału ZLP za lata 1982-1989, maszynopis).

16 marca 1985: straszne śniadanie u Jana Józefa Szczepańskiego

„Szesnastego marca 1985 w opactwie benedyktynów w Tyńcu pod osłoną «dnia skupienia» rozpoczyna się tajny zjazd przedstawicieli podziemia literackiego, powstałego po rozwiązaniu w stanie wojennym Związku Literatów Polskich. Z Poznania do Krakowa udają się z Ewą Najwer i Egonem Naganowskim nocnym pociągiem sypialnym, dalej pojedziemy samochodami tamtejszych kolegów. Szarym świtem na dworcu w Krakowie wita nas Jan Józef Szczepański, ostatni prezes rozwiązanego ZLP, i przed wyjazdem do Tyńca zaprasza do siebie na Helclów 21. Jest już tam czwarty poznański pisarz niezależny, Jerzy Korczak, który dojechał z Zakopanego, gdzie wypoczywa szusując na nartach, dołączają niezależni z Warszawy, Gdańska, Wrocławia, Łodzi i Szczecina, miejscowi – Tadeusz Chrzanowski, Kornel Filipowicz, Włodzimierz Maciąg, Wiesław Paweł Szymański, Kazimierz Traciewicz – dojadą bezpośrednio do opactwa. Posadzeni za dużym okrągłym stołem, mamy zjeść śniadanie.

O tak wczesnej porze, poza filiżanką kawy, nie jestem w stanie czegokolwiek przełknąć.

Prezes Szczepański siada naprzeciwko, pyta Naganowskiego o podróż i o poznańskie nowiny, bawi się zagasłą fajką i trochę mi się przygląda. Wszyscy żwawo jedzą, pani domu zastawiła stół półmiskami specjałów, ja popijam kawę i na nic więcej nie mam apetytu.

Po chwili Jan Józef przesuwając ku mnie półmisek twarogu ze szczypiorkiem. Uprzejmie dziękuję.

Po kilku minutach pan domu przysuwa ku mnie talerz gotowanych jaj i krótko potem parującą miskę jajecznicy na maśle, nie przestając rozmawiać. Przepraszam, ale dla mnie jest za wcześnie na śniadanie.

Po krępująco długiej pauzie gospodarz proponuje mi sery pleśniowe, żółte i bryndzę oraz pszenną bułkę. Grzecznie się uśmiecham, ale przecząco kręcę głową. Gwar rozmów cichnie, literaci, przyjezdni i miejscowi, bo niektórzy krakowianie w drodze do Tyńca jednak na Helclów wstąpili, obracają ku mnie zdumione oblicza i unoszą brwi.

Prezes wstaje, idzie do kuchni, wraca i bez słowa stawia przede mną słoik dżemu i drugi, z miodem. Naprawdę, przykro mi, chciałbym poprzestać na tej świetnej kawie.

Czuję w sobie narastający popłoch. Mam poczucie gombrowiczowskiej pupy i witkacowskiej dziwności istnienia w jednym, ale w ich niepodejrzewanych, skrajnie nieprzyjemnych wersjach.

Po długiej jak wieczność chwili gospodarz wstaje i w milczeniu przenosi ku mnie salaterkę ryby w galarecie. Grzecznie odmawiam. Mam wypieki, pali mnie nieokreślona odmiana wina, czuję się osaczony. Wydaje mi się, że prezes na tym skończy, ale

postanawiam, że jeśli nie – trudno, dla świętego spokoju, a raczej dla przywrócenia równowagi w Kosmosie przełknę to, co mi teraz proponuje.

W najgorszych myślach nie przyszłoby mi do głowy, że Jan Józef uda się do kuchni po pęto wiejskiej tłustej, podwędzanej kielbasy z Kasinki Małej w Beskidzie Wyspowym, gdzie na stoku Lubogoszcza ma odziedziczony po ojcu drewniany dom. Kładzie przede mną deskę z okazałym wieńcem grubej wędliny, żytnim chlebem i wielkim nożem. Czerwony jak burak, zbity z pantaląku, pamiętając o postanowieniu odkramować porcję, zjadam kielbasę i zagryzam razowcem. Dla świętego spokoju, a raczej dla przywrócenia równowagi w świecie.

No. Tak przypuszczałem – oznajmia pan domu donośnie, a mnie pali wstyd i chcę zapaść się pod podłogę. Pisarz wraca za stół, podejmuje rozmowę z gośćmi, oddaje się nabijaniu fajki tytoniem i więcej nie zwraca na mnie uwagi.

Przed wyjazdem do Tyńca na «dzień skupienia» z figlarnym błyskiem w oku zachęca mnie jeszcze tylko do skorzystania z ubikacji. W krzaczki korytarzem prosto i w prawo – wskazuje cybuchem trzymanej w dłoni fajki. Idę tam, pokonany, z pokorą. Strach pomyśleć, co by to było, gdybym odmówił” (Sceny z życia codziennego artystów).

„17 III [1985]. Wczoraj wcześniej rano odebrałem na dworcu poznaniaków (Egon Naganowski, Ewa Najwer i jakiś młody poeta). Nawinał się też Jurek Korczak. Po śniadaniu u nas zawiozłem całe towarzystwo do Tyńca. Na «dniu skupienia» były w sumie 22 osoby. Warszawa, Kraków, Poznań, Wrocław, Gdańsk, Łódź, Szczecin. O. Dominik [Michałowski OSB] mówił o Jeremiaszu (krótko), potem nasze sprawy. B. dobry referat Jacka Łukasiewicza o zmianie pokoleń pisarskich. Sprawozdania środowisk, dyskusja – rzeczowa i spokojna. Wszyscy wyzwolili się już z kompleksu funkcjonowania bez Związku. Związek przestał być potrzebą. Zastąpiło go poczucie profesjonalnej solidarności, mocniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Obiad w refektarzu, w milczeniu. Jedyne głoś – lektora, czytającego o sytuacji Kościoła w Czechosłowacji” (Jan Józef Szczepański, *Dziennik*, tom V: 1981-1989, 2017, prywatna wersja i kontynuacja Kadencji, 1986).

26 października 1985: na filmowym planie akcji „Olejarnia”.

„Dwudziestego szóstego października 1985 o wpół do dwunastej w południe, w mieszkaniu Teresy i Jerzego Korczaków przy Chełmońskiego 22/6 w Poznaniu rozpoczyna się akcja «Olejarnia». Korczakowie, by uczcić koniec remontu mieszkania, zaprosili na obiad przyjaciół. Wszyscy zostają zatrzymani przez Służbę Bezpieczeństwa, wspomaganą przez Milicję Obywatelską, jako przedstawiciele warszawskiego, krakowskiego, gdańskiego, łódzkiego, toruńskiego, szczecińskiego i poznańskiego niezależnego środowiska literackiego, podejrzani o udział w nielegalnym zjeździe pisarzy: Edward Balcerzan, Andrzej Braun, Krystyna Byczewska, Kazimierz Dziewanowski, Marian Dźwinel

vel Dżwiniel, Bolesław Fac, Andrzej Jarecki, Maria Kalota-Szymańska, Ryszard Krynicki, Bogusław Latawiec, Irena i Egon Naganowscy, Ewa Najwer, Jerzy Pachlowski, Jan Prokop, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Andrzej Szczypiorski, Wiesław Paweł Szymański, Jerzy Urbankiewicz, Eugeniusz Wachowiak, Tadeusz Żukowski oraz Jerzy Korczak z żoną, ich współlokatorką i znajdującymi się w mieszkaniu dziennikarką Anną Burkową i sędzią Aldoną Rudnicką.

Między zaproszonymi na obiad, jak to wśród Polaków z ich historią, są osoby, które niejednego w życiu doświadczyły. Żołnierz Września, więzień Gestapo, łagiernik Workuty, powstaniec warszawski, partyzant, sierota po ofierze zbrodni katyńskiej, zesłaniec do Kazachstanu, żołnierz podziemia, więzień NKWD, niekiedy kilku w jednej osobie. Przesiedleńcy, ekspatrianci, migranci, tułacze, dysydenci. Toteż akcja «Olejarnia» to dla nich groteska, nie groza, i kiedy ze sfory esbeków wyłania się ekipa filmowa, która wodzi obiektywem kamery po twarzach siedzących w kręgu na krzesłach pisarzy, Irena Naganowska zwraca się do młodszego o pokolenie, mniej doświadczonego przez historię poety Dżwiniela vel Dżwiniela: Niechże się pan uśmiechnie, przecież nas filmują!» (Sceny z życia codziennego artystów).

„Warszawa (PAP). 29 bm. odbyła się kolejna, cotygodniowa konferencja rzecznika prasowego rządu Jerzego Urbana z dziennikarzami zagranicznymi. (...) Jörg Bremer zapytał o przyczynę (...) zatrzymania w Poznaniu grupy pisarzy, którzy przybyli tam, jak twierdził zachodni korespondent, aby uczcić fakt otrzymania nowego mieszkania przez Janusza [Jerzego] K.[orcza]ka. (...) «Rozmowy z grupą pisarzy, które miały miejsce w Poznaniu, nie wynikały z chęci zorganizowania przez nich imprezy towarzyskiej. Odkryto rozmowy z kilku pisarzami, którzy się zjechali do Poznania, ostrzegające przed podjęciem działań sprzecznych z prawem». (...) Kevin Ruane interesował się tym, jakie są podstawy prawne rozmów ostrzegawczych przeprowadzanych przez milicję z różnymi ludźmi. «Podstawą prawną – odparł rzecznik – są przede wszystkim generalne przepisy o funkcjonowaniu milicji i prokuratury, które mówią, że jednym z głównych zadań jest prewencja, czyli zapobieganie przestępczości»” (NN, Konferencja prasowa rzecznika rządu, „Gazeta Poznańska” 1985, nr 254).

„Dom na Chełmońskiego 22 [w Poznaniu] to trzypiętrowa secesyjna kamienica o fantazyjnych oknach, stromych drewnianych schodach, z maskaronem nad wejściem. Pokoje są rozległe i wysokie, korytarze rywalizują szerokością ze staromiejskimi uliczkami.

W latach powojennych zamieszkiwali tam literaci, bracia teatralna i wybitny kompozytor, po którym dom został ozdobiony tablicą pamiątkową. Na nic ten splendor. Dom popadał w zaniechanie, dach przeciekał jak worek, a mieszkanie Teresy i Jerzego Korczaków na najwyższym piętrze, wiecznie niedogrzone, porastał coraz bujniej grzyb hodowany na ściennym zacieku.

Paroletnie podchody z administracją o naprawę dachu dały tyle co nic. Na koniec właściciele mieszkania wzięli sprawę we własne ręce i puścili na burzliwe flukta prac

renowacyjnych. Wyżyłowany z sił i gotówki Jerzy ciągle powtarzał przyjaciółom: Niech tylko się skończy! Zaraz to oblejemy.

I omal nie dotrzymał słowa, chociaż musiało upłynąć bez mała pół roku – aż do mglistej soboty dwudziestego szóstego października.

Kiedy o pół do dwunastej w południe zadzwoniono do drzwi i Teresa Korczakowa otworzyła, wkroczyło dwóch tęgich jak piece mundurowych, ze służbowymi popręgami pod brodą, a za nimi wyspała się wielka wataha cywilów. Opanowali natychmiast każdy zakątek mieszkania.

Dwudziestu kilku przyjaciół-pisarzy (którzy – gdyby zliczyć razem – wydali paręset książek), pogrążonych w spokojnej rozmowie w pracowni Korczaka, ujrzało się jak zwierzyzna w kręgu osaczników, a zamiast zaproszenia do stołu usłyszało: «Nielegalne zebranie».

W oczach się mrowiło od krzątający przybyszów, którzy rozwijali kable, szukali kontaktów, zaglądali do szaf i wszelkich zakamarków. Nawet do garnków w kuchni.

Gospodarz na próżno usiłował przekonać ich, że czci się tutaj zakończenie ciężkiego remontu.

Błyskały flesze, kamera filmowa pracowała długimi ujęciami. Nie zabrakło czegoś w rodzaju wykrywacza min. Kamery i obiektywy obzierały i obwąchiwały każdą stronę maszynopisów leżących na biurku Korczaka. Utrwalano w rozmaitych ujęciach zarówno cztery butelki wina jak i kredens z kolumnkami, przygotowane na stoliku filiżanki i obrazy na ścianach. Nie odpowiadano jednak na pytania, w jakiej firmie fotograficznej będzie można odebrać te zdjęcia i kiedy.

Krótkofalowiec tymczasem w hallu nadawał: «Gimnazjum, tu Olejarnia... tu Olejarnia... U nas spokój...». Widocznie odwody czekały w pogotowiu. Ulica była zamknięta, gęsto usiana tajnikami.

Najpierw zabrano wszystkim dowody osobiste, potem wywołując po nazwisku na korytarz uformowano konwoje po siedem, osiem osób. Pierwszy konwój miał szyk: cywil, za nim zatrzymany, po obu bokach dwaj cywile, krok z tyłu znowu cywil, i tak łańcuszkiem. Dopiero kiedy z trzeciego piętra ryknęło w dół: «Róbcie dyskretniej!» – szyk złamał się na szpalerowy.

Ludzie z przejętymi minami cisnęli się w oknach. Może sądzili, że odbywa się wygrzanie tajnego kasyna gry lub innej meliny. Ale uczciwy bandzior lub szczerzy moczynmorda może łatwiej liczyć na pobłażliwość władzy niż trzeźwy pisarz, w dodatku niestowarzyszony.

Osobowymi nysami bez oznakowania odwieziono zatrzymanych do Komendy Wojewódzkiej MO na Kochanowskiego.

W tym czasie u Korczaków toczyła się rewizja i trwał kocioł, a pan legitymujący się jako wicedyrektor Wydziału Spraw Wewnętrznych i jego pomocnicy prowadzili z obojgiem ostre rozmowy. Przede wszystkim mieli za złe obecność na spotkaniu wyłącznie

pisarzy nie należących do nowego ZLP, w tym kilku z innych miast. Po drugie mieli za złe, że Korczak sam nie zapisał się i jeszcze montuje «front odmowy». Po trzecie mieli za złe, że rozwiązany ZLP zajmował się polityką, a nie literaturą, przy czym panowie ci z właściwą sobie subtelnością nie odróżniali Proroka od Prokopa a Jana Józefa Szczepańskiego od takiegoż Jana Józefa Lipskiego. Po czwarte mieli za złe, że mieszkanie jest urządzone starymi meblami, a obiad «wystawny». Po piąte mieli za złe, że pora na obiad była zbyt wczesna. Indagowany o to samo w komendzie jeden z kolegów odpowiedział: – Po prostu my lubimy bawić się w dzień, a wy w nocy.

Na Kochanowskiego dopytywano się: W jaki sposób i kiedy zostali zaproszeni? Czy wiedzieli, że będą tam inni goście? Skąd i od kiedy się znają? A przede wszystkim CEL... W jakim CELU?...

Torby, kieszenie i bagaże zostały dokładnie przeszukane. Kto miał zastrzeżenia do formy lub samego faktu, mógł wstecznie zażądać od prokuratora zatwierdzenia tego zabiegu. Po mniej więcej dwóch tygodniach wiadomo było, że prokurator zatwierdził wszystko. Jeszcze by też!

Zamiejscowym pisarzom polecono natychmiast opuścić Poznań. Kolegę z Gdańska odstawiono na miejsce. Na wypadek nieposłuszeństwa grożono nie wiadomo czym. Argument stanowiło «polecenie szefa». Wyglądało na to, że miasto stanowi jego prywatną własność. Zabroniono też wracać «na miejsce przestępstwa».

W miarę jak płynęły godziny, temperatura akcji spadała, ferwor przygasł. Widocznie akcja «Olejarnia» nie przyniosła spodziewanych zdobyczy. Nawet obiecujące maszynopisy na biurku okazały się numerowanymi poprawkami do którejś książki Korczaka. Ten i ów funkcjonariusz zdradzał, że jest już zmęczony. Któryś pożalił się zatrzymanemu, że zepsuto mu sobotę. – Nam także panowie zepsuliście – usłyszał w odpowiedzi.

Ostatni z zatrzymanych wychodzą po siedemnastej. Przy wyjściu czekają «chłopcy», którzy pójda za nimi.

Korczakowie, przywiezieni do komendy po czternastej, wrócili do domu dopiero po osiemnastej. Nie spędzili wieczoru samotnie. Paru nieustraszonych a głodnych zjawilo się ponownie, aby zasiąść wreszcie do stołu.

Być może na mocy nowej i niezmiennie takiej samej polityki kulturalnej trzeba będzie listę gości i menu proszonych obiadów literackich konsultować z jakąś «wyspecjalizowaną komórką». Nowy sejm na pewno chętnie przygotuje odpowiednią ustawę" (D. Olejnik [właśc. Ewa Najwer], Akcja „Olejarnia”, „Kultura”, Paryż 1986, nr 3).

26 października 1985: z więzienia do Belwederu

„Dwudziestego szóstego października 1985 w południe gości obiadu u Teresy i Jerzego Korczaków w Poznaniu, jeszcze nawet nie rozpoczętego, przewozi się sukami i łazikami w ramach esbeckiej akcji «Olejarnia», jako uczestników nielegalnego zjazdu pisarzy – z ich mieszkania przy Chełmońskiego 22/6 do Wojewódzkiego Urzędu Spraw

Wewnętrznych przy Kochanowskiego, utajnionego pod kryptonimem «Gimnazjum», a w mieszkaniu przeprowadza rewizję i przesłuchanie gospodarzy. W «Gimnazjum» pisarzy poddaje się rewizjom osobistym i przesłuchaniom indywidualnym, po czym wypuszcza pojedynczo na wolność. Zamiejscowym – Andrzejowi Braunowi, Kazimierzowi Dziewanowskiemu, Bolesławowi Facowi, Andrzejowi Jareckiemu, Marii Kalocie-Szymańskiej, Jerzemu Pachłowskiemu, Janowi Prokopowi, Andrzejowi Szczypiorskiemu, Wiesławowi Pawłowi Szymańskiemu, Jerzemu Urbankiewiczowi – nakazuje się natychmiastowe opuszczenie miasta, miejscowym – Edwardowi Balcerzanowi, Krystynie Byczewskiej, Marianowi Dźwinelowi vel Dźwinielowi, Ryszardowi Krynickiemu, Bogusławie Latawiec, Irenie i Egonowi Naganowskim, Ewie Najwer, Sergiuszowi Sternie-Wachowiakowi, Eugeniuszowi Wachowiakowi, Tadeuszowi Żukowskiemu – bezzwłoczne udanie się do domów. Całością wydarzenia kieruje zastępca dyrektora WUSW, dwa dni później zastępca naczelnika Wydziału Śledczego – podpis nieczytelny – przekazuje prokuraturze wojewódzkiej akta przygotowawcze sprawy RSD H-591/85, a ta – podpis: Maciej Andrecki, wiceprokurator – zatwierdza akcję z uzasadnieniem: «Przeszukanie zostało dokonane wobec ustalenia okoliczności określonych w art. 40§3 kodeksu w sprawach o wykroczenia, a było ono niezbędne w celu ujawnienia i ewentualnego zabezpieczenia dowodów rzeczowych».

Każde z przesłuchań na Kochanowskiego, przeprowadzanych pojedynczo w osobnych pokojach, zaczyna się od rewizji osobistej, a kończy przedstawieniem protokołu do podpisania. Rewizja polega na opróżnieniu przez zatrzymanego wszystkich po kolei kieszeni, toreb, teczek i torebek i wyłożeniu ich zawartości na stół. Bogusława Latawiec powoli wydobywa z torebki, po jednej, karteczki z rękopiśmiennymi przepisami kulinarnymi, które akurat ma przy sobie, a przesłuchujący ją esbek rzuca się chciwie na każdy miniaturowy manuskrypt. Naganowski peroruje tak głośno, szybko i o wszystkim, że jego esbek ani nie jest w stanie zadać mu pytania, ani spisać jego monologu. Krynicki tak długo analizuje czy może kontempluje interpunkcję w protokole, przeważnie w milczeniu lub z uwagami z pogranicza metafizyki kropki i przecinka, aż wykończony esbek rezygnuje z prób skłonienia go do podpisania papieru.

Jest sobota. W poniedziałek w samo południe docent Balcerzan ma odebrać w Belwederze akt nominacji profesorskiej. Mówi o tym cicho Prokopowi, a my z Krynickim i Szczypiorskim przy jednym stole w świetlicy, do której doprowadza się pisarzy po rewizjach i przesłuchaniach, chcąc nie chcąc słyszymy. Szczypiorski spogląda na zegarek, coś pod nosem oblicza i zwraca się do Balcerzana:

Szczypiorski: No to pan nie zdąży.

Balcerzan: Nie zdążę? Jak to?

Szczypiorski: W takich sytuacjach wsadzają na czterdzieści osiem godzin, to pan nie zdąży na dwunastą do Warszawy w poniedziałek, bo zaraz poprowadzą nas na dołek.

Balcerzan: ?!

Szczypiorski: Niech pan im powie, żeby nadali faks do Belwederu...

Balcerzan: !?

Szczypiorski: ...że pan nie zdąży, bo właśnie siedzi pan zamknięty na esbecji. Chcę coś powiedzieć, ale Krynicki kładzie palec na ustach i wskazuje pod stół, że może tam być podsłuch. Milkniemy. W świetlicy słychać tylko głosy dwóch młodych tajniaków, którzy siedzą przy stoliku przy wyjściu, pilnują nas i zawzięcie grają w okręty: pudło, pudło, trafiony, pudło, trafiony zatopiony, pudło" (Sceny z życia codziennego artystów).

„31 X [1985]. Spotkanie w Poznaniu (26-go), na które ostatecznie nie pojechałem, zostało rozpućdzone przez SB. Gromada milicjantów i tajniaków wtargnęła do mieszkania Korczaka. Filmowali obecnych (byli m.in. Szczypiorski, Braun, Drewnowski, Jarecki, Fac, Pachlowski, Balcerzan – z krakowiaków Wiesio Szymański i Janek Prokop, a Traciewicz spóźnił się i widząc obstawę, nie wszedł). W sumie ok. 20 osób. Zabrano ich na komendę, rewidowano i przesłuchiowano. Następnego dnia Urban oznajmił o udaremnieniu nielegalnego zebrania dawnego Związku [Literatów Polskich]. Dowiedziałem się o tym wczoraj w Krakowie" (Jan Józef Szczepański, Dziennik. Tom V: 1981-1989, 2017; Tadeusz Drewnowski nie był wówczas obecny).

14-15 stycznia 1989: zebranie przed Zjazdem Założycielskim SPP

„Miejsce jest doskonałe: budynki poseminaryjne przy barokowym kościele Wniebowzięcia NMP, przeznaczone po remoncie na galerię zbiorów Porczyńskich; za plecami Mickiewicza nieustannie trwającego w zamyśleniu na swoim cokole; bok o bok z kompleksem budynków Pałacu Namiestnikowskiego, w którym mieści się Urząd Rady Ministrów, mijając boczną bramę widzi się strzegącą jej wojskową wartę; zatem miejsce dobrze strzeżone; nieco dalej za Dziekaną kolumny gmachu Caritasu, którego dewiza z frontonu: «Res sacra miser» może obejmować i mizeractwo pisarskie; i jeszcze dalej Kolumna Zygmunta w perspektywie Placu Zamkowego, oflankowanego z prawej przez kościół św. Anny, z lewej – przez Kamienicę Johna, gdzie miał siedzibę Zarząd Główny naszego ZLP i gdzie teraz pod tym szyldem i w tej samej skorupie, ale bez jej treści, rezydują honorowy prezes [Halina] Auderska i rzeczywisty – [Wojciech] Żukrowski. Nie wspominając o Ministerstwie Kultury. Jak wpływ potężnych planet, jednych przyjaznych, innych wrogich, tak to otoczenie stwarza napięcie i nadaje wymiar temu, czego uczestnikami będziemy przez dwa dni.

Czas zdarzenia: 14 i 15 stycznia 1989 r., przy okazji «opłatka» w siedzibie Duszpasterstwa Środowisk Twórczych ks. [Wiesława Al.] Niewęglowskiego, na który zjechali się zaproszeni pisarze z różnych stron.

Minęło osiem lat i dwa tygodnie od ostatniego Zjazdu ZLP. Kończyliśmy go o głodzie-chłodzie, bo w gmachu Z[wiązku] N[auczycielstwa] P[olskiego], gdzie się odbywał, nie działała stołówka, a w dodatku zaprzestano ogrzewania budynku. Wybrany wówczas Zarząd Główny okazał się godny naszego zaufania i większość pisarzy dochowała wierności duchowi uchwał i postanowień.

Minęło także ponad siedem lat od wprowadzenia stanu wojennego. Pięć i pół roku od rozwiązania Związku Literatów Polskich bezprzykładną w swej arbitralności decyzją władz, którą poprzedziło ponad dwadzieścia miesięcy walk i utarczek o utrzymanie związku przy życiu. Zarząd nie uległ pokusie zawarcia dwuznacznych kompromisów i środowiska w lwiej części go w tym podtrzymały.

W chwili rozwiązania ZLP liczył 1362 członków. Do neo-związku, który bez skrupułów przywłaszczył sobie dawną nazwę, wstąpiło 635 osób, poza nim pozostało 727. Spora grupa pisarzy była internowana i więziona. Z pozostałych też nikogo nie ominęły represje i szykany.

Sednem konfliktu było ostateczne odrzucenie przez ogół pisarzy anachronicznego stalinowskiego modelu związku – kolektywistycznego i poddanego kontroli partii, wynagradzanego przez państwowego «mecenasa», ale świadczącego w zamian żądane usługi, modelu, który nękał i uwierał przez wszystkie lata swego istnienia. Jego schyłek i zmierzch oglądamy w reanimowanym neo-ZLP.

Początkiem naszego spotkania jest msza za dusze zmarłych kolegów. Litania nazwisk. O śmierci wielu dowiaduję się dopiero w tej chwili. Kontakty wygasły, nie było biuletynów, rosły między nami mury. Wszyscy zostali objęci teraz wspólną klamrą modlitwy o wieczny dla nich odpoczynek.

Do salek duszpasterstwa wędrujemy powolną procesją aż gdzieś na czwarte piętro po starych drewnianych schodach z wąskimi podestami. To będą nasze kuluary. Tu będą wypadali z sali palacze, aby śpiesznie zaciągnąć się paroma dymkami, tu będą się odbywały rozmowy pośpieszne i chaotyczne, tu transakcje kupno-sprzedaż literatury drugiego obiegu, podpisywanie listy S[towarzyszenia] D[ziennikarzy] P[olskich] i wiele jeszcze innych spraw, w chłodzie i ciasnocie, gdy każde otwarcie drzwi będzie wraz z lodowatym przeciągiem wpompowywać do sali dym.

Kuluary na takich zjazdach są równie ważne jak tok obrad na sali. To one poniekąd – z odnajdowanym wątkiem koleżeństwa, zawodowego zainteresowania, życzliwości, z irytacją i niecierpliwością – nadają im sens.

Długo trwa, nim sala na tyle uspokoi się, że będzie mógł zabrać głos Jan Józef Szczepański, zastrzegający się, że nie występuje w roli prezesa.

Bardzo powściągliwie przedstawia potrzebę utworzenia stowarzyszenia, które stałoby na straży naszych interesów zawodowych i reprezentowało postawy moralne. Nie ma powrotu do poprzedniego związku. Jest to rozdział zamknięty; nowy powinien być utworzony w oparciu o tradycje związku [Stefana] Żeromskiego z lat dwudziestych. Przemówienie nie zawiera żadnych kategorycznych stwierdzeń. Służy otwarciu dyskusji, nie zaś przechyleniu jej w którąś stronę. Jest jednak jasne, ku czemu zmierza sam Szczepański.

Resztę przedpołudnia wypełniają krótkie referaty, które wygłaszają Andrzej Braun, Andrzej Szczypiorski, Marian Grześczak, Jacek Bocheński, Andrzej Jarecki i Julia Hartwig. Zarysowują sytuację i problemy, wobec których stoimy.

Andrzej Szczypiorski mówi, że organizacja ZLP była wpisana w struktury państwa stalinowskiego. Jej celem było kontrolowanie i zniewalanie pisarzy. Ale ethos pisarza w Europie ma podłoże chrześcijańskie. Literatura jest aktem miłosierdzia wobec tragizmu i aktem zachwytu wobec wielkości. Jest po stronie pokonanych i słabych. Nie wolno nam pochwalać przemocy. Tędy biegła linia podziałów, które ujawniły się w '81 r. Pochwalający przemoc dlatego przestali być naszymi kolegami. Trzeba naprawić to, co zepsute, co jednak nie znaczy, że trzeba dążyć do jednej organizacji.

Grozi nam katastrofa kulturalna – mówi Jacek Bocheński. Nędza kulturalna jest tak samo groźna jak gospodarcza. Obecnie konflikt rozgrywa się między władzą państwową a ustrojem, który zaczyna jej przeszkadzać, bo już nie ma czym rządzić. Kłopoty są z partią – PZPR – bo jak może ona samą siebie ukrócić? Dziś jej mandat geopolityczny jest jakby mniej oczywisty. Władza chętnie zamieniłaby komunizm na kapitalizm, gdyby tylko w nim nadal pozostała władza. Według przewidywań [Karla] Marksa – państwo obumiera, ale obumiera razem z ludźmi. Trzeba co szybciej ratować kulturę i pisarzy.

Sytuacja materialna pisarzy – podobnie jak całej spauperyzowanej inteligencji – jest zła. Według Andrzeja Jareckiego, z danych Z[wiązku] A[utorów] i K[ompozytorów] S[cenicznych] wynika, że przeciętny zarobek należącego do niego pisarza wynosi 12 tys. zł, tekściarza – 50 tys. Pisarze zostali wyparci z tradycyjnych domen, jak kierownictwa literackie teatrów i redakcje, gdzie zostali zastąpieni przez publicystów i działaczy. Libretta, teksty piosenek, skesce i monologi pisze kto chce i jak chce. Obniżyła się kultura języka. Brakuje redaktorów obdarzonych kulturą literacką (Radio i Telewizja). Pisarze stowarzyszeni mają przy wydaniu książki zwolnienia od podatków, my nie. Nasze spotkania autorskie są honorowane w wysokości od jednej trzeciej do połowy ich stawki. Umowy wydawnicze z nami bywały zrywane, opóźniano druk, obniżano do minimum nakłady. Stworzyło to bardzo trudną sytuację zawodową i materialną.

Majątek poprzedniego związku został przez decydentów przekazany neo-Złepowi. Nawet Fundusz Literatury, który powstaje z procentu za wydawanie dzieł klasyków, pozostający w gestii urzędników Ministerstwa Kultury, odmawiał pomocy pisarzom spoza związku.

Na marginesie: na spotkaniu z pisarzami w Poznaniu w czerwcu '88 minister [Aleksander] Krawczuk powiedział, że wszystko, co dawny związek miał, było własnością państwa, zatem państwo miało prawo mu to odebrać; stwierdzenie zaiste zaskakujące w ustach subtelного znawcy kultury antycznej i zapewne też co nieco prawa rzymskiego.

Ale w powstałej sytuacji ujawnił się dualizm ontologiczny: choć dobra materialne zostały przez władze w całości ofiarowane nowemu związkowi, duch stamtąd uszedł.

Powstają wydawnictwa prywatne, nie same minusy mamy po swojej stronie. Jest ogromnie rozbudowany drugi obieg z oficynami wydawniczymi, siecią kolportażu, kontaktami zagranicznymi. W dyskusji jako jeden z pierwszych zabierze głos Grzegorz Boguta, współzałożyciel i szef NOWEJ, występujący w imieniu stowarzyszenia niezależnych wydawców.

Od pierwszych minut wiadomo, że uczestnicy spotkania chcą założyć swoje własne stowarzyszenie. Dyskusja ma dać odpowiedź: jaki rodzaj stowarzyszenia, jak to zrobić i kiedy? Ogromna większość chce, aby decyzja o powstaniu stowarzyszenia została podjęta tu i teraz.

Dalej jednak zarysowują się trzy stanowiska. Jedno, że powinniśmy założyć organizację pisarską zupełnie niezależną, będącą częścią niezależnego społeczeństwa obywatelskiego, nawiązując do Związku Zawodowego Literatów Polskich z lat dwudziestych, rezygnując z uzależnienia się od państwowego mecenatu (T.[adeusz] Drewnowski, E.[wa] Szumańska). Drugie (U.[rszula] Koziół, S.[tefan] Bratkowski), że nie należy wyrzekać się ani tradycji ani własności ZLP, tym bardziej, że nie jesteśmy przez nikogo do tego upoważnieni. Nie wszystko było godne nagany, związek przez trzydzieści lat bronił swobód twórczych i zasad demokracji. Majątek związku należał do społeczeństwa, a nie do państwa. Te postawy rewindykacyjne są silne, choć nieliczne. Eugeniusz Kabatc proponuje trzecią wersję: aby scalić się w jeden związek, wstępując do już istniejącego. Wystarczy, że złożymy do niego akces. Po wejściu przekształcimy go według swoich potrzeb. Uratujemy tym samym wielu członków neo-ZLP, których inaczej stracimy, choć duchowo są oni z nami.

Sala reaguje na to objawami niechęci. Ktoś woła, że jest to wizja związku stworzona przez [Kazimierza] Koźniewskiego, że Kabatc działa w porozumieniu z «tamtymi». Kabatc zapewnia stanowczo, że propozycja wyszła od niego samego. Przewodniczący [Artur Międzyrzecki] przypomina o zasadzie swobody wypowiedzi. Rozlega się nieco grzecznościowych okłasków. Ale propozycja nie wchodzi pod głosowanie.

Załącznikiem do tej sprawy jest wystąpienie Michała Jagiełły, który w okresie «Solidarności» pracował w Wydziale Kultury KC. Był tam świadkiem, jak sami literaci pracowali nad rozbiciem związku. Np. poddali projekt utworzenia związku pisarzy mazowieckich oraz związku pisarzy-kombatantów K[rajów] D[emokracji] L[udowej]. Nie wymienia nazwisk, ale znamy je wszyscy...

Porządek prawny wprowadziło w drugim dniu wystąpienie mec. Wiesława Chrzanowskiego, doradcy Episkopatu, który współtworzył kościelną wersję nowej ustawy o stowarzyszeniach. Dowiadujemy się od niego, że nie musimy czekać do nowej ustawy. Możemy startować z tej platformy, jaka jest. Jeśli taka będzie nasza wola, spotkanie obecne może przekształcić się w zebranie założycielskie stowarzyszenia pisarzy polskich (były spory o nazwę, ale ich rozstrzygnięcie odłożono do przyszłego zebrania). Zebranie to jest legalne. Nie jest na nie potrzebna zgoda władz, wystarczy powiadomienie.

- Czy będą mogli należeć pisarze z zagranicy?
- Tak, jeżeli statut będzie to przewidywać.
- Czy neo-ZLP może zablokować nasze starania?
- Nie, nie może.

Sytuacja jest jasna. W jawnym głosowaniu – przy jednym głosie sprzeciwu – przekształcimy się w zebranie założycielskie.

Kazimierz Dziwanowski odczytał przygotowany projekt oświadczenia, które po hałaśliwej dyskusji i niewielkich poprawkach zostaje w głosowaniu przyjęte. Nie jest ono wprawdzie płaszczyzną ideową stowarzyszenia, ale wyraża naszą postawę wobec kilku zasadniczych kwestii – prawa do stowarzyszania się, do legalizacji «Solidarności» i do przebudzonego [z uśpienia] PEN Clubu.

Kiedy kończymy – po godz. 18:00 – mamy przygotowane oświadczenie, wybrany komitet organizacyjny i kilkuosobowy sekretariat, złożony wyłącznie, ze względów praktycznych, z warszawskich kolegów. Są wśród nich [Andrzej] Braun, [Kazimierz] Dziwanowski, [Andrzej] Jarecki, [Artur] Międzyrzecki, [Jerzy S.] Sito, [Andrzej] Szczypiorski. W słowie kończącym zjazd Jan Józef Szczepański życzy nam wszystkim godnego dzieła” (Ewa Najwer, Jak zakładaliśmy stowarzyszenie pisarzy polskich, maszynopis).

„17 I. Prawie tydzień w Warszawie. Pojechałem samochodem 11-go. Wieczorem tego dnia zebranie komisji stowarzyszeń społ.[ecznych] Komitetu Ob.[ywatelskiego]. Dość sensowna dyskusja nt. ustawy o stow.[arzyszeniach]. Potem kolacja u Szaniawskich.

12-go na wystawie rysunków Jędrka [Jakimowicza] w Stow.[arzyszeniu] Hist.[oryków] Sztuki, po poł.[udniu] z Anulą [Mańkowską] u Jędrka i Ireny. Na wystawie także dawniejsze jego rysunki. Jeszcze w poł.[udnie] spotkanie w Czytelniku z Braunem, Jareckim, Międzyrzeckim i Dziwanowskim. Przygotowanie do naszego zebrania założycielskiego.

13-go pojechałem do Kazimierza. Ciotka w lepszej formie, niż się spodziewałem. Nawet żartowała. Podczas obiadu, kiedy łykała swoje pigułki, powiedziała: «Patrz i ucz się. Ciebie też to czeka niedługo». Wieczorem na kolacji u Anty [Gorskiej] z Anulą. Byli Malinowscy i Romek Serafin, którego nie widziałem kilkadziesiąt lat (naład b. wspaniały). Nie: ta kolacja u Anty 14-go, po pierwszym dniu obrad. A 13-go, po powrocie z Kazimierza? Coś było. Nie pamiętam w tej chwili. Więc 14-go dalsze narady. Najpierw nabożeństwo u karmelitów za pisarzy zmarłych od 13-go grudnia '81. Jest ich 201! Obrady w byłym seminarium duch.[ownym], gdzie ks. Niewęgłowski prowadzi Duszpasterstwo Środ.[owisk] Twórczych. Przyszło koło 200 osób. Otwierałem zebranie. Wśród przemówień świetne Jacka Bocheńskiego, charakteryzujące sytuację polit.[yczną]. Jak to rządowi przeszkadza ustrój, a ustrojowi rząd i państwo, zgodnie z przewidywaniami klasyków marksizmu, obumiera, ale razem z nami.

Acha, już wiem. Po powrocie z Kazimierza u Międzyrzeckich. No więc ta kolacja u Anty, a 15-go, wczoraj, drugi dzień obrad, poświęcony dyskusji, poprzedzonej opłatkami. Ktoś przypomniał sobie o moich urodzinach. Urządzono mi owację. Ale naprawdę wzruszył mnie Zielonka ze Słupska, który powiedział, że moje listy do Oddziałów [ZLP] w czasie stanu wojennego przyjmowane były jak pisma z pieczętką Rządu Nar.[odowego] podczas powstania '63 roku.

Dyskusja bałaganiarska, pełna głupstw i personalnych starć. B. ciekawe wystąpienie Michała Jagiełły, który wtedy był po drugiej stronie, jako zastępcą kierownika Wyd[ziału] Kult.[ury] w KC. Twierdził, że decyzję rozwiązania Związku preforsowali pisarze: [Kazimierz] Koźniewski, [Andrzej] Wasilewski, [Józef] Lenart.

Wczoraj Zarząd PEN. Zainicjowałem akcję w sprawie Zdzisława Najdera. Wieczorem spotkałem się z mec.[enasem] J.[anem] Olszewskim, który pomógł mi zredagować pismo do Rady Państwa. Przedtem u Linke. Wróciłem dziś na obiad i zastałem naszego Michała. Wpadł tu po powrocie z Paryża. W poczcie m.in. telegram «jubileuszowy» od Żukrowskiego. Słodko-kwaśny.

Na dzisiejszej konferencji prasowej Urban wyraził dezaprobatę władz dla naszej inicjatywy. Określił ją jako «konfrontacyjną» (Jan Józef Szczepański, Dziennik, tom V: 1981-1989, 2017).

31 maja 1989: Zjazd Założycielski SPP

„Odbył się założycielski Zjazd S.[towarzyszenia] P.[isarzy] P.[olskich]. Około czterystu osób (zapisało się już około 500). W niedzielę 28-go pojechałem samochodem do W-wy. Po poł.[udniu] zebrał się w Klubie Nauczyciela Komitet Organizacyjny. Od razu konflikty. Drewnowski zakwestionował przyjęcie grupy młodych jako członków-założycieli. Część kolegów z Joanną Guze próbowała mnie nakłonić, żebym usunął Jana Walca ze stanowiska rzecznika prasowego (nie cierpią go z powodu złośliwych recenzji w 2 obiegu). Oczywiście odmówiłem – chociaż powołał W.[alca] bez mojej wiedzy. W poniedziałek od rana do późnego wieczora w ZAiKS-ie. Otwarłem Zjazd i prezydowałem. Ten pierwszy dzień przeszedł dość spokojnie. W pewnej chwili [Andrzej] Drawicz wprowadził na salę czterech młodych poetów – dysydentów radzieckich, którzy dziękowali nam za przykład i inspirację (dwóch Gruzinów, Łotysz i Rosjanin). Pierwszy raz uczestniczyłem w szczerzej manifestacji przyjaźni polsko-radz.[ieckiej]. Obiad jadłem u Drawicza. Jego żona, Rosjanka, opowiadała o okropnej sytuacji gosp.[odarczej] u nich. Wczoraj znów cały dzień, tym razem z kilku wariackimi wyskokami (jakiś maniak z Wrocławia próbował nakłonić nas do wystosowania apelu w spr.[awie] przerywania ciąży). Wybory. Wybrali mnie na prezesa (trzy głosy przeciw). Z moim zastrzeżeniem, że tylko do czasu zorganizowania Oddziałów [SPP]. Przeważała koncepcja powtórzenia dawnego Zarządu. Przykry incydent z Siłą, który przeszedł na końcu listy, a przy konstituowaniu się Prezydium nie uzyskał jednomyślności jako jeden z dwóch v-prezesów. Kłopotliwa psychodrama. Godził się pod naszym naciskiem, ale b. to przeżył. Wieczorem zjawił się Miciuś [Michał Szczepański]. Dziś rano podpisałem w Czytelniku umowę na Historyjki i zrobiłem z redaktorką adiustację. Potem w deszcz do Kazimierza. Anula opiekuje się Ciotką samotnie, bo pielęgniarka odeszła. Nowa ma być w tym tygodniu. Wróciłem koło 8-ej” (Jan Józef Szczepański, Dziennik, tom V: 1981-1989, 2017).

16 października 1989: dar dla rządu Tadeusza Mazowieckiego

„«Jest jednym z najpiękniejszych gestów. Podarunek, dar.

Ten, kto przychodzi z darem – jest człowiekiem nadziei. Przynosi przyjaźń, miłość albo swą ufność – i bez niepotrzebnych słów przelewa ją na tego, kogo zwiemy obda-

rowanym. To nie jest jałmużna, obowiązek wobec bliźniego, który błaga o litość. To również nie upominek, wyraz wdzięczności. Dar nie ma w sobie nic z obowiązku i nic z zapłaty. Przychodzi z nim człowiek wolny. To znaczy ten, kto nie jest dłużnikiem cudzego sumienia ani niewolnikiem własnej wdzięczności.

Szczególne piękno daru łączy się z pięknem ofiary, gdy podarunek polega na wyrzeczeniu, ograniczeniu się w tym, czego sami mamy niewiele. Zwyczajny dar jest jak ufnie podanie ręki. Dar połączony z ofiarą wyrzeczenia – nawet mniej bogaty – jest czymś o wiele wspanialszym. To już nie tylko podanie ręki. To podzielenie się kromką chleba, łykiem wody.

Dar. Niekoniecznie zaraz ten z bajki, magiczny, za którego sprawą ustępują wszelkie kłopoty. Stoliczek co sam się nakrywa, bułka niedojadka, sypiący dukaty osioł, sakiewka wiecznie pełna choćbyś brał i brał. Zresztą czy ten, kto otrzymał nawet takie dary, był wolny od trosk? Przecie wszystko odeń wyludżono i sprawiedliwość zagościła na świecie dopiero wówczas, gdy biedakowi wzięto i ten dar ostatni. Tajemniczy pękaty worek, z którego wyskoczyły kije-samobije.

Niech nasz dar będzie wyrazem wiary, że nie żyjemy na kartach bajki o kijach-samobijach. Że wreszcie żyjemy naprawdę, nie na niby. I niech nam się darzy!

Dwunastego września 1989 Izabella Cywińska, wieloletnia dyrektor naczelna i artystyczna Państwowego Teatru Nowego w Poznaniu, na zaproszenie premiera pierwszego rządu niepodległej III Rzeczypospolitej, Tadeusza Mazowieckiego, objęła tekę ministra kultury i sztuki. Podczas odwiedzin teatru, pytana o pierwsze wrażenia i kulisy władzy, opowiadała o pustej po rządach komunistów kasie państwa. Lud żartuje, że zostanie dodatkowo opodatkowany, bo władza nie ma pieniędzy nawet na garnitur dla Jacka Kuronia, leki dla Mazowieckiego i fryzjera dla rzeczniczki prasowej, Małgorzaty Niezabitowskiej. Aktorzy Nowego postanowili więc przeprowadzić zbiórkę darów pieniężnych dla wspomnienia rządu. W poniedziałek szesnastego października we foyer teatru ustawiono szklaną urnę na pieniądze z ułożonym przeze mnie hasłem: «Dar na ręce rządu naszego zaufania – społeczność i publiczność teatralna». Milan Kwiatkowski, kierownik literacki teatru, dołożył do tego fragment wiersza Jana Kochanowskiego. Podczas przerw w spektaklach, we foyer puszczone było przez głośniki nagranie mojego rozważania Dar, czytanego przez aktora Zbigniewa Grochala (Przygodne, okolicznościowe).

Był to, jak miało się okazać, prolog ogólnopolskiego zrywu Artyści dla Rzeczypospolitej, wykreowanego z inicjatywy kompozytora Jerzego Andrzeja Marka przez aktorki Aleksandrę Dmochowską, Maję Komorowską i Zofię Kucównę, do których dołączyli inni na czele z administrującym przedsięwzięciem Mariuszem Walterem, akcji społecznej środowisk teatralnych, literackich, filmowych i estradowych ze sztabem w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, z filiami w większych ośrodkach kraju, prowadzonej od piętnastego grudnia 1989 do

dwudziestego stycznia 1990, kiedy w warszawskiej Filharmonii miał miejsce epilog, finałowy koncert galowy. Szlagwortem pospolitego ruszenia artystów stały się słowa Ernesta Brylla: „Jesteśmy wreszcie we własnym domu. Nie stój, nie czekaj. Co robić? Pomóż!”, a formami jego konkretyzacji były zbiórki fantów, sprzedaże cegiełek, zielonej za pięć, niebieskiej za dziesięć lub czerwonej ze złotym nadrukiem za dwadzieścia tysięcy złotych oraz „złotych” złotych-przypinek, publiczne i telewizyjne licytacje dzieł sztuki, pamiątek, autografów czy przedmiotów artystycznych i sentymentalnych, połączone z aukcjami wystawy, charytatywne zabawy karnawałowe, spotkania autor-skie, występy, recitale i koncerty.

„Wszyscy, do których się zwrócono, ochoczo włączyli się w tę społeczną akcję, a Roman Polański przyrzekł nawet, że na galowym koncercie w dniu 20 stycznia nie tylko sam wystąpi, ale przywiezie także swoich gości, swoich dobrych przyjaciół. Kogo mianowicie? Dokładnie nie wiadomo. Polańskiego łatwiej mieć w Warszawie 20 rano, niż uzyskać od niego zapewnienie, że będzie – tłumaczyli z rezygnacją Janusz Majewski, Janusz Morgenstern i Jan Zylber, którzy na zmianę nagabywali go w tej właśnie sprawie. No, ale przyjedzie na pewno, pytanie tylko – z kim? Najpierw mówiono, że z Barysznikowem; tancerzem-legendą i aktorem-legendą, podobno jednak legenda ma kłopoty z nogą, więc ostatecznie chyba nie wystąpi. Zatem jeśli nie on, to ostatecznie kto? Polański dał znać, że Liza Minnelli, co uznano za informację na tyle sensacyjną, iż na wszelki wypadek postanowiono sprawdzić ją telefonicznie.

Dryń, dryń – międzykontynentalna do Minnelli. Odbiera automatyczna sekretarka; wypytuje: kto, co i dlaczego, lecz sama nie odpowiada. Zatem następnego dnia znów: dryń, dryń – międzykontynentalna do Minnelli. Odbiera sekretarka, lecz już żywa, która nie tylko pyta, ale i sama może coś powiedzieć.

Do Warszawy? Owszem, pani Minnelli się wybiera. Pan Polański zaprosił ją na rozmowę z Wałęsą. Że co? Że występ? To nie wchodzi w rachubę, pani Minnelli chce tylko poznać pana Wałęsę...

Zatem sytuacja jak gdyby trochę jaśniejsza, niemniej organizatorów ta odpowiedź nie peszy. Gdy już przyjedzie, to przecież Polański ją namówi, żeby coś wykonała dla Rzeczypospolitej. A jeśli nie Polański, to może Wałęsa – ma przecież wpływ na kobiety. I nie tylko na nie. Tak czy inaczej, koncert z Polańskim, z orkiestrą pod batutą Jerzego Maksymiuka i z udziałem paru najjaśniejszych gwiazd różnych specjalności na pewno nie zawiedzie warszawskiej widowni. No, a co zawiedzie? Ze strony artystów – na pewno nikt i nic, idzie raczej o to, aby nie zawiedli ci zamożni i najzamożniejsi, i szeroko pootwierali odpowiednio grube portfele. Szans na to będzie sporo i zawsze na zasadzie coś za coś. (...)

Sporo artystów jeździ po różnych instytucjach, fabrykach, spółkach i firmach polonijnych, starając się pozyskać fanty na premie dla specjalnych zakładów Toto-Lotka, z których – jeśli dojdzie do skutku porozumienie z Ministerstwem Finansów – w dniu

27 stycznia cały dochód przejdzie na rzecz akcji Artystów dla Rzeczypospolitej. Fanty już zresztą udało się uzyskać nie byle jakie – wystarczy powiedzieć, że jest wśród nich jeden «Polonez» i – podobno, ale to jeszcze bodaj nie całkiem załatwione – jeden żywy koń. No, a poza tym kolorowy telewizor i inne tego typu drobiazgi umilające życie” (Lucjan Kydryński, Nie stój! Nie czekaj! Pomóż!, „Przekrój” 1990, nr 2324 z 7 I 1990).

* * *

Poszliśmy, poszedłem truchtem dalej, duktem jakiejs innej już pieśni drogi. Minęło trzydzieści i więcej lat 1989-2019, w których kilkaset razy, koleją żelazną, pokonywałem trasę z Poznania do Warszawy i z powrotem. Kadencje naszych prezesów, osobowości zawsze wyrazistych, niepodobnych do nikogo innego, niepowtarzalnych: Jana Józefa Szczepańskiego, Andrzeja Brauna, Ludmiły Marjańskiej, Mariana Grześczaka, Janusza Odrowąż-Pieniążka, Piotra Wojciechowskiego, Janusza Kasińskiego, Anny Nasiłowskiej. Od roku 1993, jako prezes Wielkopolskiego Oddziału SPP w Poznaniu, uczestniczyłem w zebraniach Zarządu Głównego, jak dzieje się i dzisiaj; w latach 2008-2017, przez trzy kadencje, prowadziłem „zarządy” oraz „prezydium” jako prezes SPP. Może kiedyś napiszę drugą część tego wspomnienia? Okiem Aborygena wyłonię ważne, przynajmniej dla mnie, punkty naszej wspólnej pisarskiej czasoprzestrzeni? Charakterystyczne wydarzenia, wymowne epizody, węzłowe sytuacje. Jest, będzie inaczej, lecz nie mniej barwnie. Jak przystało na życie codzienne bractwa wiecznego pióra.

Najważniejsze, abyśmy – różniąc się, dyskutując, wiodąc polemiki, a nawet ostre spory o idee i racje, o sensy i wartości – nie podzielili się. Nie skłócili. Nie rozeszli. Ani pod wpływem przemądrzałej nowoczesności, ani zapiekłego tradycjonalizmu.

Tego by jeszcze brakowało.

Sergiusz Sterna-Wachowiak

Pobudka... czytelnicy

To było zresztą sympatyczne, że robotnicy chcą czytać Gombrowicza. To się zaczęło od Zbyszka Bujaka. Pamiętam jak do mnie do domu przyjeżdżał właśnie po książki. Między innymi właśnie zaczytywał się w Gombrowiczu. I ja miałem poczucie, że właściwie czego byśmy nie wydrukowali, to by to znalazło nabywców. Przed Sierpniem przyjeżdżali studenci z różnych miast uniwersyteckich. I to oni te książki zabierali do Krakowa, Wrocławia, Poznania, Lublina. A w okresie legalnej „Solidarności” to się zmieniło, teraz przyjeżdżali robotnicy. Pamiętam z ówczesną moją żoną, jest niedziela, jestem po kolejnej nieprzespanej nocy. Siódma rano, walenie do drzwi, a tu górnicy przyjechali pierwszym pociągiem z Katowic po książki. Nie wiem, czy do końca autentyczny był ten szal. Ale jeżeli to nawet była moda, to ja bym się bardzo cieszył, gdyby dzisiaj taka moda była, że robotnik czyta Hannę Arendt albo Karla Poppera. Albo choć Gombrowicza, to też jest dość ambitna literatura.

Opowiadał Grzegorz Boguta (js)

Krytycy się organizują

Lata osiemdziesiąte – Sekcja Krytyki Literackiej TLAM

Z perspektywy czasu lata osiemdziesiąte wydają się czasem „czarnej dziury” pod względem oficjalnych działań kulturalnych środowisk literackich i naukowych. Nie całkiem tak było. Mimo zawieszenia PEN Clubu (do 1988 roku), rozwiązania ZLP i obstrukcji środowiska wobec nowego ZLP, trwały próby zorganizowania krajowej struktury, która umożliwiłaby dyskusję nad aktualnymi problemami literackimi oraz integrację środowiska.

Jedną z takich inicjatyw było powołanie Sekcji czy Komisji Krytyki Literackiej przy zasłużonym Towarzystwie Literackim im. Adama Mickiewicza, które, po okresie zawieszenia na mocy Dekretu o stanie wojennym wszystkich organizacji, uzyskało możliwości działania. Jego prezesem był zasłużony badacz literatury oświecenia prof. Zdzisław Libera. Spiritus movens inicjatywy byli – wówczas docenci – Janusz Sławiński i Janusz Maciejewski. W Archiwum PAN w zespole dokumentów TLAM (I-39/56) jest teczka zawierająca dokumentację Komisji Krytyki Literackiej 1984-1986. Ciekawe, że przyjęty oficjalny Regulamin wyraźnie mówi o Komisji Krytyki Literackiej, ja, działając w Warszawie, pamiętam wyłącznie nazwę Sekcja Krytyki Literackiej, w dokumentach zaś pojawiają się obie nazwy.

Paragraf 4 Regulaminu mówi: „Członkiem Komisji Krytyki Literackiej może zostać każdy członek TLAM, który interesuje się zagadnieniami krytyki literackiej i twórczości literackiej i złoży do lokalnie działającego zarządu Oddziału deklarację przystąpienia do Komisji Krytyki Literackiej”.

Decyzję o jego przyjęciu potwierdził 17 października 1983 prof. Zdzisław Libera w piśmie do doc. Janusza Maciejewskiego. W stosownym protokole czytamy, że doc. Maciejewski „zapropomował, aby w ramach Towarzystwa powołać Komisję Krytycznoliteracką, która działałaby podobnie jak komisja komparatystyczna i dydaktyczna. Wniosek swój zgłosił doc. Maciejewski w imieniu członków Towarzystwa z Warszawy, z Krakowa, z Poznania i Gdańska”. Ustalono, że członkowie, poza składkami na TLAM, płacić będą dodatkowe składki 100 zł rocznie. Nie wydaje mi się, aby rzeczywiście skrupulatnie przestrzegano wymogu podwójnych składek, działając w zarządzie Sekcji Krytyki w Warszawie (z Romanem Zimandem, Marią Dernałowicz i Tadeuszem Komendantem), chyba nigdy nie zostałam członkiem Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Pierwsze zebranie odbyło się 23 lutego 1984; była to Komisja Koordynacyjna w składzie: Andrzej Biernacki, Ryszard Matuszewski i Piotr Matywiecki.

Ustalono, że do grudnia 1984 powinny odbyć się zebrania organizacyjne. Chodziło o strukturę ogólnopolską – i rzeczywiście udało się ją zbudować. W jej ramach działały Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań, Gdańsk i czasem Toruń. Do Zarządu Kra-

jowego Komisji Krytyki Literackiej wchodził: Włodzimierz Bolecki, Małgorzata Czermińska, Marta Fik, Michał Głowiński, Grzegorz Godlewski, Jacek Łukasiewicz, Janusz Maciejewski, Ryszard Matuszewski, Egon Naganowski i Sergiusz Sterna-Wachowiak.

W archiwum PAN nie ma wszystkich dokumentów, nie znajduję tam na przykład teczek z dokumentacją Warszawy, którą sama przekazałam. Na podstawie zawartych w zbiorze I-39/56 listów wiadomo o finansowaniu spotkania Marka Nowakowskiego w Poznaniu i wizyty Ewy Najwer w Warszawie (8 lutego 1984 – zapowiada Egon Naganowski w piśmie do TLAM).

W Warszawie od 1984 roku mniej więcej raz na miesiąc odbywały się spotkania na polonistycie UW. I tak na przykład, jak głosi zaproszenie, „Zarząd Sekcji Krytycznoliterackiej Towarzystwa im. Adama Mickiewicza zaprasza na zebranie dyskusyjne poświęcone książce Viktora Klemperera LTI. Notatnik filologa. Wprowadzeniem do dyskusji będą prelekcje Janusza Goćkowskiego i Michała Głowińskiego”. Zebranie miało się odbyć 30 maja 1984 o godz. 17.00 w gmachu polonistyki UW, a zaproszenie w imieniu Zarządu podpisał Janusz Sławiński. 26 października 1984 Zarząd Sekcji Krytycznoliterackiej TLAM zapraszał na spotkanie poświęcone twórczości Zbigniewa Herberta. Wprowadzenia do dyskusji wygłosili Tomasz Burek, Jacek Łukasiewicz, Konstanty Pieńkosz i Roman Zimand. 23 listopada 1984 tematem była powieść Wiesława Myśliwskiego Kamień na kamieniu; występowali Andrzej Mencwel i Grzegorz Godlewski. 21 grudnia 1984 zapraszano na dyskusję „Codziennosc we współczesnej prozie polskiej”, podczas której głos zabrali Marek Nowakowski i Piotr Bratkowski.

Wszystko toczyło się dobrze, spotkania gromadziły bardzo liczne audytorium, które wypełniało po brzegi największą na polonistycie salę na parterze, noszącą wówczas imię Jana Zygmunta Jakubowskiego, aż do 21 marca 1986, gdy na polonistycie nie odbyło się spotkanie „Etos krytyka, badacza, publicysty”, odwołane przez prorektora UW prof. Andrzeja Białynickiego-Birulę pod naciskiem zewnętrznym. Decyzję przekazał prof. Roman Taborski, dziekan polonistyki UW. Udział w dyskusji mieli wziąć Klemens Szaniawski, Jerzy Kwiatkowski, Mirosława Puchalska i Paweł Śpiewak. Prof. Libera, jako prezes TLAM kierował listy do rektora UW, powołując się na zasługi Towarzystwa Literackiego i jego długą historię. Rektor UW prof. Grzegorz Białkowski w liście do prof. Libery z 15 kwietnia 1986 odpisał: „Zebranie Sekcji Krytyki w dniu 21 marca br. istotnie w powstałych warunkach powinno być odwołane”. I komentował: „Oświadczenie to składał z poczuciem prawdziwej przykrości. Incydent uważam za godny ubolewania i pragnąłbym, aby nigdy do niego nie doszło, co było możliwe, gdyby zachowany został większy spokój i poczucie odpowiedzialności. Odbycie posiedzenia Sekcji Krytyki rzeczywiście groziło poważnymi konsekwencjami zarówno Uniwersytetowi, jak i przede wszystkim Towarzystwu”.

Trzeba pozostawić domysłności czytelników, jakie to czynniki wpłynęły na odwołanie spotkania. Nietrudno zgadnąć. Sekcja Krytyki kontynuowała jednak działalność, choć

nie mogła już korzystać z sali na UW. Zastanawiano się nawet nad możliwością wydawania książek, co budziło jednak zrozumiałe w ówczesnej sytuacji politycznej obawy Zarządu Towarzystwa im. Adama Mickiewicza. Organizowano konferencje, w Warszawie – korzystając z sali ZAiKS-u lub pomieszczeń Pałacu Staszica.

W Warszawie w listopadzie 1986 odbyła się sesja: „Dwa schyłki wieku: 1886, 1986”. Zagajenie wygłosili: Marta Fik, Henryk Markiewicz, Jan Prokop, Krystyna Tarnawska-Kaczorowska, Jacek Woźniakowski i Roman Zimand.

Następnie w programie znalazły się referaty: Jan Błoński, Groteska i absurd; Grzegorz Godlewski, Alegoria i realizm; Jacek Łukasiewicz, Wybieranie tradycji; Michał Głowiński, Czy literatura współczesna może być wzorcem mowy; Stanisław Rosiek, Współczesna poezja okolicznościowa; Sergiusz Sterna-Wachowiak, Młody poeta 1986; Tadeusz Nyczek, Dola i niedola krytyka.

Zamknięciem była dyskusja, którą prowadził Janusz Słowiński, a uczestniczyli Tomasz Burek, Tadeusz Drewnowski, Ryszard Matuszewski, Jacek Trznadel.

W sali ZAiKS-u odbyła się 1–3 grudnia 1986 konferencja „Najnowsza literatura polska 1970/1986. Tendencje i sytuacje”, zorganizowana przez Janusza Maciejewskiego. Dokumenty potwierdzają, że rezerwowano noclegi w hotelu ZNP dla m.in. Bogusławy Latawiec, Sergiusza Sterny-Wachowiaka i Ewy Najwer, obecne więc było środowisko poznańskie.

W Krakowie odbyła się w kwietniu 1988 sesja „Dokument a literatura”; udział braли: Marta Fik, Jerzy Jarzębski, Marian Stala, Jacek Popiel, Teresa Walas. We Wrocławiu Sekcji przewodniczył Andrzej Zawada, a sekretarzem był Adam Poprawa; w listopadzie 1989 zorganizowali oni we Wrocławiu konferencję „Młoda polska literatura lat osiemdziesiątych”; udział wzięli: Marek Adamiec, Adam Czerniawski, Janusz Sławiński, Edward Balcerzan, Marian Stala.

To oczywiste, że Sekcja Krytyki TLAM była swego rodzaju proteżą, i to dwóch organizacji – Polskiego PEN Clubu i dawnego ZLP. W 1992 r. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza na walnym zjeździe w Gdańsku zamknęło Sekcję Krytyki Literackiej. W krótkim, ale ważnym okresie jej działalności największą aktywność przejawiali przedstawiciele humanistów akademickich, którzy mieli sieć ogólnopolskich kontaktów, możliwość dostępu do sal, a także duże oczekiwania co do wolności dyskusji. Jak mi się wydaje, Sekcja Krytyki należała do inicjatyw składających się na prehistorię SPP; w 1989 roku, gdy powstały możliwości prawne, wystarczyło skrzyknąć środowisko, by powołać do życia niezależne i samorządne stowarzyszenie. Potrzeby jego powstania nie trzeba było uzasadniać.

Anna Nasiłowska

2.10.87

Dywany minionego czasu uszyte z wędrowców.
miasto jest happeningiem oszołomionego gauleitera
lecz o poranku osłabia. Wtedy
Gloria
W wysprzątanym elektroluksem pokoju
Pomiędzy portretem Jima Morrisona i pomrukiem ksiąg Witkacego
słońce mgli się, przyjdź do mnie kiedy twoja matka jest na zakupach
a ojciec załatwia swoje interesy ciągle i wciąż,
gloria
on jest zachowanym przypadkiem zdjęciem kontestatora
i może kawałek pamięci zapomnianych niedocenionych ról
jak długi granatowy sweter noszony z przyzwyczajenia
ona jest nieświadomym produktem gomułkowszczyzny
chyba uśmiech zamiast myśli i nie uznaje makijażu.
Zapada wieczór, w parku
szaleńcy poprzebierani w pomarańczowe szaty Buddy
toczą płonące beczki, uruchamiają gumowego smoka,
po niemieckich brukach
idą zdjęcie kontestatora i produkt gomułkowszczyzny
trzymają się za ręce
Gloria
I w zapadającej nocnej zorzy
po ich małe dziecko o błękitnych oczach
sięga
cień wąsatego Gruzina.

Krzysztof Biernacki

Amazonki kontra komuna

ZARZĄDZENIE DYREKTORA INSTYTUTU TURYSTYKI z dnia 1986.10.07
w sprawie modelowania, farbowania i skracania włosów przez
pracownice IT.

W związku z samowolnym decydowaniem omkolorze, długości oraz
modelu fryzury pracownice IT zarządzam co następuje:

1. Każda pracownica, która podejmie zamiar ufarbowania, ścięcia
lub przemodelowania dotychczasowej fryzury winna bezwzględnie
uzyskać wstępną akceptację dyrektora IT.
 2. Po uzyskaniu wstępnej akceptacji w ciągu 14 dni winna zgłosić się
do dyrektora IT /bez jakichkolwiek manipulacji przy głowie/
w celu wysłuchania ostatecznej decyzji dyrektora.
 3. W sprawach dotyczących uzyskania wstępnej akceptacji należy zgłaszać
się do dyrektora IT w poniedziałki w godz. 16 - 18.30 w pok. 8.
 4. W celu uzyskania ostatecznej decyzji pracownica winna stawiać się
w sali konferencyjnej w piątki w godz. 16 - 18.30.
 5. Każdorazowy termin zgłoszenia u dyrektora winien być ustalony
z 10-dniowym wyprzedzeniem w sekretariacie IT.
 6. Nie dopuszcza się żadnych zmian w przedmiotowej sprawie po decyzjach
wydanych przez dyrektora IT.
 7. W przypadku naruszenia pkt. 6 /w jakimkolwiek zakresie/ przewiduje
daleko idące sankcje w postaci:
 - a/ zwiększenie ilości "dni bibliotecznyc" /dla pracownic
naukowo-badawczych/ do 4 w ciągu tygodnia;
zakaz przychodzenia do pracy /dla pracownic administracji/
przed dni 5.
 - b/ protokołowanie posiedzeń Kolegium IT przez okres 1 roku.
 - c/ stały zakaz konsultowania wszelkich spraw służbowych
z dyrektorem IT w ciągu 1 roku.
 8. W sprawach spornych przyjmuje z-pca dyrektora dr A. Mazur
w środy między 6-ą a 8-ą.
- Zarządzenie wchodzi w życie z dniem podpisania.

Komuniści kochali kobiety. Wszyscy pamiętamy szaleństwo jakie za czasów PRL miało
miejsce corocznie 8 marca. A do dziś ten dzień, to jedno z największych świąt w Rosji.
Jednak kobiety nie okazały wdzięczności jakiej oczekiwały władze. „Maria” i „Amazon-
ka” – dwie inicjatywy w dwu państwach byłego obozu to pierwsze jaskółki tego buntu.

A mogło być tak pięknie:

Dokument dostałem od Magdy Goc, mojej przyjaciółki z francuskich Pirenejów, nie-
gdyś uczestniczki działań podziemnych, w tym w Wydawnictwie Droga, prowadzo-
nym przez jej męża, Andrzeja Boguszewskiego.

Śladami „Marii”...

No, ile to już lat minęło !? I oto świętują dwudziestopięciolecie ruchu kobiecego w Rosji. I czasopismo „Maria”, które naznaczyło moje życie na następne trzy dziesięciolecia, wspominają ! Choć mnie, właściwie, nie wspominają. Trochę to przykre. Nie na tyle, by krzyczeć o tym na cały świat. Bo ja nie z Pitra! Jestem z Łotwy, czyli jakby cudza. Ale ja – to właśnie ta sama Ksiusza, którą jeśli wierzyć „Nowemu Przeglądowi Literackiemu”, ktoś tam „wybrał” i przyprowadził wczesną wiosną 1980 roku do Nataszy Małachowskiej. Nawiasem mówiąc, z tego artykułu dowiedziałam się, że moja „tragedia” polegała na... braku mieszkania. I dlatego właśnie napisałam wtedy dla „Marii” swój „Monolog bezdomnego”. Taka oto trochę głupkowata Ksiusza!... Było tam, co prawda napisane mimochodem, że to mnie Natasza wyjeżdżając pozostawiła pod opieką całe archiwum pisma. I że poprosiła, bym została jedną z redaktorek „Marii” w Leningradzie. I ten to mój lekko karykaturalny portret, całkiem niedawno odkryty przeze mnie w internecie, już podczas mojej dzisiejszej emigranckiej egzystencji, sprawił, że postanowiłam się odezwać. Przecież ja żyję! Może sama opowiem o sobie i o piśmie „Maria”. Jak patrzyłam na nie z mojego, nie tak znowu odległego, ryskiego oddalenia?

Nie, nigdy nie żałowałam tego, że wzięłam udział w tej dziwnej grze w ruch kobiecy w Pitrze. Ani wtedy, ani teraz! U nas, w Związku Radzieckim, zupełnie realnie funkcjonowało proklamowane równouprawnienie kobiet i mężczyzn – w tym rozumieniu, jakie zostawili nam w spadku rewolucjoniści początku wieku XX. Kobiety na równi z mężczyznami stały przy obrabiarkach. Fotografie potężnych istot z zaczerwienionymi od wiatru policzkami, z czapkami kolejarskimi w dłoniach zdobyły wszystkie gazety. Kobiety, które polityka leninowska już na samym początku władzy sowieckiej „wydobyła z mieszczańskiego błota”, sumiennie wносиły swój wkład do rodzinnego budżetu, zgodnie z ideą równouprawnienia socjalistycznego.

Pracowałam wtedy w gazecie codziennej. I od czasu do czasu pisałam artykuły do prasy republikańskiej. Była to część rzeczywistości, mieszcząca się w ramach tego, co wydawało się wówczas być czymś naturalnym. W ten schemat nie wpisywały się jednak moje osobiste doświadczenia życiowe – to było to, o czym głośno z trybun, ani w gazetach się nie mówiło. W tych ramach nie mieściły się też pisane przeze mnie wiersze – przede wszystkim brak im było życiowego optymizmu, o czym mnie ciągle przekonywali w redakcjach gazet i na kursach literackich dla młodych pisarzy przy Związku Pisarzy Sowieckich Łotwy, w których wtedy uczestniczyłam.

W każdym razie wiosną 1980 roku w ramach kursu literackiego wysłana zostałam do Leningradu na seminarium młodych pisarzy północno-zachodniego ZSRR. Tu też oceniono niezbyt przychylnie moje wiersze. Nie znaleziono w nich ani koniecznego optymizmu, ani odzwierciedlenia otaczającej nas rzeczywistości socjalistycznej, a nawet prób poszukiwania nowych środków wyrazu. Pochwalili szczerość, i coś chyba jeszcze,

co uważałam za zrozumiałe samo przez się. Ludzie uczestniczyli we wszelkich towarzyszących seminarium spotkaniach, prywatkach. Dawały one rzadką możliwość nawiązania ważnych znajomości, pojawienia się w telewizji, przebicia się ze swoją publikacją do prasy. No i była to też szansa na dobrą zabawę!

Zadzwoiłam na numer, który dostałam od swego przyjaciela, poety i filozofa Władimira Frenkla. Spotkałam się potem w świątyni w Lisim Nosie pod Pitrem z Tanią Goriczewą. Dokładnie już nie pamiętam, jak doszło do tego spotkania i jak się rozpoznaliśmy! I ona przywiozła mnie potem do Nataszy Małachowskiej. Piłyśmy herbatę z miodem w ciemnym mieszkaniu Nataszy, a ja opowiadałam o swojej Rydze. Tej Rydze, która w powszechnej świadomości jakby nie istniała. Była to Ryga hoteli robotniczych, niepewnego bytu, ciężkiej pracy – i nadziei po prostu na normalne życie, które nastąpi wtedy, kiedy przyjdzie nasza kolej i otrzymamy przydział mieszkania. Rzecz w tym, że w tym czasie, jeszcze miałam przed oczami wrażenia, jakie wyniosłam ze swojej stosunkowo niedawnej pracy w hotelu robotniczym, gdzie na różnych piętrach mieszkali mężczyźni, kobiety i rodziny pracowników kombinatu drzewnego. I stały jeszcze przed moimi oczami sceny awantur na korytarzach, zwariowane wspólne życie obcych sobie kobiet w pokojach czteroosobowych. U mężczyzn było spokojniej. No, wypiją! Ot, u któregoś przenocuje przyjaciółka! Ale nie było takiej wściekłości, którą powoduje chyba tylko wspólna kuchnia.. Może to dlatego, że sprawy bytowe mniej mężczyzn interesowały, albo, że wcale ich to nie obchodziło. A nasze kobiety!... O, to ich wytykanie złego prowadzenia się, kiedy do którejś z sąsiadek przychodził na noc mężczyzna! I – intrygi, czy małżonkowie czy kochankowie. I energia młodych rodzin, wciśniętych w jeden pokój, wyczerpywała się w śmiertelnych zapasach z kwadraturą życia...

Moi znajomi, którym o tym wcześniej opowiadałam, uważali moje opowieści za wyolbrzymione, nie do końca trafiające w istotę rzeczy. Ot, dzieje się to – gdzieś tam, na zewnątrz naszego własnego życia, dotyczy kogoś spoza naszego kręgu.. A w naszym kręgu wszyscy mają swoje mieszkania – nawet jeśli nie zawsze samodzielne. Nawet jeśli to nasze mieszkanie jest ciasne. Nawet jeśli musimy się w nim zmieścić z wieloma pokoleniami swojej rodziny. Ale nie mamy komendanta hotelu i strażnika przy drzwiach do budynku! I nie ma też tabliczki: „Otwarte do 24.00. Odwiedziny dozwolone do 22.00”. A jeśli tego nie widzimy, to i nie wiemy o tym, i nawet nie chcemy wiedzieć.! O, jak mi się dostało, kiedy na zajęciach literackich w Związku Pisarzy Sowieckich Łotwy przeczytałam prościutki, dopiero co napisany wiersz! Oto i on:

Wiersze żyją tak samo jak ptaki,
Gdzie się zakochają – tam śpiewają.
Ale nie kochają hoteli robotniczych,
I nigdy tam swoich gniazd nie wiją -
Ni w okropnym rozgardiaszu kuchen,

Ni w pokoi nędznych ciasnocie...
 Dusza milczy ciemno i głucho -
 Jak w przedwiecznej niemocie!

Spadły na mnie wszystkie gromy niebieskie! Tak jakbym zniesławiła hotel robotniczy, symbol Wspólnego Życia, symbol Kolektywu. Przecież sam Władimir Majakowski pisał w jednym z wierszy, którego nauczyliśmy się jeszcze w szkole, „Towarzyszowi Nette, statkowi i człowiekowi”: „ Bez Rosji, bez Łotw – żyć w zjednoczonej ludzkiej wspólnocie!” Był już rok 1980, bynajmniej nie lata trzydzieste. A ja czułam się jakbym znalazła się wśród wariatów. W Pitrze na seminarium nie było lepiej. Wszyscy widzieli taki świat, jakiego ja nie widziałam – może więc to ja mam defekt postrzegania? A przecież – i hotel robotniczy był realny. I istniała bezdomność. A nawet bezrobocie, którego u nas oficjalnie nie odnotowywano. Nie zdążyłam wtedy o tym napisać. Tylko opowiadałam o tym Tani i Nataszy.

I jak one słuchały! Zrozumienie, życzliwość – i wycucie tego, że mówię o czymś ważnym, potrzebnym. Skończyło się moje rozdwojenie jaźni!

– Napisz do pisma to, o czym opowiadałaś – o hotelu robotniczym – powiedziała Natasza podczas kolejnego spotkania. Przeszliśmy już wtedy na „ty”. I opowiedziała mi o piśmie i klubie „Maria”. Pismo zamierzano przygotowywać w Leningradzie w maszynopisie w nakładzie 6 egzemplarzy. Z niewiadomych powodów wydawcy czasopisma uważali, że taka liczba nie podpada pod paragraf „rozprzestrzenianie antysowieckich oszczerstw”. (O, jakże się mylili!) Artykuł był potrzebny natychmiast!

– No dobrze, potem napiszę – odpowiedziałam.

– Nie, teraz. Tu jest papier i pióro. A ja się przejdę.

Na ulicy było wilgotno i wietrznie, jak to w Pitrze pod koniec marca. Natasza musiała porządnie przemarznąć, w czasie kiedy pisałam pierwszą część swego „Gospodarza domu”. Po 2 godzinach wróciła z piernikami. Nastawiła wodę na herbatę. I czytałyśmy wiersze, swoje i cudze. Rozmawiałyśmy o tzw. „kobiecy” postrzeganiu świata. Słowo to zwykle wymawiano z lekkim uśmieszkiem, jakby było czymś nieokreślonym, niepoważnym, może nie całkiem dorosłym. Tak właśnie postrzegano kobietę w chrześcijańskim średniowieczu, a do dzisiaj – w świecie islamu.

Wtedy to, w ciemnawej komunalce, u Nataszy po raz pierwszy opowiadałam o kobiecym świecie hotelu robotniczego, o posłusznym przyjmowaniu swego losu przez kobiety, poniżane nieludzkimi warunkami bytowymi. O tym, jak traktują je mężczyźni, też przytłoczeni pracą, i warunkami życiowymi, ale w tej sytuacji – będący „panami życia”. Była to sfera, którą nie potrafiłam zainteresować ani gazety – w której pracowałam, ani obrońców praw człowieka, którzy nie dzielili ludzi ze względu na płeć. Dlatego o tej oczywistej różnicy w sferze socjalnej mówiło się w najlepszym wypadku z pobłażliwym uśmieszkiem.

Zaczęłam regularnie odwiedzać Piter – przywoziłam wiersze. Pisałam artykuły. Kilka razy wzięłam udział w spotkaniach kobiecego klubu „Maria”. Ale potem moje nowe przyjaciółki zaczęły wyjeżdżać – ściślej, Leningradzkie KGB zaczęło je wyrzucać z ZSRR. Zbliżała się Olimpiada w Moskwie 1980 roku, na której miało pojawić się mnóstwo dziennikarzy z zagranicy. Dlatego władza rozpoczęła „oczyszczanie” większych miast z „elementów niepożądanych”.

Nie będę opisywać pożegnania Nataszy Małachowskiej. Nie opowiem jak patrząc przez łyż na błyszczącą wieżę Nikolskiego Soboru, czytałam z bólem w sercu i rozdartą duszą wiersze Josifa Brodzkiego, który nie tak dawno też musiał opuścić Piter: „Ni ojczyzny, ni cmentarza// Nie chcę wybierać...”

Nie będę opisywać rozgardiaszu towarzyszącego odjazdowi i śmiertelnej tęsknocie, że to na zawsze, bezpowrotnie... Przed odjazdem Natasza poprosiła mnie, bym razem z pozostałymi (potem i oni wyjechali), Tatianą Bieliajewą i Ałłą Sariban zajęła się redagowaniem pisma. Ałła była jedynym wśród nas reprezentantem nauk ścisłych. W tym czasie była kandydatem nauk i zajmowała się problemem oczyszczania polimerów. Tania Bieliajewa była filozofem, zgodnie z wykształceniem. Tylko ja jedna byłam profesjonalną dziennikarką. Dlatego to mnie właśnie przyszło jeździć z Rygi do Pitera – żeby redagować teksty.

Poznałam wtedy bardzo różne kobiety, które później zostały aktywnymi autorkami pisma, a niektóre nawet stały się jego współredaktorkami. Pamiętam, przychodziła z dwojgiem małych kędzierzawo – czekoladowych dzieci Anna Małonga – żona studenta z Kongo, którego z jakiegoś powodu po wakacjach nie wpuszczono z powrotem do Leningradu. Wiele i interesująco pisała do „Marii” Jelena Szanygina, z którą się później zaprzyjaźniłam. Często zatrzymywałam się właśnie u niej. Była tam też Galina Grigorjewna. Mieszkała tylko z dwoma synami. Wysoka, sprawiająca silne wrażenie – potrafiła o najprostszych rzeczach opowiadać tak, że stawały się obiektami godnymi badań naukowych. To było tak efektowne jak i ona sama.! Była też Natasza Łazariewa – malarka, autorka fotografii, która pisała też i wiersze... Najtragiczniejsza postać w naszym ruchu! Choć zatrzymałam się u niej parę razy i była też jedną z ostatnich trzech współredaktorek pisma, znałam ją najsłabiej ze wszystkich.

Stopniowo redakcja topniała – nasi redaktorzy i autorzy wyjeżdżali. Spośród redaktorów najdłużej ostałam się tylko ja – prawdopodobnie dlatego, że jedyna nie pochodziłam z Pitra. Z ostatnią redakcją pisma, z Galiną Grigorjewną i Nataszą Łazariewą w tym czasie miałam tylko sporadyczny kontakt, przyjeżdżałam rzadko. Było w powietrzu coś trudne do wycucia, choć fizycznie odczuwalne, wisiało w powietrzu, jak jesienna pajęczyna. Żartobliwie-nieuważny stosunek do pracy i pusty salonowy rozgardiasz budziły ostrożność!

Na początku roku 1982 dowiedziałam się, że Natasza Łazariewa została aresztowana. Nastąpiły rewizje u wielu byłalczyn klubów oraz autorów pisma. Kobiety zosta-

ły wyrzucone z pracy, pozbawione środków do życia. Od tego momentu nie mogli pracować w swoich zawodach. Rękopisy moich wierszy i artykułów wpadły podczas rewizji u Gali Grigorjewnej. Podpisywałam je pseudonimami Ksenia Romanowa i Alfa Łauwa. No więc w jaki sposób dowiedzieli się mojego prawdziwego nazwiska? To sprawa sumienia tego, który je ujawnił! Koniec końców „wszystkowiedzące” organy zawsze wiedzą tylko to, co przekażą im konkretni ludzie, nie potrafiący sprzeciwić się złu. Bóg ich osądzi!

Tak i ja straciłam pracę w gazecie, a potem nawet możliwość życia w Rydze. Śledczy z KGB w Rydze Wiktor Minajew zapewniał mnie, że zakaz pracy w prasie będzie dożywotni. I nie ma w tym zasługi „organów”, że w 1989 roku, już po 7 latach zakaz ten został zdjęty. No, ale to czasopisma „Maria” już nie dotyczy.

przeł. js.

Obiad

Akcja wywiezienia papieru z garażu, który został przez policję namierzony i obserwowany. Całą akcją kierował Władek Król, który przez nas był nazywany Sztruksem. Magazyn był zlokalizowany w garażu, w mieszkaniu obok siedziało dwóch panów, którzy czekali na to, kiedy i kto przyjedzie po ten papier. No oczywiście z właścicielką tego domu, i tego garażu (a właściwie gospożą, bo to był dom znanego rzeźbiarza Adama Myjaka) byliśmy w stałym kontakcie. Ona wychodziła na targ, kontaktowaliśmy się, i któregoś dnia doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie wjechać samochodem dostawczym do tego garażu i ten papier wywieźć. No ale co z tymi panami, którzy obserwują? Namówiliśmy panią, żeby w drugim pokoju, od ulicy, tak żeby nie widzieli podwórka, poczęstować ich obiadem. Co ona natychmiast uczyniła. W tym czasie myśmy podjechali do garażu i cały papier zwinęliśmy. Po pewnym czasie, jak nikt się nie zgłaszał po ten papier, ci panowie się zainteresowali garażem, zajrzeli tam i zdziwieni, że pusty, tam nic nie ma. No i na to bardzo ładne było zachowanie tej pani gospośi, która powiedziała, a co panowie chcieli tu znaleźć? No jak to co, przecież papier, który tu był. A ta pani: przecież tutaj nigdy żadnego papieru nie było.

Opowiedział Edward Przybysz (js)

P. 52A135 ChnA v2up.

AMAZONKA

4

1985

Hydrogen, stored 65 to

NIEZALEŻNE PIŚMO KOBIECE "SOLIDARNOSĆ" Hydrobraz, 2002

Anne Hertz

Pamieci Piotr Bartoszek

My wiemy
Nie na próżno odszedłeś od pierwszych iskier zzielenia
w głąbi syna

Nie na próżno odziedziczyłem
w objęciach budzących się traw
i ciemniejących obłoków ponad drżącymi pomostami
ptasich gniazd
moją bliźnię

One sięgnęły krawców i betonowej blizny
na wilgotnej piersi pols
i otępi ich
pochnylonych głów
które nigdy już nie wzrosną pękających wież
mojego spojżenia

[illegible]

Kobiety w więzieniach

Każdemu, kto podejmując walkę o "Solidarność" należy zalecić, aby udzielił sobie możliwość zniechęcenia się w więzieniu. I aby potrafił być możliwym jako coś oczywistego, a nie jako rzecz straszna, nie z tej ziemi, nie dla człowieka. W Polsce są przecież trzy kategorie ludzi: ci, którzy siadali, ci, którzy siedzą, i ci, którzy będą siedzieć. Tylko z taką świadomością można odważać się skutecznie opierać się władzy SB. Tylko człowiek nie błądzący się przed więzieniem, bólem i nogami nie puszcza farty, nie isyruje, nie podpisuje "lojałów", nie godzi się na ohydne funkcje, w tym: czy kapusia. Podejmując walkę o "Solidarność" trzeba trzeźwo spojrzeć na warunki panujące w więzieniach. Wtedy mniej będzie lęku, bo ... nie taki diabeł straszny jak go malują. Kobiecy w więzieniach mają z jednej strony garść ciężej niż mężczyźni, bo stopień załamania więźniarek kryminalnych jest poważniejszy i dlatego są one bardziej agresywne i uciążliwe. Jeśli już samy się niawstyżają, to z tymi, którymi inaczej nie można dać sobie rady. Ponadto psychika kobiecia gorzej niż męska znosi zamknięcie, w szczególności zaś odizolowanie od rodziny. Z drugiej strony w więzieniach kobiet panuje opłakany rygor, można mieć kilka ciuszków na zmianę, papież żywnościowo są więźniarki. Po prostu na kobietę nawet czworony papież patrzy inaczej, pogodniej. Warto więc podejmując walkę o "Solidarność" poznać więzienie, choćby z rzeczonych opowiadań w sądownictwie walki. Wtedy w razie czego będzie łatwiej.

Wszystkie dane zostały wprowadzone do systemu i są dostępne dla wszystkich użytkowników.

Sytuacja zdrowotna w kobiet w PRL-u

Wzrost kobiety stanowił 51% populacji ludności i około 40% wszystkich zatrudnionych. Wzrost mężczyzn o drugiego życia i przybitych mikrobaen można sądzić, że jest to jest przeciętnie zdrowie od mężczyzn, które nie przeważa. Wynajemnikiem zdrowia jest stan pełnej sprawności fizycznej, psychicznej i społecznej. Na zdrowie bardzo zły wpływ mają stresy psychiczne oraz niedobory składników pokarmowych. Zachorowalność kobiet na zapalenie wątroby, choroby naczyniowe i zawodowe znacząco wzrasta.

Amazonka, kobiece pismo niezależne „Solidarność”. Wydawano je w Bydgoszczy w latach 1984-85. Ukazało się 7 numerów. Wychodziło nieregularnie w nakładzie 500 egz. Drukowane na powielaczu białkowym. Redaktor naczelną była Alicja Staszewska, a redagowali je także jej mąż Grzegorz Staszewski oraz Stefan Pastuszewski. Pismo publikowało artykuły o tematyce kobiecej, politycznej oraz o działalności Regionalnego Komitetu Koordynacyjnego „Solidarność”.

Odptywające molo

Grudzień 1970 w działaniach opozycji demokratycznej

W Grudniu 1970 r. w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie i Elblągu śmierć poniosło, według oficjalnych danych 45 osób, zaś tysiące zostało rannych. Wbrew obiegowej opinii tragiczna rewolta nie objęła tylko polskiego Wybrzeża, ale szeroką ławą rozlała się również po Polsce, aby wspomnieć protesty w Słupsku, Krakowie, Wrocławiu czy Warszawie. Agresywność i bezpardonowość w działaniu, cechująca zwłaszcza wojsko, była szokiem dla społeczeństwa. Nieukaranie zaś sprawców i zastosowane tylko rozwiązania polityczne (zastąpienie Władysława Gomułki przez Edwarda Gierka) nie tylko nie uspokoiły ludzi, ale tym mocniej zmusiły do artykułowania sprzeciwu wobec jawnego bezprawia oraz dbałości o pamięć o zabitych.

Już tradycyjne pochody pierwszomajowe w 1971 r. w Szczecinie i Gdańsku stały się miejscem otwartej manifestacji społeczeństwa przeciwko nierozliczeniu zbrodni Grudnia 1970 r. W obu pochodach eksponowano podobnej treści transparenty żądające ukarania winnych tragedii oraz przedefiniowano przed władzami partyjnymi oczekującymi manifestantów na trybunie honorowej.

W Szczecinie po dotarciu pod trybunę honorową, na której stał między innymi członek KC PZPR Kazimierz Barcikowski, konsulowie ZSRR, Czechosłowacji i NRD kolumna zatrzymała się. Henryk Toczek, Wiesław i Jerzy Nadratowscy oraz osoby trzymające transparenty odwrócili się w stronę trybuny honorowej. Orkiestra przestała grać, zamilkł też spiker pochodu. Toczek uniósł w górę i wyciągnął przed siebie lewą dłoń ubraną w czarną rękawiczkę i zamarł. Jak pisał Michał Paziński w książce „Grudzień 1970 roku w Szczecinie”: „pięści na około 5 minut podnieśli także uczniowie Z[asadniczej] S[zkoly] B[udowy] O[krętów] i T[echnikum] B[udowy] O[krętów]. Jeden ze stoczniovców zrzucił oficerowi MO czapkę z głowy uznając, że nie oddaje on hołdu pomordowanym. Po kilkunastu sekundach orkiestra zagrała marsza żałobnego”.

W Gdańsku pod bramą nr 2 stoczni składano wieńce i kwiaty, a miejsce to – jak relacjonowała SB – zostało nazwane ścianą płaczu ze względu na starsze kobiety, które na widok wieńców wpadały w szloch. Zaskoczone władze niewiele mogły zrobić w czasie trwania obu uroczystości. Po ich zakończeniu nadszedł czas represji wobec uczestników obu pochodów. Nie cofano się przed niczym.

Pomimo to Służba Bezpieczeństwa obawiała się kolejnych wystąpień 1 listopada 1971 r. Jak pisał Grzegorz Majchrzak „w związku z tym cmentarze poddano obserwacji, a od 30 października do 2 listopada 1971 r. prowadzono specjalne działania, w ramach – jak to określano – >>operacyjnego i fizycznego zabezpieczenia Świąta Zmarłych>>. Nad przebiegiem tych działań czuwały powołane – na szczeblu komend wojewódzkich MO – specjalne sztaby (np. w KW MO w Gdańsku, na jego czele stał naczelnik Wydziału III Jan Kujawa). Tworzono też poszczególne grupy (operacyjne, informacyjne i śledcze). Władze lokalne, aby zapobiec spontanicznemu składaniu kwiatów –

zwłaszcza przez szczecińskich, gdańskich i gdyńskich stoczniovców – zorganizowały akcje składania kwiatów na cmentarzach przez delegacje tych zakładów. I tak np. 30 października rano przedstawiciele – oczywiście starannie dobrani – Stoczni im. A. Warskiego w Szczecinie udali się autokarem na Cmentarz Centralny w celu złożenia kwiatów na grobach trzech stoczniovców zabitych w Grudniu '70, byłego dyrektora tego zakładu pracy Henryka Jendzy (zmarłego w 1962 r.) oraz... żołnierzy polskich i sowieckich. Również w tym przypadku szczecińska SB podjęła „czynności zabezpieczające”. W Gdańsku szeroko zakrojona akcja zapobiegawcza doprowadziła do udaremnienia zapalania zniczy pod bramą nr 2 Stoczni im. Lenina, podobnie działo się w Gdyni. Tylko dzieciom „które 31 października wieczorem zapaliły trzy świece na nasypie kolejowym w okolicy stacji PKP Gdynia-Stocznia, <<w miejscu, gdzie polegli w wydarzeniach grudniowych>>”, SB nie przeszkodziła w tym działaniu. W kolejnych latach podobne akcje kontynuowano, pacyfikując wszelkie próby manifestowania pamięci o ofiarach Grudnia 1970 r.

Po powstaniu opozycji demokratycznej pielęgnowanie pamięci o Grudniu 1970 r. spoczęło w rękach działaczy Wolnych Związków Zawodowych. Zarówno w Gdańsku, Gdyni, jak i Gryfinie/Szczecinie to oni dbali o grudniowe upamiętnienia i nie bacząc na czekające ich szykany ze strony aparatu bezpieczeństwa organizowali stosowne manifestacje 16 czy 17 grudnia. W Gdańsku doszło do niezwykle ciekawej sytuacji podziału organizacji obchodów pomiędzy liczne organizacje opozycyjne. Przykładowo Ruch Młodej Polski odpowiadał za 3 maja i 11 listopada, zaś WZZ za obchody Grudnia 1970 r. Obchody Grudnia zazwyczaj zaczynały i kończyły się w podobny sposób, czyli zatrzymaniami lub rewizjami prowadzonymi u organizatorów tych uroczystości. Największe obchody przed sierpniem 1980 r. miały miejsce w Gdańsku w grudniu 1979 r. Zgromadziły one kilka tysięcy gdańszczan. To wtedy Lech Wałęsa postulował, aby za rok przynieść w to miejsce po kamieniu, z którego zostanie zbudowany pomnik. Władze, aby unicestwić tego typu inicjatywy zamierzały nawet przebudować okolice bramy nr 2 stoczni. Nie zdążyły. Warto podkreślić, że od samego początku na sztandarach wybijano konieczność budowy pomnika lub tablicy poświęconych rewolucji grudniowej. Niewątpliwie o wiele większy zasięg miały te wydarzenia w Gdańsku, Gdyni niż w Szczecinie.

Strajki z sierpnia 1980 r. przyniosły w Gdańsku i Szczecinie powołanie Międzyzakładowych Komitetów Strajkowych, a potem podpisanie stosownych porozumień z rządem. Jednak tylko w żądaniach szczecińskich pojawił się punkt 13, w którym domagano się „ufundowania przed bramą Stoczni tablicy upamiętniającej ofiary wydarzeń w grudniu 1970 r.”. W Gdańsku 24 sierpnia 1980 r. powołano Społeczny Komitet Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców 1970, na czele którego stanął Henryk Lenarciak, od lat zabiegający o upamiętnienie poległych. Przeprowadzono zbiórkę pieniędzy i pomimo wielu problemów komitetowi udało się zaprojektować i zbudować słynny „Pomnik

Trzech Krzyży”, który stanął nieopodal bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej. W czasie działalności komitetu dochodziło do wielu sporów personalnych pomiędzy Międzyzakładowym Komitetem Założycielskim w Gdańsku a członkami SKBPPS oraz, równocześnie, władzami administracyjnymi. Idea pomnika, napisy na nim oraz płaskorzeźby były nieustannie konsultowane również z Episkopatem. 16 grudnia 1980 r. w uroczystościach odsłonięcia pomnika wzięli udział przedstawiciele najwyższych władz PRL z przewodniczącym Rady Państwa Henrykiem Jabłońskim, wysocy rangą hierarchowie Kościoła, przedstawiciele NSZZ „Solidarność” oraz liczne delegacje z Polski. Nie było tam tych, którzy ponosili odpowiedzialność za zbrodnie z Grudnia 1970 r. Arkadiusz Kazański pisał o Gdańsku: „O godz. 17.00 zawyły syreny i rozległo się bicie dzwonów we wszystkich gdańskich kościołach. Z głośników popłynęła skomponowana specjalnie na tę uroczystość *Lacrimosa* Krzysztofa Pendereckiego. Daniel Olbrychski odczytał 11 Psalm Dawidowy w przekładzie Czesława Miłosza, a następnie wezwał do apelu poległych. Na zakończenie odczytał fragment orędzia prymasa Polski na Boże Narodzenie 1980 r. Symbolicznego odsłonięcia pomnika dokonali przedstawiciele rodzin zabitych stoczniowców: Jan Łopata, Ewa Ostrowska, Janina Tarczewska, Lech Widerlik i Tadeusz Nastąły, który przeciął biało-czerwoną szarfę. Lech Wałęsa rozpałił znicz i wygłosił przemówienie. Zacytował w nim fragment listu Episkopatu Polski, w którym biskupi przestrzegali przed podejmowaniem działań mogących narazić Polskę na niebezpieczeństwo zagrożenia wolności i państwowości. Apelował: >>W imię patriotycznej postawy, sprawiedliwości i pokoju wzywam was tu obecnych i wszystkich Polaków, ludzi dobrej woli, do całkowitej odpowiedzialności, ładu i poszanowania wszelkich praw i godności>>. Po odśpiewaniu Bogurodzicy rozpoczęła się msza święta koncelebrowana przez metropolitę krakowskiego, kard. Franciszka Macharskiego, który poświęcił sztandar „Solidarności”. Homilię wygłosił bp Lech Kaczmarek. Sekretarz Episkopatu Polski bp Bronisław Dąbrowski odczytał telegram nadesłany przez Jana Pawła II i list prymasa Wyszyńskiego. Podczas poświęcenia pomnika abp Macharski mówił: >>Z tą chwilą pomnik staje się rzeczą świętą, stanowiącą znak pojednania, znak zwycięstwa miłości nad nienawiścią, nadziei nad bolesnymi doświadczeniami przeszłości, znak zwycięstwa Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego na polskiej gdańskiej ziemi>>”.

Ale z uroczystościami z Grudnia 1980 r. łączy się jeszcze inna historia. To historia najslynniejszego plakatu poświęconego tragedii Grudnia 1970 r., którego autorką była Krystyna Janiszewska, mianowicie białego napisu „1970 Grudzień” na czarnym tle. Janiszewska wspominała: „Minął sierpień, wrzesień i nadeszła zima grudzień roku 1980. Zbliżała się 10 rocznica Wydarzeń Grudniowych na Wybrzeżu. Sierpień miał swoje dumne logo i plakat też [autorem był mąż Janiszewskiej, Jerzy– przyp. SL]. Zebraliśmy się jak zwykle z najbliższymi przyjaciółmi u nas w domu, aby wspólnie przedyskutować, że może by tak coś zrobić równie pięknego i symbolicznego jak, *solidarność*. Kole-

dzy przynieśli swoje propozycje a mnie wysłali >>jako babę do kuchni zrobić kanapki>>. W tej to małej kuchni w Gdańsku na Morenie przy ul. Marusarzówny wpadł mi pomysł na logo obchodów grudniowych, zrobiłam szkic od ręki i zamiast kanapek podałam im na tacy. Tej samej nocy w okropnych bólach w karetce na sygnale odwieziono mnie do szpitala na ul. Kliniczną. Miałam zapalenie otrzewnej. Moje życie wisiało na włosku. Przez całą noc błagałam o zniszczenie tego plakatu, mówiąc, że jest to krzyż na mój grób. Było już za późno, maszyny poszły w ruch i rano pierwsze plakaty wisiały już na mieście. Ja natomiast z okien szpitala z oddali widziałam wielką łunę światła unoszącą się nad dzisiejszym placem Solidarności, gdyż to tam właśnie odbywały się główne obchody tych tragicznych wydarzeń na Wybrzeżu. Po latach odwiedził nas wspólny przyjaciel / wykładowca ASP / i widząc u nas w domu dwie ściany, jedna czerwona, druga czarna powiedział: no już więcej nic nie musicie w życiu robić: Ty, zwrócił się do Jurka, masz czerwoną a Ty, zwracając się do mnie – czarną”.

Dzień później, czyli 17 grudnia 1980 r., pomnik (jeden z dwóch, które planowano postawić) odsłonięto w Gdyni na placu przed Urzędem Miasta. Kazański pisał: „Gdyńskie uroczystości upamiętniające 10. rocznicę Grudnia '70 rozpoczęły się 17 grudnia 1980 r. o godz. 5.00 rano przy przystanku SKM Gdynia Stocznia. Odprawiono uroczystą mszę św. i odczytano apel poległych. Potem odbyła się niecodzienna konferencja prasowa dla dziennikarzy krajowych i zagranicznych z udziałem rodzin poległych w grudniu 1970 r. O godz. 17.00 w Gdyni na placu przy Urzędzie Miasta zaczął się koncert chórów i orkiestr. W miejscu planowanej budowy pomnika wmurowano kamień węgielny. Rocznicowe obchody zakończono 18 grudnia koncertem słowno-muzycznym w kościele Serca Jezusowego w Gdyni z udziałem artystów scen polskich, chórów i orkiestr. Podczas koncertu wręczono Halinie Mikołajskiej uchwałę, przegłosowaną 10 listopada 1980 r. w Gdańsku podczas konferencji środowisk teatralnych z całej Polski, z wyrazami uznania za jej bezkompromisową postawę. Konkurs na drugi pomnik w Gdyni rozstrzygnięto 1 lutego 1981 r. Wybrano projekt autorstwa Grzegorza Kowalskiego i Krzysztofa Tchórzewskiego. Jego odsłonięcie planowano na 15 sierpnia 1981 r. Wszystkie nadesłane projekty zostały wystawione w salonie wystawowym na Targach Rybnych przy Skwerze Kościuszki w Gdyni. Na skutek zamieszania, jakie powstało wśród członków SKBP, który do 1 marca 1981 r. zgromadził na koncie 13,8 mln zł, terminu nie dotrzymano. Komitet rozpiął drugi, a następnie trzeci konkurs, który miał być rozstrzygnięty 16 grudnia 1981 r.”.

Także 17 grudnia 1980 r. w Szczecinie na bramie Stoczni Szczecińskiej zawisła okolicznościowa tablica, zaś tygodnik „Jedność” (oczekujący już na swój oficjalny debiut) wyszedł w numerze okolicznościowym, jeszcze bez debitu, w całości poświęcony 10 rocznicy tragicznego Grudnia 1970. Znalazły się w nim między innymi relacje rodzin niektórych ofiar Grudnia 1970 r. w Szczecinie. Same uroczystości rozpoczęły się „o godz. 16.00 przy bramie głównej Stoczni im. A. Warskiego. W swym przemów-

wieniu [Marian] Jurczyk podkreślił, że winni rozlewu krwi nie ponieśli odpowiedzialności, przypomniał również o długu zaciągniętym wobec ofiar wydarzeń grudniowych. Przyczyną wydarzeń sprzed dziesięciu laty było sprzeniewierzenie się kierownictwa państwa przyrzeczeniom danym robotnikom i decyzja o konfrontacji z klasą robotniczą; z kolei przyczyną strajków sierpniowych było to, że wysiłek włożony przez ludzi, którzy przyrzekli pomoc władzy, poszedł na marne. Podjęli oni jednak walkę, dzięki której >>dziś mamy organizację ludzi pracy wolną i niezależną, której musimy strzec jak największego dobra>>. Wojewoda szczeciński Tadeusz Waluszkiewicz stwierdził natomiast, >>że przelana krew nie powinna dzielić Polaków, lecz jednoczyć ich w pracy o lepszą przyszłość. O godz. 17.20 zaczęła się msza św. odprawiana przez bp. Majdańskiego. W uroczystościach uczestniczyło ok. 18 tys. osób”.

Natomiast w Elblągu pomnik odsłonięto w sierpniu 1981 r. na obecnym pl. Solidarności Rzeźba przedstawiała rozerwaną betonową bryłę spiętą krzyżem i z mosiężnym napisem – „Ofiarom Grudnia 1970 – W Hołdzie Robotniczej Dumie, Godności i Woli – Solidarność Ziemi Elbląskiej”. Autorem pomnika był Henryk Bukowski.

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 gen. Wojciech Jaruzelski postanowił spacyfikować zbyt daleko idąc nadzieje Polaków na zmiany w kraju i wprowadził stan wojenny. Stocznie Szczecińska i Gdańska zostały brutalnie spacyfikowane w przeddzień rocznicowych obchodów rebelii sprzed dziesięciu lat. Wielu z działaczy „Solidarności” zostało internowanych i osadzonych w ośrodkach odosobnienia. W nowym wymiarze grudzień zaprezentował się, jako jeden z najbardziej dramatycznych polskich miesięcy, w czasie którego władza, aby utrzymać stan posiadania, nie zawahała odwołać się do przemocy wobec własnego społeczeństwa. Ale pomników nie udało się zburzyć. Ani materialnych ani tych duchowych. Co roku w miejscach tragedii z Grudnia 1970 r. odbywały się okolicznościowe manifestacje, składania kwiatów, a potem brutalne walki z MO, gdzie bezwzględność wobec oporu społecznego nie miała granic. Zazwyczaj uroczystości organizowane przez podziemie poprzedzały patriotyczne msze św. Warto wspomnieć, że upamiętnienia Grudnia 1970 powstawały również w ośrodkach odosobnienia na terenie całego kraju. Były to głównie serie znaczków dotyczące ofiar Grudnia 1970, symboliki pomnika gdańskiego oraz, rzadziej, innych upamiętnień. W praktyce gdański i gdyński Grudzień 1970 zepchnął w niebyt szczeciński Grudzień. Do tego stopnia, że przez wiele lat płonący gmach KW PZPR uwieczniony przez Macieja Jasieckiego, Zbigniewa Wróblewskiego czy Andrzeja Wituszyńskiego podpisywano jako gdański. Nie da się ukryć, że pamięć o Grudniu 1970 r. została „przykryta” przez wprowadzenie stanu wojennego i to ostatnie „wydarzenie” skonsumowało ją, co miało bardzo konkretny wymiar na przyszłość, szczególnie po roku 1989.

15 grudnia 1985 r. jeden z księży w Gdańsku mówił podczas utrwalanego przez SB na taśmie magnetofonowej kazania: „Na wzgórzu na Gólgocie, na którym stracono złoczyńce, też wznosiły się w niebo trzy krzyże. Miały być one znakiem hańby

i zatracenia. Stały zaś się symbolem triumfy dobra nad złem. Ufajcie bracia i siostry i nigdy nie popadajcie w wątplenie. Prawda zwycięży i do was należy wasze zwycięstwo i wasze trwanie w czasie”.

Podobne kazania miały miejsce w kolejnych latach, wygłaszał je również np. bp Tadeusz Gocłowski. Po mszy św. próby zorganizowania demonstracyjnego wyjścia na miasto były w zarodku pacyfikowane przez podwyższone siły ZOMO. W Szczecinie w tym samym roku kwiaty pod tablicą złożyła najpierw oficjalna delegacja ze Stocznii Warszawskiej, a następnie kwiaty składali w ciągu całego dnia pojedynczy przechodnie. W mieście Gryfa do spektakularnej mszy św. miało dojść 11 grudnia 1988 r. w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa przy pl. Zwycięstwa, w czasie której miał miejsce występ zaproszonych gości, artystów scen gdańskich, zaś na ołtarzu eksponowano plakaty: „Gdańsk-Szczecin-Gdynia – pamięci poległych z grudnia 1970 roku”. W kruchcie Kościoła prowadzono kolportaż znaczków z napisem: „My grudzień pamiętamy i zapamiętać go nie damy” Solidarność”. Przemówienie wygłosił Marian Jurczyk, zaś w kościele obecni byli również Jan Rulewski i Andrzej Słowik, Tadeusz Kołodziejski i Stanisław Mroziński. Nie da się jednak nie zauważyć, że pomimo bardzo licznego udziału wiernych w mszach św. (od 700 do 2 – 3 tys. osób), zaangażowania organizacyjnego i aktywnego uczestnictwa młodzieży z Federacji Młodzieży Walczącej, Ruchu Młodzieży Niezależnej, Solidarności Walczącej i innych ugrupowań, to upamiętnienie ofiar Grudnia 1970 r. nie tylko schodziło na plan dalszy ustępując pamięci o stanie wojennym, ale nade wszystko „przegrywało” z bieżącą polityką komentowaną przez liderów ugrupowań politycznych.

Co gorsza, lata 1988-1989 pokazywały, że odtąd obchody rocznicy rewolty Grudnia 1970 r. powoli ulegały dewaluacji w polityce pamięci i zajmowały ważne miejsce tylko w systemie wartości ugrupowań kontestujących rozmowy z władzami prowadzone w willi MSW przy ul. Zawrat w Warszawie czy podwarszawskiej Magdalence w czasie okrągłego stołu. Dochodziło do sytuacji, o której pisał Jerzy Eisler w artykule „Co wypada pamiętać?”, że o rocznicy Grudnia 1970 „przez parę dni jest głośno (...). Ale po kilku dniach wszystko wraca do <<normy>> – na następne lata znowu zapominamy. Aż do następnej, <<okrągłej>>”.

Tak jest do dziś, a zaproponowany termin Powstanie Grudniowe nigdy nie doczekał się merytorycznej dyskusji. A szkoda...

Sebastian Ligarski

„Żyjmy dłużej” scenariusz filmu dokumentalnego, który nie powstał

Ulica Erazma Ciołka na warszawskiej Woli. Pod tabliczką z nazwą ulicy natykamy się na człowieka z aparatem fotograficznym. To fotoreporter Erazm Ciołek. Pstryka zdjęcie tablicy z nazwą ulicy. A potem podchodzi do niej i opowiada, jak kiedyś zadzwonił w jakiejś sprawie do Urzędu Pracy, który mieści się na ulicy – właśnie – Erazma Ciołka i jak zszokował odbierającą telefon panią, gdy przedstawił się... jestem Erazm Ciołek. Myślała, że ktoś robi głupie dowcipy.

Ta historia zbieżności jego nazwiska z nazwiskiem postaci historycznej sprzed kilku wieków jest początkiem opowieści o... obecności historii w jego życiu. Dowiadujemy się, że wcale nie zamierzał fotografować historii. Pierwszą wystawę swoich fotografii przedstawił w galerii na Krzywym Kole i były to fotografie artystyczne, abstrakcyjne, eksperymentalne, bardzo formalne. Był 1960r. Miał wtedy 23 lata. Jednak dzięki takim początkom łatwiej mu było uchwycić kompozycję fotografowanych na gorąco scen, wybrać detal, dostrzec istotę kadru.

TRYBUNA

1968r. Na trybunie przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie Pośrodku tryumfujący Władysław Gomułka, I sekretarz KC PZPR. Niedawno udało mu się szczęśliwie odeprzeć atak konkurentów do władzy zwanych moczarystami, spacyfikować buntujących się w marcu studentów i odesłać z Polski z paszportem w jedną stronę kilkadziesiąt tysięcy polskich Żydów. Obok niego inni oficjele, Spychalski, Cyrankiewicz, Strzelecki, Kliszko. To cały felieton o ówczesnej władzy i władcach PRL. Erazm Ciołek ustawia się w miejscu, skąd zrobił to słynne zdjęcie, fotografuje ten sam kadr jeszcze raz i opowiada, jak w l. 60 i na początku 70. (do 1973r.) współpracując z „Polityką” i innymi pismami i PAP fotografował ówczesne życie polityczne i społeczne, tworząc zdjęcia – felietony, które nie tylko przedstawiały, ale i komentowały. Tak jak to zdjęcie. Widzimy też kilka innych jego charakterystycznych zdjęć z tego okresu. m.in. pochod sportowców, idą Irena Kirszensztajn-Szewińska, Waldemar Baszanowski. Był wtedy fotoreporterem prasowym. Na tyle już rozpoznawalnym, że Marcel Łoziński w zrealizowanym w 1974r. filmie dokumentalnym „Wizyta”, kazał mu zagrać fotoreportera, czyli... samego siebie (fragment filmu).

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Fotografia rozłożonych akt sądowych i zwisającego nad nimi orła na łańcuchu – zdjęcie jest bezosobowe i w sposób symboliczny mówi o sprawiedliwości ówczesnych sądów. Orzeł, godło państwowe, wydaje się mieć skrzydła z papierów ułożonych z akt sądowych. To godło państwa zwanego PRL. Erazm Ciołek zrobił je w 1972r. Ukaza-

ło się w „Polityce”, a za jego zamieszczenie red. nacz. pisma Mieczysław F. Rakowski trafił na dywanik do KC. Podobne kłopoty spotkały zdjęcie, a raczej cykl zatytułowany „Narkomani”. Ciołek robił je w 1980r. w jednym z opuszczonych mieszkań na warszawskiej Pradze, gdzie przez miesiąc żył w komunie z narkomanami, uczestnicząc we wszystkich ich zajęciach i fotografując je. W Polsce Ludowej oficjalnie żadnej narkomanii wówczas nie było, a jego zdjęcia złamały tabu. Pokazały to zjawisko jako groźną patologię społeczną. Pokazały z bliska, jako tragedię ludzi, których sfotografował. Zdjęcia zostały opublikowane przez „Sztandar Młodych”.

Zdjęcia prezentował potem (1981r.) na wystawie w Klubie Książki i Prasy na Nowym Świecie w Warszawie, zjawiskiem zainteresowali się inni dziennikarze, m.in. zaproszono bohaterów jego fotografii na antenę Polskiego Radia i telewizji. I to oni sami przestrzegali przed zagrożeniem jakie niesie ten nałóg.

Ten fotoreportaż związany jest także z późniejszą przygodą Erazma Ciołka z bezpieką. W stanie wojennym zadzwoniono do niego z wydawanego przez PCK pisma „Żyjmy dłużej” z propozycją zamieszczenia kilku zdjęć narkomanów i umówili się w tym celu w kawiarni.

To był podstęp SB. Erazm Ciołek wchodzi, od stolika podnosi się dwu panów, których profesji domyślił się natychmiast. „Panowie z pisma „Żyjmy dłużej”? „Tak, tak... żyjemy dłużej”. Odpowiedzieli panowie i wsadzili Ciołka do radiowozu, który zawiózł go do Pałacu Mostowskich, gdzie mieściła się siedziba warszawskiej bezpieki i gdzie spędził na tzw. dołku, czyli w celi 39 godzin. Żałuje do dziś, że nie było to klasyczne 48 godzin, czyli jak mówili jego przyjaciele z opozycji „cztery osiem”, na które zwykle zamykano przeciwników ustroju. Widzimy zdjęcie redakcji związanego z Komitetem Obrony Robotników „Biuletynu Informacyjnego”, w którym Ciołek miał opublikować pierwszy wydany w podziemiu fotoreportaż ze strajków sierpniowych w Gdańsku. (Mat. archiwalny, Erazm Ciołek fotografuje spotkanie Komitetu Obrony Robotników).

Rozdział kończy symboliczne zdjęcie zrobione z lotu ptaka. Malutka sylwetka człowieka na skrzyżowaniu dwu ścieżek. Dokąd pójść?

W STOCZNI

Fotografia zrywającej się cumy statku stojącego na nabrzeżu. Za chwilę się zerwie i statek odpłynie. Na tym samym nabrzeżu (Stocznia Gdańska) Erazm Ciołek szuka podobnego kadru. Dowiadujemy się jak w sierpniu 1980r. trafił do strajkującej Stoczni. Dzięki swoim kontaktom z opozycją przedsierpniową do stoczni jechał ze swoistym glejtem. Miał odręcznie napisany list Jacka Kuronia do jego żony Gajki, która była już w Stoczni. Był 27 sierpnia. Do Gdańska pojechał ze znanym opozycjonistą Stefanem Starczewskim, po drodze kilka razy ich kontrolowano, ale udało się dotrzeć do samej Stoczni. Liścik zadziałał jak przepustka. „Od samego wejścia byłem zaskoczony, poruszony – wspomina swoje wrażenia Ciołek. Zaskoczony nieprawdopodobną dyscypli-

ną, porządkiem, kulturą, panującą tam atmosferą wzajemnej solidarności i życzliwości. Wyglądało to zupełnie inaczej niż mówiła propaganda.

Stoimy przed bramą nr 2. Na fotografię dwu robotników stojących pod tablicą „21 postulatów” i znakiem STOP. KONTROLA, nakładamy współczesny kadr. Wchodzimy na teren stoczni. W bramie zatrzymujemy się. Erazm Ciołek odwraca się w stronę placu przed Stoczną. Fotografia kobiety na ławce, samotnej w tłumie siedzących w krąg ludzi. Sfotografował ją wtedy przed Stoczną. Potem dowiedział się, że to siostra jednego ze stoczniovców, którzy zginęli w tym miejscu w grudniu 1970r. Inne fotografie metalowego płotu i ludzi z obu stron: stoczniovców i ich rodzin na zewnątrz. Kwiaty wetknięte w pręty. Obrazki ze stoczni. Fotografia figurki stoczniovcwa w sali BHP, gdzie podpisano Porozumienia Gdańskie. Towarzyszy jej opowieść, o tym jak fotografował moment podpisania porozumień. Ulokował się na kilka godzin wcześniej obok stołu prezydialnego – trafił chciał, że pod reflektorem telewizyjnym, który grzał jak tropikalne słońce. A nie mógł się stamtąd ruszyć.

Teren Stoczni. Ciołek fotografuje płot i bramę, miejsce, z którego przemawiał Wałęsa do tłumów zgromadzonych przed bramą po zwycięstwie strajków. Zdjęcie, które utrwaliło ten moment. Sylwetka wielkiego Wałęsy sfotografowana ponad tłumem, górująca nad nim.

KARNAWAŁ

Fotografia Wałęsy jedzącego śniadanie. Obok żona Danuta i dwaj synowie. Zdjęcie to zrobił 1 września, po wygranym strajku, w mieszkaniu Wałęsów na ul. Pilotów, o godzinie 7.15. Zaraz potem towarzyszył swoim maluchem przewodniczącemu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w drodze do nowej siedziby, mających powstać na mocy podpisanych dzień wcześniej Porozumień niezależnych związków, w Gdańsku – Wrzeszczu przy ul. Marchlewskiego. Mówi o swoim fotografowaniu Wałęsy i początkowej niewiedzy, który to spośród strajkujących jest tym przywódcą strajku. Do tego stopnia, że kiedy na jedynym ze zdjęć sfotografował naraz dwu wásaczy (jednym był Henryk Mażul), to musiał pytać, który to jest Wałęsa.

Budynek, w którym mieściła się pierwsza siedziba powstającej „Solidarności”. Towarzyszy temu opowieść o atmosferze swobody, jaka zapanowała podczas 16 miesięcy tzw. Karnawału Solidarności. Wtedy udało się Ciołkowi pokazać swoje fotografie strajku w Stoczni na wielu wystawach, m.in. już w październiku w siedzibie SDP, ale też w tak niecodziennych miejscach jak Sąd Najwyższy czy zakłady im. Róży Luksemburg. Wydawnictwo związkowe Regionu Mazowsze „Solidarności” opublikowało też wtedy jego pierwszy album, ponad 100 zdjęć. (oglądamy go). Na okładce albumu zdjęcie „STOP.Kontrola”. Ciołek opowiada o perypetiach związanych z jego wydrukowaniem przez jakąś drukarnię z Grodziska, która przedtem drukowała tylko etykiety na proszkach do prania. Opowieść kończy się 13 grudnia 1981r. W dniu wprowadzenia stanu wojennego po pierwszej akcji ZOMO wszedł do opustoszałego budynku „Solidar-

ności”, by ratować dokumenty, sprzęt i wydawnictwa podziemne tam zgromadzone. Tam natknął się na prawie cały nakład swego albumu. Autorska pokusa ratowania swego dzieła przegrała jednak z obowiązkiem. Zabrał tylko niewielką część nakładu i całą masę innych cennych rzeczy jak maszyny do pisania czy inne publikacje.

Budynek, w którym mieściła się siedziba Zarządu Regionu Mazowsze „Solidarności” na ul. Mokotowskiej. Potem skrzyżowanie Marszałkowskiej z Al. Jerozolimskimi, gdzie Ciołek wykonuje zdjęcie. Fotografia tego samego ronda z sierpnia 1981r. Znak zakazu skrętu w lewo. Ogonek stojących na rondzie autobusów. To zdjęcia z tzw. blokady, gdy kordon milicji zablokował przejazd tej oryginalnej kolumny demonstrantów w stronę KC PZPR. Inne fotografie z Ronda, gdzie przez kilka dni trwał przymusowy piknik. Towarzyszy im opowieść o atmosferze swobody i radości tych 16 miesięcy. Samotny mężczyzna spokojnie czytający gazetę pośrodku ul. Marszałkowskiej, w tle szereg milicjantów, to zdjęcie symboliczne dla tego okresu.

NA DELEGACJI

Fotografia ul. Świętojańskiej w Warszawie. Demonstranci, barykada z koszy na śmieci, ZOMO. 3 maja 1982r. Ta sama ulica dziś. Ciołek odnajduje dawny kadr. Trzask robionego zdjęcia. Opowiada, jak fotografował tego rodzaju imprezy uliczne w stanie wojennym. Czy się bał? „Wyjście na ulicę z aparatem fotograficznym i fotografowanie groziło wówczas licznymi konsekwencjami. Jednak mimo to, poza właściwie niecałym nawet rokiem 82, czyli rokiem stanu wojennego, fotografowałem zupełnie oficjalnie tam, gdzie to było zabronione.” Często nawet milicja – tak sądzi – myślała, że jest ich fotografem, bo się nie kryje z tym co robi. To jednak dotyczyło spokojniejszych sytuacji, np. gdy fotografował kwietny krzyż przed kościołem Wizytek (fotografia przysypianego śniegiem krzyża z 1984r.). Ale podczas demonstracji nie afiszował się z profesjonalnym niconem. Żał mu było sprzętu. Ubierał się wtedy jak na delegację. Zakładał garnitur, krawat, do ręki brał teczkę aktówkę. Używał wtedy małego aparacika Olympus XA. Wieszal go na szyi, przykrywał szalikiem. I siedł wprost na kordon ZOMO udając zagubionego w mieście przypadkowego przechodnia, który nie ma pojęcia gdzie się znalazł. „Często, gdy większość ludzi uciekała, ja dostojnym krokiem szedłem w przeciwną stronę z tym Olympusikiem i udawałem, że jestem zaskoczony sytuacją. Obok mnie przebiegali milicjanci, sądząc, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego”. Odchylał szalik i fotografował. Potem wymyślił inny sposób, aparat brał do teczki, a uruchamiał go przy pomocy ukrytego w szaliku wężyka. Za pomocą wężyka zrobił też sobie fotografię w wiele lat później podczas niecodziennej operacji oka w Brazylii.

Plac Zamkowy. Fotografia kolumny Zygmunta. Z uniesionego miecza króla spływają w dół ulotki. Wygląda to tak, jakby sam król Zygmunt je rozrzucał. To zdjęcie pochodzi już z roku 1988. Zrobił je podczas demonstracji przeciwko wyborom do rad narodowych. Teraz znajduje ten sam kadr i powtarza fotkę króla.

Fotografia zrobiona przez innego fotoreportera, Macieja Goliszewskiego przedstawiająca... Erazma Ciołka z rozbitą głową. To zdarzyło się w 1990r. – wspomina Ciołek. „Przez cały stan wojenny miałem szczęście, nie uderzył mnie żaden milicjant, a dostałem butelkę podczas zjazdu prawicy w 1990r. Od jakiegoś skina. Mogłem wtedy nawet stracić wzrok. Było przy tym wielu reporterów, dla których to była nie lada gratka.”

Zdjęcie leżącego gradu kamieni. Kilka lat temu fotografował demonstrację podczas wyborów w Azerbejdżanie i trafił w sam środek walki, oczywiście sfotografował to.

LITERA „V”

Cmentarz na warszawskim Powązkach. Ciołek znajduje drzewo o charakterystycznym kształcie pnia układającego się w literę „V”. Robi z niego zdjęcie grobu Grzegorza Przemyka i jego matki Barbary Sadowskiej. Fotografia z 1983r. Pogrzeb Grzegorza Przemyka. W tłumie pełna rozpachy sylwetka matki zamordowanego licealisty Barbary Sadowskiej i obejmującego ją w geście współczucia ks. Jerzego Popiełuszki. Fotografia kojarzy się z Pietą. Rok później z tego samego drzewa fotografował pogrzeb Barbary Sadowskiej, matki Przemyka. Fotografia z 1984r. Na zdjęciu widać także charakterystyczny pień w kształcie litery „V”. Ciołek wykonał ją nie bez perypetii. Ktoś z tłumu wziął go za fotografa robiącego zdjęcia z ramienia SB i podniosły się wrogie okrzyki nawołujące go do zejścia. To mogło się skończyć linczem. Na szczęście w tłumie znaleźli się ludzie, którzy go rozpoznali i uratowali.

Znaczkę z wizerunkiem ks. Popiełuszki. I znak – stempel na tablicy ASP w Warszawie, powielający ten sam wzór. Pochodzące ze zrobionego przez Ciołka portretu ks. Jerzego, który wielokrotnie był reprodukowany na znaczkach, kartach pocztowych i plakatach. Plebania kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Drzwi na plebanii. Erazm Ciołek wspomina, że był oficjalnym fotografem księdza, ma nawet od niego pismo to potwierdzające (pokazuje). Podarta sutanna a potem kłębek włosów. Te fotografie zrobił po zamordowaniu ks. Jerzego przez SB. Rzeczy, będące dowodami podczas procesu morderców księdza, trafiły do niego po zakończeniu procesu na jedną noc. Wtedy sfotografował tę porwaną sutannę. Odkrył też na podkoszulce ks. Jerzego przyklejoną skórę i włosy (dziś byłyby pewnie relikwią, bo ks. Popiełuszko będzie wkrótce jego zdaniem ogłoszony świętym). To też z fotografii. Jedyne dowody, że istniały, bo następnego dnia z polecenia kurii odebrano mu wszystko. Wraz z negatywami. Na szczęście zdążył zrobić kilka odbitek

WALIZKOWCY

Erazm Ciołek wspina się po skarpie pod mur Cytadeli warszawskiej. Zatrzymuje pod murem. Patrzy do góry. Odchodzi kilka kroków i fotografuje. Na to nakłada się zdjęcie z 1982r. Mur Cytadeli. Na murze wiszą obrazy. To oryginalna (z konieczności) wystawa sztuki. W stanie wojennym wielu malarzy uczestniczyło w bojkocie oficjalnych gale-

rii, wystawiali w prywatnych mieszkaniach, w kościołach, ale też na płotach i murach. Specjalnie nawet robiono repliki obrazów, zmniejszając je do małego formatu, tak by można było je przenosić w walizce. Tę wystawę, autorstwa wielu autorów, zaaranżował specjalnie dla celów rejestracji fotograficznej. Fotografował tutaj przy udziale malarza Marka Sapetto. I choć się bali, przez kilka godzin obrazy wisiały na murze.

Inna wystawa, „Walizkowcy” autorstwa Marka Sapetto, zawieszona na płocie przed domem malarza. Ciołek opowiada o swoich związkach ze środowiskiem plastyków. W stanie wojennym także towarzyszył prawie wszystkim wydarzeniom związanym z niezależnym obiegiem kulturalnym. Oglądamy zdjęcia z wernisaży w prywatnych mieszkaniach. Potem wielkie wystawy w kościele na ul. Żytniej. Przenosimy się tam. Wejście do kościoła, obecna fotografia, a potem wejście na wystawę „Znak krzyża, znak nadziei”. Fotografie z wystawy. Ciołek sam także miał w tym kościele wystawę swych prac. Było to tuż po wygranych wyborach czerwcowych 1989r., a pisała o tym wtedy właśnie powstała „Gazeta Wyborcza”. Odczytuje fragment swoich narzeków na trudności z kupnem materiałów fotograficznych (kupuje wywoływacze na lewo w szpitalach). Wspomina kłopoty, jakie wiązały się z jego statusem niezależnego fotografa, który publikował zdjęcia w prasie podziemnej i zagranicznej. W przerzucie klisz pomagali mu księża, zakonnice, raz do Paryża zabrał je Tadeusz Łomnicki. Nie wszystkie dotarły, raz ktoś stamtąd przywłaszczył sobie ich autorstwo. Współpracował wtedy z agencją Sipa-Press pod pseudonimem Torelli, czyli byczek. A byczek, to właśnie ciołek.

Jako, że znał większość działaczy opozycji, bywał na imprezach, często w małym gronie, na które nie zapraszano innych fotoreporterów. Zdjęcie przedstawiające Zbigniewa Brzezińskiego, pochodzi ze spotkania z podziemnym SDP – gość siedzi na podłodze w swobodnej pozie i przysłuchuje się dyskusji. Konferencja pokojowa w Warszawie, rok 1987. Kuchnie polowe. Podobne zdjęcia zrobił w 1988r. w kościele przy ul. Żytniej podczas spotkań Komitetu Obywatelskiego „Solidarności” – jeszcze wtedy nielegalnego. Fotografia jedzącego samotnie przy ogromnym stole Witolda Lutosławskiego, zafrasowany Leszek Kołakowski także sam nad stołem. Inni uczestnicy obrad, także podczas jedzenia. „Często bywałem na opozycyjnych salonach – mówi. – W porównaniu choćby z fotografikiem z Krakowa, Stanisławem Markowskim, który fotografował głównie tzw. zadymy.

OKO OPATRZNOŚCI

Słynne zdjęcie Ciołka zrobione podczas wizyty Papieża w Polsce w 1987r. Warszawa. Pod ścianą w strugach deszczu chroni się 2 księża i 10 milicjantów. Tylko ci pierwsi bezpiecznie schronieni pod parasolami. To samo miejsce dziś, ten sam kadr. Inne zdjęcia – morze parasoli podczas spotkania wiernych z Janem Pawłem II. Kolejka do latryn. Morze transparentów podczas spotkania na Zaspie. Noc. Rozjaśniona sylwetka Papieża zdaje się świecić w mroku.

Wizyty papieskie fotografował nie kryjąc się. Nie musiał. Dziwne zdjęcie ubranych w garnitury mężczyzn sprawdzających coś pod dywanem. Ciołek objaśnia, że to SB sprawdza, czy pod dywanem, po którym przejdzie Papież, nie podłożono bomby. Fragment filmowego mat. archiwalnego z kościoła św. Krzyża w Warszawie ze spotkania Jana Pawła II z intelektualistami. Kiedy wchodził Papież zrobił się straszny tłok, opowiada Erazm Ciołek, zmuszony był więc, chcąc sfotografować przechodzącego Papieża, przejść niemal po plecach siedzących w stallach kardynałów. Co uchwyciła kamera.

POWRÓT SOLIDARNOŚCI

Symboliczne zdjęcie. Stół prezydialny z mnóstwem mikrofonów. Pusty. Tylko z tyłu na ścianie niedbale zawieszony transparent „Solidarność”. Oczekiwanie.

Ale wcześniej były strajki 1988r. Był ponownie w Stoczni, wspomina inną już atmosferę. Kto inny tam strajkował, nie było też tak powszechnego poparcia. A przywódcy podziemnej „Solidarności” byli też już kimś innym. Pokazuje to zestawienie kroczącego Wałęsy w otoczeniu strajkujących z 1980r. Niedbale rozpięta marynarka, nie pasujące do tego przykrótkie spodnie. I także kroczącego Wałęsy w 1988r. Nie ma w nim tego rozchełstania, garnitur leży jak ułaf. Świat się zmienił.

Fragment stołu w pałacu namiestnikowskim, czyli Okrągły Stół. Uśmiechnięci od ucha do ucha przedstawiciele strony solidarnościowej. I inny fragment tego samego stołu – ponurzy przedstawiciele reżimowych związków zawodowych. Ciołek wspomina, że przez niego obrady Okrągłego Stołu zaczęły się z piętnastominutowym opóźnieniem. Bo kiedy delegacja „Solidarności” po raz pierwszy udawała się do Pałacu, okazało się, że strona rządowa skreśliła jego nazwisko z listy uprawnionych do wejścia. Protest Wałęsy spowodował, że po 15 minutach przepustkę mu przywrócono i mógł już do końca obrad fotografować je bez przeszkód.

Scenki z kularów, niektóre śmieszne czy wręcz groteskowe, jak fotografia 2 przedstawicieli OPZZ, z których jeden z potężnym brzuchem zda się przewracać niemal niepozornego rozmówcę.

Stocznia Gdańska. Brama nr 2. Sala BHP. Fotografie kandydatów do Sejmu i Senatu. Kandydaci ściskający dłoń Wałęsy. Mat. filmowy archiwalny. Ciołek robił te fotografie z Maciejem Golińskim. Wspomina awanturę, której był autorem, ponieważ kandydaci tak ekscytowali się możliwością poznania legendarnego przywódcy „Solidarności”, że zupełnie nie pilnowali porządku i bał się, że w tym bałaganie wylądują na plakatach z cudzymi nazwiskami. Stąd karteczki z nazwiskami, które wręczał fotografowanym. Fotografia Kuronia, który trzyma karteczkę „Michnik” i Michnika z karteczką „Kuroń”. Oficjalna propaganda zdawała się nie odróżniać jednego od drugiego, wymieniając jednym tchem „Kuroń – Michnik”, jakby to była ta sama postać. Stąd żart Ciołka, który znał doskonale obu opozycjonistów.

Rozdział zamyka fotografia stoiska „Solidarności” pod warszawską kawiarnią „Nie-spodzianka”. Wybory czerwcowe 1989r. Powtarzamy kadr z tamtego czasu. Mazowiecki w Sejmie. Wałęsa zaprzysiężony na prezydenta.

ODPŁYWAJĄCE MOŁO

Zdjęcia rozwalanego Muru w Berlinie. Był tam 10 listopada 1989r. i sfotografował pierwszych śmiałków. Pokazuje te zdjęcia, ale w jego pracowni rzeźba, którą fotografuje nie ma nic wspólnego z polityką. To czysta sztuka. Do fotografowania której powrócił. Trochę dlatego, że to lubi, trochę dlatego, że zawiódł się na części z tych, których kiedyś fotografował. Trochę dlatego, że kiedyś był niemal sam, teraz jest wielu fotoreporterów zajmujących się tematyką, która kiedyś go pociągała.

Ale nie zarzucił zupełnie tego tematu. Na stole prawie gotowy album poświęcony Kubie. Przerzuca zdjęcia, scenki nędzy i roześmiane twarze.

Na koniec symboliczne zdjęcie, przypominające zrobioną w 1980r. w Gdańsku fotografię statku, ze zrywającą się cumą. Kuba. Morze i resztki mola, które straciło już połączenie z lądem i zdaje się odpływać gdzieś w dal. Może to odpływa ostatni bastion komunizmu?

Wiele lat trwały przymiarki do mojego filmu o Erazmie. On sam znał scenariusz i na ten film czekał. Niestety – nie udało się zdobyć na niego tzw. kasy. Na szczęście w 2014 roku, w dwa lata po śmierci Erazma Ciołka, powstał film Pawła Woldana „Fotograf Solidarności”

Jan Strękowski

Przepraszam, złodzieju

To nie był czas tylko smutnego napięcia. Rzeczywiście. Ktoś mi kiedyś opowiadał, ktoś z kolporterów taką historię. Zostawił samochód pełen bibuły i poleciał jeszcze gdzieś na górę, wraca i wybita szyba. Zagląda, a tam kartka: wziętem dwa egzemplarze. Jakieś pieniądze leżą. Przepraszam, złodzieju.

Opowiadał Piotr Stańczyk (js)

Jak artyści w Norwegii popierali Solidarność w okresie stanu wojennego

Solidaritet Norge – Polen (SNP), która w osiemdziesiątych latach różnymi sposobami wspierała podziemną Solidarność, była w istocie jedyną ogólnokrajową organizacją, a nie tylko komitetem, w tym wielkim ruchu na całym świecie, który w tym czasie zajmował się pomocą dla Solidarności. Chociaż SNP w 1981 roku została utworzona głównie na bazie lokalnych norweskich komisji zakładowych, w ramach i wokół tej organizacji skupiło się szybko bardzo dużo rozmaitych inicjatyw dla Polski i Solidarności. W tych przedsięwzięciach norwescy i polscy artyści w Norwegii odgrywali bardzo istotną rolę.

Piosenki i muzyka

Niektórzy artyści byli bardzo blisko związani z naszą organizacją. Pierwszą z nich była polska kompozytorka Anna Jastrzębska, która w całym okresie do wprowadzenia stanu wojennego tak intensywnie pomagała Solidarności różnymi akcjami, że jej prawie nie zostało czasu na twórczą działalność. Jastrzębska przyjechała do Norwegii w 1976 roku, żeby tutaj skończyć swoje studia muzyczne. Większość artystów, którzy swoimi występami czy dziełami bardziej lub mniej aktywnie poparli walkę Solidarności o wolną Polskę, była jednak Norwegami. Pierwszy przewodniczący Solidaritet Norge – Polen Ketil Heyerdahl, mówi Bibule że „z wyjątkiem Rolfa Sødera, prawie wszyscy chcieli pomóc”. Znakomity norweski aktor Rolf Søder nie chciał z nami mieć nic wspólnego, dlatego że był przekonany pro – sowieckim komunistą. Nam by to nie przeszkadzało, ale Søder powiedział Ketilowi: „nie, nie chce wspierać czegoś takiego pro – amerykańskiego jak Solidarność”. Niestety.

Ale większość artystów bardzo chciała wyrażać swoje poparcie. Ketil wspomina, że zwłaszcza piosenkarze wykonujący piosenki folkowe bardzo chętnie i często występowali na naszych spotkaniach. I wymienia jako przykłady Larsa Klevstranda i Jørna Simena Øverliego, którego Ketil nazywa „naszym domowym piosenkarzem”. I rzeczywiście, na pewno żaden inny piosenkarz czy muzyk nie występował tak często na różnych imprezach SNP, na naszych manifestacjach czy koncertach jak Jørn Simen Øverli. Øverli, który między innymi wydał płytę z piosenkami Jacka Kaczmarskiego i innych znanych polskich piosenkarzy (w norweskim tłumaczeniu), a nieco później nagrał płytę z piosenkami rosyjskiego śpiewaka Władimira Wysockiego.

Inny artysta, a zarazem członek władz Solidaritet Norge – Polen w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, Marek Sobociński pamięta wystąpienie Øverliego w 1984 r. na pierwszym zjeździe SNP i mówi, że Øverli zrobił na nim ogromne wrażenie. „Bardzo ciekawie opowiadał jak poznał twórczość Kaczmarskiego”. W tych latach Øverli jeździł po całej Norwegii i często występował razem z popularnym polskim pianistą Zbigniewem Łapińskim, wcześniej partnerem muzycznym Jacka Kaczmarskiego. Prezentowali norweskiej publiczności polskie polityczne piosenki w norweskim wydaniu.

Muzykiem rockowym był też Einar Braathen, pierwszy redaktor pisma SNP, które się pojawiło już latem 1981 roku.

Często występowała na naszych demonstracjach, zwłaszcza w pierwszym roku po wprowadzeniu stanu wojennego, polska piosenkarka Aleksandra Naumik Sandøy, w Norwegii lepiej znana po prostu jako Alex. Alex, która występowała w znanym polskim zespole Skaldowie, wyszła w 1970 roku za mąż za norweskiego reżysera filmowego Haakona Sandøya, który w Polsce skończył Wyższą Szkołę Filmową w Łodzi. Po wielkiej demonstracji przeciw stanowi wojennemu i w poparciu dla Solidarności, która miała miejsce w Oslo 17 grudnia 1981 roku, Alex śpiewała polski hymn tak głośno, ładnie i wyraźnie, że norweskie dzienniki potrafiły napisać „Jeszcze Polska nie zginęła” bez błędów ortograficznych. Alex szła w pierwszym rzędzie w pochodzie wśród demonstrujących, tuż za transparentem z napisem Solidarność, trzymając płomienną pochodnię w ręku. Po demonstracji skrytykowała w rozmowie z norweskimi dziennikarzami różnych prezydentów, innych polityków i szefów central związkowych za tchórzliwość wobec władz peerelowskich. Chodziło między innymi o to, że w Norwegii nie tylko promoskiewscy komuniści, ale i norweska socjaldemokracja (Partia Pracy) nie poparła demonstracji, w odróżnieniu od pozostałej norweskiej lewicy i całej prawicy.

Przy okazji dużej debaty na temat wydarzeń w Polsce z norweskimi politykami, dziennikarzami, znanymi ludźmi jak prof. Thorolf Rafto, z udziałem polskich działaczy Solidarności – Józefem Chwałą i Mieczysławem Tarnowskim, w wielkiej sali koncertowej przy uniwersytecie w Oslo, która miała miejsce na początku 1982 roku, grano po raz pierwszy najnowszą kompozycję wymienionej już kompozytorki Anny Jastrzębskiej (potem jej kompozycja – w 1983 r. – uświetniła też uroczystości noblowskie). Przy tej samej okazji wystąpił również na scenie, wyjątkowo na ten wieczór tylko, już wcześniej rozwiązany zespół punkrockowy DePress. Wokalistą tego norweskiego zespołu był Polak Andrzej Dziubek, który dla norweskiej publiczności tłumaczył swoje nazwisko na Nebb.

Ale muzyka grała dla Solidarności i Polski nie tylko w stolicy Norwegii, Oslo. Sam miałem w zimie tamtego roku przyjemność wystąpić razem z piosenkarzem Hansem Rotmo na spotkaniu naszej organizacji w mieście Levanger w regionie Trøndelag, w środku kraju. Rotmo, który występował na kilku spotkaniach SNP, zdobył w Norwegii w latach siedemdziesiątych dużą popularność jako lider grupy Vømmøl Spellmannslag, zespołu który mieszał pop i rock z tradycyjną muzyką regionalną tej części Norwegii. Później występował między innymi jako Ola Uteligger, to znaczy jako Ola Bezdomny.

Trzeba podkreślić, że w regionie Trøndelag mieliśmy kilka bardzo aktywnych oddziałów, które wytrwały aż do końca komunizmu, do pierwszych demokratycznych wyborów w Polsce. W stolicy tego regionu Trondheim, SNP organizował w całym okresie do 1990 roku rozmaite spotkania z udziałem miejscowych i nie miejscowych artystów. Znacznie mniejszym oddziałem była SNP w miasteczku Namsos. Ale i tak na począt-

ku lutego 1982 roku ten mały oddział zorganizował koncert solidarnościowy z Polską z udziałem regionalnych artystów, jak Eva Peggy Stensønnes i zespół Bøgdalet. Z Trondheim pochodzi z kolei sławny nasz skrzypek Arve Tellefsen, który występował na imprezach kulturalnych na rzecz Polski, i u siebie i w Oslo, między innymi na koncercie zorganizowanym przez Polsko – Norweskie Towarzystwo Kulturalne Kultura w maju 1985 roku. PTTK Kultura organizowała w latach osiemdziesiątych cały szereg koncertów na rzecz Polski.

Lista norweskich piosenkarzy i muzyków, którzy zwłaszcza w 1982 roku występowali z poparciem dla Solidarności jest zbyt długa, żeby tu wszystkich jej uczestników wymienić. Wymienię tylko jeszcze paru nazwisk. To ci, którzy w tamtym roku w ten sposób udzielali swego poparcia dla polskiej walki o wolność. Już w styczniu 1982 roku lokalne zespoły rockowe Ole Puck i Nye garde wystąpiły na scenie w małej miejscowości Harestua w Norwegii środkowej, występując z zespołem założonym tam oddziału Solidaritet Norge – Polen. Pierwsza rocznica stanu wojennego była w wielu norweskich miastach i miasteczkach kolejną okazją do organizowanych większych polityczno – kulturalnych imprez, w których działacze SNP występowali w towarzystwie znanych i nieznanym artystów. 14 grudnia pojawiła na scenie w mieście Lillestrøm w Norwegii wschodniej między innymi piosenkarka Elin Prøysen, córka sławnego w naszym kraju piosenkarza i ludowego poety Alfa Prøysena, który przynajmniej dla starszego pokolenia Norwegów jest wręcz instytucją kulturalną. Nasz „domowy piosenkarz” Øverli nagrał zresztą w 2005 roku cały album z piosenkami Prøysena. Natomiast w pierwszą rocznicę ogłoszenia w Polsce stanu wojennego, nowoutworzony wtedy oddział SNP w miasteczku Risør na południu Norwegii, zaprosił znaną szwedzką piosenkarkę Marie Bergmann, która wygrała trzykrotnie szwedzki finał międzynarodowego konkursu muzycznego Eurovizji.

Pomniki, plakaty, medale, rysunki

Wiele artystów brało również aktywny udział w zwykłej pracy organizacyjnej Solidaritet Norge – Polen. Wyjątkowo aktywny był już wcześniej wymieniony rzeźbiarz, były internowany z Torunia, Marek Sobociński. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych Marek był między innymi inicjatorem i organizatorem wielu demonstracji, a przede wszystkim wystaw związanych z tematyką walki Solidarności o wolność w Polsce. W swoich wspomnieniach z tego okresu, napisanych specjalnie dla Bibuły, Marek pisze, że kiedy się dowiedział o tym, że został zamordowany ksiądz Jerzy Popiełuszko, razem ze swoją żoną, artystką Ewą Sobocińską urządzili: „za zgodą Oslo Domkirke (katedra w Oslo), demonstrację na Stortorvet. Namalowałem portret, zrobiłem transparenty i rozdawaliśmy ulotki informujące o sytuacji w Polsce. Z głośnika szło Requiem Mozarta”.

Bardzo ważnym kulturalnym wydarzeniem było powstanie pomnika księdza Jerzego Popiełuszki. I to już w 1985 roku. Jego autorem był właśnie Marek Sobociński. Pomnik ten był pierwszym pomnikiem księdza Popiełuszki na świecie. Pomnik znajduje się w przy katolickim centrum edukacyjnym Mariaholm w rejonie miejscowości Enebakk.

Marek Sobociński wspomina również o kilku wystawach. W 1986 roku współorganizował między innymi z naszym esenpowskim działaczem Markiem Tumidajewiczem (były internowany z Wrocławia) wystawę, którą „prezentowano w kilku filiach bibliotecznych w Oslo”.

Pierwsze nasze wystawy solidarnościowe były pokazywane jednak dużo wcześniej, zanim większość polskich działaczy przyjechała do Norwegii. Już zimą 1982 roku (dokładnie 30 stycznia, w dniu ogłoszonego przez prezydenta USA Ronalda Reagana Dnia Solidarności z Narodem Polskim), lokalne grupy SNP w Oslo zorganizowały wystawę na temat Solidarności we współpracy z Wyższą Szkołą Architektury i Akademią Sztuk Pięknych (obie znajdują się w stolicy). Ówczesny szef naszego oddziału w Oslo Einar Hagness był zresztą sam architektem i miał wobec tego dobre kontakty w tym środowisku. Co ciekawe, wystawa po tygodniu została zniszczona „przez nieznanych sprawców”.

Warto też wspominać o obchodach dziesięciolecia Solidarności w siedzibie SNP w Oslo. Ewa Sobocińska, wspomina jej mąż, Marek: „wpadła na pomysł żeby oświetlić oryginalną dekorację: odtworzyć pamiątną bramę Stoczni Gdańskiej, którą podczas sierpniowych strajków ludzie dekorowali kwiatami i transparentami. Zbudowaliśmy konstrukcję z rusztowań i udekorowaliśmy podobnie. Rusztowania i kwiaty, jak pamiętam, dostaliśmy za darmo, namalowaliśmy obrazy i transparenty na podstawie zdjęć z Gdańska. Założyliśmy kombinezony i kaski z napisem Solidarność, i tak witaliśmy gości, wręczając ulotki i program”.

Konieczne trzeba poza tym wymienić medal okolicznościowy, który Marek wykonał z okazji wizyty polskiego Papieża Jana Pawła w Norwegii, który na początku czerwca 1989 roku odwiedził miasta Trondheim i Tromsø poza Oslo. Ówczesny sekretarz zarządu SNP Arne Borg wspomina: „Uważaliśmy że musimy coś zrobić w związku z tą wizytą. Postawiłem tę sprawę na zebranie zarządu i postanowiliśmy, że Marek zrobi medal. Ale nie spodziewałem się, że wyjdzie z tego coś tak fantastycznego” – opowiada Arne i dodaje, że medal „zwrócił na siebie dużą uwagę”. Marek Sobociński pisze w swoich wspomnieniach dla Bibuły: „wykonałem gipsowy model plakiety, którą odlano z brązu w Kristiania Kunststøberi”. Arne i Marek wspominają, że medal z numerem jeden złożyli w diecezji katolickiej w Oslo, Arne otrzymał medal z numerem dwa, a wykonawca, Marek medal z numerem trzy. Wcześniej, bo w 1983 roku, medal z okazji wręczenia pokojowej nagrody Nobla wykonała polska artystka z Oslo Danuta Haremska. PTTK Kultura wręczyła go Danucie Wałęsie.

Inni artyści – plastycy upiększali nasze publikacje. Poza wspomnianym już architektem Einarem Hagness, który w początkowym okresie istnienia Solidaritet Norge – Polen zaprojektował layout do wielu naszych broszur i pism, należy wymienić między innymi Czecha Radka Doupoveca, jednego z sygnatariuszy Karty 77. Doupovec przez wiele lat projektował tytułową stronę czasopisma SNP Tidsskriftet Solidaritet albo

znajdował innych artystów do tego zadania. I właśnie dzięki niemu trzeci numer tego czasopisma z kwietnia 1982 roku ukazał się z bardzo ciekawą ilustracją czeskiego grafika i malarza Jana Kristofori na okładce. Kristofori urodził się w Mukaczewie na Zakarpaciu przed wojną, kiedy ten region należał do Czechosłowacji. W Norwegii znalazł się w 1968 po stłumieniu praskiej wiosny, podczas sowieckiej okupacji Czechosłowacji

Teatr i literatura

Ówczesny organ socjaldemokratycznej Partii Robotniczej, gazeta Arbeiderbladet (dziś: Dagsavisen) zorganizowała w 1982 roku swoją kampanię w poparciu Solidarności w Polsce. Do pierwszej rocznicy stanu wojennego gazeta zebrała poparcie 75 znanych norweskich polityków, związkowców i biskupów, ale też sporo norweskich artystów, którzy domagali się uwolnienia wszystkich więźniów politycznych i respektowania wszystkich praw Solidarności. 13 grudnia 1982 roku Arbeiderbladet napisała, że „zachęca wszystkich swoich czytelników i zwolenników do tego, żeby spotkać się na Universitetsplassen (Placu Uniwersyteckim), gdzie Solidaritet Norge – Polen we współpracy z Zarządem Regionalnym związków zawodowych w Oslo organizuje demonstrację z pochodniami dla narodu polskiego”. Gazeta wspomniała przy tym, że demonstracja ta miała poparcie wszystkich przewodniczących partii politycznych, reprezentowanych w radzie miejskiej w Oslo. Tam na Placu Uniwersyteckim przemawiał w imieniu Solidarności sygnatariusz gdańskich porozumień sierpniowych Józef Przybylski. Kampanię solidarnościową norweskiego dziennika poparli między innymi pisarze i znani aktorzy norwescy jak Espen Skjønberg i Britt Langli i dwaj zagraniczni pisarze, niemiecki noblista Heinrich Böll i szwedzka noblistka Alva Myrdal.

Także inni norwescy aktorzy pojawiali się wówczas razem z nami na różnych manifestacjach poparcia Solidarności. Ketil Heyerdahl, grzebiąc porządnie w pamięci, przypomniał sobie aktora Jana Frostad z teatru Trøndelag w Trondheim i aktorkę teatru Narodowego w Oslo Frøydis Armand, ale podkreśla, że „było ich znacznie więcej”. Poza tym, dodaje Ketil po namyśle, w marcu osiemdziesiąt drugiego roku w Oslo jego odczytowi towarzyszył występ „warsztatu teatralnego” Det Blå Huset (Niebieski Dom).

Aktorzy wyrażali swoje poparcie dla zdelegalizowanej Solidarności również przez swój związek zawodowy Norsk Skuespillerforbund (Związek Norweskich Aktorów). Już w grudniu 1981 roku związek ten wysłał protest do władz PRL, domagając się uwolnienia uwięzionych (internowanych) polskich artystów filmowych i teatralnych, wśród nich aktorki Haliny Mikołajskiej i reżysera teatralnego Jerzego Markuszewskiego.

Jeszcze bardziej aktywni w swoim poparciu dla polskich aspiracji wolnościowych byli norwescy pisarze. Ketil Heyerdahl wspomina, że znani norwescy pisarze, na przykład Espen Haavardsholm i Edward Hoem, dali nam swoje poparcie. Z dramaturgiem Edwardem Hoemem miałem zresztą przyjemność wystąpić na trybunie przy okazji jednej z manifestacji związanych z rocznicą Solidarności na Youngstorget w samym centrum Oslo. Podobne manifestacje miały miejsce i w innych norweskich miastach.

Ketil wspomina dalej swój występ w towarzystwie dwóch znanych pisarzy, mianowicie powieściopisarza Arilda Nyquista i poety Jana – Erika Volda na początku 1982 roku. Ale w większości pisarze i poeci, którzy nam chętnie pomagali swoimi wierszami czy krótkimi tekstami prozy, byli raczej mało znani poza swoją lokalną społecznością. Fotograf Trygve Heide, który był bardzo aktywnym członkiem władz SNP w drugiej połowie lat osiemdziesiątych wspomina, że pisarz Willy Flock wystąpił z odczytem w połowie lat osiemdziesiątych w jego oddziale SNP w Nesodden, położonym trochę na południu od Oslo. Flock, który napisał zarówno powieści, jak i opowiadania i wiersze, był według Trygve „bardzo zaangażowany w sprawę Solidarności i Polski”. Głównie wiersze pisała z kolei lokalna poetka Inger Johanne Bye, która przy okazji pierwszej rocznicy stanu wojennego wystąpiła z odczytem swojej poezji w portowym mieście Horten.

Pisarzem był i jest również członek redakcji czasopisma Solidaritet, czeski dysydent z Karty 77 Michael Konůpek, który pisze książki po czesku, ale również tłumaczył sporo czeskiej poezji na język norweski. Dzięki Konůpkowi redakcja Tidskriftet Solidaritet otrzymała również teksty słowackiego pisarza Ivana Čičmanca, który głównie wydaje książki po słowacku, ale napisał też jedną nowelę po norwesku. Čičmanec tłumaczył sporo słowackiej literatury na norweski. Tłumaczem literatury pięknej, tym razem z angielskiego, był w pewnym okresie też pracownik naszego sekretariatu Sigurd Øyvind Kambestad.

Koniecznien trzeba również wspominać o jeszcze jednym norweskim pisarzu. To Tor Obrestad, który przez wiele lat był jednym z bardzo niewielu naszych kurierów do Polski. W zasadzie nie mieliśmy stałych kurierów, żeby unikać wpadek na granicy polskiej, ale szybko zrozumieliśmy, że Obrestad jest niezawodny i umie nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi przy kontroli celnej i paszportowej. Dlatego ufaliśmy mu i nigdy nas nie zawiódł. Wielu ludzi odmawiało zresztą brania ze sobą pieniędzy dla podziemia, bojąc się tej kontroli na granicy. Obrestad, który zmarł na początku tego roku, pisał w swojej wiersze, eseje, nowele i powieści, pochodził z Jæren w południowo – wschodniej Norwegii, a jego najbardziej znana książka „Sauda! Streik!”, opisuje strajk w miasteczku Sauda w tej samej części kraju w 1970 roku.

Warto wspomnieć jeszcze o jednym ważnym, i dla Polaków i dla Norwegów wydarzeniu. Miało ono miejsce w 1989 roku. A chodzi o nagrodę przyznaną Funduszowi Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej przez grupującą działaczy dawnego antyhitlerowskiego norweskiego ruchu oporu, Fundację Fritt Ord (Wolnego Słowa) w wysokości miliona koron (!). Nagrodę przekazano za pośrednictwem polskiego noblisty Czesława Miłosza, który w tym celu odwiedził Norwęgę.

Bjorn Cato Funnemark,

Przewodniczący Solidaritet Norge – Polen w drugiej połowie lat osiemdziesiątych

Powstanie i działalność towarzystwa „POMOST” oraz pisma „MIĘDZYMORZE” (1986–1990)

Sprawami narodowościowymi interesowałem się już wcześniej, ale rozpad „Porozumienia Opozycji Robotniczej” (lato – jesień 1986) stworzył dla mnie dość nowe warunki. Przede wszystkim więcej czasu. Moje ujawnienie się i skorzystanie z amnestii we wrześniu 1986 (jakkolwiek umówione ze środowiskiem, że po kwarantannie u upływie pewnego czasu wracam do działalności) oznaczało, że przez pewien czas – kilka miesięcy – będę funkcjonować głównie w przestrzeni legalnej. Na to nałożyła się wcześniejsza okoliczność, że wiosną 1986 dawny znajomy z Młodzieżowego Klubu Filozoficzno – Literackiego dał mi namiar na Andrija Maruszczykę, studiującego wówczas na ASP Ukraińca (obywatela PRL-u, z rodziny wywiezionej w koszańskie w ramach akcji Wisła). Poszedłem do niego (mieszkał w akademiku „Dziekanka”) i z rozmowy wynikała koncepcja legalnego klubu popularyzującego problematykę narodowościową Europy Środkowo – Wschodniej. Nie tylko stosunki polsko – ukraińskie, choć od nich chcieliśmy zacząć. Motyw był oczywiście ten sam, który spowodował w ogóle to, że zainteresowałem się problematyką – sprawy narodowościowe w mojej opinii były tym dynamitem podłożonym pod imperium sowieckie.

Dążenia niepodległościowe narodów nierosyjskich w ZSRR uważałem za coś, co najbardziej przyczyni się do jego rozpadu, a zatem naszego wyzwolenia. A im więcej czytałem o Rosji, kulturze rosyjskiej i Rosjanach (przeczytałem w tych latach m.in. skrótowe dwutomowe wydanie Jana Kucharzewskiego), tym mniej wierzyłem w modną wśród części demokratycznej opozycji wiarę, że naród rosyjski zrobi demokratyczną rewolucję i ustali ustrój na wzór zachodni. Maruszczyko też był tego zdania. Ale przecież nie mogliśmy wówczas tego głośno powiedzieć, więc oficjalnym celem klubu było to, co później zapisaliśmy w statucie stowarzyszenia: „popularyzacja wiedzy o problematyce narodowościowej”. Ale nie była to wyłącznie przykrywka – rzeczywiście w warunkach PRL-u (nawet wtedy) znalezienie czegoś wartościowego do czytania o tej problematyce wcale nie było takie proste. Nawet zwykły słownik polsko-ukraiński czy polsko-białoruski był problemem – o ile polsko-rosyjskich wychodziło sporo (zarówno ogólne, jak i specjalistyczne), o tyle polsko-ukraiński wyszedł w PRL-u raz tylko – w 1957 (red. Hrabec i Zwoliński). Także w latach 1958-1960 w Kijowie wydano taki w trzech tomach, ale obie te pozycje były w czasach, o których mowa, dostępne tylko w bibliotekach. Sam w każdym razie nie widziałem ich nigdy nawet na rynku antykwarycznym i nie słyszałem o kimś, komu by to wtedy udało się kupić. To samo dotyczyło słownika polsko-białoruskiego – „Podręczny słownik polsko-białoruski” (pod red. A. Obrębskiej-Jabłońskiej i M. Biryły, 1962), tylko w jedną stronę, pozostał jedynym takim w PRL-u. I oczywiście nie był to przypadek, ale odbicie ogólnej polityki kulturalnej – kontakty na wschodzie miały być głównie z Moskwą. Stąd też jak tyl-

ko w 1990 r. możliwa stała się legalna działalność wydawnicza, to w ramach „Biblioteki Towarzystwa Pomost” wydaliśmy „Słownik ukraińsko-polski i polsko-ukraiński” Hrycka i Kisilewskiego, reprint wydania z 1931 r. z przedmową Mariana Jurkowskiego tłumaczącą m. in. pewną staroświeckość tego słownika. Pomimo że w chwili swojego drugiego wydania miał on swoje lata, nie było problemów z jego zbytym.

Jeżeli więc w sprawie tak neutralnej politycznie jak słowniki był problem z ich dostaniem, to dopiero daje wyobrażenie o dostępie do literatury dotyczącej innych, bardziej drażliwych dla systemu tematów.

Oczywiście ratowało całą rzecz podziemie wydawnicze – „drugi obieg”. Warto jednak zaznaczyć, że omawiane tematy były dość specyficzne – mało kto się na tym znał naprawdę, a dodajmy – nie każdy naukowiec chciał ryzykować swoją opinią u władz, publikując w „drugim obiegu”. W 1984 r. ukazała się po raz pierwszy w podziemiu praca publicystyczna Bohdana Skaradzińskiego (pseud. „Kazimierz Podlaski”) „Białorusini, Litwini, Ukraińcy...”. Przeczytałem ją mniej więcej w tym czasie, który opisuję. Jest dość ostrożna, ale ideę, że także kontakty z naszymi mniejszościami wschodnimi mogą być jakimś zaczynem współpracy w dalekiej przyszłości, sformułował bardzo sugestywnie, a jego oddziaływanie w podziemiu było spore. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że to bardziej Skaradziński niż Giedroyc z Mieroszewskim wpłynął na myślenie ówczesnych działaczy podziemia o sprawach wschodnich.

Zauważmy jednak, że koncepcja Międzymorza czy szerzej – rozprucia Imperium Sowieckiego po szwach narodowościowych – była znana także ze źródeł legalnych – choć specyficznych, bo powstałych w warunkach cenzury i presji ideologicznej. Mianowicie z powstałej w PRL-u na ten temat literatury ściśle naukowej, wydawanej w niskich nakładach, niemniej dostępnej w bibliotekach i czytelniach naukowych. Jest to koncepcja obozu Piłsudskiego, którą krytycznie, ale jednak, opisywano. Gdy mówimy o pracach naukowych, to m.in. z uwagi na ich niski nakład oraz jednak wysiłki dużej części polskich historyków na rzecz zachowania niezależności, ta presja była mniejsza. Mówiąc praktycznie – w niskonakładowej pracy, którą przeczyta tylko garstka studentów i pasjonatów, można było napisać znacznie więcej, niż w masowym podręczniku. Warto wymienić pracę S. Mikulicza „Prometeizm w polityce II RP”, z której dużo się dowiedziałem, także o ruchach niepodległościowych poza obszarem Ukraina-Litwa-Białoruś, bo przecież choćby Idel-Ural to już wtedy naprawdę była biała plama.

Zebranie pewnej podstawowej literatury (także tej legalnej) i popularyzacja tej wiedzy była też naszym celem, choć była również bezpiecznym kamuflażem.

Klub „Pomost” mógł zaistnieć w „szarej strefie” życia umysłowego, jaka po 1981 r. rozwinęła się w PRL-u – pomiędzy sferą oficjalną, a zatem w pełni kontrolowaną przez komunistów, a twardym podziemiem, dającym wprawdzie pełną wolność, ale też drastycznie ograniczającym możliwości szerszego oddziaływania. Ja sobie wymyśliłem, że to będzie inicjatywa, w którą będą wchodzić także polscy Białorusini i Ukraińcy,

zatem rozmawiając z nimi, dość szybko zorientowałem się, że na inicjatywę ściśle podziemną raczej nie ma co liczyć. Wiązało się to z mikroskopijnością ich środowisk inteligentnych, co było prostą pochodną ich znikomej liczebności w Polsce. Jeżeli Ukraińców w PRL-u liczono oficjalnie na 150-200 tysięcy (przypomnę, że w pierwszym spisie powszechnym po 1989 r. liczba deklarujących tę narodowość była trzykrotnie mniejsza), a statystycznie w 1989 r. obywatele polscy z wyższym wykształceniem to 7% ogółu ludności, to łatwo było policzyć, ile może być w ogóle inteligentów ukraińskich w całej Polsce. A przecież tylko część będzie zainteresowana (w systemie jednak policyjnym, no i w kraju, gdzie jest się niezbyt lubianą mniejszością) jakąkolwiek działalnością społeczną, z natury rzeczy podejrzaną. Podobnie z Białorusinami czy polskimi Litwinami – liczba tych ostatnich była przecież kilkutysięczna. Każdy z tych świadomych narodowo inteligentów, jeżeli przejmował się losem swojej wspólnoty, to poczuwał się do wykonania szeregu działań na polu kultury, które określilibyśmy mianem pracy organicznej, a można je było robić (choćby folklorystyczny zespół muzyczny czy chór) głównie w warunkach legalności albo co najwyżej w tej „szarej strefie”. Ładnie to ujął jeden z działaczy białoruskich w rozmowie ze mną – „przed 1980 r. cały aktyw białoruski w Polsce można było wsadzić do jednej suki”. Musieli być ostrożni i nieufni, to było naturalne w warunkach komunizmu, ale też była to sprawa prostej ekonomii sił. Oczywiście opozycja polska (w tym i ja jako jeden z wielu) interesowała się nimi nie z uwagi na liczebność (ta była przecież znikoma w skali kraju), ale z uwagi na nadzieję, że te mniejszości są jakąś drogą oddziaływania na swoich pobratymców w ZSRR. Czymś w rodzaju nie politycznego nawet, ale kulturowego Piemontu. Co prawda już wtedy Myrosław Czech pod pseudonimem w ankiecie dla podziemnego „ABC – Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne” napisał „Nie jesteśmy ukraińskim Piemontem” (4/1986), wydaje mi się jednak, że nie miał racji. Przecież sam fakt wydawania w Polsce legalnej literatury o mniejszym stopniu zideologizowania i podlegającego mniejszej cenzurze, a mogącej legalnie przedostawać się do ZSRR, miał znaczenie. Przecież nie przypadkiem „Historia Ukrainy” Serczyka kosztowała w schyłkowych Sowietach równowartość pensji.

Dla tej „szarej strefy” życia kulturalnego w PRL-u istniały dwa parasole – Kościół katolicki i uniwersytety, przynajmniej niektóre. Kościół ze względów światopoglądowych raczej nie wchodził w grę, zrobienie czegoś legalnego na UW było łatwiejsze, bo przecież tam studiowałem. Zatem zwróciłem się do doc. Jana Kancewicza, u którego już byłem na seminarium, z prośbą o wygłoszenie pierwszego wstępnego wykładu pod szyldem klubu. To spotkanie było chyba ogłoszone tylko w naszym Instytucie i wśród znajomych, nie było w pełni publiczne. On się zgodził – miał wówczas wykład monograficzny o Lwowie podczas okupacji sowieckiej w latach 1939-1941 i na bazie tego zrobił prelekcję w maju 1986 r., w jego pokoju w Instytucie Historii UW. Wystąpienie było udane i postanowiliśmy to kontynuować w następnym roku akademickim.

Tymczasem przez wakacje postanowiłem zebrać jakieś grono zainteresowanych – podobnie Andrij miał się rozejrzeć w swoim środowisku – ogólnie połapać wartościowe kontakty. Jeden z nich otrzymałem od doc. Kancewicza – to dr Janusz Radziejowski. Był to Polak urodzony w USRR (chyba z Charkowa), któremu udało się wrócić do Polski w 1944 wraz z II Armią WP. Był autorem książki „Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy: 1919-1929: węzłowe problemy ideologiczne”, (Kraków 1976). Pomimo wręcz odstrasającego tytułu praca była naprawdę ciekawa – pokazywała m.in. tendencje narodowe i niepodległościowe w komunizmie ukraińskim. O wartości książki może też świadczyć fakt, że w latach 80 przełożono ją na angielski i wydano w Kanadzie. (Chyba nie przypadkiem wydał tę pracę w Wydawnictwie Literackim, a nie w mocniej zideologizowanej „Książce i Wiedzy”, najczęściej w PRL-u wydającej literaturę propagandową, ale też pseudonaukową, komunistyczną hagiografię, korzystającą jednak ze sztafazu naukowego). Wówczas był rozpoznawalny także jako autor tekstów popularyzatorskich m.in. w „Przeglądzie Katolickim” o problematyce stosunków polsko-ukraińskich. Przypomnijmy, że publikowanie w legalnej prasie katolickiej, ale mającej asystenta kościelnego (co odróżniało dany tytuł od też katolickiej prasy „PAX-u”), było swego rodzaju krótkim testem na wiarygodność osoby w oczach kogoś o opozycyjnym nastawieniu. Samo wyznanie nie miało tu nic do rzeczy. Radziejowski mieszkał w Warszawie (przy ul. Krasińskiego na Żoliborzu) i w tamtych czasach regularnie kontaktowaliśmy się, gdyż doradzał mi i namawiał do kontynuowania pomysłu „Pomostu”. Zadeklarował też, że wystąpi u nas jako prelegent po wakacjach.

W tym też czasie poszedłem ze Zbigniewem Idziakowskim do ówczesnej siedziby oficjalnego i jedyne w PRL-u stowarzyszenia mniejszości ukraińskiej – Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (UTSK). Zdawaliśmy sobie sprawę, że od organizacji działającej w przestrzeni oficjalnej niewiele można oczekiwać, ale ciekawiło nas, jak wygląda ten margines w przestrzeni, jaką PRL gotów był dać oficjalnie uznanej mniejszości. Jego siedziba mieściła się wtedy przy Czerniakowskiej, niedaleko rogu Chełmskiej i przyszliśmy tak z marszu jako studenci zaciekawieni problematyką (Zbyszek jeszcze nie studiował, no ale miał zamiar). Przyjął nas Antoni Serednicki – ten znany filolog był wówczas we władzach tego stowarzyszenia – ofiarował nam egzemplarz swojej broszury o UTSK. Mówił oczywiście oficjalnie – podkreślał wkład mniejszości w kulturę PRL-u – ale dość swobodnie. Po chwili przyszedł inny pracownik biura UTSK i Serednicki dalej opowiadał, ale wyraźnie sztywniejszy i skępowany. Po wyjściu obaj zgodziliśmy się, że ten drugi to nieoficjalny nadzorca z ramienia partii i bezpieczeństwa. Zbyszek jednak sprawami wschodnimi nie zajął się, z racji jego zaangażowania w strukturę trockistowską w Warszawie (pismo „Kret” i Nurt Lewicy Rewolucyjnej), ja zaś po rozpadzie POR zgłosiłem akces do niepodległościowo-socjalistycznej Grupy Politycznej „Robotnik”, a nasze kontakty pozostały tylko towarzyskie.

Natomiast latem 1986 szczecińskie UTSK było dla mnie źródłem ciekawego kontaktu. Pomogła w tym pewna przypadkowa okoliczność – otóż moja matka, mieszkająca i pracująca wówczas w Szczecinie, będąc nauczycielką języka polskiego, pracowała razem i przyjaźniła się z Haliną Radziwonowicz, Ukrainką zamieszkałą w Szczecinie i też nauczycielką, także członkiem UTSK. Była ona matką Romana Radziwonowicza, nieco starszego ode mnie muzyka, a zarazem ukraińskiego patrioty. Z racji rodzinnych odwiedzałem Szczecin regularnie co wakacje, więc poszedłem latem 1986 r. do biura UTSK (jako student naukowo zainteresowany problemami mniejszości). Mieściło się ono wówczas w niewielkim pomieszczeniu w willi przy Al. Wojska Polskiego. Rozmowy z kilkoma tamtejszymi działaczami, ale przede wszystkim z Romanem, dały mi pewien wgląd w problematykę środowiska, co wykorzystałem m.in. pisząc artykuł dla podziemnego „Międzymorza”. Romanowi przekazywałem też egzemplarze druków podziemnych, zwłaszcza tych, gdzie poruszano kwestię ukraińską. Pamiętam, że m.in. jakieś „Inprekory”, a później też „Robotnika” i „Międzymorze”. Na pewno fakt, że nasze matki się znały i pani Radziwonowicz uznała, że można mi zaufać, te kontakty ułatwił.

Wakacje się skończyły, wróciłem do Warszawy i trzeba było przygotowywać pierwsze oficjalne spotkanie klubu „Pomost”. Zacząłem zbierać ludzi mogących w tym pomóc, zorganizowałem takie spotkanie organizacyjne u mnie w mieszkaniu na Bródnie. Zaprosiłem m.in. Andrija Maruszczykę i studentów historii Jarosława Andrzeja Piekarskiego i Jerzego Kopańskiego (nazywaliśmy go „Jerry”). Po tym, jak ludzie zaczęli się rozchodzić, Jerry poprosił mnie jeszcze o chwilę i zapytał „Czy ty wiesz, w co się pakujesz?”. Widząc moje zaskoczenie, wyjaśnił, że czym innym jest działalność opozycyjna dotycząca wewnętrznych problemów kraju, niż dotykanie czegoś, co tylko z pozoru jest problemem polskim, a naprawdę dotyczy wewnętrznych spraw ZSRR i jest to po prostu groźne. Byłem zaskoczony, bo formuła legalnego klubu (z czysto prawnego punktu widzenia) była czymś mniej niebezpiecznym niż moja wcześniejsza działalność w podziemiu. (Dodajmy dla porządku, że Jerry jakkolwiek był przeciwnikiem komunizmu i – co nas zbliżyło – miłośnikiem filozofii Nietzschego – to jednak żadnej działalności w ogóle nie prowadził). I jakoś tak wkrótce potem zerwał ze mną znajomość. Później, czytając (m.in. do doktoratu) wypowiedzi osób zajmujących się wschodem w podziemiu, parokrotnie natknąłem się na podobne zachowania – osób wprawdzie niechętnych komunizmowi, ale uważających poruszenie kwestii narodowych w ZSRR w duchu wsparcia działań odśrodkowych za przekroczenie pewnej granicy, która nie powinna być naruszana.

Pierwsze publiczne spotkanie „Pomostu” wczesną jesienią 1986 r., reklamowane ręcznie robionymi plakatami na UW i pocztą pantoflową, odbyło się w jednej z sal IH UW. Prelegentem był dr Janusz Radziejowski, a wykład dotyczył tendencji niepod-

ległościowych w komunizmie ukraińskim. Nie pamiętam dlaczego, ale nie byłem na nim obecny, musiało wypaść wtedy coś rzeczywiście ważnego, bo starałem się być zawsze. Prowadził je chyba kolega Piekarski, a prelegent i obecni koledzy ocenili je jako udane – było kilkadziesiąt osób i żywa dyskusja. W jej trakcie ujawnił się jakiś – jak się przedstawił – nauczyciel języka rosyjskiego, który zadeklarował, że samo poruszanie takich tematów jest niewłaściwe, bo konsekwencją rozwoju ruchów narodowych będzie upadek ZSRR. Gość został wyśmiany, bo – pomijając już że daleko wówczas było do tego upadku – niewypowiedziana intencja tej pracy była właśnie taka, aby go na naszą skromną miarę, przyspieszyć. Nie musiał być prowokatorem – komuna wychowała pewną liczbę wiernych sobie rabów.

Jeszcze odnośnie reklamy – w tamtym czasie było dość spore zainteresowanie omawianymi tematami – wystarczyło kilkanaście takich odręcznie robionych plakatów na UW i w miejscach, gdzie zbierała się opozycyjna inteligencja (np. KIK) plus osobiste zawiadomienie zainteresowanych znajomych (nieliczni mieli telefony), by można było liczyć na 20-40 osób. Prelegenci występowali za darmo, traktując to jako swój wkład w walkę z systemem albo po prostu z sympatii dla nas. Zaczęło to się zmieniać po przełomie 1989 r.

W tym czasie nawiązałem też kontakt ze środowiskiem studentów – Białorusinów polskich. Niektórzy (Eugeniusz Wappa i chyba Jerzy Wawrzyniuk, może Jerzy Leszczyński) mieszkali w akademiku na ul. Kickiego w Warszawie. Ktoś z nich zapytał mnie, dlaczego Polacy zaczęli ostatnio interesować się mniejszością białoruską – szczerze im odpowiedziałem, że opozycja antykomunistyczna traktuje ich jako pośrednika w procesie dialogu z całym narodem białoruskim, dzisiaj niemożliwego w BSRR, ale w ograniczonym stopniu możliwego w Polsce. A jest on niezbędny, jeżeli te narody mają się wyzwolić. Cała trójka zaczęła współpracę w klubie „Pomost”.

Mniej więcej zimą 1986/1987 przez znajomego dostałem namiar do kierowniczk Domu Kultury „Za Żelazną Bramą” (na osiedlu o tej nazwie). Ona zgodziła się udzielić sali grupie dziwaków zainteresowanych czymś egzotycznym.

Kolejne spotkania były też okazją do poszerzania naszego zespołu – poza w/w po spotkaniu z Sokratem Janowiczem (1987) nawiązał z nami kontakt Paweł Kazanecki, a po jakimś innym spotkaniu w 1986 lub 1987 roku – Tadeusz Andrzej Olszański, który szybko stał się filarem naszego środowiska. Starszy od nas prawie o pokolenie (ur. 1950) był magistrem prawa pracującym w Fabryce Aparatury Rentgenowskiej i Urzędzeń Medycznych FARUM. Problematyką narodowościową Europy Wschodniej interesował się od dawna. Niewątpliwie wpływ na to miało jego zamiłowanie do wędrówek po Karpatach, był też współpracownikiem Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich i Kolegium Otryckiego, a także legalnego pisma „Wiara i Odpowiedzialność”. Trzymając się na uboczu, zebrał dużą wiedzę w tym zakresie, jak też olbrzymią bibliotekę, której podporządkował zabudowę swojej niedużej kawalerki na Targówku, gdzie wów-

czas mieszkał. Co ważne, jego wiedza nie miała wyłącznie charakteru „antykwarycznego” w znaczeniu nagromadzenia mniej czy bardziej ciekawych faktów. Był umysłem syntetycznym, o historiozoficznych ambicjach. Pozostawał pod wpływem myśli Feliksa Konecznego (mało znanego wówczas), nie traktował go jednak niewolniczo, jak wielu – zwłaszcza endeckich – epigonów krakowskiego historiozofa. Jego tekst w „Międzymorzu” (o tym tytule niżej) „Międzymorze – czym jest czym może być”(J.Łukaszków – ps., 2-3/1988) wydaje mi się najważniejszym tekstem opublikowanym w tym piśmie. A nakreśloną tam próbę określenia specyfiki Europy Wschodniej, obszaru między Niemcami a Rosją, uważam za zasadniczo aktualną do dzisiaj.

Jego wiedzę, zwłaszcza o problematyce łemkowskiej, wykorzystaliśmy, robiąc z nim spotkanie o Łemkach. Podczas innej prelekcji streścił też słabo znaną w Polsce koncepcję początków Rusi Kijowskiej autorstwa Omeliana Pritsaka, słabo wówczas w Polsce znaną. Przypomnijmy, że w krajach zależnych od Sowietów oficjalna wersja tego (zdawałoby się wyłącznie naukowego, historycznego zagadnienia) była jedna – ta, którą popierała nauka radziecka, czyli koncepcja antynormanistyczna. Wszystkie inne były nienaukowe, a na straży tego stanu rzeczy stała cenzura.

W w/w klubie też zrobiliśmy spotkanie z Bohdanem Skaradzińskim z bardzo burzliwą dyskusją, część obecnych (w tym kilku weteranów AK) bowiem zarzucała prelegentowi, że nie powinien porównywać UPA z AK. Trzeba jednak powiedzieć, że Tomasz Marek Leoniuk, który w tym czasie do nas dołączył i prowadził to spotkanie, panował nad salą.

Tam też odbyło się spotkanie z Olegiem Łatyszonkiem o gen. Bułaku-Bałachowiczu.

Po kilku miesiącach kierownictwo klubu wymówiło nam gościnę, prawdopodobnie w wyniku jakiejś interwencji SB.

Nasi koledzy – Białorusini mieli dobre kontakty z warszawskim kołem Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, które posiadało mały lokal w jednym z bloków na Mokotowie. Tam organizowaliśmy spotkania w latach 1988-1989.

W dniach 23-25 października 1987 uczestniczyłem – wraz z grupą członków klubu „Pomost”, w wydarzeniu, które moim zdaniem mocno wpłynęło na myślenie dużej części opozycyjnego aktywu o sprawach wschodnich. Myślę o zorganizowanej w Łodzi (przez Duszpasterstwo Środowisk Twórczych przy tamtejszej parafii jezuitów, kierowanej przez ks. Stefana Miecznikowskiego) sesji „Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polacy – przesłanki pojednania”, która zgromadziła chyba zdecydowaną większość osób zajmujących się tymi zagadnieniami w opozycyjnym spectrum. Sama sesja jest opisana w literaturze naukowej, a materiały z niej zostały wydane drukiem (Collquium narodów: materiały z symposium „Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polacy – przesłanki pojednania”. Łódź, październik 1987, Łódź 1991), nie będę więc kolejny raz jej opisywać, a przedstawię tylko kilka impresji.

Sesja odbywała się w zabudowaniach parafii przy ul Sienkiewicza, była tam duża sala wykładowa z nagłośnieniem. Dojechalismi w grupie (pamiętam, że był tam m.in.

Tadeusz Olszański) na Dworzec PKP Łódź Fabryczna, ja wtedy pierwszy raz w życiu byłem w Łodzi. Już wówczas zbierałem materiały do magisterki dot. rewolucji 1905 r. i sporo się o Łodzi tego okresu nazywałem, więc jak szliśmy od tego dworca do Sienkiewicza, czułem się trochę tak, jak w dekoracjach do filmu o 1905 r. Wystarczyłoby usunąć latarnie i niezbyt liczne samochody.

Na sali był tłum, cała była wypełniona. Oprócz referentów i słuchaczy przyjezdnych takich, jak my, sporo mieszkańców Łodzi. To chyba wtedy poznałem inż. Zbigniewa Pruskiego, późniejszego (od 1989) przewodniczącego oddziału „Towarzystwa Pomost” w Łodzi, jak również (współorganizującego tę sesję) Marka Michalika, jednego z założycieli łódzkiego oddziału „Pomostu”. I także następnego dnia był tłum, utrzymujący się chyba do końca programu, mimo niewątpliwego zmęczenia, jakie mogło ogarnąć uczestników.

Po pierwszym dniu zgłoszone wcześniej osoby z zewnątrz zostały zakwaterowane w prywatnych mieszkaniach osób współpracujących z ks. Miecznikowskim. Wcześniej zamówił on noclegi w schronisku młodzieżowym, ale tuż przed sesją schronisko wymówiło umowę. Nas zakwaterowano w dość dużym mieszkaniu Elżbiety Donbach związanej wówczas z podziemnym „Biuletynem Łódzkim”, jednym z ważniejszych pism łódzkiego podziemia. Gospodyni zrobiła dla nas kolację z serów topionych, jakie zorganizował ks. Miecznikowski z darów z Zachodu, przychodzących do parafii, nie one jednak były szczytem jego możliwości. Gospodyni parokrotnie z uznaniem wyraziła się o jego zdolnościach organizacyjnych – załatwił nie tylko te serki, lecz także papier toaletowy w dużych ilościach. To wzbudziło nasz autentyczny podziw – wszyscy przecież wiedziliśmy, jakie trudności wiążą się ze zdobyciem tego rzadkiego w latach realnego socjalizmu produktu. I rzeczywiście papieru nie zabrakło przez całe trzy dni naszego tam pobytu.

Na czym polegało znaczenie sesji łódzkiej – może najmniej na wygłoszonych tam referatach, choć dla nas bardzo ciekawych. Przede wszystkim uświadomiła ona części środowisk opozycyjnych potencjał tkwiący w tym temacie. Po drugie stworzyła pewien model powielany później w innych ośrodkach, zbliżała się rocznica tysiąclecia chrztu Rusi Kijowskiej i następny rok oznaczał po prostu wysyp tego rodzaju rocznicowych inicjatyw. Po trzecie – sprzyjała zawiązaniu kontaktów osobistych, rzecz bezcenna zwłaszcza w warunkach, gdy nie ma Internetu, a telefony (tylko stacjonarne) są nieliczne i zapewne na podsłuchu.

Ja osobiście utrzymałem kontakt ze środowiskiem „Biuletynu Łódzkiego”, któremu przekazywałem m.in. bibułę powstającego PPS. Także publicystyka Olszańskiego – drukował na łamach „BŁ” jako „Niezależny Sympatyk” – dochodziła do redakcji za moim pośrednictwem. Lokalem kontaktowym było mieszkanie p. Donbach. Poznałem tam m.in. Władysława Barańskiego ze Zgierza, b. żołnierza AK, współpracownika „Biuletynu Łódzkiego” i wydawcę pisemka „Zew”. Został później członkiem „Pomo-

stu". Późniejszy (od 1989) oddział Towarzystwa Pomost w Łodzi wziął się m.in. z zawianych wtedy kontaktów.

W 1988 wśród kilku spotkań, jakie udało nam się zorganizować, była prelekcja dr. Jerzego Turonka „Białoruś pod okupacją niemiecką”. O ile pamiętam, to skrótowo wygłosił te tezy, które można przeczytać w jego książce o tym samym tytule. Akurat w tym czasie nawiązał z nami kontakt amerykański historyk polskiego pochodzenia Brian Porter. Po spotkaniu jechaliśmy kawałek w jednym kierunku i on powiedział, że nigdzie na Zachodzie, ani w USA, ani w innych krajach, w których był, nie widział równie antykomunistycznego spotkania. Wtedy tylko mnie to zdziwiło, z perspektywy czasu mogę tę opinię uznać za pierwszy (jaki mogłem zaobserwować) przejaw tego rozdźwięku między Europą Wschodnią a resztą Zachodu, na tle lewacko-liberalnej dekadencji, jaka ogarnęła większość zachodnich społeczeństw. No, ale stopień ich dekadencji nie był wtedy powszechnie znany – w mniejszym czy większym stopniu Zachód idealizowaliśmy wszyscy.

Rok 1988 był, jak wspominałem wyżej, rokiem tysięcznej rocznicy chrztu Rusi Kijowskiej i dało to okazję środowiskom opozycyjnym do różnego zaznaczenia tego faktu, w duchu dialogu Polska-Wschód. Głównie organizatorami sesji naukowych i popularnonaukowych poświęconych tej rocznicy były instytucje kościelne, mające największy margines swobody, no i własną bazę materialną. Najbardziej chyba znaczącą była ta w Częstochowie (na Jasnej Górze) z udziałem delegatów cerkwi grekokatolickiej (Ukraiński Kościół Katolicki) z Ukrainy – po raz pierwszy występujący oficjalnie. Dużą sesję rocznicową robił w Lublinie KUL.

Podobna sesja odbyła się w Krakowie i na nią pojechałem razem z Tomaszem Markiem Leoniukiem. Tam pierwszy raz w życiu rozmawiałem z separatystą łemkowskim – tj. zwolennikiem tezy, że łemkowie są „czwartym narodem wschodnio-słowiańskim”, a nie grupą etniczną narodu ukraińskiego (tak jak u nas Kurpie czy Kaszubi są grupami etnicznymi narodu polskiego). Facet – nie pamiętam jak się nazywał – wyglądał na prawdziwego pasjonata. Dla wielu Polaków wtedy zetknięcie się z łemkowszczyzną i Bieszczadami (popularnym celem letnich wypraw) było pierwszym zetknięciem się z problematyką ukraińską i wschodnią w ogóle, owocowało pogłębionym zainteresowaniem czy trwałymi inicjatywami na polu kultury. Przypomnijmy tylko, jak wielką część dorobku „Orkiestry p. w. św. Mikołaja” są utwory łemków i Bojków, a przecież to legenda polskiej muzyki folkowej.

Ja nie podzielałem tych fascynacji. Moje zainteresowanie przedmiotem było na wskroś polityczne, a zastanówmy się, jaki dla sprawy polskiej miałyby skutek choćby i największego sukcesu sprawy łemkowskiej, to znaczy że jakaś (kilkunastotysięczna?) część i tak małej społeczności Ukraińców w Polsce w całości uzna się za osobny naród? Oczy-

wiecie skutek byłby żaden, najwyżej w PRL-u powstałoby jeszcze jedno koncesjonowane i nadzorowane stowarzyszenie więcej. Do rozpadu Sowietów w niczym by się to nie przyczyniło, bo cała Łemkowszczyzna zawiera się w granicach Polski i Słowacji. Oczywiście problematykę łemkowską jakoś śledziliśmy, ale jako część zagadnienia ukraińskiego i bez szczególnego wyróżnienia.

W tymże roku wraz z Wappą poszliśmy do Jacka Kuronia, chyba chodziło o spotkanie z nim. Przyjął nas w swoim imponującym mieszkaniu na Mickiewicza, był zaciekawiony tematem narodowościowym, ale odniosłem wrażenie, że nic bliższego wtedy o nim nie wiedział.

Ostatecznie spotkanie z Kuroniem miało się odbyć gdzieś na początku 1989, był to już moment Okrągłego Stołu, ale Kuroń nadal był dla partyjnej propagandy symbolem opozycyjnej ekstremy. Wiadomo było, że przyjdzie sporo osób, ktoś więc podsunął pomysł, abyśmy poszli do „Stodoły”, dysponującej dużą powierzchnią, w owym czasie zarządzaną przez ZSyP czy inne tego typu towarzystwo. Poszliśmy (ja chyba z Leonikiem, z nim na pewno kolejny raz u Kuronia byłem w/s tego spotkania) i oni zgodzili się na to spotkanie. Zapytali się, ile pieniędzy za organizację weźmiemy. My to wszystko społecznie robiliśmy, więc byliśmy zdziwieni, a oni też byli zdziwieni, że nie żądamy forsy i któryś tam mruknął: „Są jeszcze prawdziwi społecznicy”. Ta sytuacja ilustruje szersze zjawisko – w czasie, kiedy my roznosiliśmy ulotki, konformiści i karierowicze (bo przecież dość rzadko komuniści motywowani ideologicznie) szli do organizacji oficjalnych i robili tam przekręty pod osłoną bezpieczeństwa i partii. Ale także inwestowali w siebie. Po czerwcu 1989 r. w pomagdałenkowej III RP, kiedy liczyła się kasa, a nie chęć służby krajowi czy jakiegokolwiek zasługi, tacy ludzie mieli naturalną przewagę nad tą częścią dawnej opozycji, która nie chciała się z nimi dogadać. Jeżeli mówimy o sile środowiska „Ordynackiej” wewnątrz obozu III RP, to jest to mały przyczynek do obrazu całości.

Kiedy już do spotkania doszło, na sali był autentyczny tłum, trzeba się było przeciskać do mikrofonu. Pamiętam, że był Jan Józef Lipski i Grzegorz Kostrzewa. Od razu przyszła informacja, że Kuroń został zatrzymany przed spotkaniem, więc to ogłosiłem przez mikrofon i zebrani zaczęli się rozchodzić. To w sumie niedoszłe spotkanie było najliczniejszym, jakie udało nam się zorganizować w tym okresie.

Sam Kuroń później w rozmowie z nami utrzymywał, że SB mu powiedziała, że zatrzymanie ma na celu, aby to spotkanie się nie odbyło – miało to być jego ostatnie zatrzymanie w PRLu („U nas rządzą ci z Trójmiasta”. Rozmowa z Jackiem Kuroniem przewodniczącym Sejmowej Komisji ds. Mniejszości Narodowych „Dyskusja-Dyskusja” nr 5, grudzień 1993. Tytuł jest cytatem z wypowiedzi jakiegoś działacza PZPR, który tak Kuroniowi tłumaczył sytuację Białostocczyzny – a trójmiasto to Bielsk Podlaski, Hajnówka, Siemiatycze, rejon zamieszkały w dużej mierze przez prawosławnych). Ale

z dokumentów, jakie wypłynęły później, wynika, że zatrzymania nie było, a jedynie konieczność jakiegoś zakamuflowania spotkania z płk. Lesiakiem, z którym negocjował warunki, na jakich powstała III RP. W dodatku to spotkanie zostało zapisane w papierach SB, jako robione przez SZSP, więc nawet mołojcekiej sławy z tego nie mieliśmy.

Gdzieś pod koniec 1986 (najdalej początek 1987, pamiętam, że była zima) Jacek Giżyński, znany mi z GP „Robotnik”, zwrócił się do mnie z pomysłem założenia pisma poświęconego problematyce Europy Środkowo-Wschodniej. Do zajęcia się tym tematem skłoniła go, jak sam mówił, m.in. lektura w/w książki Skaradzińskiego („Podlaskiego”). GP „Robotnik” dysponowała własną bazą poligraficzną, a były tam osoby doceniające wagę tematu (choćby Krzysztof Markuszewski) tak, że wyglądało to realnie. Zaproponowaliśmy współpracę znanej mi ze studiów Joannie Strzelczyk oraz Katarzynie Parzychowskiej współpracującej wcześniej z pismem „OBI – Osiedlowy Biuletyn Informacyjny”. I tak powstało pismo „Międzymorze”, którego pierwszy numer ukazał się w 1987. Zostało opisane w literaturze naukowej (T. Sikorski, „Międzymorze” – pismo sekcji wschodniej Polskiej Partii Socjalistycznej (1987-1989). Zapomniana historia, [w:] „Athenaeum. Polskie Studia Politologiczne”, nr 41, 2014), więc tylko kilka wspomnień. W tym czasie Kaśka odziedziczyła duże mieszkanie na Mokotowskiej i tam się przeniósł. Najczęściej właśnie tam spotykał się zespół. Część prac redakcyjnych robiliśmy także w mieszkaniu Wojtka Czaplickiego na Ochocie, który wówczas wszedł do PPS-u. Joaśka Strzelczyk weszła także do „Towarzystwa Pomost”, które było też trochę merytorycznym zapleczem redakcji – by wspomnieć tylko Olszańskiego. Numer drugi pisma wydrukował nam „Biuletyn Łódzki”. Nawiązałem kierownictwo PPS-u do powołania sekcji wschodniej, ale tu stanął na przeszkodzie rozłam w PPS-ie – większość energii poszła na spór wewnętrzny. W końcu Lipski z Malanowskim jakąś pomoc zadeklarowali i numer 2-3 (3-4) w 1988 r. był sygnowany jako pismo Sekcji Wschodniej PPS oraz Wydawnictwa im. O. Palme, starałem się, aby w środowisku ten temat chodził, co było o tyle proste, że ten program wynikał wprost z tradycji partii, wówczas mocno odwołującej się wprost do socjalistycznego etapu w życiu Józefa Piłsudskiego. Wspólnie z warszawskim Okręgowym Komitetem Robotniczym PPS-u redakcja wydała odezwę w/s rocznicy 7 IX 1939, akcentując tam wspólnotę losu z narodami Europy Wschodniej. Kiedy działacze białoruscy w Krakowie odnowili grób Alesia Haruna (wł. Aleksander Pruszyński 1887-1920 białoruski poeta i działacz niepodległościowy) – to dzieło głównie BZS-u i Olega Łatyszonka, który jego grób odnalazł – delegacja PPS-u była obecna na uroczystościach. (Ts [T. Szczepański], Nad grobem Alesia Haruna, „Robotnik”, 1988, nr 136. Apel, „Robotnik”, nr 139, 1989.). Była tam także delegacja KPNu i chyba po raz pierwszy wtedy zobaczyłem Andrzeja Izdebskiego, znanego krakowskiego działacza KPN-u, a później twórcę tamtejszego oddziału „Towarzystwa Pomost”.

16 grudnia 1988 r. PPS zorganizował demonstrację na UW z apelem do działaczy narodowych Litwy, Białorusi i Ukrainy oraz do działaczy mniejszości polskiej tamże, byłem jednym z mówców. Popieraliśmy ich niepodległość, jednocześnie wzywając do respektowania praw polskiej mniejszości, jasnym bowiem było, że wszelkie spory na tym tle wykorzysta Moskwa. (Apel, „Robotnik”, nr 139, 1989).

Z czasem zauważyłem ciekawą rzecz – łatwo było na dole, do poziomu zarządu lokalnego (przyjęto tradycyjną nazwę OKR), ale kierownictwo (Lipski, Małanowski, Goldfinger-Kunicki i Marek Nowicki) kluczyło i nie dawało pieniędzy. Stawiali – moim zdaniem – na okrągły stół, ugodę, rozumianą nie jako konieczność etapu, ale jako trwałe rozwiązanie. Radykalny program wschodni musiał budzić ich obawy, że się w tej ugodzie nie zmieszczą. Do tego doszła tendencja Lipskiego pojednawcza do byłych PZPR-owców, którzy byli kiedyś w koncesjonowanym PPS-ie, a teraz owszem, chcieliby się znów do PPS-u zapisać. Przyjmowanie ich to samobójstwo, bo przecież jasne było, że większość, jeśli nie wszyscy, jest jakoś powiązana z układem PZPR i będzie skrycie działała na jego rzecz.

Wszystko to razem sprawiło, że w 1989 r. „Międzymorze” wyszło ze struktur PPS-u, chociaż ja i Joanna Strzelczyk zostaliśmy jeszcze członkami tej partii. Ostatni numer tego pisma (1989) wydaliśmy jako niezależna redakcja. Poszukiwaliśmy jakichś pieniędzy – był taki fundusz dla wychodzących z podziemia pism i nawet napisaliśmy prośbę, ale nic nie wyszło i pismo przestało się ukazywać.

Później w ramach „Towarzystwa Pomost” dość poważnie rozważaliśmy jego wznowienie (Czesław Seniuch, tłumacz literatury białoruskiej, który do nas dołączył, napisał w 1990 projekt jego struktury), ale wszystko rozbiło się o brak pieniędzy.

Wobec początków transformacji, które stały się widoczne w drugiej połowie 1988 r. (po wygaszeniu nowej fali strajków przez Wałęsę i zapowiedzi rozmów „okrągłego stołu”), podjęliśmy próbę rejestracji klubu jako stowarzyszenia. Początkowo dostaliśmy odmowę, co, nawiasem mówiąc, zostało odnotowane w prasie podziemnej, „Robotniku” i w „ABC”. (Kolejna odmowa, „Robotnik”, nr 136, październik 1988. Pismo odnotowało odmowę rejestracji stowarzyszenia w 1988 r. Towarzystwo Pomost, „ABC. Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”, nr 7, 1988). Sprawami związanymi z rejestracją kierował T. M. Leoniuk, nadawał się do tego także jako człowiek spokojny i opanowany. (To ostatnie miało zresztą związek z jego szczególną sytuacją zdrowotną – miał wadę serca i nie mógł podejmować intensywnego wysiłku fizycznego ani się denerwować. Ta wada zresztą przyczyniła się do jego przedwczesnej śmierci, gdy był konsulem w Kazachstanie). Po powtórnym złożeniu wniosku zostaliśmy zarejestrowani w grudniu 1988 r. jako „Towarzystwo Pomost”. Całkiem otwarte już działania ułatwiały też przystąpienie nowych osób – to mniej więcej w tym czasie pojawili się u nas Paweł Cieplak (notabene prawie mój sąsiad – też mieszkający na osiedlu Bródno), Michał Kurkiewicz, Monika Plutecka, Mar-

cin Sitek, Maciej Świrski i Roksolana Semerak-Nebeś. Roksolana była Ukrainką mieszkającą w Warszawie, z rodziny zesłanej na Mazury podczas Akcji „Wiśła”. Jej ojciec był zwolennikiem Runwiry, tj. doktryny Lwa Sylenki – twórcy jednej z odmian nacjonalistycznego neopogaństwa ukraińskiego. Stąd Roksolana posiadała główną księgę Sylenki – „Mahawirę”, którą przy okazji przejrzałem. Ja już wtedy trochę interesowałem się ruchem Zadruha, toteż coś podobnego (zresztą w dość ograniczonym zakresie), funkcjonującego w kraju sąsiednim, z natury rzeczy mnie ciekawiło. Powoli docierało do mnie przekonanie nie tylko o rzeczywistej fundamentalnej odrębności Europy Środkowo-Wschodniej od Moskiewszczyzny (łatwo było je nabyć, bo wystarczyło z dziejami Rosji się lepiej zapoznać), ale też od Zachodu. Ta odrębność jest nie tylko polityczna, powinna się wyrazić także na innych płaszczyznach. Religia neopogańska, etniczna, oczywiście umocni tę odrębność. Ale to był początek niełatwego procesu, proszę pamiętać, że konsekwentne domyślenie tej sprawy oznaczało także odrzucenie oświecenia. Przecież oświecenie zakłada uniwersalność swojego katalogu „praw człowieka”, całej swojej wizji świata i jednostki itp. Jeżeli gdzieś nie działa – gdzie większość narodu, jak w Rosji, szczerze całe oświecenie odrzuca – to znaczy, że uniwersalne nie jest. A przecież pamiętamy, że na oświeceniu zbudowany był nie tylko marksizm, lecz także większość naszej opozycji wobec niego. Mogę powiedzieć – wszyscy moi nauczyciele. Wyrazisty przykład – na zajęcia z historii najnowszej chodziłem do Cegielskiego, przywódcy polskiej masonerii.

Tak naprawdę to już z odrzucenia chrześcijaństwa wynika odrzucenie oświecenia, bo jest ono tylko świecką herezją chrześcijaństwa, ale wydaje mi się, że mało kto to tak odbierał, wtedy i teraz. A to jest ważne, bo jeżeli wszyscy jesteśmy ludźmi takimi samymi „ludźmi w ogóle” (tu szyderczy śmiech de Maistre’a), to zawsze w końcu możemy się dogadać. Ale jeżeli jesteśmy różnymi kulturowo gatunkami, to są sytuacje, gdy to jest fundamentalnie niemożliwe, a pokój między nami wynika tylko ze strat, jakie przyjdą z jego naruszenia, nie zaś z fundamentalnej woli jego zachowania. Wtedy to były raczej intuicje, lecz to właśnie kontakt z problematyką narodowościową uruchomił te myśli.

Zrobiliśmy Walne Zebranie i wybrano mnie prezesem, piastowałem tę funkcję do 1993 r. Andrij Maruszeczko wykonał dla nas logo „Towarzystwa Pomost”, którym ozdabialiśmy nasze plakaty itp.

Te wszystkie działania opozycji – ale także i emigracji – zostały oczywiście dostrzeżone przez komunistów i widać, że organizowali kontrę, także w zakresie walki o świadomość. Komuniści mieli tu łatwą drogę – wystarczyło przypominać o zbrodniach Ukraińskiej Powstańczej Armii na cywilnej ludności polskiej i starać się, by Polacy kojarzyli je z jakimkolwiek ukraińskim ruchem niepodległościowym. Oczywiście na Ukrainie propaganda komunistów i Moskali szła w drugą stronę – propagowano niechęć do „polskich panów” i „białopolaków”).

Najbardziej widocznym przejawem tej walki o świadomość były masowe wydania trzech prac Edwarda Prusa dotyczących nacjonalizmu ukraińskiego. Były to prace stroniczne z dość niedbale ukrytą tezą, że tylko podległość Moskwie może ochronić naród polski (autor później zdeklarował się jako zwolennik Jędrzeja Giertycha, dla którego było to polityczne credo – oczywiście wszyscy moskalofile podległość nazywają „sojuszem”). Naukowcy nie dali się nabrać i prace te miały dość krytyczne recenzje, ale przecież nie chodziło o nich, ale o zwykłego czytelnika, zwłaszcza ze środowiska kresowego. Ci ludzie słusznie czuli się zapomniani w PRL-u i prace Prusa wielu z nich powitało bezkrytycznie. Po 1989 r. Prus występował nadal publicznie, a jego popularność w środowiskach kresowych i endeckich utrzymywała się, pomimo że łatwo było udowodnić nie tylko błędy rzeczowe w jego pracach, lecz także długoletnią współpracę z komunistyczną propagandą (Jędrzej obrzydliwym przejawem jest praca Pannacjonalizm. Polityczna działalność emigracyjna byłych kolaborantów z Europy wschodniej i południowo-wschodniej, Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1976 – paszkwil na antykomunistyczne środowiska emigracyjne z obszaru Międzymorza). Obecnie wiadomo, że był także TW SB (Kwestia ukraińska w działalności Służby Bezpieczeństwa PRL. Dokumenty i materiały”, wstęp i opracowanie A. Ślabig, Warszawa 2016.). Oprócz tego, wydano kilka prac przypominających walki z UPA w Bieszczadach. Jakież skutki to na pewno miało, choć wydaje mi się, że dość ograniczone – ludzie mieli instynktowną nieufność do wszystkiego, co wychodziło z oficjalnych środków przekazu.

Ideę Międzymorza czy w ogóle współpracy środkowoeuropejskiej konsekwentnie zwalczały środowiska endeckie w podziemiu, moskalofilstwo było wręcz ich znakiem firmowym. „Niezależna Grupa Polityczna” określała się wręcz jako „niekomunistyczna orientacja proradziecka” (nawet nie prorosyjska zauważmy, tylko proradziecka). Niekiedy tłumaczono to wpływem agentury, nie do końca słusznie. Istotnie TW było w tym gronie dużo (zob. S. Cenckiewicz „Endekooesbecja”: dezintegracja Polskiego Związku Katolicko-Społecznego w latach 1982-1986, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944-1989” 2007, nr 1(5)), ale jest to przecież także dziedzictwo ideologiczne – zwłaszcza wpływ Jędrzeja Giertycha, który przecież niczym agentem nie był, za to był zdolnym publicystą, w błyskotliwy sposób przekonującym do swoich obsesji. W dodatku – jak to dziś wiemy – podkręcanym przez agentów SB w jego otoczeniu. Powiedzmy też, że inaczej idea jakiegoś modus vivendi z Moskwą (przy uznaniu podległości) wyglądała w roku 1956, gdy sowieckie czołgi wchodziły do Budapesztu, a inaczej w roku 1985, gdy Sowieci ugrzęźli w Afganistanie, a na czele USA stał Reagan. Dlatego Bolesława Piaseckiego i Giertycha (modelowe postacie podejścia, o którym mówimy) nie potępiam w czambuł – w określonej chwili historycznej stały za nimi jakieś racje. Ale wszystkie one były już całkowicie nieaktualne po Sierpniu '80, a z politycznego punktu widzenia – ich postawa (czy ich zwolenników) była wręcz szkodliwa dla polskiej racji stanu. A także dla recepcji samej ideologii narodowej – doszedłem wówczas do prze-

konania, że o ile Piłsudski i jego obóz miał rację w sprawach widzenia Europy Wschodniej, o tyle odpowiedź na pytanie, co jest zasadniczym podmiotem polityki, lepiej sformułowali młody Dmowski z Balickim – a jest nim naród rozumiany jako wspólnota etniczna. Właśnie kontakty z mniejszościami mnie do tego przekonały, przecież każdy z moich znajomych z tych środowisk swoją osobą dawał dowód, że jego wspólnota etniczna jest dlań podstawowym punktem odniesienia. Kontakty te przekonały mnie też że jednolitość etniczna społeczeństwa jest korzyścią i należy dążyć do jej utrzymania.

W dużej mierze z powodu ich moskalofilstwa wpływ środowisk narodowych był minimalny do 1989 r. i zresztą długo potem także.

W tym też czasie zetknąłem się z antagonizmem ukraińsko-białoruskim, szczególnie żywym zwłaszcza na południowej Białostocczyźnie. Teren ograniczony z grubsza na północy górą Narwią, na południu – Bugiem, a od zachodu szosą Bielsk-Siemiatycze (na wschodzie jest granica państwa) zamieszkanym jest w dużej mierze przez prawosławną ludność posługującą się dialektami wschodniosłowiańskimi, o świadomości najczęściej białoruskiej, ale według części językologów mówiącej raczej dialektami ukraińskimi. Na tej podstawie część głównie młodej inteligencji z rodzin prawosławnych w tamtych stronach określiła się jako Ukraińcy i po 1989 założyła Związek Ukraińców Podlasia. Ale proces ten zaczął się już wcześniej, właśnie w latach 80. Białorusini reagowali na to niezwykle nerwowo (podobnie jak Ukraińcy na separatyzm łemkowski i z tych samych powodów). Nikt nie lubi tracić, ale był tu jeszcze jeden aspekt – obszar tak zakreślony to główny obszar zamieszkania Białorusinów w Polsce. Tam jest większość szkół podstawowych z językiem białoruskim, tam są dwa licea z tym językiem (Bielsk Podlaski i Hajnówka). Gdyby ta ludność określiła się jako Ukraińcy, to Białorusini w Polsce straciliby swój matecznik. A dodajmy, że o ile w przypadku polonizacji, to prawosławie ją utrudnia, to w przypadku ukrainizacji – już nie. Stąd tak nerwowe reakcje. Ja zachowywałem tu ścisłą neutralność, uznając, że dla polityki polskiej ten spór nie ma znaczenia.

Wesele Gienka Wappy we wrześniu 1989 r. było okazją do zabawnego zdarzenia z tym związanego. Obrzęd ślubu był w cerkwi w Werstoku, siedzibie parafii, do której należy wieś Wappy – Długi Bród, gdzie odbyło się wesele. W trakcie wesela znajoma Białorusinka zaczęła mi opowiadać coś o niektórych nieznanych mi gościach. Wskazała na jakiegoś młodego chłopaka w kącie namiotu, najpierw jakby nie wiedząc, co powiedzieć.

„Bo wiesz... To jest Ukrainiec” – chwilę szukała właściwego określenia – „To gorzej niż Polak”.

W 1988 r. ktoś ze środowiska białoruskiego zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc w wydrukowaniu bibuły w języku białoruskim. Nawiązaliśmy kontakt z kimś ze studenckiego pisma „Nurt” (pismo podziemne NZS-u – nie mylić z ukazującym się legalnie

w tym czasie znanym poznańskim miesięcznikiem) i oni na swoich maszynach wydrukowali po białorusku (chyba z przekazanych matryc albo sami matryce zrobili z przekazanego egzemplarza) pracę historyczną Eugena Kałubowicza „Ajcy BSSR i ichni los” (1988). Jakieś własne możliwości drukowania polscy Białorusini też mieli, ale faktem jest również pomoc polskiego podziemia dla nich.

Białoruskie środowiska narodowe i niepodległościowe świętują 25 marca – rocznicę ogłoszenia Białoruskiej Republiki Ludowej w 1918 r. Taka właśnie uroczystość odbyła się w Białymstoku 25 marca 1989 w Akademii Medycznej. Organizowało tę imprezę Białoruskie Zrzeszenie Studentów, a pomagał w tym także działający już prawie jawnie NZS, a także „Nasz Głos” Roberta Tyszkiewicza. Tutaj trzeba przypomnieć, że stosunki polsko-białoruskie na Białostocczyźnie w PRL-u charakteryzowały się stanem zimnej wrogości. Na ten temat napisano dużo zarówno po stronie polskiej, jak i po białoruskiej, więc odnieśmy się do sprawy tylko w zarysie, dla przypadkowego czytelnika. Wrogość ta miała korzenie historyczne – podczas pierwszej okupacji sowieckiej („za pierwszego Sowietu” 17 września 1939 – 22 czerwca 1941) duża część społeczności białoruskiej poparła okupanta sowieckiego. Z kolei narodowcy białoruscy postawili na Niemców, co też zostało dostrzeżone. A po 1945 r. komuniści polscy otworzyli przed Białorusinami (czy szerzej – prawosławnymi) drogi awansu społecznego, bo nie byli oni podejrzani o związki z podziemiem niepodległościowym. A pamiętajmy, że podziemie na Białostocczyźnie po 1944/45 r. było dość silne, także dlatego, że dowodzący tamtejszą AK płk Liniarski nie wykonał rozkazu o „Burzy” (całkiem słusznie, moim zdaniem), dzięki czemu struktury nie zostały ujawnione przed powtórnie wkraczającą armią sowiecką. A kiedy przyszedł rozkaz o rozwiązaniu AK, to on przekształcił tamtejszy okręg AK w nową organizację, będącą po prostu kontynuacją okręgu pod inną nazwą. Dodajmy, że niezależnie od tego istniały tam struktury Narodowych Sił Zbrojnych, no i oddziały AK przybyłe z Wileńszczyzny. Oczywiście, że wszystkie te siły walczyły z komunistami, a w realiach ówczesnej Białostocczyzny oznaczało to, że głównie z prawosławnymi (na tych terenach wyznanie w dużej mierze określało narodowość).

Zjawisko, że funkcjni aparatu PZPR-u na tych terenach pochodzą głównie z prawosławnych wiosek i noszą na ogół wschodniosłowiańskie nazwiska utrzymało się długo. Istniał nawet dowcip – dlaczego w Komitecie Powiatowym PZPR-u w Bielsku Podlaskim zatrudniono towarzysza o nazwisku Skibordziuk? Bo z Warszawy przyszło polecenie „żeby tam u was chociaż jeden był na -ski”.

Kiedy powstała „Solidarność”, Białorusini na ogół zachowali dystans, wyjątek jakim była prawosławna wieś Dubicze, gdzie powstała komórka związku, miejscowy dziennikarz określił mianem „Wyspa Dubicze” (Danilewicz Jerzy „Wyspa Dubicze”, Kurier Poranny (Białystok) 10 IX 1998) – wyspowość oznaczała wyjątkowość polityczną tej śródlądowej wioski. Po wprowadzeniu stanu wojennego Cerkiew go poparła, a większość Białorusinów zachowała się biernie lub lojalnie wobec komunistów. Młode poko-

lenie Białorusinów, wchodzące na studia w stanie wojennym, było na ogół politycznie inne od swoich rodziców i dziadów, to jednak słabo się przebijало do świadomości ogółu. Każdy Polak, który chciał działać na rzecz porozumienia polsko-białoruskiego, musiał brać pod uwagę to wszystko.

Na tym tle białostockie środowisko Roberta Tyszkiewicza (Ruch Solidarności Młodych i pismo „Nasz Głos”) wyróżniało się wolą przezwyciężenia przeszłości i nawiązania współpracy. Nawiązaliśmy wówczas kontakt, który utrzymał się przez następne parę lat (urwał się, gdy Tyszkiewicz zaczął robić karierę w Unii Wolności i nie byłem już dla niego dobrą znajomością). Wówczas 25 marca 1989 r. byłem tam obecny – cała uroczystość odbyła się gdzieś w Akademii Medycznej, chyba w jakimś akademiku. Odbywało się to może bez zewnętrznej reklamy, ale jednak też nie konspiracyjnie. Pamiętam, że wypowiedź o znaczeniu 25 marca 1918 r. miał Łatyszonok i Eugeniusz Mironowicz. Zwracali też uwagę na wrogi wówczas stosunek Lenina i bolszewików do sprawy białoruskiej. Wśród gości poza mną pamiętam też Kazaneckiego i Piotra Skwiecińskiego. Po spotkaniu, jako że był już późny wieczór, a pierwszy pociąg do Warszawy był dopiero nad ranem, zostaliśmy zaproszeni do jednego z pokoiów, gdzie studentki przygotowywały nam kanapki i coś do picia.

Wówczas – wiedząc że jesteśmy związani z podziemiem – zaczęły mówić, że one rozumieją, iż my mamy do nich życzliwy stosunek, ale „Solidarność” w Białymstoku ich nienawidzi i chciała prawosławnych wymordować. I że stan wojenny ich ocalał. Szczęki nam opadły na takie dictum. Ktoś zapytał, jakie mają dowody na te mordercze zamiary? Odpowiedziały, że w ich wsi po 13 grudnia 1981 SB znalazło siekiery zakopane w śniegu i te siekiery przygotowała „Solidarność”, żeby wszystkich prawosławnych wybić (zob. także P. Skwieciński „Nie zahinie kraj nasz rodny”, PWA 1989, nr 12 (182) – wraz ze mną był świadkiem opisaną sceny). I nie dały się przekonać, że to prowokacja SB, która tych siekier nie znalazła, a przywiozła je ze sobą. Zauważmy – były to studentki, a zatem przedstawicielki elity swojego pokolenia i swojego środowiska. Jeżeli takie nastroje panowały tutaj, to jak musiało być wśród zwykłych mieszkańców prawosławnych wsi?

W tym czasie istniało kilka wyspecjalizowanych inicjatyw opozycji zajmujących się problematyką środkowo-wschodnioeuropejską (Więcej o tym w: T. Szczepański, *Mniejszości narodowe w myśli politycznej opozycji polskiej 1980-1989*, Toruń 2008). Do ważniejszych należały pisma: „Obóz”, „Nowa Koalicja”, „ABC-Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”, obie moje opisywane tu inicjatywy wpisywały się w ten nurt.

Mniej więcej w 1988 r. poznałem Grzegorza Kostrzewę-Zorbasę, naczelnego „Nowej Koalicji”. On był zarazem w WSN-ie, czyli małej grupie niepodległościowych socjalistów (Jerzy Jackl to współtworzył) – nie pamiętam, jak dostałem kontakt, może poprzez środowisko PPS-u. Był to cenny kontakt, także wynikający z faktu znacznie mocniej-

szego osadzenia w elitach opozycyjnych niż nasze, a co za tym idzie – posiadania sporych możliwości organizacyjnych i finansowych.

Współpracowaliśmy od tej pory przez kilka lat, aż do momentu, gdy po 4 czerwca 1992 r., skądinąd rozsądnie, Kostrzewa-Zorbas wyjechał z kraju (na stypendium do USA), jako jeden z ludzi nienawidzonych przez układ okrągłostołowy, za próbę jego obalenia. Był raczej typem ideowego anglosaskiego liberała, a liberalizm zawsze budził moją instynktowną niechęć, a im bardziej zdobywałem doświadczenie i wiedzę, tym bardziej instynktowna niechęć przeradzała się w uzasadnianą rozumowo wrogość wobec tego kierunku. Uważam liberalizm za ślepą uliczkę ludzkości wszędzie poza krajami anglosaskimi. I tam zresztą wykazał swoje niszczące wspólnotę narodową oblicze, może więc tam jedynie materiał społeczny (spajany kalwinizmem) był odporniejszy? To nie jest tylko pogląd polityczny, ale kulturowy, w ogóle uważam że w polityce (poza podstawową opozycją wróg-przyjaciel, w rozumieniu Carla Schmitta) liczy się bliskość kulturowa uczestników i podobieństwo myślenia. To jest ważniejsze niż pogląd na ordynację wyborczą czy model prezydencki lub parlamentarnogabinetowy. Tytułem przykładu – Kostrzewa pochwalił kiedyś USA za to, że tam każdy może się nazywać jak chce, „możesz się nazywać Lew Tołstoj”. Dla mnie tego rodzaju wolność jest czymś obrzydliwym, bo stanowi deklarację nieważności tradycji. Dodajmy zresztą, że w Polsce zmiana nazwiska była albo wymuszana przez okoliczności zewnętrzne (okupacja niemiecka, komunizm) albo – w wypadku nie-Polaków – wiązała się z chęcią ukrycia wśród Polaków, najczęściej w celu szkodenia nam. Dlatego też afirmacja tego rodzaju wolności mnie osobiście źle się kojarzyła.

Podjezwam zresztą, że ta nonszalancja w podejściu do nazwiska w USA jest wpływem cywilizacji żydowskiej na amerykańskich protestantów – bo Żydzi we własnej cywilizacji nie mieli przecież nazwisk.

Mimo wszystkich różnic współpracowało nam się dobrze, na sprawy wschodnie i narodowościowe mieliśmy wspólny pogląd.

Kiedy przy Komitecie Obywatelskim przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie (warto przypomnieć pełną nazwę tego ciała, gdyż oddaje ona jego istotę, a przede wszystkim to, że nie reprezentowało ono całości opozycji ani nawet całej „Solidarności”) powstała Komisja ds. Mniejszości Narodowych, to Kostrzewa – będący jej sekretarzem – zgłosił mnie w styczniu 1989 r. na członka tego ciała, co zostało zatwierdzone (Zachowałem w swoich zbiorach list Kostrzewy informujący mnie o tym). Sama jednak Komisja była organem dość symbolicznym, zebrała się raptem dwa razy i w żadnym z jej zebrań nie zdążyłem wziąć udziału.

Na rok 1989 przypada początek olsztyńskiego oddziału Towarzystwa Pomost.

Nie pamiętam już, w jaki sposób nawiązali ze mną kontakt Andrij Kapiński i Andrij Sydor, Ukraińcy studiujący na tamtejszej Akademii Rolniczo-Technicznej. Chyba poprzez

kontakty NZS-owskie – obaj byli w NZS-ie albo przynajmniej z nim współpracowali. W każdym razie w pierwszych miesiącach 1989 r. pojechałem do Olsztyna, gdzie w jednym z budynków ART w dzielnicy Kortowo odbyło się spotkanie osób zainteresowanych – oni dwaj, ktoś z NZS-u. Pamiętam, że zobaczyłem tam wtedy Erwina Kruka, chyba nawet wymieniliśmy parę zdań.

Przez nich trafiłem do Igora Hrywny i dr. Andrzeja Borkowskiego (pracownik naukowy ART), później dołączył jeszcze mieszkający w Olsztynie Białorusin Andrzej Gawryluk i to oni byli tym rdzeniem olsztyńskiego oddziału. Ale ich największy sukces, jakim było zorganizowanie sesji „Białoruś – dziedzictwo i nowa tożsamość”, był w listopadzie 1992 r., już po transformacji (A. Gawryluk Białoruś dziedzictwo i nowa tożsamość, „Czasopis” nr i, 1993).

W tymże roku ukonstytuował się oddział łódzki Towarzystwa Pomost, z inż. Zbigniewem Pruskim jako prezesem. W 1990 r. oddział ten zorganizował wystawę „Białoruski drugi obieg”, wydając też z niej katalog – ten skromny druk przez pewien czas był jedyną bibliografią białoruskich druków podziemnych w języku polskim.

Zawsze uważałem koncepcję Międzymorza (której nadal jestem zwolennikiem) za miecz o dwóch ostrzach – antyrosyjskim i antyniemieckim. Polska posiadająca zaplecze w sojuszu środkowoeuropejskim jest silniejsza w sporze z Niemcami, których dążenie do zdominowania Europy (przynajmniej wschodniej) jest oczywiste. To dążenie wtedy nie było tak widoczne, RFN wykonywała wobec Polski różne gesty, co zresztą budziło wśród lewicowo-liberalnej części naszej opozycji silne proniemieckie sympatie. Sprzyjał temu fakt, że propaganda PRLu jako jeden z niewielu argumentów za zależnością od ZSRR miała ten, że „sojusz” z Sowietami jest dla nas gwarancją utrzymania Ziemi Zachodnich. Reakcja na to była taka, jak najczęściej na propagandę PRL-u – całkowite jej odrzucenie, nawet jeśli rewizjonizm niemiecki był faktem realnym. Trochę z tego powodu namówiłem koleżeństwo, abyśmy poruszyli temat Serbów Łużyckich (Łużyczan) – wprowadzało to ze sobą resztę tematyki, którą określa się mianem „polskiej myśli zachodniej”. Zresztą trwałość łużyckości w organizmie bardzo atrakcyjnej i wykazującej duże zdolności asymilacyjne kultury niemieckiej była sama w sobie zjawiskiem ciekawym, zwłaszcza dla tych, którzy czują się zagrożeni asymilacją przez silniejszą kulturę, sądziłem więc, że zainteresuje wszystkich.

Okazja do poruszenia tego wątku nadarzyła się przypadkiem. W kompleksie budynków sejmowych na Wiejskiej była poczta. Przechodząc obok, miałem coś tam nadać. Przede mną jakiś wysoki pan w wieku więcej niż średnim nadawał dużą kopertę zaadresowaną do Budziszyna (Bautzen) w dwóch językach – niemieckim i górnołużyckim, przy tym ten górnołużycki napis był chyba większy, w każdym razie rzucał się w oczy. Zapytałem, czy nie ma problemów z tym adresem na poczcie w NRD, odparł, że w istocie zdarza się, iż list idzie przez Czechy, ale jednak dochodzi. Poprosił mnie,

abyśmy porozmawiali – był to Stanisław Marciniak (1922-1995) płk WP – jak się później dowiedziałem nienależący do PZPR, co było wielką rzadkością w wojsku – i działacz Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, w Kole Zainteresowań Kulturą Łużyčan. Tłumaczył też literaturę górnołużycką. Była to jedyna forma zorganizowanego zainteresowania Serbami Łużyckimi, jaką w latach 1949-1989 dopuszczano w PRL-u, ponieważ od powstania NRD traktowano ich problem jako ściśle wewnętrzną sprawę komunistów niemieckich. Spotkaliśmy się w kawiarni „Ambasador” niedaleko Sejmu, ja mu opowiedziałem o „Pomoście”, dodając, że sprawy narodowościowe Europy Wschodniej to także Łużyce, więc chętnie zorganizujemy z nim spotkanie. On się zgodził, ale na koniec zasugerował, abyśmy uważali gdyż profil stowarzyszenia pasuje do idei Międzymorza i ktoś (w domyśle komuniści) mógłby mieć to za złe. Ja pokiwałem głową, coś tam odpowiadając na okrągło, i pożegnaliśmy się. Zaraz poszedłem na wynaleziony przez Wojtkę Czaplickiego lokal na Wilczej, gdzie składaliśmy właśnie ostatni numer „Międzymorza”.

Do spotkania o Łużyčanach rzeczywiście doszło, w późniejszym okresie podejmowaliśmy ten temat w ramach „Pomostu” parokrotnie.

Poruszyliśmy też zagadnienia Mazurów i Warmiaków, grup etnicznych w obrębie narodu polskiego, których polityka PRL-u (a może bardziej nawet praktyka, niż celowa polityka) odepchnęła od polskości. W wielu polskich miastach są ulice Michała Kajki – za skrót całej sytuacji może służyć fakt, że rodzina Michała Kajki wyjechała w latach 60 do Niemiec. Nawiązałem kontakt z Wiktorem Markiem Leykiem, pracującym wówczas w warszawskim biurze koncesjonowanego w PRL-u ugrupowania chrześcijańskiego Unia Chrześcijańsko-Społeczna (był nawet posłem na sejm PRL-u), a będącym autentycznym Mazurem, jednym z nielicznych, którzy pozostali w Polsce i nie ulegli germanizacji. Spotkanie z nim pamiętam jako ciekawe i wiele wyjaśniające. Akcentował czynnik cywilizacyjny, wyjaśniający sukcesy germanizacji Mazurów i Warmiaków, tak często przez Polaków niedoceniany. Mechanizmy, które opisywał, zadziałały (na dużą szkodę sprawy polskiej) w skali nawet większej na Górnym Śląsku, a w mikroskali – w przypadku Słowińców. Chyba dzięki temu spotkaniu nawiązał z nami kontakt Edwin Bendyk, zainteresowany tematem także ze względów rodzinnych – pochodził ze środowiska Warmiaków.

Wybory 4 czerwca 1989 r., a następnie powołanie rządu Mazowieckiego, oznaczały likwidację istniejącej jeszcze bariery strachu w działalności publicznej, charakterystycznej dla realnego komunizmu.

Stworzyło to sytuację, w której w Polsce likwidowano komunizm przynajmniej w sferze politycznej i gospodarczej (na boku zostawiam proces uwłaszczenia nomenklatury i utrzymania uprzywilejowanej pozycji społecznej elity PRL-u – była to rewolucja polityczna bez rewolucji społecznej). ZSRR nadal istniał, pierestrojka jednak postępowała

i łatwiej było stamtąd wyjechać. Zaczęli się pojawiać goście z Sowietów – opozycjoniści albo sympatycy opozycji.

W czerwcu 1989 był w Warszawie Bohdan Horyń, ukraiński działacz opozycyjny. Zatrzymał się chyba u Roksolany (miała z mężem duże mieszkanie na Ursynowie) i tam zostało zorganizowane spotkanie z kilkoma osobami z „Towarzystwa Pomost” – pamiętam, że był tam jeszcze Leoniuk, Joanna Strzelczyk, Olszański, a także Mirosław Lewicki z żoną.

Zapamiętałem, jak Horyń wspominał swoje spotkanie z rosyjskim działaczem prawnym, bo tematem był m.in. stosunek Rosjan (nie tylko nomenklatury, ale w ogóle „zwykłych Rosjan”) do kwestii niepodległości Ukrainy. Obaj siedzieli wtedy w łazge w Mordowii. Ten działacz nic o Ukrainie nie wiedział i Horyń zaczął mu jakieś podstawy opowiadać – coś o języku, kulturze... Tamten w pewnej chwili przerwał mu, mówiąc – co ty opowiadasz, przecież to, co należy zrobić, to nawrócić Niemców na prawosławie i przywrócić pierwotną jedność chrześcijaństwa.

Ta anegdota sygnalizowała już nadchodzącą epokę – sztandarem moskiewskiego imperializmu nie będzie już komunizm (nawet unarodowiony), ale „Trzeci Rzym”. Moskwa ideologię zmienia, jak człowiek zabrudzoną koszulę, ale w istocie zawsze pozostaje tym samym.

Mogłem wreszcie – po 4 czerwca 1989 r. – otrzymać paszport, a wystąpiłem o niego, gdy Kostrzewa zaproponował mi wyjazd do Wilna, co nastąpiło późną jesienią 1989. On tam jechał jako przedstawiciel „Solidarności”, ja zaś jako jego nieformalny asystent. Pierwszy raz w życiu byłem na terenach bezpośrednio jeszcze okupowanych przez ZSRR. Niepodległościowy ruch Litwinów, skupiony wokół Sajudisu, budził wówczas sympatie w Polsce, natomiast wśród Polaków na Litwie często niepokój w związku z antypolskimi wypowiedziami niektórych jego działaczy. Lekceważyliśmy wówczas realnie istniejący litewski antypolonizm, sądząc, że to tylko resentyment, który będzie wygasać w nowej sytuacji politycznej. Widzieliśmy litewską demonstrację niepodległościową, a w niej dużą grupę młodzieży z wypisanym dużym hasłem *Okupantai lauks* (Okupanci precz – chodziło rzecz jasna o Sowietów) – to było piękne. Wiele tłumaczyliśmy działaniami Moskwy. To oczywiste, że Moskwa wykorzystywała konflikty narodowościowe na obszarze Międzymorza albo wręcz podsycala je – są one przecież w interesie imperializmu moskiewskiego, będącego prawdziwą religią większości Rosjan. Ale naiwnością jest sprowadzać je tylko do tego, jak chciałoby wielu Polaków. Wiara w to, że po zniknięciu komunizmu i Sowietów konflikty te znikną albo ulegną marginalizacji była jednak wtedy dość często spotykana. Współgra ona zresztą z właściwymi polskiemu charakterowi narodowe-sklonnościami irenistycznymi i kwietystycznymi – o czym można by długo pisać.

Zatrzymaliśmy się u Czesława Okińcy, poznałem też wtedy Romualda Mieczkowskiego, późniejszego redaktora „Znad Wili”. Reprezentowali oni nurt życia pol-

skiego na Litwie nastawiony na współpracę z Litwinami, stąd poparcie Warszawy dla nich po 1989 r. Niestety sami Litwini po 1991 r. zrobili najwięcej, aby takie osoby uległy w środowisku polskim na Litwie prawie całkowitej marginalizacji.

Kontaktowałem się z jednym z liderów mikroskopiijnej społeczności litewskiej w Polsce – Rimasem Vainą, wykładowcą Politechniki mieszkającym w Warszawie. Kostrzewa namówił go do wejścia do w/w komisji przy KO, był to chyba jeszcze 1988 albo 1989 r. Przy tej okazji go poznałem. Liczyłem, że uda się wciągnąć kogoś z tej społeczności do „Towarzystwa Pomost”, rozmawialiśmy też z historykiem Bronisławem Makowskim (Bronius Makauskas), chyba najbardziej znanym polskim Litwinem wówczas, ale nie udało się – widać było dążenie tej społeczności do zachowania splendid isolation. Rozmowom z Rimasem Vainą zawdzięczam szacunek do tradycyjnej litewskiej nalewki „trzy dziewiątki” (trejos devynieros) i w ogóle litewskiej sztuki gorzelniczej, ale korzyści natury organizacyjnej nie było żadnych.

Z czasem coraz częściej zaczęli pojawiać się goście zza wschodniego kordonu poszukujący kontaktu z opozycją, toteż nieraz udało się zorganizować z kimś takim spotkanie w ramach stowarzyszenia. Pamiętam spotkanie z Jurijem Szczerbakiem na UW w lutym 1990 – dość sporo ludzi w jednej z sal na Małym Dziedzińcu (pamiętam m.in. W.M. Leyka). Szczerbak mówi o sytuacji Ukrainy i o roli, jaką odegrał były pierwszy sekretarz kompartii w Ukraińskiej SSR Wołodymyr Szczerbicki – a była to rola złowroga. Szczerbicki był znany z tego, że po Czarnobylu nakazał zorganizować uroczystości pierwszomajowe, jak gdyby nigdy nic, przez co naraził na dodatkowe napromieniowanie setki tysięcy kijowian. Szczerbak coś o tym mówi i nagle ktoś wchodzi z wiadomością, że właśnie Szczerbicki zmarł – i momentalnie jakby pojaśniało na sali, wszyscy się uśmiechnęli. Zapamiętałem to, bo dla mnie radość ze śmierci wroga jest czymś naturalnym i całkowicie zgodnym z moim światopoglądem, ale ci na sali przecież byli prawie wszyscy chrześcijanami. I w ogóle spora część tych inicjatyw „dialogowych”, które wówczas omal eksplodowały za swoje zaplecze ideowe, brały idee chrześcijańskiego pojednania. W takich momentach dobrze widać, że starając się mówić o tym na płaszczyźnie przede wszystkim politycznej, byłem bardziej szczery.

Spotkanie z dwoma działaczami białoruskimi Michałem Tkaczowem i Jurijem Chadyką z Białoruskiego Frontu Narodowego (biał. BNF) – zrobiliśmy wiosną 1990 r. w lokalu PPS-u, jaki na fali przemian otrzymała ta partia na Krakowskim Przedmieściu. Był on znacznie większy niż pokoik warszawskiego BTSK, no i doskonale położony, toteż zrobiliśmy tam chyba parę spotkań w pierwszej połowie 1990 r. Później, kiedy opuściłem PPS, nie mogliśmy już go używać.

W styczniu 1990 r. Kostrzewa zaproponował mi wyjazd na Ukrainę. Pojechaliśmy pociągiem do Lwowa, stamtąd po kilku dniach pociągiem do Kijowa i samolotem przez Moskwę do Warszawy.

Jego celem było zapoznanie się z tamtejszymi środowiskami opozycyjnymi, a także z odradzającą się na fali pieriestrojki społecznością polską. Rozmawialiśmy z braćmi Horyniami, Czornowilem oraz z liderami ruchu polskiego – pamiętam spotkanie u prof. Leszka Mazepy na przedmieściach Lwowa. Poznałem też grupę niepodległościowych socjalistów ukraińskich z Andrijem Pawłyszynem, później znanym tłumaczem z języka polskiego na ukraiński. Andrij jako pierwszy przetłumaczył m.in. teksty Zbigniewa Herberta na ten język. Przetłumaczył później też mój pierwszy tekst literacki – satyrę „Xiądz Marek” (wyd. pierwsze 1990 r.) i opublikował po ukraińsku w czasopiśmie „Ji”. (Andrij, podobnie jak ja, socjalistą być przestał po kilku latach, ale nasza znajomość przetrwała do tej pory).

Przekazali mi pewną prośbę, którą spełniłem przy następnej wizycie – otóż wiedzieli, że ukazały się kiedyś w Polsce wspomnienia Ignacego Daszyńskiego, całkowicie niedostępne we Lwowie. One rzeczywiście zostały wydane w 1957 r. na fali odwilży, ale potem chyba zamknięto je w magazynie. W każdym razie w 1989 pojawiły się w swojej liczbie w księgarni „KiW” w jakiejś groszowej cenie, i udało mi się je po powrocie nabyć i przekazać do Lwowa, za co jeden z kolegów Pawłyszyna bardzo mi dziękował. Przewiozłem też Biblię po ukraińsku i dałem komuś – niezależnie od mojego światopoglądu ten zabytek mitologii semickiej w ich ojczystym języku mógł sprzyjać odrodzeniu narodowemu. W ogóle nasi starali się zabierać coś z książek, co można tam podarować komuś, co chyba nie każdy z Zachodu robił. Słyszałem o działaczu zachodniej chadecji, który odmówił wzięcia ze sobą Biblii do ZSRR, bo, jak powiedział, „chciał pojechać do ZSRR z czystymi rękami”.

We Lwowie poznałem też Alikę Olisewicza, który wcześniej do nas napisał, był to hipis – postać barwna, ale kontakt tylko towarzyski. Liczyliśmy, że tam powstanie coś na kształt bliźniaczego stowarzyszenia, były na ten temat rozmowy wtedy i później, ale ostatecznie bez skutku.

W Kijowie mieszkaliśmy w bazie Energopolu na skraju miasta, ta firma coś tam budowała. Akurat wtedy „Ruch” zorganizował żywy łańcuch łączący Lwów i Kijów, widziałem to na ulicach Kijowa. O jednej porze dnia ludzie ustawili się w łańcuch na ulicach i drogach tak, aby połączyć oba te miasta. Zgodziłem się z Kostrzewą, że prawdziwym sprawdzianem „Ruchu” będzie taki łańcuch między Kijowem a Charkowem, ale tak czy inaczej – był to wielki sukces organizatorów. Kiedy ludzie się rozchodzili, wracałem przez zaśnieżony Kijów ze sławistką Roksaną Charczuk i Ołesiem Donijem (wówczas działaczem studenckim) w szybko zapadającym zmierzchu. Donij trzymał ukraińską flagę, wprost czuło się przypieszenie historii.

Wczesną wiosną 1990 r. przyjechało do nas na parę dni dwóch Łużyczan – Heiko Kosel i Timo Meskank, nadal są zresztą czynni w serbołużyckim życiu społecznym. Zorganizowaliśmy im m.in. wywiad, który ukazał się w piśmie KPN-u „Opinia” (przepro-

wadził go Marcin Sitek), spotkania (m.in. ze Stanisławem Marciniakiem w jego mieszkaniu), a także oprowadzaliśmy po Warszawie. Pojechałem z nimi na 30 piętro Pałacu Kultury, chcąc pokazać panoramę Warszawy. Patrzyli na ten widok i którzy powiedzieli, że Polacy to wielki naród. Z perspektywy narodu, który cały pomieściłby się na Osiedlu Bródno, tak jest niewątpliwie. Jednak dobrze jest usłyszeć opinię na temat własnej sytuacji z ust kogoś, kto znajduje się w o wiele gorszej, to sprzyja trzeźwej ocenie.

Kostrzewa po sformowaniu rządu Mazowieckiego wszedł do MSZ-u, chcąc je trochę zdekomunizować, wprowadzając nowe kadry, m.in. ludzi z „Pomostu”. Do ministerstwa weszli wtedy: Paweł Cieplak, Michał Kurkiewicz, Tomasz Marek Leoniuk, Joanna Strzelczyk. Oznaczało to niestety także to, że nie mogli już oni czynnie uczestniczyć w pracach stowarzyszenia. Pojawiały się nowe osoby, co pomogło uzupełnić lukę – m.in. p. Ludmiła Niedbalska, reżyser filmowy i publicystka.

Mniej więcej po obronie przeze mnie magisterium (późną wiosną 1990 r.) Kostrzewa poprosił mnie o spotkanie w kawiarni Rozdroże w Warszawie. Na spotkaniu pojawił się płk Jasik z UOP i zaproponował, abym zgłosił się do UOP (wiedział, że miałem już – jak każdy zdrowy absolwent wówczas – skierowanie do Szkoły Podchorążych Rezerwy, ale stwierdził, że zamiana biletu nie będzie problemem). Kostrzewa namawiał mnie, stwierdzając, że nadaję się do tej służby, a nowe organa będą potrzebować patriotycznego elementu. Po namyśle odmówiłem – po pierwsze, miałem ambicje polityczne, a w swojej naiwności sądziłem, że w demokracji to służby powinny być podległe władzy cywilnej, a nie odwrotnie. Po drugie, nie byłem pewny, czy te służby są rzeczywiście „nowe”, w sensie służące Polsce – przecież dekomunizacji nie było, a nieśmiałe głosy o potrzebie jej przeprowadzenia były przez główny nurt obozu przemian (wówczas reprezentowany przez „Gazetę Wyborczą”) ośmieszane albo potępiane jako „zoologiczny antykomunizm”. I nie chodziło przecież o to, że będziemy karmić komunistami drapieżniki w ogrodach zoologicznych, ale że chcemy mieć kadry państwa wolne od komunistycznych układów powiązanych z Moskwą, już to stało się ekstremizmem.

Ten epizod bez znaczenia przytaczam głównie dlatego, żeby pokazać, jak dalece były wówczas posunięte złudzenia co do charakteru transformacji – jeśli rzeczywisty antykomunista i wróg sowieckiego imperializmu, jakim Kostrzewa był, mógł drugiemu antykomuniście reklamować komunistycznego pułkownika jako polskiego patriotę i potencjalnego zwierzchnika.

Między sierpniem a grudniem 1990 r. byłem w wojsku w Szkole Podchorążych Rezerwy w Mrągowie. O sprawach stowarzyszenia starałem się w miarę możliwości coś wiedzieć, utrzymując kontakt ze środowiskiem podczas przepustek. Wykorzystując przejazdy przez Olsztyn kontaktowałem się z Kopińskim i grupą olsztyńską. Jako podchorążowie

przepustki (po przysiedze) dostawaliśmy dość często, mieliśmy też tzw. stałkę tj. przepustkę stałą na obszar garnizonu (Mrągowa), umożliwiającą legalne opuszczenie jednostki, gdy nie było służby ani warty. Korzystając z okazji, odwiedziłem miejscowego pastora luterańskiego (był to Polak ze Śląska Cieszyńskiego, matecznika polskich luteran) i porozmawiałem o zagadnieniu mazurskim – jeszcze nie wszyscy Mazurzy ulegli wtedy samogermanizacji, aczkolwiek wyraźnie szło ku temu.

W wojsku doszedłem do wniosku, że socjalistą to ja jednak nie jestem, przynajmniej w obecnie przyjmowanym znaczeniu – gdy lewica to nie program społeczny, ale całkowicie fałszywa moim zdaniem antropologia. W grudniu 1990 r. wypuścili nas przed świętami. Poszedłem wtedy do warszawskiego biura PPS-u i zrezygnowałem z członkostwa. W styczniu 1991 r. wstąpiłem do Konfederacji Polski Niepodległej, gdzie – jak ustaliłem we wcześniejszej rozmowie z Leszkiem Moczulskim – zająłem się problematyką wschodnioeuropejską i narodowościową. Zaczynał się nowy etap w życiu.

Tomasz Szczepański

Offset od Barei

Myślę, że wszystkich przebił Stanisław Bareja. Któregoś dnia wyjeżdżając na Zachód stwierdził: wiesz co, wy macie ten sprzęt taki stary, taki przechodzony, to się wszystko rozsypuje, ja wyjeżdżam na Zachód, ja wam coś przywiozę, powiedz skąd to odebrać. Dałem mu namiary. Wyjeżdżał dużym Mercedese, z żoną i córką. Niestety ten Mercedes gdzieś po drodze, jeszcze w Polsce został skasowany i w dalszą drogę Stanisław Bareja udał się Fiatem 126p, czyli przepakował się z Mercedesa do „malucha” z żoną i dzieckiem. Oczywiście byłem pewien, że niczego nam nie przywiezie, ale nie, Stanisław obiecał, to przywiózł. Trudno mi to sobie wyobrazić jak ten samochód wyglądał w momencie, kiedy on wracał z tym offsetem w środku. Spytałem: a jak to było możliwe, że w ogóle przejechałeś z tym przez granicę? On powiedział: wiesz, lekko rozłożyłem ten offset, powiedziałem celnikom, że mam taką pralkę automatyczną zachodnią, a wiesz, tam taki bęben jest w tym offsecie, uwierzyli. I tak oto Stanisław Bareja przywiózł nam pierwszy offset, który był własnością NOWEJ.

Opowiadał Mirosław Chojecki (js)

Sto Jaruzelów

Sto Jaruzelów

Wrocław był jednym z najważniejszych ośrodków opozycji antykomunistycznej lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Obecnie jej działalność kojarzona jest przede wszystkim z masowymi manifestacjami, podczas których wyrażano sprzeciw wobec polityki reżimu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Towarzyszyły im żądania wprowadzania zmian natury socjalnej oraz politycznej.

Innym, bardzo ważnym – choć może nieco mniej spektakularnym – aspektem ówczesnych działań opozycyjnych było przełamywanie monopolu informacyjnego władz PRL. Treść każdego druku – łącznie z nekrologami, napisami na opakowaniach oraz rysunkami technicznymi – podlegała cenzurze Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Dzięki działalności wydawniczej prowadzonej przez opozycję bez zezwolenia władz powstał drugi obieg informacyjny. Jego zasięg – początkowo bardzo ograniczony – znacząco się zwiększył po powstaniu Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” w drugiej połowie 1980 roku. Zaczął on zanikać dziewięć lat później wraz z postępującym procesem zmian ustrojowych w Polsce po wyborach czwartego czerwca 1989 roku.

Obok – liczonych w setkach – broszur, książek, ulotek oraz plakatów w drugim obiegu rozpowszechniane były też między innymi: blankiety, biżuteria patriotyczna, druki wzorowane na znaczkach pocztowych i banknotach, fotografie, kalendarze, kartki okolicznościowe, kasety wideo i magnetofonowe z nagraniami dźwiękowymi i filmowymi, makatki, medale, nadruki na banknotach Narodowego Banku Polskiego, odznaki, popiersia znanych postaci, proporzki, sztandary oraz talerze. Stanowią one obok innych przedmiotów związanych z opozycyjną działalnością, takich jak na przykład sprzęt drukarski lub elektroniczne urządzenia do zakłócania komunikacji radiowej Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, cenne świadectwa przypominające o niełatwych dekadach lat siedemdziesiątych oraz osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

Niniejsza publikacja inauguruje cykl poświęcony artefaktom, które powstały w wyniku działalności wrocławskiej opozycji antykomunistycznej. Mimo upływu ponad trzydziestu lat, od kiedy przestały one powstawać, większa ich część nie została do dziś opisana. Zadanie to w dużym stopniu utrudnia fakt, że powstawały one w konspiracji wymuszającej ukrywanie szczegółów ich produkcji i kolportażu. Stąd zapewne informacje podane w niniejszym opracowaniu będą musiały być uzupełnione, a potencjalne błędy poprawione. (...)

BANKNOTY

Tradycja drukowania banknotów lub druków na nich wzorowanych przez polskie organizacje niepodległościowe sięga połowy XIX wieku. Uzyskane z ich sprzedaży środki przeznaczano przede wszystkim na działalność niepodległościową oraz wspieranie osób

ją prowadzących i ich bliskich. Wydawnictwa te były też ważnym elementem popularyzującym ideę niezawisłości Polski. Drukowane w czasach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej pełniły także rolę edukacyjną, informacyjną i propagandową. Przypominały o ważnych postaciach z historii Polski i wydarzeniach z nimi związanych, przedstawiały również wizerunki działaczy opozycji. Nierzadko występowały na nich elementy satyry wymierzonej w reżim komunistyczny w Polsce i Związku Radzieckim. Dzięki tym wzorowanym na banknotach drukom opozycja uzyskiwała znaczne – choć nie największe – środki na swoją działalność. Większość z nich wzorowana była na będących w obiegu banknotach polskich lub amerykańskich. Istnieją też druki, w których grafika nie nawiązuje do żadnych biletów emitowanych przez banki. (...).

Środki na działalność niepodległościową w XIX wieku gromadził między innymi działający w Anglii Narodowy Komitet Centralny Polski, który w latach 1848–1853 wydawał bony Skarbu Wyzwolonej Polski. Podczas powstania styczniowego Rząd Narodowy wyemitował między innymi obligacje tymczasowe. Polski Skarb Wojskowy to instytucja powołana 25 sierpnia 1912 roku w Zakopanem z inicjatywy Józefa Piłsudskiego. Jego celem było stworzenie podstawy finansowej dla polskich przygotowań powstańczych. Skarb realizował swoje zadania, emitując między innymi bony.

Polscy żołnierze więzieni podczas II wojny światowej w obozie jenieckim w Dobiegniewie (Woldenberg) wydawali bony, które w życiu obozowym pełniły funkcję pieniędzy.

Inną funkcję – dywersyjną – pełnił druk przypominający banknot, który powstał w ramach akcji przeprowadzonej przez komórkę „N” Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej na przełomie 1943 i 1944 roku, wymierzonej w niemieckiego okupanta. Żołnierze AK wydali wówczas druk wzorowany na banknocie pięciu marek wykorzystywanym przez Wehrmacht w podbitych krajach. Wszystkie napisy na banknocie, z wyjątkiem napisu „Fünf Reichsmark”, zostały zmienione w swej treści tak, aby zastępcze słowa nie zmieniły układu graficznego kompozycji banknotu. Treść zmienionych w ten sposób napisów dywersyjnych na awersie w tłumaczeniu na język polski brzmiała następująco:

„Pięć Reichsmarek otrzyma twoja rodzina, jeśli ty zginiesz na froncie”, podpisano „Zarząd Główny Rzeźni Hitlerowskiej”.

W okrągłej pieczęcie wokół gapy umieszczono napis „Niech żyje pokój i wolność”. Na stronie odwrotnej napisy rozmieszczone po bokach banknotu zastąpiono następującymi tekstami: „Szanuj życie, myśl o twoich dzieciach – wojnę przegraliśmy już dawno”. Niemcy, jak również Polacy znający język niemiecki z łatwością rozpoznawali, że mają do czynienia z wrogiem wobec Niemców ulotką. Kolportaż tych banknotów – ulotek odbywał się przez podrzucanie ich w pociągach jadących na wschód i w obrębie stacjonowania wojsk niemieckich.

Pierwsze druki przypominające banknoty sygnowane przez działaczy opozycji antykomunistycznej PRL zaczęły powstawać w obozach internowania, w których przetrzy-

mywano więźniów politycznych po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Przemycane na wolność przez osoby odwiedzające internowanych cieszyły się sporym zainteresowaniem i zapewne zainspirowały zwolenników opozycji do wydawania podobnych druków.

Pierwszy wrocławski opozycyjny banknot ukazał się prawdopodobnie w 1982 roku. Był to druk o nominale 50 groszy wzorowany na będącym wówczas w obiegu banknocie pięćdziesięciozłotowym. W jego wydawanie był zaangażowany między innymi Wojciech Sztukowski. (...)

Kolejny wrocławski opozycyjny walor trafił do kolportażu rok później. Był to pierwszy – z serii czterech – banknot wzorowany na dolarach USA. Jego twórcami byli: Janusz Krusiński i Zbigniew Najwer. Zaangażowali się oni w działalność opozycyjną w Sierpniu '80. Pierwsze sygnowane przez NSZZ „Solidarność” ulotki zaczęli drukować miesiąc później. Po wprowadzeniu stanu wojennego wydawali oni między innymi konspiracyjne pismo „Grupa Solidarnych”. Ukazywało się ono na wydziale W1/1 Zakładów Hutniczo-Przetwórczych Metali Nieżelaznych „Hutmen”, którego pracownikiem był Zbigniew Najwer. Mieszkał on wówczas w hotelu robotniczym przedsiębiorstwa „Hutmen” mieszczącym się przy ul. Buskiej 9. Znajdowała się w nim oficjalnie działająca ciemnia fotograficzna, z której korzystał tylko Zbigniew Najwer. Dzięki temu mógł on w tym pomieszczeniu bez przeszkód powielać druki bezdebitowe. Tutaj rozpoczął też zakończone sukcesem próby drukowania techniką światłodruku, która jest mało znana i wykorzystywana przede wszystkim przez artystów.

Powielanie tą techniką Zbigniew Najwer opisał w następujący sposób: początkowo wykorzystywaliśmy bezbarwną żelatynę spożywczą, którą później zastąpiliśmy chemiczną. Jeden jej gram rozpuszczaliśmy w 20 mililitrach wody i do tego dodawaliśmy 2 mililitry dwudziestoprocentowego roztworu dwuchromianu potasu. Powstawała wówczas emulsja, którą rozlewało się na szybę o grubości od 6 do 10 milimetrów. Wykorzystywaliśmy szyby lustrzane, które były lepiej wykonane niż zwykle, które zazwyczaj nie były równe. Jedną stronę takiej szyby matowiliśmy w ten sposób, że pomiędzy dwie szyby wsypywaliśmy proszek korundowy i wlewaliśmy wodę, a następnie pocieraliśmy nimi ruchem obrotowym. Przed rozlaniem roztworu żelatyny, na matowej stronie szyby rozprowadzałem podkład składający się m.in. z alunu i szkła wodnego. Następnie szybę podgrzewaliśmy do 40 stopni spiralami z grzałek akwariowych. Rozlana na taką szybę żelatyna tężała po około 10–15 minutach. Latem, gdy temperatury były wysokie, żelatyna nierównomiernie schła, wtedy stosowaliśmy nawiew z suszarki do włosów. Po tych zabiegach na emulsję nakładaliśmy kliszę wysokokontrastową z utrwalonym na niej – w negatywie – obrazem druku, jaki chcieliśmy wykonać. Następnie przykładaliśmy do niej szybę, tak by klisza nie odstawała od żelatyny. Później żelatynę smarowaliśmy naftą kosmetyczną, kładliśmy na niej kliszę i dociskaliśmy metalowym wałeczkiem, dzięki czemu wyciekał nadmiar nafty. Klisza wówczas bardzo dobrze się

trzymała i nie musieliśmy już używać drugiej szyby. Po tym naświetlaliśmy emulsję. Używaliśmy do tego ulicznej lampy rtęciowej o mocy 125 W. Tłukliśmy w niej pierwszą szybę (luminofor), tak by odsłonić palnik rtęciowy, który emitował promieniowanie ultrafioletowe. Dawało ono lepsze efekty niż tradycyjnie używane światło dzienne, którego natężenie zmieniało się w zależności od pory dnia i roku. To zaś powodowało, że za każdym razem musieliśmy – metodą prób i błędów – ustalać czas naświetlania. Lampa uliczna emitowała światło o stałym natężeniu, dzięki temu emulsję mogliśmy naświetlać zawsze tak samo. Po tym zabiegu emulsję płukaliśmy wodą. Tam gdzie była ona nienaświetlona (czyli przykrywał ją rysunek negatywu) była wypłukiwana, miejsca naświetlone twardniały i pozostawały na swym miejscu. Po wysuszeniu szyby z żelatynową matrycą, Janusz na innej szybie równomiernie rozprowadzał farbę mosiężnym wałkiem, którą następnie nanosił na matrycę. Po tym nakładaliśmy papier na matrycę, na którym odbijała się farba i w ten sposób otrzymywaliśmy żądany druk. Do jednego z rogów szyby mocowaliśmy listewkę, która ułatwiała równe układanie poszczególnych kartek papieru na matrycy.

Gdy drukowaliśmy w dwóch kolorach, to na szybę nanosiliśmy specjalne znaczniki w postaci krzyżyków. Ułatwiała nam one dokładne pasowanie papieru podczas nanoszenia na banknot drugiego koloru, by ten nie nakładał się na pierwszy. Wałek, którym rozprowadzaliśmy farbę, został specjalnie dla nas wytoczony w Hutmenie z miedzi i osadzony na łożyskach. Drukując na jednej matrycy wielkości A-4, uzyskiwaliśmy cztery odbitki jednej strony banknotu. Jedna matryca wystarczała na zadrukowanie kilku ryz papieru, czyli ok. 2–3 tys. kartek. Drukowaliśmy, dopóki matryca nie uległa mechanicznemu uszkodzeniu. Należało bardzo pilnować czystości farby, tak by jakieś paprochy nie uszkodziły żelatyny. Zazwyczaj udawało się nam w ciągu godziny zadrukować jednostronnie 500 stron, czyli jedną ryzę. Podczas jednego, trwającego zazwyczaj cały dzień, posiedzenia drukowaliśmy ok. 8 tys. banknotów. Przed każdym drukowaniem przygotowywałem 2 lub 3 matryce dla rewersu i awersu. Używaliśmy farb offsetowych, m.in. niemieckiej firmy Hartmann, które dodatkowo zagęszczaliśmy żywicą epoksydową bez utwardzacza. By szybciej schły dodawaliśmy też suszki lub stosowaliśmy specjalny nawiew. Gdy chcieliśmy uzyskać druk z dobrze oddanymi ciemnymi szczegółami, to wówczas do żelatyny, z której powstawała matryca, dodawaliśmy więcej dwuchromianu potasu. Gdy było go mniej, znikły szczegóły w cieniach. Kliše wysokokontrastowe „załatwiał” po znajomości Janusz w jednym z zakładów elektronicznych. Podobnie było z papierem i innymi materiałami, które w większości były trudno osiągalne. Sytuację ułatwiała nam to, że w Hutmenie był dział, gdzie gromadzono różne środki chemiczne, które można było pobierać bez większej kontroli, zwłaszcza w niedziele, gdy prawie nikogo nie było w zakładzie. Będąc elektrykiem, mogłem poruszać się po całym Hutmenie, więc bez większych przeszkód często zjawiałem się w tym dziale. Mielśmy duży problem z pozbywaniem się wybrakowanych

banknotów. Nie mogliśmy ich wyrzucać do śmietnika, bo byśmy się zdekonspirowali. Pomogła nam moja siostra Maria Ugniewska, która zaczęła je topić w rzece, w Jaworze. Ona też przepisywała dla nas matryce. W tym czasie w podziemiu drukowało się przede wszystkim za pomocą sitodruku. Zdecydowaliśmy się na światłodruk, ponieważ dokładniej oddawał szczegóły druku, nie wymagał też takiego „zachodu” jak sitodruk. Matrycę można było łatwo zmyć wodą lub po prostu skasować, zbijając szybę. Ramki sitodrukowej nie można było tak szybko zniszczyć, co miało duże znaczenie w przypadku wykrycia drukarni przez Służbę Bezpieczeństwa. Samego światłodruku uczyliśmy się z książek o drukarstwie, które ukradliśmy w jednej z bibliotek w Łodzi, z której pochodził Janusz. Nie dało się ich inaczej zdobyć, były po prostu nieosiągalne, w PRL książka była towarem deficytowym.

Zdecydowaliśmy się wzorować nasze banknoty na dolarach amerykańskich, ponieważ nie były takie kolorowe jak np. nasze złotówki czy też inne waluty, a przez to łatwiej było je drukować. Ich grafika nam się podobała. Kojarzyły się z wolnością i dobrobytem Zachodu. Były w PRL drugą, nieoficjalną, twardą walutą, mocniejszą od złotówki, za którą można było wszystko kupić, a przez to bardzo pożądaną. Banknoty projektował przede wszystkim Janusz Krusiński, on też utrzymywał kontakty na „zewnątrz” czyli z innymi działaczami opozycji, przede wszystkim z „Solidarności Walczącej”, do której Janusz należał. Był bardzo dyskretny. Ja też wolałem się przed nikim nie ujawniać, bo byłem dobrze zakonspirowany. Opozycja potrzebowała większej ilości cegiełek, zaś nasze banknoty cieszyły się dużą popularnością. Drukowaliśmy je na zamówienie różnych organizacji, jednak większość z nich odbierała „Solidarność Walczącą”, która chciała mieć na nie monopol. Proponowano nam też drukowanie znaczków, ale nie potrafiliśmy rozwiązać problemu, tego w jaki sposób wykonać perforację (dziurkowanie) znaczka, więc się tego nie podjęliśmy. Przez pewien czas stemplowaliśmy naszymi pieczętkami banknoty dziesięcio i dwudziestozłotowe.

Wspomniana wyżej organizacja „Solidarność Walczącą” utworzyła w grudniu 1984 roku Poczta „Solidarności Walczącej”, której zadaniem było wydawanie, ewidencja i kolportaż znaczków, znaczków metalowych i plastikowych, pocztówek, plakatów, kartek okolicznościowych, zdjęć, banknotów, monet i medali wykonywanych pod patronatem „Solidarności Walczącej”. Jej założyciele informowali również, że Poczta „Solidarności Walczącej” będzie ustalać z producentami i projektodawcami współpracującymi z naszą organizacją warunki zapłaty za ich wyroby i pracę. Swe dochody wpłacać będzie do kasy Solidarności Walczącej.

Wrocławskie „dolary” cieszyły się wśród działaczy i zwolenników opozycji dużą popularnością. Podobały się one także przedstawicielom ówczesnych władz, a zwłaszcza funkcjonariuszom Służb Bezpieczeństwa, którzy często znajdowali je u rewidowanych opozycjonistów i nierzadko zatrzymywali dla siebie. Jeszcze dziś można je odnaleźć w ich archiwach. Banknoty te były też przedrukowywane – bez wiedzy autorów

– przez innych opozycyjnych wydawców. Ukazało się też co najmniej kilka druków, których twórcy je kopiowali lub wzorowali się na wrocławskich „dolarach”.

Inny banknot – Sto Jaruzelów był drukowany między innymi we Wrocławiu prawdopodobnie od 1983 roku przez kilka niezależnych od siebie drukarni. Zespół jednej z nich tworzyli: Grzegorz i Krzysztof Czyż, Bernard Klimczyk oraz Mirosław Mikołajczyk. Posługiwali się oni techniką sitodruku. Inni drukarze, których nazwiska nie są znane, wykorzystywali technikę fotograficzną.

ETYKIETY ZAPALCZANE

Jednym z częściej używanych przedmiotów w XX wieku były zapalki. Na pudełkach, w których je sprzedawano, naklejano papierowe etykiety. Początkowo spełniały one funkcję nalepki towarowej, z czasem zaczęły funkcjonować jak mikroplakaty. Publikowane na nich treści miały charakter oświatowy, reklamowy, ozdobny oraz propagandowy.

Jeszcze w wieku XIX zaczęły one przyciągać uwagę kolekcjonerów. Zbieranie etykiet zapalczanych stało się ważnym hobby w następnym wieku, określono je mianem filumenistyka. Cieszyła się ona w Polsce po 1945 roku znaczną popularnością, Państwowe Przedsiębiorstwo Filatelistyczne „Ruch” zdecydowało się więc na wprowadzenie abonamentu filumenistycznego. Dzięki niemu zainteresowani mogli nabyć „wszystkie nowo ukazujące się etykiety zapalczane wydane w PRL”.

Zrzeszeni w Polskim Związku Filalistów filumeniści prowadzili działalność informacyjną i wydawniczą, organizowali wystawy etykiet oraz ich wymianę. Na łamach wielu pism ogólnokrajowych funkcjonowały kąciki filumenistyczne.

Pudełka z zapalkami były w PRL artykułem powszechnego użytku. Dzięki temu umieszczone na nich etykiety stały się ważnym elementem propagandy ówczesnych władz Polski. Dotyczyły one bardzo wielu dziedzin życia. Przypominano na przykład o kolejnych okrągłych rocznicach powstania PRL czy też zachęcano do hodowli królików angorskich. Instruowano, jak ma wyglądać prawidłowe oświetlenie furmanki. Ostrzegano, że zapalki mogą być przyczyną pożaru. Autorzy innej etykiety pytali: „A może spróbujesz jadać margarynę?”.

Spośród wydanych przez opozycję etykiet zapalczanych, które mogły trafić do Wrocławia, dwie zostały naklejone na pudełka wykonane przez Sianowskie Zakłady Przemysłu Zapalczanego, Zakład nr 2 w Gdańsku. Naniesione na nie nadruki wykonano w technice linorytu. Na pierwszej z nich obok wizerunku Lecha Wałęsy widnieje napis „Solidarność!”. Drugą etykietę wypełnia hasło „Solidarność zwycięży”.

Wśród wydawców etykiet zapalczanych znaleźli się także działacze wrocławskiej opozycji antykomunistycznej. Wydali oni serię takich druków z podobiznami czterech przewodniczących Regionalnego Komitetu Strajkowego (RKS) NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk: Piotra Bednarza, Władysława Frasyniuka, Marka Muszyńskiego i Józefa Piniora.

Powielono je techniką sitodrukową jednym kolorem: czarnym, czerwonoróżowym lub jasnoszarzielonym. Etykiety miały białe tło – gdy drukowano je na papierze maszy-

nowym – lub piaskowe – gdy wydawano je na okładce rysunkowego szkolnego bloku. Każdy portret mógł więc występować w sześciu wersjach kolorystycznych. Trzy z białym tłem i trzy z piaskowym. Dziś nie sposób stwierdzić, czy tak było rzeczywiście. Obecnie udało się dotrzeć tylko do jedenastu wersji etykiet. Połowę z nich wydrukowano na okładkach z bloku. Są one grubsze i sztywniejsze od tych, które wykonano z papieru maszynowego.

Wszystkie te druki mają wymiary zbliżone do prostokąta o bokach 37 x 53 mm, z tolerancją 1–2 mm. Były one dostosowane do wielkości ścianek papierowych pudełek z zapalkami, na które w konspiracji naklejano etykiety. Same pudełka nabywano w różnych punktach sprzedaży. Przede wszystkim w kioskach „Ruchu”.

Wtedy to ukrywający się Marek Muszyński i znany do tej pory tylko pod pseudonimem „Witold” ujawnił swą prawdziwą tożsamość. Trudno dziś też ustalić, w jakim nakładzie powielano te etykiety.

Bez konkretnej odpowiedzi pozostaje też pytanie o ich wydawcę. Prawdopodobnie nie był to RKS, ponieważ w biuletynie Komitetu.

„Z Dnia na Dzień” brak jakiegokolwiek informacji o skierowaniu do kolportażu pudełek z zapalkami z tymi etykietami.

Czyniono tak, gdy RKS zamierzał rozpowszechniać przedmioty, za które nabywcy mieli płacić. Cena jednego pudełka zapalek wynosiła 20 zł. Informacja taka znajduje się na etykietach, które naklejano na rewersie opakowań z podobiznami przewodniczących RKS.

Znajdują się na niej następujące napisy: Przywódcy / RKS SOLIDARNOŚĆ / Dolny Śląsk / MŁODZIEŻ z partią / SIĘ ROZPRAWI / CENA 20 Zł / A.F.W. / POZDROWIENIA DLA [Ronalda Wilsona] REAGANA.

Przypuszczalnie skrót A.F.W. kryje nazwę wydawcy. Czy jego pełna nazwa powinna brzmieć Agencja Filumenistyczna (Filatelistyczna) Wrocław? Można obecnie tylko przypuszczać.

Filumenistyka w latach 90, XX wieku straciła popularność. Zapalki zaczęły zastępować bardzo tanie zapalniczki oraz zapalarki. Etykiety zostały zastąpione nadrukami nanoszonymi bezpośrednio na pudełka z zapalkami. Obecnie pełnią one przede wszystkim funkcję reklamową, zazwyczaj są rozdawane bezpłatnie.

Szczepan Rudka, Pamiątki opozycji antykomunistycznej we Wrocławiu. Banknoty i etykiety zapalczane, Muzeum Miejskie, Wrocław 2020 (fragmenty)

Madonny do retuszu!

Seria znaczków Poczty Podziemnej „Madonny Polskie” zwana Złotymi Madonnami – spędziłam nad nimi sporą część mojego podziemnego życia.

W początkach 1983 roku w obiegu była pierwsza seria 4-znaczkowa z symbolami solidarności i państwa podziemnego stanu wojennego. Po pokryciu kosztów druku i kolportażu cały dochód szedł na działalność Grup Oporu.

To samo dotyczyło wydawnictwa Rytm, ale w jego przypadku szybko okazało się, że ceny książek pokrywają zaledwie koszt ich produkcji i kolportażu. Książki zużywały dużo papieru i farby, wydawanie ich było pracochłonne i wymagało sporo czasu. Same książki, nawet te najmniejsze w formie broszur zajmowały dużo miejsca i łatwiej mogły „wpaść”. Małe druki znaczków w formie niewielkich bloczków przynosiły wyższy zysk, były łatwiejsze i bezpieczniejsze w kolportażu.

Pierwsza seria powoli zaczęła nasycać rynek i konieczne stało się wymyślenie nowej serii, zwłaszcza, że potrzeby Grup Oporu „Solidarni” stale rosły.

Finansowaliśmy m.in.

akcje ulotkowe – druk ulotek, produkcja wyrzutników, koszty samych akcji

rozwiązanie transparentów – wykonanie transparentów, koszty akcji,

gadały – to dopiero były koszty

prace badawcze – środki pirotechniczne, np. żeby nie czyniły zbytnich spustoszeń i nie zagraziły przypadkowym ludziom, zabezpieczenia samych produkujących

prace innowacyjne – np. jak z jednej wysokogatunkowej puszki farby otrzymanej z Zachodu lub kupionej na czarnym rynku zrobić kilka puszek niezłej farby, wymyślano i sprawdzano polepszacze druku – przyspieszenie procesu druku zwiększało bezpieczeństwo drukujących

opłacaliśmy wynajęte mieszkania i magazyny lub dokładaliśmy się do kosztów gospodarzy (wystarczająco ryzykowali przyjmując nas pod swój dach)

część była odkładana na Fundusz Pomocy – na ewentualne zapomogi dla osób, które wpadły i nie mogły działać i pracować przy produkcji, stypendia dla rodzin osób, które siedziały

dofinansowywaliśmy edukacyjne książki i część prasy

finansowaliśmy legalizację dokumentów Regionu Mazowsze

Ta lista nie wyczerpuje całości działań, dałoby się do niej dopisać następne punkty, ale już te obrazują ogrom wydatków. Jak dziś patrzy się na to z dystansu byliśmy sporym „przedsiębiorstwem” tyle, że wszystko o czym napisałam powyżej to koszty, dochody były tylko ze znaczków.

Zanim napiszę o samych znaczkach – kilka słów wyjaśnienia. Wtedy byłam studentką Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, co dla pracy nad znaczkami miało spore znaczenie. Po Okrągłym Stole skończyłam jeszcze Zarządzanie i Marketing na SGH, a to pozwala mi dziś spojrzeć na „Madonny” jako zjawisko rynkowe.

U podstaw pomysłu nowej serii leżało przekonanie, że musi istnieć droga, która pozwoli pokryć nasze potrzeby. Intuicyjnie Teoś i współpracujące z Nim osoby wypełniły wszystkie zasady obowiązujące na wolnym rynku, ustalając podstawy nowej serii: temat – szerszy niż samo podziemie, nawiązujący do historii i patriotyzmu
 grafika – nieprzypadkowa i na wysokim poziomie
 jakość wykonania – bardzo wysoka
 trafienie w rynek – to było od nas niezależne, musieliśmy mieć szczęście

jak się potem okazało, każdy z tych punktów został zrealizowany w 100%, a ostatni w 200%.

Pięć Madonn to historyczne wizerunki zapisane w naszej historii, szósta Madonna dotyczyła stanu wojennego. Madonny miały być drukowane czarną farbą, napis „Pocztą Solidarności” czerwony, całość na złotej aplii, czyli na złotym tle, decyzja o użyciu do druku „kredy” czyli papieru do druku kolorowego też była jak na tamte czasy podziemia nowatorska.

Projekt zrobiła Ewa Brykowska, wspaniale zgrafizowała wszystkie obrazy, tak że nabrały jednorodnego charakteru. Projekty na oddzielnych kartonikach dla każdej Madonny i każdego koloru (czarnego i czerwonego), zawiozłam do chłopaka, który robił nam większość klisz. Pamiętam mieszkanie koło Anielewicza i ciemnię w łazience, działającą kosztem nerwów jego mamy. Klisze były ok. dwadzieścia razy mniejsze od projektu, to wystrzyżło rysunek i dało wrażenie jakości, trzeba było tylko lekko przemontować czerwony kolor, żeby kolory nie nachodziły na siebie i zmontować całość, tu przydały się moje doświadczenia studentki architektury, używałam taśmy klejącej dla architektów, bo nie widać jej na kliszy przy powielaniu. Powielone komplety trafiły do drukarzy.

Madonny były drukowane metodą sitodruku, zarówno apla, jak i same nadruki. Na arkuszu mieściły się dwa blankiety i w takim stanie docierały do mnie. Szybkość drukowania powodowała, że niektóre arkusze sklejały się ze sobą, a przy rozdzielaniu odpryskiwała farba, zwłaszcza czerwona drukowana jako ostatnia. Zorientowałam się, że czarny tusz kreślarski świetnie retuszuje i jest praktycznie niewidoczny. Używałam dwa rapidografy z czarnym tuszem (cieniutki i średni) i jeden z czerwonym. Praktycznie 85-90% bloczków wymagało retuszu. Najczęściej były to mikro poprawki, ale zdarzały się i 50% „interwencje”. Rapidografy musiały być „zachodnie” (jakość), tusz też, kupić je można było w jednym miejscu na Chmielnej, w bramie, na piętérku w specjalnym komisie za odpowiednią kasę. Gilotyna do cięcia papieru, jako narzędzie ułatwiające pracę elementom wyrotowym nie była dostępna na rynku, to załatwił Teoś, a służyła mi jeszcze w wolnej Polsce.

Z retuszowaniem Madonn wiąże się ciekawe zjawisko rynkowe: „rozpieszczona” Warszawa i inne duże miasta kupowały tylko bloczki wysokiej jakości, te najmocniej retuszowane „szły” na prowincję, która „akceptowała” takie „niedoróbki”, a dziś posiada niezwykle unikat (pewnie cenniejsze niż te śliczne).

Otrzymałam Madonny cięłam na bloczki, sortowałam, retuszowałam i perforowałam. Do perforacji służyła moja osobista maszyna do szycia Łucznicz, tektura do podklejania projektów była przykręcona do maszyny i tworzyła „stół”, na niej doklejony karton kreślarski, wyrównywał pole pracy i był na tyle śliski, że płynnie przesuwala się robota, a poza tym na tyle cienki, że nie blokował mechanizmu samej maszyny. Dwa kartony kreślarskie docięłam do odpowiedniego formatu, w jednym były trzy otwory wzdłużne, w drugim trzy poprzeczne, oba miały na obwodzie rozmiaru bloczka narożne „skrzydełka”, które utrzymywały bloczki w jednym miejscu – na nich kładłam po dwa, trzy bloczki w zależności od jakości papieru poszczególnych partii i „jazda”. Doświadczenie w perforacji już miałam, bo obrabiałam poprzednią serię, więc z jakością nie było problemu. Koszt perforacji został ustalony już przy pierwszej serii, teraz trochę wzrósł w związku z wielkością bloczka i koniecznością mikroretuszy. Za większe retusze doliczałam odpowiedni, wynegocjowany z Teosiem procent. Rozliczaliśmy się raz, dwa razy w miesiącu. Czasem zdarzały się „zatory” płatnicze i wtedy z zaległościami robiła się większa kwota. Za pierwszy zator kupiłam wiertarkę z osprzętem. „Rzucili” wiertarki dla majsterkowiczów do „Domów Centrum”, dostanie ich tam okazało się nierealne, ale następnego dnia było już ogłoszenie w prasie – sprzedam. Zadzwoniłam, ale facet mnie zbył, „....przyjdzie pani z mężczyzną to mu wytłumaczę.” Wściekłam się, wezwałam Teosia na pomoc. Proszę wyobrazić sobie sytuację – na Pocztę Główną ja-długonogi patyczek z warkoczykami, w minisukience-koszulce i espadrylach, po drugiej stronie przewodu Teoś, niechętny jechaniu (jak się potem okazało, nie znał się i bał kompromitacji). On: „.....kretynko kup sobie sukienkę, po co Ci wiertarka.” i ja tupiąca nogami w wściekłości „....nie chcęęę sukienkiii, chcęęęęę wiertarkęęę!!!!!!!”, uspokoiliam się dopiero, kiedy usłyszałam ciszę wokół siebie, patrzyło na mnie pół poczty. Pojechał ze mną Tadzinek, nie musiał się odzywać, wiedziałam czego chcę. Trafiliśmy do prywatnego mieszkania, zastawionego pudłami pod sufit, facet z dumą powiedział, że jest kierownikiem z Domów Centrum, cena była kilkakrotnie wyższa niż wczoraj w sklepie. Jest naprawdę wspaniałe to, że dzięki zmianom, do których przyłożyliśmy rękę, nie ma miejsca na takie złodziejstwo. Wiertarka przeżyła urządzenie mojego pierwszego mieszkania i służyła mi jeszcze w wolnej Polsce.

Od drukarzy Madonny przywoził Teoś – na początku, bo mieszkaliśmy razem i to było najwygodniejsze, gotowe zapakowane w mniejsze paczuszki też on wywoził. Tak samo działało się, kiedy zamieszkałam w swoim mieszkaniu na Nowolipiu późną jesienią 1985 roku. Na bardzo krótko, w styczniu i lutym 1986, w początkach mojej ciąży (była zagrożona po dwu poprzednich poronieniach i zapowiadało się, że wyląduję w szpitalu) perforacja razem z moją maszyną wylądowała u żony mojego uczelnianego kolegi, ale praca zwolniła, bo dziewczyna nie miała wprawy, a że ja uniknęłam szpitala – robota wróciła do mnie.

Sukces „rynkowy” Madonn spowodował zwiększony popyt, żeby sprostać wymaganiom zrezygnowano z sitodrukowego druku złotego tła. Wprawne oko wypalałoby

obniżenie jakości, ale nie mogliśmy podnosić ceny (inflacja zaczynała szaleć), a poza tym offsetowy druk był szybszy i podnosił bezpieczeństwo drukarzy, skracając proces druku. Potem inflacja spowodowała, że trzeba było zwiększyć cenę całego bloczka, a w ostatnim okresie już wszystkie kolory były drukowane na offsecie. Jednocześnie trwały prace nad maszynką do perforacji. Powstała chyba w 1987 roku i już nie perforowałam, a jedynie retuszowałam niektóre, już wtedy całkowicie offsetowe Madonny. Do maszyny siadłam jeszcze raz w 1988 roku, kiedy Teoś przywiózł Białe Madonny. Chciał żeby zostały sperforowane maszyną do szycia. Miały ze wszystkimi rodzajami Złotych Madonn stanowić komplety dla VIP-ów, jeden z kompletów miał być dla Papieża. Ta ostanía perforacja wyszła kiepsko – wyszłam z wprawy.

Kiedy dziś z perspektywy czasu obserwuje się proces „istnienia” Madonn na rynku: wejście na rynek, szczyt powodzenia i okres schyłkowy widać, że to klasyczna droga produktu. Kiedy po wielu latach na SGH słuchałam wykładu o etapach „życia” produktu, Madonny były pierwszym przykładem, który mi przyszedł do głowy.

Dopiero w zeszłym roku dowiedziałam się, że były nawet podrabiane, co jest udziałem wielu dobrych produktów, a kultowych na pewno. Wiem również, że już w podziemiu Madonny, a co za tym idzie Grupy Oporu, były nie tylko beneficjentem, ale i niestety „ofiara” swojego sukcesu. Kilka razy byłam świadkiem, jak Teoś po powrocie do domu, aż płakał z wściekłości, kiedy nie otrzymał spodziewanej pomocy z zewnątrz – argument był jeden: macie Madonny, dacie sobie radę.

Krystyna Antoszkiewicz

P.S. Choć przez moje ręce przeszła większość Madonn, ja sama nie mam ani jednej. Kiedy nad nimi pracowałam raz przed Gwiazdką poprosiłam Teosia o jeden egzemplarz, który dałam mojemu dziadkowi w prezencie. Dwa komplety kupiłam na prezenty: jeden pojechał do Lwówka Poznańskiego, drugi – już nie pamiętam. Kiedyś ktoś znajomy zaproponował mi kupno, wymówiłam się brakiem pieniędzy, a ponieważ nie kupiłam wcześniej książki, którą nota bene też współprodukowałam, uznał mnie za niezainteresowaną podziemiem niepatriotkę i skreślił z listy swoich znajomych. Mam tylko dwie srebrne serie „Prasa niezależna 1976-1984” i „Wydawnictwa Niezależne”, które sama zaprojektowałam wg. wytycznych Teosia, a które dałam z kolei mojej Mamie. Oddała mi je już w wolnej Polsce.

Medalierzy

Istotnym, lecz bardzo rzadko obecnie docenianym i opisywanym, elementem drugiego obiegu była tzw. „galanteria”. Składały się na nią przede wszystkim ulotki, pocztówki, znaczki pocztowe, znaczki plastikowe i metalowe, fotografie, gipsowe i metalowe popiersia miniaturowe, banknoty oraz monety i medale. Te ostatnie stanowiły ułamek całego opozycyjnego „urobku”. Ich bicie wymagało – inaczej niż w przypadku większości pozostałych opozycyjnych bibelotów – dużego nakładu pracy, większej ilości czasu, dostępu do nietypowego, specjalistycznego sprzętu, racjonowanych materiałów (metale kolorowe i szlachetne), rzadko spotykanych kwalifikacji (grawerstwo) oraz bardzo dobrej organizacji pracy, a przede wszystkim konspiracji. Całość zazwyczaj odbywała się z dużych przedsiębiorstwach, gdzie kadra kierownicza – zwłaszcza mistrzowie – bacznie obserwowała podległych im pracowników i pilnowała, by ci nie podejmowali żadnych działań wrogich socjalizmowi.

Trudno dziś po ponad dwudziestu latach od opisywanych wydarzeń ustalić, kiedy wrocławscy opozycjoniści wybili pierwszy medal. Ujrzał on światło dzienne prawdopodobnie w drugiej połowie 1984 r. Znaczący udział w jego powstaniu miało kierownictwo Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych we Wrocławiu, które z okazji 40. rocznicy powstania Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa postanowiło wybić okolicznościowy medal. Zlecenie na jego wykonanie w ilości kilkuset sztuk trafiło do Państwowej Fabryki Wagonów „Pafawag” we Wrocławiu, która w tym czasie była jednym z największych producentów taboru kolejowego w Europie. Zakład ten na własne potrzeby (obchody zakładowych rocznic, prezenty dla gości) wybił wcześniej kilkanaście medali i prawdopodobnie ten fakt zdecydował, że tutaj trafiło zlecenie WUSW. Jego wykonaniem – z polecenia dyrekcji – zajmował się m.in. Henryk Piotrowicz. Po wybiciu wszystkich medali dla MO i SB, razem z innymi członkami „Solidarności” Wydziału TO-01 (narzędziownia), postanowił nie przerywać prac medalierskich zainicjowanych przez WUSW. Następny medal poświęcono Janowi Pawłowi II oraz „Solidarności”. Pierwsze prace grawerskie – prowadzone oczywiście w ścisłej tajemnicy – wykonał Mieczysław Kondratowicz, a po jego wycofaniu się z przedsięwzięcia, Józef Marcińczak, który wykończył rozpoczętą sztancę z rewersu, zaprojektował i wykonał stempel awersu oraz wytłoczył pierwszą serię kilku sztuk tego medalu. Był on podczas wykonywania tych czynności, które odbywały się w normalnym czasie pracy, „pilnowany” przez wspomnianego już H. Piotrowicza oraz Stefana Łagiewkę. Dzięki stworzonej przez nich osłonie udało się zachować tajemnicę, a wszędobylski i wścibski mistrz nigdy się nie zorientował, że J. Marcińczak wykonuje „dodatkowe” obowiązki. Tylko raz doszło do „interwencji” Piotrowicza, zdołał on w ostatniej chwili zabrać z rąk „podopiecznego” obrabianą matrycę, którą następnie schował do kieszeni. Mistrz, który niepodziewanie zainteresował się

czynnościami wykonywanymi przez Marcińczaka, nie miał już jednak odwagi sięgnąć do kieszeni jego „stróża”...

Medal pierwszej serii miał jedną wadę wynikającą z niedokładnie, bo w pośpiechu, wykonanej formy. Na całej długości brzegu (rantu) wystawał wąski kawałek metalu. Drugą i prawdopodobnie ostatnią serię, także w liczbie kilku sztuk, wybito już po usunięciu usterki matrycy. Stało się to możliwe tylko dzięki inicjatywie i dużym wkładzie pracy Ryszarda Latawca.

Matrycę do 1989 r. ukrywano w bańce po mleku, w której przechowywano olej rzepakowy wykorzystywany podczas gwintowania różnych urządzeń. Dodatkowym plusem tego schowka, którym prawie nikt się nie interesował, było to, że olej doskonale konserwował znajdującą się w nim matrycę. Po ponownej rejestracji „Solidarności” 17 kwietnia 1989 r. postanowiono przekazać matrycę członkom Związku przedsiębiorstwa „Dolmel”. Tam postanowiono wybić ten medal w srebrze, a następnie miał on trafić do rąk Jana Pawła II. Czy zrealizowano ten projekt, nikt już nie pamięta. Nie wiadomo też, co się stało z matrycą... Przez lata prawie nikogo nie informowano o istnieniu medalu, wiedziały o nim osoby, które go wybiły oraz osoby obdarowane. Wśród nich znalazł się m.in. Władysław Frasyniuk – jeden z szefów dolnośląskiej Solidarności oraz Lech Wałęsa, któremu wręczono medal podczas jego wizyty we Wrocławiu 27 lutego 1989 r. Niedawno, przez przypadek, Józef Marcińczak odnalazł zakopany pod krawężnikiem wzornik rewersu tego medalu, który ukrył tam ponad dwadzieścia lat temu i o nim zapomniał. Niedawno odnalazł także materiały i narzędzia, które wykorzystywano do produkcji skórzanych breloczków z podobizną Jana Pawła II oraz napisem: Solidarność.

Janowi Pawłowi II, a ściślej mówiąc piątej rocznicy rozpoczęcia jego pontyfikatu poświęcona była specjalna plakietka od pracowników „Pafawagu”, którą wykonał Julian Ochman. Wzorował się przy tym na plakiecie wytwarzanej w tym zakładzie, którą kierownictwo przedsiębiorstwa tradycyjnie obdarowywało swoich gości.

Kolejny opozycyjny medal ujrzał światło dzienne w 1985 r., kiedy to w jednym z konspiracyjnych czasopism ukazała się następująca wiadomość: „w piątą rocznicę powstania NSZZ „Solidarność” wybity został staraniem RKS Dolny Śląsk okolicznościowy medal. Rozprowadzany jest kanałami związkowymi w cenie 350 zł. za egzemplarz”. Został on wykonany ze stopu cyny i cynku, prawdopodobnie na terenie wrocławskich Zakładów Elektronicznych „Elwro”. Przy projektowaniu medalu wykorzystano awers monety dziesięciopięciowej z lat trzydziestych ubiegłego wieku, na której widniał m.in. orzeł w koronie.

Treść następnej informacji medalierskiej, zamieszczonej w prasie niezależnej, była następująca: „ukazały się w obiegu 3 rodzaje medali metalowych w cenie 300 zł. Każdy, stanowiący serię. Na awersie głowa Lecha Wałęsy i napis wokół: NIEZALEŻNY SAMORZĄDNY ZWIĄZEK ZAWODOWY „Solidarność” 1983, na rewersie w kontu-

rach granic Polski napis: NOBEL '83 – SOLIDARNOŚĆ – LECH WAŁĘSA – 1986. Rozprowadza ELWRO. Cały dochód przeznaczony jest na cele wydawnicze”.

Medale wykonano z miedzi, która była źródłem wielu problemów technologicznych, ze względu na swą miękkość. Medale, po wybitciu, przekazano pracownikom „Hutmenu”, którzy w konspiracji posrebrzyli je. Medale te bito dwa razy, za każdym razem w liczbie 500 sztuk. Obecnie z trzech wymienionych rodzajów tego medalu znany jest tylko jeden o średnicy 37,3 milimetrów z nieco innym napisem, niż podano w prasowej informacji. Na awersie umieszczono wokół podobizny przywódcy „Solidarności” napis: Pokojowa Nagroda Nobla – Lech Wałęsa. Napis z drugiej strony informuje o polskich laureatach Nagrody, wybity jest też rok: 1983.

Następne dwa medale powstały także na terenie „Elwro” półtora roku później i poświęcone były postaci księdza Jerzego Popiełuszki. (Ich twórcą nie mógł być autor wałęsowskiego medalu, gdyż już nie żył.) Medale poświęcone kapelanowi „Solidarności” wybito w niewielkiej, próbnej serii. Są one słabszej jakości, nie ukazała się też żadna informacja o ich powstaniu. Część z nich – w nieznanym jeszcze okolicznościach – przejęli funkcjonariusze SB.

Trudno dziś spisać dzieje opozycyjnego medalierstwa. Część twórców ma obecnie problemy z podaniem bardzo wielu szczegółów, niestety dotyczy to także nazwisk osób zaangażowanych w te prace. Opozycyjne medale bito w niewielkich ilościach, co dziś bardzo utrudnia dotarcie do wielu z nich. Zazwyczaj – ze względów konspiracyjnych – nie umieszczano na nich sygnatur, które umożliwiłyby ustalenie wydawcy, ani też miejsca oraz daty ich powstania. Z podobnych względów nie prowadzono żadnych notatek, które dziś pozwoliłyby np. ustalić, jakich dokładnie materiałów użyto do ich wykonania, oraz ile sztuk danego medalu się ukazało. Sytuację utrudnia jeszcze to, że w latach 80. medale o podobnej tematyce – religijnej i patriotycznej – produkowały różne zakłady rzemieślnicze, najczęściej związane z oficjalnie działającym przedsiębiorstwem Inco Veritas. One także często nie były sygnowane i dlatego trudno się zorientować, kto je wybił. Czy byli to działacze opozycji, czy też jakiś rzemieślnik. Dlatego też dokładne opisanie niezależnego medalierstwa, które było znaczącym elementem drugiego obiegu wydaje się być obecnie bardzo trudnym przedsięwzięciem. Ilustracje:

Szczepan Rudka

Czarna biżuteria Ludwiki Ogorzelec

Biżuteria patriotyczna swym kształtem, zdobieniami lub kolorami nawiązuje do symboli narodowych, takich jak godło i barwy, a także znaczących wydarzeń lub postaci z historii Polski. Znaki narodowe bardzo często uzupełniane są symbolami religijnymi. Podobne zaś motywy występują w umieszczonych na nich napisach. Biżuteria ta była wyrazem tęsknoty za wolnością, sprzeciwu wobec zniewalających ojczyznę, hołdu dla bohaterów. Określano ją też mianem narodowej, emblematycznej (symbolicznej) lub żałobnej.

Początki biżuterii patriotycznej w Polsce sięgają czasu Konfederacji Barskiej i od tego czasu wytwarzana jest po dzień dzisiejszy. Dużą popularnością cieszyła się ona między innymi w dekadzie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Jej wytwarzaniem zajmowali się uwięzieni działacze opozycji – dużą popularnością cieszyły się krzyżyki z orłami. Wycinano je z monet – przede wszystkim – pięcio i dziesięciozłotowych. Podobne przedmioty, lecz lepiej wykonane, dyskretnie wytwarzano w zakładach rzemieślniczych. W stanie wojennym i jakiś czas później sprzedawano je spod lady między innymi w pracowniach grawerskich na Starym Mieście w Warszawie. Można je było również nabyć w sklepach z dewocjonaliami oraz także podczas różnych uroczystości religijnych, na przykład w trakcie pielgrzymek. Po 13 grudnia 1981 r. wśród przeciwników władz PRL dużą popularność zdobył mały, niepozorny podzespół elektroniczny jakim jest opornik (rezystor). Przypięty do ubrania sygnalizował opór i sprzeciw wobec ówczesnego reżimu. Element ten doczepiano też do krzyżyków i wstawiano w pierścionki. Niekiedy, gdy druciane końcówki opornika były długie, zawijano je wokół palca i rezystor noszono jak pierścionek.

Spośród wszystkich patriotycznych artefaktów antykomunistycznej opozycji szczególnie wyróżniają się te, które wyszły spod ręki Ludwiki Ogorzelec (obecnie mieszka i pracuje w Paryżu). Jej rzeźby eksponowane były w wielu galeriach na świecie. Stworzone przez nią – w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku – pamiątki zostały wykonane z czarnego dębu, określanego też mianem polskiego hebanu, którego nie wykorzystywali inni opozycyjni twórcy. Tworzone przez artystkę dzieła nawiązują do tradycji patriotycznych pamiątek, przede wszystkim zaś do czarnej biżuterii, ale nie są ich kopią.

Czarna biżuteria była jedną z form sprzeciwu wobec użycia siły przez władze carskie przeciw manifestacjom patriotycznym w Warszawie. Dnia 25 lutego 1861 r. żandarmi i Kozacy rozpędzili uroczystą procesję, która nastąpiła po mszy odprawionej w trzydziestą rocznicę bitwy pod Olszynką Grochowską. Dwa dni później rosyjskie wojsko otworzyło ogień do procesji na Krakowskim Przedmieściu. Zostało pięciu poległych. Do następnej masakry doszło 8 kwietnia 1861 r., zginęło wtedy od kul ponad 100 osób.

Ogłoszono wówczas żałobę narodową. Zaczęto nosić stroje narodowe, czamarki, konfederatki, a także ubiory o charakterze żałobnym. Miast drogiej biżuterii zaczęto

używać emblematów odnoszących się do sytuacji: krzyżyków z orłem, broszek, pierścieni itp. o wyraźnym charakterze patriotycznym i funeralnym. Popularne było łączenie takich symboli jak: krzyż (wiera), kotwica (nadzieja) i serce (miłość). W przedmiotach o charakterze religijnym w sposób jednoznaczny doszukiwano się związków z treściami patriotycznymi. Tak narodziła się biżuteria żałobna, zwana czarną.

Ludwika Ogorzelec „Lutka” z opozycją antykomunistyczną związała się podczas studiów w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Zakładała na tej uczelni Niezależne Zrzeszenie Studentów. Po wprowadzeniu stanu wojennego drukowała między innymi podziemny biuletyn Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „S” Dolny Śląsk „Z Dnia na Dzień”. Następnie w połowie 1982 r. zaczęła współpracować z organizacją „Solidarność Walcząca”, do której z czasem wstąpiła. Od października 1983 r. zaczęła działać w Kontrwywiadzie „Solidarności Walczącej”. Jej praca, w tej ściśle zakonspirowanej komórce, polegała na prowadzeniu nasłuchu komunikacji radiowej prowadzonej przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, zwalczających antykomunistyczną opozycję. Uzyskiwane w ten sposób informacje starano się wykorzystywać do monitorowania i uprzedzania posunięć władz, wymierzonych w konspiratorów.

Tak wspomina ona ten okres: „spędzając wiele godzin przy spręcie ze słuchawkami na uszach ...nie umiałam tak trwać beczynnie w oczekiwaniu na następne słowa w eterze. Byłam/jestem rzeźbiarką – oczy i ręce miałam wolne, więc zaczęłam rzeźbić w czarnym dębie małe rzeźbki z symboliką patriotyczną. Były to krzyżyki z orzełkami w koronie, przepasane wstęgami na których rzeźbiłam „Boże Zbaw Polskę!” Były też medaliony, pierścionki, bransolety”. Wszystkie miały niewielkie wymiary z dużą ilością drobnych szczegółów, których wyrzeźbienie wymagało dużego kunsztu, cierpliwości oraz wytrzymałości na ból. Łatwo było się skaleczyć podczas ich tworzenia.

Tworzona przez Ludwikę Ogorzelec biżuteria cieszyła się dużą popularnością wśród wrocławskich opozycjonistów. I tak na przykład Kornel Morawiecki – szef „Solidarności Walczącej” – obdarowywał nią swoich współpracowników „za szczególną ofiarność w pracy konspiracyjnej.”

Trudno obecnie stwierdzić ile dokładnie sztuk tej biżuterii powstało oraz jakiego były one rodzaju, a tym samym dokładnie je opisać. Opozycyjna działalność Ludwika Ogorzelec prowadzona w konspiracyjnych warunkach do czerwca 1985 – kiedy to wyjechała na stypendium do Paryż – nie pozwalała na ewidencjonowanie rzeźbiarskiego wątku jej antykomunistycznej aktywności. Według jej obliczeń mogło powstać ponad 300 egzemplarzy tej biżuterii. Trzy z nich zostały złożone jako dary wotywnie, z czego co najmniej dwa od tajnych struktur NSZZ „Solidarność”, działających we wrocławskich zakładach pracy (il. 6). Reszta została rozdana wśród osób związanych z opozycją i prawdopodobnie nadal jest w ich posiadaniu. Pięć egzemplarzy tej biżuterii znajduje się w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich (il. 1-3).

Czarna biżuteria Ludwiki Ogorzelec wyróżnia się oryginalnością, urodą i mistrzowskim rzemiosłem. Również mimo faktu, że biżuteria wykonana była w tak rzadko używanym w jubilerstwie materiale jej dzieło do dziś właściwie pozostaje nieznane.

Wróciła ona po latach do wątków występujących w jej biżuterii, gdy zaprojektowała krzyż Solidarności Walczącej, który ustanowiono w 2010 r.



Wojna plakatowa

W momencie kiedy u nas tyle się zdarzyło, w 1980 roku zaszła też pewna nowa okoliczność, jeśli chodzi o przekaz plastyczny, jeśli chodzi o estetykę, i zapanowały w kraju literki ręczne. One były różnej jakości, różnej czytelności, ale były zupełną nowością estetyczną i to było zaskoczenie dla wszystkich. Mianowicie zaczęły się pojawiać i gazetki i plakaty, które były nie tylko treściowo inne od oficjalnej propagandy i w ogóle oficjalnej kultury, bo tak można powiedzieć, że była kultura oficjalna w Polsce, ale formalnie plastycznie zupełnie się od niej różniły. Miały niezwykłą siłę przebicia, były takie toporne z powodu tego, że albo je robiono ręcznie albo sitodrukiem, albo jeszcze jakoś inaczej. Paskudnie, niezgrabnie, niewyraźnie. Ale ludzie odczytywali w tym całą prawdę. Mieli wrażenie, że prawda jest tędy przekazywana, tędy a nie tamtędy, gdzie wszystko było z maszyny offsetowej, błyszczące, na świetnym papierze i zaprojektowane przez zawodowego machera plastyka. I kiedy na murach takie rzeczy się pojawiały, prędko to nazwano wojną plakatową. Myśmy zdecydowanie wygrywali, ponieważ kontrplakaty naszych adwersarzy, dobrze zrobione, dobrze wydrukowane, ale nie niosły nic, nie działały, nie mówiąc już o treści.

Opowiedział Wojciech Hempel (js)

Kultura niezależna za kratami

W wyniku stanu wojennego internowano blisko dziesięć tysięcy ludzi. Władze użyły słownej ekwilibrystyki by zamaskować, że wtrącono ich do prawdziwych więzień (rzadziej do strzeżonych ośrodków rządowych). Internowanie – to słowo miało werbalnie łagodzić wymiar represji. Mimo więziennych obostrzeń „internaty” stały się oazami kulturalnej niezależności, gdzie sztuka i kultura stanowiły ucieczkę do wolności.

Nie było tak od początku. Pierwsze, grudniowe tygodnie 1981 roku były dla aresztowanych działaczy ciężkie. Więzienny rygor, niekiedy brutalność strażników, brak wiedzy o losach rodzin. Wraz z wiosną sytuacja stopniowo zmieniała się na korzystniejszą. Reżim więzienny zelżał, internowani mogli się kontaktować między celami, rzadziej dochodziło do pacyfikacji protestujących działaczy. Wcześniej do ośrodków odosobnienia zaczęto wpuszczać duchownych, którzy stali się łącznikiem ze światem zewnętrznym. Z czasem możliwe były także widzenia z bliskimi a co jakiś czas ośrodki wizytowali przedstawiciele Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Dawało to nie tylko urozmaicenie codziennej rutyny, ale także wzmacniało i poprawiało samopoczucie więźniów.

Rękodzieło metodą...na nudo

Szczególnie rozpowszechnioną i znaną we wszystkich ośrodkach formą owej „twórczości” była tzw. poczta obozowa. Były to wszelkiego rodzaju koperty lub pocztówki tworzone samodzielnie lub oryginały pochodzące z oficjalnego obiegu, ale odpowiednio „przyozdabiane” w ośrodkach odosobnienia. Techniki, jakimi je wytwarzano, były dość prymitywne. Wynikało to przede wszystkim z więziennych ograniczeń oraz braku odpowiednich narzędzi i materiałów. Matryce, na których przygotowywano napisy oraz grafiki, wykonywano przeważnie z linoleum, które zdzierano z podłóg w pomieszczeniach więziennych. Następnie na takim materiale żłobiono przy pomocy ostrych narzędzi różnorakie wzory. Płytki PCV były łatwo dostępne w każdym więzieniu, a jako materiał nadawały się wręcz idealnie. Za pomocą żyłki albo lancetu (jeśli udało się go przemycić) wycinano wzór, który po pokryciu tuszem uzyskiwaliśmy z długopisów, flamastrow itp. stawał się gotowy do użycia.

Wśród najczęściej pojawiających się motywów można wyróżnić: elementy religijne, solidarnościowe, patriotyczne i „antysocjalistyczne”. Popularność tematyki religijnej nie powinna dziwić ze względu na powszechne wówczas przywiązanie społeczeństwa do Kościoła katolickiego, który był w tych czasach jedyną instytucją cieszącą się ogólnym zaufaniem i popularnością wśród zdecydowanej większości społeczeństwa. NSZZ „Solidarność” była przezeń popierana od początku, a działacze zabiegali o przychyłność hierarchii kościelnej. Po zdelegalizowaniu „Solidarności” Kościół katolicki udzielał osobom internowanym i ich rodzinom wszelkiej pomocy, co znajdowało odzwierciedlenie w owej „twórczości”.

Wśród elementów religijnych popularny był wizerunek Jezusa Chrystusa, Maryi oraz świętych męczenników. Powszechne było wplątywanie w wizerunki Jezusa i Maryi

symboliki związanej z „Solidarnością” i stanem wojennym czy internowaniami. Za tło dla wizerunku często służyły kraty więzienne, a postacie uwydatniały smutek i żal. Postacie świętych nie były wybierane przypadkowo. Prym wiedli męczennicy, m.in. o. Maksymilian Maria Kolbe, zamordowany przez Niemców w Auschwitz. Nawiązywało to pośrednio i metaforycznie do losu osób internowanych. Osobną kategorią były grafiki tworzone z okazji ważnych świąt, takich jak Wielkanoc lub Boże Narodzenie.

„Twórczość” religijna, biorąc pod uwagę ilość znanych grafik, ustępowała popularnością jedynie elementom „solidarnościowym”. Praktycznie na każdej grafice pojawiał się symbol „Solidarności”, nawet jeśli nie był to główny element dzieła. Powszechne były napisy wykonane czcionką nazywaną popularnie „solidarycą”, graficznie nawiązującą do liter tworzących napis „Solidarność”. Z symboliki solidarnościowej równie popularne były tzw. zajączki, czyli ściśnięta dłoń z wyciągniętymi palcami w kształcie litery „V” (od słowa Victory). Symbol ten pojawiał się w różnych kompozycjach, np. dłoń wpleciona w drut kolczasty w kształcie Polski czy Jezus trzymający w taki sposób dłoń. Dla internowanych działaczy istotna była pamięć o kolegach, którzy zginęli na początku stanu wojennego. Temu miały służyć znaczki upamiętniające wydarzenia z KWK „Wujek”. Nadawano im różne kształty, np. napisu „KWK WUJEK 16 XII 1981” przepasanego czarnym kirem, lub „KWK WUJEK – PAMIĘTAMY”. Czasem oprócz samego napisu pojawiały się grafiki przedstawiające czołgi lub ZOMO w akcji. Nawiązywano również do tradycji konspiracji z II wojny światowej, czemu służył np. symbol „Solidarności Walczącej” wzorowany na kotwicy „Polski Walczącej”.

Na znaczkach i kopertach pojawiały się wizerunki działaczy solidarnościowych. Oczywiście z Lechem Wałęsą na czele, niejednokrotnie z napisem „UWOLNIĆ LECHA!!!”. Powstawały całe serie znaczków z innymi przywódcami związkowymi. Popularne były osoby, którym udało się uniknąć internowania i ukrywające się przed Służbą Bezpieczeństwa oraz przywódcy krajowych i regionalnych struktur związkowych. To właśnie podobizny takich osób jak Bogdan Borusewicz, Andrzej Gwiazda, Bogdan Lis czy Antoni Kopaczewski zdobiły więzienne znaczki. Wśród internowanych żywe były uczucia patriotyczne i przywiązanie do historii Polski. Powszechne było odwoływanie się do czasów przeszłych jako odskoczni od współczesności. Stosowano symbolikę zakazaną w Polsce Ludowej. Powstawały wizerunki orła w koronie. Tworzono serie znaczków z polskimi orłami, pokazujące wizerunki orłów od czasów piastowskich do najnowszych. Szukano osób z rodzimej historii, które mogłyby spełniać funkcje ponadczasowych autorytetów i symboli. Przed szeregiem w rankingu wychodził Józef Piłsudski, niezmiennie popularny zwłaszcza w środowiskach, które przed powstaniem „Solidarności” utożsamiały się z ideą niepodległościową, odwołując się do okresu międzywojennego.

Historia Polski odgrywała znaczącą rolę dla internowanych. W przeszłości szukano wzorców postaw i „krzepiących” wydarzeń. Dopatrywanie się analogii z więźniami politycznymi z przeszłości pomagało więzionym działaczom związkowym odnaleźć

się w rzeczywistości więziennej. „Pamiętam m.in. Wielkanoc, jak siadają przy stole, przy tych miskach cynowych. Te stoły odpowiednio przystrojone. Te chłopcy brodate. To jakbym widział obraz Malczewskiego, przedstawiający powstańców styczniowych. Jak ktoś patrzył na naszą sytuację przez pryzmat literatury, obrazów, to czasami aż dreszcz przechodził, że to się tak powtarzało” – wspominał po latach internowany w Bieszczadach Adam Szostkiewicz.

W historii szukano nie tylko wzorców postaw. Przywiązywano również wagę do upamiętnienia ważnych wydarzeń z historii najnowszej Polski, które były w oficjalnej propagandzie przemilczane. Takim ogniskującym emocje wydarzeniem był mord katyński. Grafiki upamiętniające tę zbrodnię przeważnie były skromne i pozbawione rozbudowanych haseł. Dla więzionych osób wystarczająco wymowne było umieszczenie napisu „KATYŃ 1940”, czasem dodawano datę mordu. Pojawiały się również materiały przedstawiające pakt Ribbentrop-Mołotow oraz Jaltę. Mimo zagrożeń internowani często wyrażali swoje niezadowolenie w formie satyry. Szczególną „popularnością” cieszył się wśród nich gen. Wojciech Jaruzelski, Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON) oraz w późniejszym okresie Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego (PRON). Wdzięcznym przedmiotem do satyrycznego traktowania okazała się wrona (gdyż tak społeczeństwo nazwało skrót WRON). Powstało wiele kompozycji, w których ptak ten był przedmiotem kpin. Przerabiano go chociażby na nazistowskiego orła, tzw. gapę. Wrona była na tych satyrach pokonywana w różny sposób, np. duszona przez ramię z napisem „SOLIDARNOŚĆ” lub trzymana w szponach polskiego orła. Napis WRON był tworzony w taki sposób, żeby ociekał krwią. Znane są gry słowne, np. „WRON” z ukrytym „R” w taki sposób, że powstawało słowo „WON”. Całość obrazów była opatrzona napisami „WRONA SKONA” czy „WOJNA POLSKO-JARUZELSKA”.

Generał Jaruzelski w panteonie negatywnych bohaterów bezsprzecznie zajmował pozycję lidera. Starano się go wyszydzić na wszelkie możliwe sposoby. Trzeba przyznać, że generał w swoich dużych, czarnych okularach był łatwym łupem dla satyryków, a tych w szeregach internowanych nie brakowało. Generała przedstawiano jako m.in.: „nakręcanego żołnierzyka” z kluczykiem w kształcie radzieckiej gwiazdy, siedzącego na czołgu, który rozjeżdża napis „Solidarność” lub bardziej humorystycznie: popiersie generała z doprawionymi piersiami i napisem „MATCE WRONIE”. Ponadto Jaruzelskiego często nazywano „GENERATEM ZOMOZA”.

Okoliczności w jakich powstawały te rysunki, obrazy czy rzeźby nadawały im dodatkowej wartości. Przemycane z ośrodków internowań stanowiły niekiedy prawdziwy rarytas kolekcjonerski. Tak było np. ze znaczkami poczty obozowej. Jeden z obrazów wykonanych w „internatach” trafił także do Jana Pawła II. Podczas czerwcowej pielgrzymki w 1983 roku byli internowani ofiarowali mu obraz tzw. Matki Boskiej Załęskiej.

Kolejnym mało znanym elementem aktywności internowanych były audycje radiowe. Więzienne radiowęzły posłużyły niejednokrotnie do nadawania audycji o opo-zy-

cyjnej treści. Treść audycji nagrywano na magnetofonie i emitowano ją za pomocą tzw. szczekaczek zainstalowanych w celach i korytarzach więziennych. Radio „InterNowa” (internowani w Łławie) i podobne inicjatywy wyemitowały przynajmniej kilkadziesiąt takich audycji, co było nie lada osiągnięciem. Rzadziej, ale w podobny sposób podpiano się w niektórych ośrodkach także pod linie telefoniczne.

Teatr za kratami

Ośrodki były także miejscem powstawania spontanicznych zespołów muzycznych. Chociaż to nazwa na wyrost, gdyż uwięzieni mieli ograniczony dostęp do instrumentów. Jednak na porządku dziennym były śpiewy. Repertuar najczęściej sprowadzał się do utworów dotyczących stanu wojennego, nierzadko do słów spisanych przez samych internowanych. Popularne był także pieśni religijne i rewolucyjne. Niekiedy udawało się je nagrać na przemycanym sprzęcie i przy odrobinie szczęścia kasety te krążyły później w niezależnym obiegu, już poza ośrodkami odosobnienia. Zespoły muzyczne zaistniały przynajmniej w kilkunastu ośrodkach, w tym w ośrodku wypoczynkowym Radia i Telewizji w Gołdapi, gdzie internowano kobiety.

Nikogo nie dziwiły organizowane w celach wieczory poetyckie, nierzadko autorskie. W Jaworzu zorganizował taki Janusz Szpotański. Popularny „Szpot” nie był wyjątkiem. W tym samym miejscu wieczory recytatorskie były udziałem m.in. Haliny Mikołajskiej. Jaworze na mapie ośrodków było miejscem pod tym względem wyjątkowym. W ośrodku wypoczynkowym o względnie dobrych warunkach umieszczono bowiem intelektualistów i artystów, których władza komunistyczna starała się w ten sposób „obłaskawić” i pozyskać dla własnych celów.

Zgromadzenie ich w jednym miejscu doprowadziło do niecodziennych inicjatyw. W Jaworzu powstał z inicjatywy aktora Macieja Rayzachera teatr. Wystawił on m.in. scenę więzienną z „Dziadów” Adama Mickiewicza, co biorąc pod uwagę okoliczności, musiało potęgować emocje. Waldemar Kuczyński zanotował: „w półmroku migotał promień świecy. Po korytarzu chodził strażnik w narzuconym na ramieniu płaszczu-szynełu z futrzaną czapką ustylizowaną z rosyjska. Podzwaniał pęk kluczy. Polak na rosyjskiej służbie. Ukryty sympatyk więzionych. Tak jak niektórzy nasi ROMO-wcy. W celi rozmowa o polskim losie w niewoli. Jakież nam bliskie mimo półtorawiecznego dystansu”.

Emocjonalne ślady tych czasów są dobrze uchwytnie w prowadzonych przez internowanych dziennikach. Tworzyli je nie tylko znani pisarze i redaktorzy jak Tadeusz Mazowiecki czy Wiktor Woroszyński, ale także wielu robotników. Ci ostatni niekoniecznie widzieli związek swych losów z dziełami Malczewskiego czy Mickiewicza, ale w swoich zapiskach oddawali stan ducha kilkutyśięcznej grupy internowanych.

Samokształcenie

Powszechne w ośrodkach odosobnienia były także wykłady, spotkania literackie i kursy języków obcych. Była to skuteczna odskocznia od monotonnej codzienności. Przeprowadzano szkolenia w zakresie wykonywania druku i wydawano pisma podziem-

ne. W celach udawało się nawet prowadzić...szkolenia dla drukarzy. Z pewnością te umiejętności przydawały się tym, którzy po zwolnieniu angażowali się w życie podziemnej „Solidarności”. Popularną formą dzielenia się wiedzą w gronie internowanych były wykłady. Wygłaszano je na wszelakie tematy. Ich organizowanie umożliwiało to, że w ośrodku przebywało wiele osób z wyższym wykształceniem, nierzadko zatrudnionych na wyższych uczelniach. Mogły one więc pomóc pozostałym internowanym uzupełnić wiadomości o interesujących je zagadnieniach. Ten konglomerat robotników i inteligencji był czymś niezwykłym.

Poza wykładami o „Solidarności” i sytuacji politycznej w kraju po wprowadzeniu stanu wojennego, edukowano się z szeregu innych zagadnień. Niekiedy wręcz egzotycznych. W ośrodkach miały miejsce wykłady dotyczące historii ruchów opozycyjnych w PRL, rolnictwa, ekonomii czy...islam. Przebywający w więzieniach eksperci chętnie bowiem dzielili się własną, unikalną wiedzą. Musiał to być niecodzienny widok, gdy robotnicy słuchali np. wykładów z historii filozofii. Jednak nie wszystko było tak abstrakcyjne. Gdy w marcu 1982 roku Wojciech Jaruzelski z Czesławem Kiszczakiem zdecydowali o rozpoczęciu akcji emigracyjnej internowanych, w celach zaczęto uczyć się języków obcych. W jednym z ośrodków przeprowadzono także kurs teoretyczny na prawo jazdy. Ewenementem były konsultacje prac magisterskich, które przeprowadzili wśród internowanych w Rzeszowie-Załężu studenci wykładowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Ukryć i przemycić

Głównym problemem dla wytwarzających różnego rodzaju dzieła artystyczne było poszukiwanie drogi wyniesienia swych prac poza więzienne mury. Co jakiś czas w celach były bowiem urządzone tzw. kipsisze, czyli przeszukania. Znalezione dzieła oraz materiały do ich wytwarzania były przez strażników konfiskowane. Zgodnie z przepisami powinny być niszczone, ale nierzadko strażnicy zachowywali dla siebie co wartościowsze dzieła.

Natomiast internowany miał ograniczone pole manewru. Najczęściej usiłowano przemycić różne precjoza podczas kontaktu z duchownymi wizytującymi ośrodki. Księża mieli bowiem dostęp do internowanych bez obecności strażnika. Nie poddawano ich także rewizjom, by nie zadrżać stosunków z Episkopatem. Trudniej było przekazać cokolwiek podczas tradycyjnego widzenia z rodziną. Wówczas trzeba było oszukać strażnika i liczyć, że rodzina nie zostanie zrewidowana. Niektórym internowanym udawało się wynieść swoją twórczość w momencie opuszczania ośrodka. Teoretycznie było to niemal niemożliwe, gdyż każdy z nich powinien być poddany rewizji ale – zwłaszcza w drugiej połowie 1982 roku – władze i obsługa ośrodków odosobnienia nie były już tak rygorystyczne i skrupulatne. Dzięki temu możemy dziś w różnych miejscach oglądać efekty więziennej twórczości internowanych.

Grzegorz Wolk

Nasze bitwy pod Grunwaldem

Demode

Dzwonek! Brutalnie powtarzany, w odcinkach po parę sekund, a to nie jest krótko! Spojrzał na budzik – jest dopiero wpół do siódmej.

– Nikt inny nie może tak nachalnie dzwonić... Mama już wstała, podeszła do drzwi...

– Kto tam?

– Proszę natychmiast otworzyć. Jesteśmy ze Służby Bezpieczeństwa. Jeśli pani natychmiast nie otworzy, wyważymy drzwi. Dla nas to drobnostka...

Mama natychmiast weszła do pokoju Karola, który bez słowa wyciągnął spod biurka paczkę z sześcioma setkami „Robotnika” – tak mniej więcej pięć ryz papieru. Wstał już ojciec. Zirytowany krzyknął przez drzwi – bo tamci ciągle coś tam gadali:

– Jak już nachodzicie uczciwych ludzi, to czekajcie, aż się ubiorą. To wasz szef mówił, że nie jesteście ani gestapowcami, ani enkawudystami...

Tamci jednak nadal protestowali, więc ojciec zajrzał do pokoju syna i bez słowa przejął wyciągnięte z torby na książki akademickie, pojedyncze egzemplarze gazetek i książek. Ojciec przypomniał szeptem:

– Miałeś jeszcze jakieś znaczki?

– Nie – oddałem...

Przenieśli paczki z „Robotnikiem” do pokoju matki pod kołdrę. Ojciec założył szlafrok i dobry Bóg raczy go wiedzieć, gdzie ukrył pojedyncze egzemplarze. Karol też założył szlafrok i zapalił „Ekstra Mocnego”.

– Nie pal na czczo – scenicznie, już ze swego łóżka szepnęła mama...

– Co wy tam palicie? – nerwowo ryknął zza drzwi ubol. Wyważaj Jasiu, nie będziesz się pierdolić...

Z głębi klatki schodowej odezwał się głos Wojtka – sąsiada – mechanika w magazynach Pax-u:

– Nic nic, Mama, śpij. To ci bandyci znów przyszli do Maliszewskich. Kiedyś to się skończy i wszyscy zawisną na latarniach...

A po chwili jeszcze dodał, ciągle niby do swojej matki:

– Nie, nie, mamusiu – to nie Maliszewskich będą wieszać...

Ojciec otwiera drzwi, trzej dosłownie wpadają. Ich herszt, taki mały czterdziestolatek obdarzony siną karnacją skóry twarzy przypominającej przesączony wódką papier ścierny, rzucił do wspólnika:

– Zajrzyj do tych sąsiadów. Podskakuje, więc nic nie ma, ale zrób mu burdel, tak po gestapowsku. Niech wie skurwiel, kto tu kogo może powiesić i za co...

Herszt nieomylnie wlaźł do pokoju Karola, choć zdaje się, jest tu po raz pierwszy. Po drodze, do ojca, zapewne w trosce o socjalistyczną wydajność pracy:

– Pan panie doktorze do pracy. Nie robić zbiegowiska. Synowi nic nie grozi. Dziś nie grozi. Gdyby pan od razu otworzył, to bylibyśmy mili... Jasiu, chodź tu i daj temu sąsiadowi spokój.

– Możecie mi naskoczyć – zza zamkniętych drzwi odciął się sąsiad – Niżej mechanika mechaniczna nie spadnie. Nawet wolę pójść na prywatne niż was tuczyć...

– Ruskie wieprze – z jeszcze większej głębi doszedł fałset sąsiadki. Po chwili poprawiła się:

– Ruskie pacholki. Zostaw ich Wojtuś, bo cię pobiją i co zrobisz?

Ubecy rozpełzli się po domu, ale jakoś tak leniwie, jak larwy. Papier ścierny z przyklejonym uśmiechem zakłopotanego sutenera niezbyt głośno zwrócił się do siedzącego w krześle z papierosem w ręku Karola:

– Wstawaj, mamy szybki kurs...

– Świnie nie z panem pasalem...

– Co się dąsać, jak pan chce, to możemy być na pan. Choć jestem starszy...

– No to wyjść z pokoju.

– A dlaczego?

– Nakaz rewizji jest?

– A jest!

– No to pokazać...

Coś tam wyciągnął, jakiś kwit z wypisanym imieniem, nazwiskiem, rolą świadka jak trzeba. Karol był zbyt wzburzony i zbyt skupiony na tym, by nie okazać strachu, zaskoczenia, czy cholera wie którego uczucia, by dokładnie zrozumieć treść. Jedynie na kartce zanotował numer sprawy. Niemniej zauważył:

– Skoro chodzi o mnie, to ci dwaj albo do mojego pokoju, albo do przedpokoju...

W tym momencie sąsiad wyszedł z mieszkania. Natychmiast wszyscy trzej wyskoczyli...

– Co jest, jakieś krzyki rano, gdy ludzie śpią. Milicji na takich nie ma...

– To my jesteśmy policja...

– Jaka policja? Mama, dzwoń na milicję, jakieś bandyty, może przebierańce...

– A jaka latarnia? O co chodziło obywatelowi? Czy nie o władzę ludową?

– Lud to jestem ja, Maliszewscy, a wy...

– A my...

– Wy to wstydu nie macie.

– I o to chodzi palancie. Idź tyrać na nas prolecie i nie podskakuj, bo cię ścieżką zdrowia przegonimy... Szanowna mamusia ma rację. Będziesz sobie mógł do kościoła pójść na skargę, ale jak dokopiemy po jajach, to nawet zakonnicy nie wyjebiesz...

– Ty łobuzie... teraz moja mama dosłownie wyskoczyła z łóżka, choć tak, by nie odsonić ukrytych w szczelinie rozkładanego łóżka gazetek. Zresztą zastawiła drzwi do pokoju własnym ciałem...

– Księdza Popiełuszki wam mało, won mi zaraz z normalnego domu!

– Zaraz, zaraz – spieszone papier ścierny zgłupiał do reszty. Bo też rzeczywiście – przedobrzył – przy tylu świadkach – a nie był taki głupi, aby nie wiedzieć, że na świadków można dopisać wszystkich mieszkańców trzypiętrowej klatki schodowej. W tej par-

szywej sytuacji nawet komuch piętro niżej wszystko by potwierdził. W końcu mieszka tu sam i raz mu już obsikano wycieraczkę. A za idiotyzm to nawet w UB nie głaszczą...

– Zamknij te drzwi Jasiu – warknął.

– Ubieraj się pan – dodał zwracając się do Karola. A zwracając się do matki z łatwością zmienił ton:

– Ja żadnej wojny nie chcę... Przepraszam panią... Proszę zrozumieć, taka ciężka służba...

– Boga w sercu nie macie...

– Boga nie ma... – cokolwiek niepewnie zaoponował intruz. I po chwili dodał:

– Ten Popieluszek – tak nam mówili – to lepszy był ananas

– O świętym mówisz! Łotrze!

Po chwili matka uściśliła – te rzeczy nie były dla niej bez znaczenia:

– O przyszłym świętym...

Ubol już chyba doszedł do normalnego stanu ducha, bo z rysującym się na twarzy cynizmem zauważył:

– Mi to kalafiorom wisi, droga pani. Dla mnie to jednego mniej. Tylko niepotrzebnie chłopaki tak spartolili robotę...

– Jeszcze wspomnisz swoje słowa, ale nie cofniesz grzechu...

– Za dużo ich jest. Nie cofnę. Szczam na to...

Matka z rozmachem zamknęła drzwi. Ubecy niczym myszy skupili się w przedpokoju. Podwładni patrzyli na swego szefa z niepokojem. Prawdopodobnie – dla nich skatować kogoś, sponiewierać, to była normalka. Ale z Kościoła robić sobie jaja, z grzechu? A jeśli Bóg jednak jest?

– Rzeczywiście – dziś wpadł kolektyw idiotów... – pomyślał Karol...

Na dole czekał Polonez z kierowcą. Usadzili go w środku. Papier ścierny usiłował nawiązać jakiś dialog, ale dał spokój. Kierowca z prędkością dobrze ponad stu kilometrów na godzinę minął Mostowo i kierował się do centrum. Wszystko jasne – kurs był, jak zwykle w takich razach, na Mokotów. Karol trochę uspokojony zachowaniem swych towarzyszy podróży, aby uspokoić się do reszty, w głowie nucił piosenkę

Szosa E-7 jak leci od początku do końca!

W gmachu ubecji spory ruch, chyba – tak na wycucie – dużo większy niż zwykle. Papier ścierny przekazał Karola komuś ponad trzydziestkę, pucołowatemu, we wdzianku dzinsowym ozdobionym maszynowymi haftami. Pucowałowy wylegitymował się w akwariu wartowni za szkłem i Karol kątem oka dostrzegł, że ma do czynienia z porucznikiem. Na trzecie piętro wjechali windą i pochodzili sobie, jak już kilka razy uprzednio, po korytarzach. Dziś nawet krócej, niż zwykle.

Gabinet przesłuchań urządzony został ze smakiem Spartanina. Dwa szczepione ze sobą biurka wyprodukowano zapewne w ramach czynu produkcyjnego podczas planu sześcioletniego. Stalową szafę pancerną pomalowano burą, miejscami oblażącą farbą bez poły-

sku. Parkiet ostatni raz pastowały więźniarki stalinowskie. Klosz podczepionej pod sufitem lampy wzornictwem za to przypominał stylistykę Le Corbusier'a. Jeszcze tylko stojący wieszak z giętego drewna o fakturze naznaczonej wrośniętym w powierzchnię brudem i nic więcej. Haftowany dzins wskazał Karolowi jedno miejsce, sam zasiadł naprzeciwko.

– Może kawy?

Karol wzruszył ramionami...

– Na tak, czy na nie?

Karol znów zignorował pytającego. Oczywiście miał ochotę na kawę, a dotychczas nie słyszał, aby coś do niej dosypywali. Jednak sam pomysł, by o coś go prosić, był absurdalny.

– To ja zamówię kawy, a pan wypije, albo nie... Może papierosa? – UB – ek wyciąga Ekstra – Mocne.

– Mam swoje – odpowiedział Karol, w istocie rzeczy jednak wdzięczny bandycie za to, że będzie można palić. Już kilka razy tu był i zawsze dotychczas wolno było palić. Prawdopodobnie dlatego, że przesłuchujący też byli w szponach choroby nikotynowej. No ale mogli – ostatecznie – narzucić takie oto nieznosne reguły gry, że sami by sobie palili, a jemu to uniemożliwili. Takie numery się zdarzały.

– W jakiej sprawie zostałem tu przywieziony?

– Na rozmowę.

– Czy to jest zgodne z prawem?

– Jakim prawem?

– No prawem peerelu.

– A – to jest właśnie nasze, peerelowskie prawo. Ale tym razem wszystko jest lege artis. Nie muszę kłamać, pan to wie, więc można mi wierzyć...

Karol zaciągnął się papierosem.

– O co im chodzi? Kipisu nie zrobili, jak trzeba, nawet nie starali się mnie nastraszyć?

W tym momencie do sali wszedł facet o rozmiarach szafy trzydrzwiowej. Wzrok miał zagubiony, jakby go oderwali od lektury „świerszczyka”, wskutek czego stracił we wszystkim innym orientację. Niemniej zaślaniając swym ciałem wejście spytał:

– No i jak ci z nim idzie?

– Mam nadzieję, że nie będziesz potrzebny. Będzie dobrze...

– No to ja w każdym razie czekam... i wyszedł.

– Fajny facet, panie Karolu.

Karol oczywiście znów nie odpowiedział.

– I po co było brać szczoteczkę do zębów? Czy my chcemy panu zrobić krzywdę? Nic podobnego. Nam pana jest po prostu żal. No bo jakie pan ma życie. Poświęca się pan dla ojczyzny i nikt panu nie podziękuje, nawet dobrego słowa nie powie.

Karol udawał, że nie jest zainteresowany tymi komunikatami, ale oczywiście słuchał. Wprawdzie nie było prawdopodobne, aby ubol z czymś się wysypał, no ale nuż...

– co innego miał do roboty? Zaczynało się mało fajnie. Skoro zapowiedział, że nie chce zrobić krzywdy, no to za jakiś czas zauważył, że jednak nie chce, ale musi i wiooo – na dołek.

– Na czymś się widać wywaliłem, ale czemu nie robili solidnej rewizji?

A swoją drogą – gdyby Karol był ubekiem, to starałby się poprzez swą agenturę nie tyle chwycić ludzi podziemia, ile w podziemiu robić jak najgorszą atmosferę. I co więcej – oni chyba tak postępowali? Ale tym razem strzelili kulą w płot – w „Robotnika” póki co – odpukać – atmosfera była fajna.

– Jest pan, panie Karolu w tym wieku, kiedy trzeba już jakoś ustawiać się wobec życia. Trzydziestka na karku, a pan sztucznie przeciąga studia. W końcu pan ich nie skończy. Posady żadnej – ostatnio nie chciał pan pracować w telewizji. A to dobra praca...

Rzeczywiście – ojciec jednego z korepetytantów zaproponował mu pracę w telewizji. Mógł, bo wprowadził za Gierka, ale był jednym z głównych dyrektorów tej instytucji. Proponował to z wdzięczności za przełom w postawie szkolnej syna – zdał na studia i w ogóle zaczął się interesować. Czy propozycję złożył na polecenie ubecji? Trzeba się nad tym jeszcze zastanowić, ale chyba o niczym to nie świadczy? Nie paliłby swojego człowieka w tak idiotyczny sposób. Raczej jakoś się dowiedzieli. Karol mało komu wspominał o tej propozycji, więc raczej ten facet się pochwalił. Swoją drogą, dziwny z niego komuch – po szczęśliwych dla syna egzaminach zaprosił Karola do „Europejskiego” i tam przy wódeczce wieszczył, że jeszcze Bujak, albo Frasiuniuk, będą prezydentami tego kraju...

– Pan nawet nie ma pojęcia, ilu pana przyjaciół już to zrozumiało.

Karol spojrzał na niego ze zdumieniem, ale nie skomentował...

– No, ilu kolegów zrozumiało, że jednak nie wolno marnować życia. Przecież nie jest pan wierzący i dobrze pan rozumie, że życie mamy tylko jedno. A my nie chcemy żadnych donosów, nic takiego. Pan jest poważnym człowiekiem i my musimy o tym pamiętać. Nie proponujemy panu donosicielstwa – od tego są kapusie – ich sobie kupujemy. My pana widzimy jako prawdziwego oficera naszych służb. A nasze służby zajmują się nie tylko opozycją. Nasze służby przede wszystkim dbają o dobro Polski. A Polska to wielka rzecz.

Karol nie wytrzymał i mimo paskudnej sytuacji uśmiechnął się.

– No widzi pan – przynajmniej rozbawiłem pana. Ale proszę pomyśleć – mieszkanie, samochód, żadnych mandatów – byleby bez trupów, to można jeździć na bańce. Pensja tak, że daj Panie Boże... dziwki na hektary. Takie są fakty! Nie trzeba wiele. Wystarczy trochę inteligencji, by spojrzeć na rzeczywistość z innego punktu widzenia. Przecież to Zachód sprzedał nas w Jalcie. A my musimy jakoś ratować ten kraj, pozwolić, by dało się w nim żyć. Pan ma fałszywe pojęcie o obecnych władzach. Patrzy pan na tych z pierwszych stron gazet, a to są już mamuty. Idzie nowe pokolenie. Pokolenie, które zna świat, języki, umie się zachować. My wszystko wiemy o tym społeczeństwie, tylko jeszcze nie możemy działać. Nie mamy wolnej ręki. Ale będziemy ją mieli. Złibe-

ralizujemy wszystko, otworzymy się na świat, powiemy prawdę o Katyniu. Pozwolimy takim jak pan wydawać swoje gazetki. Tylko proszę sobie odpowiedzieć na pytanie – kto będzie je czytał? A nas będą słuchać, bo my nie będziemy nudziarzami. Damy ludziom żyć. To jest wielka sprawa i można się przy niej ładnie ustawić.

Ja nie mówię, że pańscy koledzy i pan jesteście ludźmi nieuczciwymi. Przeciwnie – podziwiam pana. Ale to ja. A inni? W tej chwili wielu jeszcze wam wierzy. Ale potem? Z waszym archaicznym poczuciem uczciwości, sprawiedliwości? Do kogo ta mowa? Ludzie są wyposzczeni, chcą szmalu, podróży, dolarów i futer. Mają gdzieś innych ludzi – oni chcą dla siebie mieć, nie dla wszystkich! I na was się wypną! Już się wypinają! Jak pan sądzi, za kim są ci wszyscy prywaciarze, którzy tak się mnożą? Nie wiedzą, że to dzięki wam pozwalamy na istnienie prywatnej inicjatywy? Wiedzą, wiedzą! Ale to z nami mogą załatwiać interesy na lewo, za naszym przyzwoleniem. Nie tylko dlatego, że to my mamy władzę. Przede wszystkim dlatego, bo my ich rozumiemy, nie mamy pretensji o to, że mają swoje słabości. ...

Haftowany dzins mimo objawów kaca, być może nawet tylko lekkiego, tonacją głosu wyraźnie wszedł na nutę patetyczną. W zestawieniu z sensem jego wypowiedzi miało to ciągle wymiar komiczny. Karol jednak ucieszył się, gdy do pokoju, bez pukania, weszła sprzątaczką. Na zielonej plastikowej tacy z obłamanym rogiem wniosła drżącą ze starości ręką dwie kawy w szklankach. Staruszka stanowczo nie miała już kwalifikacji motorycznych do tego, by cokolwiek pastować, nie tylko podłogę. To wiele tłumaczyło. Ale czemu na ściankach szklanki widoczne były linie papilarne po tłustych paluchach? Szklanka postawiona przed haftowanym dżinsem nie była w lepszym stanie, niż karolowa... – Chyba nie chodzi im o moje linie papilarne? – pomyślał Karol i uśmiechnął się do staruszki:

– Dziękuję...

– No i dobrze – pomyślał – przecież nie dziękować za podanie kawy, to chamstwo. Zresztą – zdaje się widać było, że zrobiłem to machinalnie, a przynajmniej nie będę musiał się krygować, że ją jednak wypiję... Karolowi wyraźnie zależało na tym, by haftowana koszula dostrzegł niechęć, jaką jest obdarzany

– Ciekawe, czy ten ubol jest taki cyniczny, czy taki głupi? W każdym razie uważają palancie – zaraz ci czymś przypierdoli. On nie ciocia i nie wyprawia imienin...

– Może cukru? – haftowana koszula wyciągnął z szuflady pogniecioną papierową torbę bez nadruku ...

– Cukier w firmie trzeba mieć własny i pilnować, bo rozbiorą w try miga...

Karol znów nie zareagował, miał nadzieję, że także mimicznie... Z kilku dotychczasowych doświadczeń z rakowiecką wiedział, że rozmówca będzie raczej długo monologował w sposób przejrzysty zniechęcając go do środowiska podziemia, a zarazem zachęcając do zostania kapusiem. Co jakiś czas, dla wprowadzenia właściwej atmosfery, pojawiać się będzie gościu mający się kojarzyć z przemocą fizyczną, a także z pew-

ną regularności mówca będzie roztaczał wizję beznadziejności położenia kogoś zrzuconego w głąb kazamatów MSW. Nawiasem, o ile Karolowi było wiadomo, to w tym gmachu wcale nie było porządnego aresztu, a podejrzanych przetrzymywano też na Rakowieckiej, lecz kawałek dalej i po drugiej stronie ulicy, w areszcie śledczym, będącym zresztą słynnym z komunistycznych zbrodni więzieniem. Na ludzi podziemia czekały tam dwa, ponoć najważniejsze pawilony. I choć oczywiście nie sposób było wykluczyć, że prosto stąd, mimo kawy, papierosów i mirażu luksusowego samochodu Skoda, czy też Wartburg, nastąpi finał w postaci osadzenia w areszcie, to jednak cała ta rozmowa, jak zresztą i dotychczasowe, była cokolwiek teatralna.

– Nie jest dobrze panie Karolu. Mamy w rękę niepodważalne dowody pańskiej sprzecznej z prawem i wymierzonej w nasze państwo działalności. A przecież jest pan obywatelem peerelu i coś, na mocy konstytucji peerelu z tego faktu dla pana wynika. Trzeba się poprawić. Trzeba odkupić winy wobec ojczyzny. Winy popełnione nie ze złej woli – jest pan przecież patriotą takim ja ...

– No, no...

– A jednak! Panie Karolu, wreszcie się pan odezwał...

Karol rzeczywiście niepotrzebnie się uniósł, więc sprawił ubolowi satysfakcję:

– Nie prowadzę działalności antypaństwowej. Ma pan złe informacje...

– Ależ ja mam najlepsze informacje, z pierwszej ręki. Chce pan, to panu wymienię skład waszej grupy.

Przesłuchania innych ludzi ze składu redakcji wskazywały, że oni nawet nie są pewni, czy to jest redakcja, czy nie? Ale nawet, jeśli wiedzą, to Karol mógłby go czule spytać, czy wie, gdzie są drukarnie, składy papieru, matryc, farby i tak dalej. A także, jaka jest siatka kolportażu, choć na ten temat to prawdopodobnie niemało mógłby usłyszeć. Trzeba założyć, że wiedzą o „Robotniku”. A raczej – ubol nie tak mało wie, ale z pewnością zdecydowanie za mało, skoro jeszcze nie siedzą.. Obserwują środowiska, w których „Robotnik” wypływa, analizują, z jakimi innymi gazetkami czy broszurami jest kolportowany, oceniają różnice w czasie, kiedy docierają kolejne numery do tych czy innych środowisk. Już to samo powinno im wiele powiedzieć. No i oczywiście niczym krety starają się poprzez kolejne szczeble kolportażu dotrzeć do kolportażu centralnego. To po pierwsze. Po drugie – słuchają rozmów telefonicznych i analizują nie tyle to, co zostało powiedziane, ile to, czego nie powiedziano, w których momentach urwano dialog. Śledzą rozmówców telefonicznych. Tak przynajmniej na ich miejscu postępowałby Karol i miał poczucie, że przy pewnej konsekwencji powinien to być sposób skuteczny. Skuteczny pomimo różnych technik maskowania. Zresztą, po drukowaniu przez kilka dni nie sposób domyć ręce, a szczególnie palce. Coś tam tej farby zawsze zostaje za paznokciami...

– No więc panie Karolu, ode mnie zależy, tylko ode mnie, bo nikt nie ma dziś głowy, aby przysłuchiwać się naszym pogwarkom, czy pana zamknę, czy też nie? Ja wiem, pan czyta gazety i myśli, że znów będzie amnestia. Ale ja myślę, że wcale nie będzie

amnestii. Któryś z nas ma rację. Obaj wiemy, że ostatnia była całkiem niedawno. Ale zanim się przekonamy, to pan zakiśnie w wilgotnej, niezdrowej celi. Czy to warto? Miał pan przecież operację. Nerkę panu usunęli. No, no – to poważna sprawa. A przecież nie warto tej drugiej wystawiać na klimat więzienny...

Ja mam dla pana propozycję. Tego skurwysyna z hotelu, który tak pana obił w windzie, to ja panu wystawię. Nawet nie musi pan się do niczego zobowiązywać. Wystarczy, że pan będzie miał okazję zobaczyć, że my potrafimy dotrzymywać słowa. Nawet wówczas, gdy nas to coś kosztuje. Mam dwie, ale wykluczające się oferty. Pierwsza jest taka, że ja panu dam adres i ogłaszam desintereseмент władzy ludowej losem tego kutasa. Tylko niech pan uważa, to osilek dobrze wyćwiczony. Byle ładowacz z jakiejś fabryki to trochę mało, może zostać z niego marmolada. Zresztą – komu ja to mówię, pan sam widział go w akcji.

A jeśli nie, to można mu wytoczyć regularną sprawę. Ja wiem, że pan i pana kolega macie zrobione obdukcje lekarskie. Sprawdziliśmy – lekarze z pogotowia są waszej sprawie życzliwi i na pewno będą świadczyć. Świadców z hotelu ja podrzucę. No niech pan tak nie patrzy – autentycznych. Nawet nie będą wiedzieli, o co chodzi.

Niech się pan nie dziwi propozycji. My mamy do pana poważny stosunek i wiążemy z panem wielkie nadzieje. Co nam taki agenciak na przychodne... To jest osilek o umysłowości ołówka z gumką... Czy pan sądzi, że ktokolwiek brał pod uwagę trwałe konsekwencje tego incydentu? A skądże! To ten palant przedobrzył. A takich chujów my nie lubimy. Albo ktoś jest fachowcem, albo nam szkodzi.

No tak, tak – szkodzi. Bo przecież my z panem wiążemy tak wielkie nadzieje i nie możemy dopuścić do tego, by panu stała się krzywda. My panem już od dawna się opiekujemy. Przecież pan nigdy nie siedział. A nie zastanawiał się pan – czemu?

Panie Karolu, jeśli dziś ubijemy interes, to może pan wykorzystać oba warianty – i wpierdol, a jeśli jeszcze będzie żył, to do pierdła. To jest chyba uczciwa oferta? I jeszcze coś – ułatwimy panu niesamowity wręcz awans w strukturach podziemia. No – po prostu wylansujemy pana. Będzie pan gwiazdą. I będzie git!

Wczoraj nie mógł pan dostać papierosów w kioskach. Kupował pan u szatniarza, za podwójną cenę. Czy to ma sens? Ja dla pana coś przygotowałem. Nie, nie – Ekstra – Mocnych to i u nas cholera nie ma. Ale mam karton Caro. Cały karton. I to taki bez kołków w tytoniu, naprawdę super. Produkcja specjalna – pan wie – dla nas, dla oficerów w wojsku, dla komitetów partyjnych jest taka produkcja specjalna. Niby te same papierosy, a jednak inne, lepsze, z domieszką tytoniów amerykańskich. Jest nawet pomysł, żeby je sprzedawać w PEWEX-ie, ale my się sprzeciwiamy. O proszę...

I rzeczywiście – z szuflady wyciągnął karton papierosów – nawet są opakowane w celofan, jak za Gomułki... Wewnątrz nie pergamin, a prawdziwe sreberko. Sam pan widzi, że z tą produkcją specjalną to nie zalewam. I właśnie takie fajki mamy także dla swoich ludzi

– Jezu słodki. Ten palant nie zalewa. To jest jakiś trop. Choć kurwa nie! A co, jeśli ktoś ma takie same papierosy nie od nich? Z tego mogą wynikać jedynie bezpodstawne podejrzenia. I o to mu chodzi. Dobrze złamasy kombinują. Już sobie przypominam, kto miał ostatnio takie Caro. Z Pawką chcą mnie poróżnić. Niedoczekanie – ja mu po prostu opowiem ten fragment ze szczegółami. Trzeba się jeszcze będzie zastanowić nad formą opowieści, aby nie uznał, że jednak go podejrzywam...

– Ja wiem, panie Karolu, że pan nie przyjmie ode mnie podarunku, choć kupiłem te fajki na dole w kasynie za prywatne pieniądze i nie byłby to podarunek od resortu. Ja pamiętam, ile one kosztowały, zresztą na opakowaniu jest cena. Detaliczna! Tak z rączki do rączki, żeby nawzajem ułatwić sobie trudy życia... Niech pan nie wzrusza ramionami. Jeszcze nie wiem, czy wyjdzie pan stąd na ulicę, na co mam nadzieję, czy do celi? Ale tak czy inaczej wagon papierosów nie zaszkodzi. One sobie będą leżały i pan się zastanowi.

Ubol na chwile przerwał, prawdopodobnie przypominając sobie, co tam było w instrukcji? No ale kac uniemożliwił mu znalezienie rozwiązania. Popatrzył na zegarek, wzruszył ramionami, z marsową miną i z dykcją przypominającą szczeknięcie rzucił:

– Szkoda mojego czasu. Przyjmujesz ofertę, czy nie? Jak nie, to na dołek i tam dostaniesz wpierdol...

Minęło kilka chwil. Ubol chyba rzeczywiście był już zirytowany. Ostatecznie – to ciężka praca i chyba z niższą stawką za godzinę, niż na planie filmowym?

– Niech pan coś powie...

Karol postarał się możliwie ciepło uśmiechnąć i łagodnym głosem po to, by mocniej bolało:

– No oczywiście nie...

Haftowany dzins poderwał się, jakby w dupie miał sprężynę i dosłownie wybiegł z pomieszczenia. Na pożegnanie huknął obitymi blachą drzwiami. Karol wyjął z paczki papierosa i rozejrzał się po pokoju. Choć nigdy o czymś takim nie słyszał, to szukał obiektywu kamery. Nie znalazł. Zapalił. Ekstra – Mocny na czczo miał swoją moc. W głowie miał pustkę. Co będzie, to będzie. Co za różnica? Wprawdzie usiąść właśnie teraz było mu całkiem nie na rękę, bo miał ustawiony wyjazd do kilku miast w celu stworzenia nowych siatek kolportażu „Robotnika”, ale co robić? Zresztą – za dużo było tego cyrku i nic konkretnego... Chyba nie posadzą...

Był to pogląd mało kategoriyczny i wyrażony jakby bez zaangażowania. Toute proportion gardee – prawdopodobnie tak czuli się podczas wojny ludzie na chwilę przed rozstrzygnięciem, czy czułe gestapo lub NKWD rozstrzela, czy też nie? Pomyślał, że skoro ma takie wisielcze skojarzenia, to chyba coś mu się porąbało z nerwami. Ostatecznie – nic takiego się nie stało i nic wielkiego nie powinno się stać. Nawet jak zamkną, to jeszcze muszą procesowo skazać, a to nie jest takie pewne... Jeśli dadzą wyrok, to kij im w ucho, tam też ludzie żyją...

Minęła chwila, zanim otwarły się drzwi. Stał w nich haftowana koszula, ale natychmiast przepuścił, nieomal eleganckimi gestami, starszego, niezbyt wysokiego i łysiejącego, choć Karol skłonny był uznać, że wyliniałego mężczyznę.

– Pan pułkownik Antoni Ostrowski chciałby pana poznać i coś panu powiedzieć – oświadczył z intonacją namaszczenia haftowana koszula.

– Witam pana, panie Maliszewski. Już tyle lat chcę pana poznać osobiście, ale nie było okazji...

Karol mógł zauważyć, że to żadna krzywda, ale oczywiście powstrzymał się.

– Obserwuję pana i pana przyjaciół z wielką życzliwością. Jest budujące, że grono młodych ludzi znajduje czas, aby poświęcać go dla dobra ojczyzny. Proszę nie zaprzeczać (Karol żadnym gestem niczemu nie zaprzeczył) – my wszystko wiemy. To nasza najbardziej wartościowa młodzież. Przecież jest oczywiste, że w nasze szeregi, szeregi ludzi ideowo oddanych sprawie Polski trzeba wpuścić trochę świeżej, ożywczej krwi. Niech pan plunie na tych wszystkich oportunistów z „Tygodnika Mazowsze” i tak dalej. A zresztą, nich pan robi co chce, byleby w zgodzie z obowiązującym prawem.

Pan tego jeszcze nie wie, ale otwierają się nowe możliwości działania. Stan wojenny i kolejne następujące po nim działania przyniosły sukces. Społeczeństwo uzyskało dzięki niemu możliwość właściwego ocenienia intencji odnowionej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Mogło wreszcie dostrzec – kto w świecie jest naszym przyjacielem, a kto bezkompromisowym wrogiem. Wszyscy odnieśliśmy sukces, ponieważ zwycięstwo naszych ideałów jest sukcesem całego społeczeństwa. I w interesie całego społeczeństwa.

W tej sytuacji nasza partia i rząd mogą odejść od dotychczasowej, uzasadnionej okolicznościami polityki represji wobec wrogów, na rzecz przekonywania zagubionych, dających się manipulować si-aj-ej i innym ludziom dobrze żyjącym z antykomunizmu. A przecież i pan i pana przyjaciele do nich – jestem pewien – nie należycie.

Winniście docenić fakt, że socjalizm w Polsce stopniowo, w miarę nowych wyzwań epoki, dostosowuje swoje działania do potrzeb. A przecież pan jako historyk doskonale wie, że choćby nasza instytucja – jeszcze nie tak dawno stosowała dużo większą gamę środków operacyjnych. Ale my dostrzegamy, że niektóre środowiska tak zwanej opozycji w gruncie rzeczy odgrywają rolę postępową, skłaniając partię i rząd do poszukiwania nowych, optymalnych rozwiązań. Dlatego, choć oczywiście pańskie działania nie były legalne, w jakimś sensie możemy być wam za to wdzięczni...

– Proszę pana – Karol przerwał ten korowód słów – ja jestem spokojnym obywatelem i w żadnym wypadku nie mam w zwyczaju popełniać przestępstw. Panowie mi tu po raz kolejny insynuujecie działania, z którymi nie mam nic wspólnego. Pan tu mówi o jakimś humanitaryzmie, czy nie wiem o czym, a tymczasem dziś rano wyciągnęliście mnie z łóżka, budząc i strasząc moich rodziców...

– Nastraszyć pana matkę? – pułkownik spojrzał przeciągle na podwładnego – dziś znów były jakieś ekscesy? – no popracujemy jeszcze...

– No więc – znów Karol mu przerwał, zresztą ucieszony, że tak słabo rozpoznają stany duchowe przeciwnika – jak powiedziałem, ja nie mam z tym nic wspólnego i w ogóle nie rozumiem, o czym wy mówicie. Chcecie mnie aresztować (Karol już doskonale rozumiał, że nie chcą), to róbcie swoje, ale nic mi nie wmawiajcie.

Pułkownik uśmiechnął się do haftowanej koszuli, a haftowana koszula do niego. Ponieważ w tym czasie Karol podniósł się z krzesła (właściwie po co ?), wszyscy stali. Wreszcie znów zaczął mówić pułkownik, choć teraz na czole wyrosły mu bruzdy, mające prawdopodobnie świadczyć, że się zirytował:

– A jednak ja powtórzę. Skoro partia i rząd zdecydowały się realizować całkiem nową politykę poszukiwania rozwiązań w zaistniałej sytuacji w kraju, wspólnie z tymi środowiskami dotychczas kontestującymi naszą rzeczywistość, które zrozumiały swój błąd (Karol zaczął doceniać umiejętność pana pułkownika w budowaniu złożonych zdań), to tej wyciągniętej do zgody ręki nie warto odrzucać. My już dowiedliśmy, że potrafimy taką rękę karać (Karol się zmartwił – pułkownik pogubił sens). W każdym razie, u progu tej nowej epoki, w której zastrzegamy sobie prawo do stania na straży praworządności, ostrzegam pana przed kontynuowaniem, lub jeśli pan woli – podejmowaniem działań nielegalnych i godzących w fundamenty ustrojowe socjalistycznej ojczyzny. Nie wolno też podważać naszego sojuszu z ZSRR. Związek Radziecki bowiem – i to musi rozumieć każde dziecko, jest mocarstwem światowym, odgrywającym dosłownie każdego roku coraz większą rolę przywódczą w świecie. A przyjaźń Polski i ZSRR jest po prostu wieczna. Tylko dzięki ZSRR Polska może pozostawać państwem niepodległym i suwerennym. Polacy, którzy tego nie potrafią zrozumieć, nie zasługują na miano rodaka.

– Jeszcze raz powiadam, że nie mam z tym nic wspólnego...

– Skoro pan tak mówi, to ja wierze i pan porucznik wierzy... że w przyszłości nie będzie pan podejmował działań nielegalnych, godzących w ojczyznę. A skoro pan nie ma nic wspólnego z siłami antysocjalistycznymi, no to na pożegnanie, bo oczywiście zwalniamy pana do domu, możemy sobie ucisnąć dłoni – i wyciągnął przed siebie niedużą – tak na oko – mocno spoconą kończynę...

Karol zdurniał. Prawdopodobnie minę zrobił adekwatną i ujął tę rękę, uważnie patrząc interlokutorowi w oczy. To było bolesne – dostrzegł w nich iskierki rozbawienia, a nawet wręcz szelmowskiego śmiechu – bez wątpienia dał się zrobić w konia...

– Gdyby się jednak pan mylił i taką działalność prowadził, to proszę wspomnieć, że potrafimy wdeptać w ziemię, no... a w areszcie zawsze znajdziemy wolne miejsce... I jeszcze chcę dodać – odbyliśmy z panem rozmowę ostrzegawczą....

jest to początkowy fragment nieukończonych powieści z 1999 roku

copyright by Krzysztof Markuszewski

Bibuła 2004

Stan wojenny po raz pierwszy (nowelka eseistyczna)

W ramach rozpanoszonego ostatnio zwyczaju literackiego polegającego na składaniu przez autora różnym osobom opasłych podziękowań, pozwolę sobie – prześladowany przez Opętańczy Bzik Oryginalności (OBO) – z wdzięcznością donieść, komu zawdzięczam inspirację niniejszego. Po pierwsze, Janka Jankowska, która zaprosiła mnie do udziału w audycji poświęconej 25-leciu Porozumień Gdańskich i na dzień dobry zadała wszystkim uczestnikom pytanie: „co robiliście 31 sierpnia 1980 roku?” W temacie tym opowiadałem ponoć ładne historyjki, a potem wpadło mi o głowy, że równie fajne mógłbym zapodać o początkach stany wojennego, którego okrągła rocznica też nadchodzi. Agitowałem więc Janke, żeby zrobiła kolejną audycję, ale z tego, co wiem, nie doszło do tego. Rocznicą tymczasem minęła i mamy okazję niekonwencjonalnie powspominać. Drugą wskazaną osobą jest redaktor „Bibuły”, Janek Strękowski. Wpadł on na pomysł, aby w obecnym (5/2007) numerze pisać o pierwszych razach, różnych pierwszych razach, a ponadto dał mi carte blanche, o którym z nich napiszę. No to próbujemy coś napisać.

Czy pamiętacie jak pachniała jesień 1981 roku? Intensywne okresy życia kojarzą się z zapachem, nieokreślonym i świetliście obecnym. Telewizja grzmiała w pretensjach, „Solidarność” zaskakiwała odwagą, rząd sprowokował kryzys zaopatrzenia, więc naród zmuszony był do wystawiania w kolejkach po wszystko poza musztardą i octem. Ludzie znosili ten stan nadzwyczaj pogodnie. Ożywieni duchem aktywizmu i porozumienia prowadzili długie rozmowy, w sklepach zaś kupowali zawsze możliwie najwięcej towaru (były komitety kolejkowe ustalające dopuszczalną do nabycia ilość), którym wymieniali się na inny z rodziną, przyjaciółmi i sąsiadami. Życie towarzyskie kwitło, nikt głósno nie powtarzał za telewizją, że z winy związkowców nie ma masła, a nawet kurzych jaj. Mięsa, wódki i papierosów też nie było, ale wszystko, z nielicznymi wyjątkami, dawało się zorganizować dzięki duchowi ogólnej solidarności przepełniającemu społeczeństwo i materializującemu się w ciągłych aktach wzajemnej pomocy. Wobec trwającego nieprzerwanie politycznego igrzyska większość zajmowała postawę życzliwego kibica. Gdy ktoś wieszczył, że Ruskie wejdą, wyśmiewano go jako panikarza (dialog: „a ja tam lubię ruskie... – ?! – pierogi”). Naród wierzył w siebie. Wierzył całościowo, nawet w ludzką twarz dygnitarzy z PZPR.

Nie brałem wtedy udziału w rewolucji. Jeszcze przyglądałem się światu, mając świadomość, że jestem świadkiem fenomenu świadomości zbiorowej. W jesiennym słońcu korowód spotkań, wszyscy ludzie byli bliscy. Nagle ktoś proponował publikację wierszy, o których w państwowym czasopiśmie powiedziano, że nie przejdą przez cenzurę, choć nie pisałem o sprawach politycznych albo interesowałem się moimi scenariuszami leżącymi gdzieś w kącie. Czasem jak groźny dźwięk basu pojedyncze teksty: „to

długo nie potrwa”, „trzeba wyjechać jak najprędzej” znikające szybko w intensywności każdego dnia. Pierwsza coś takiego powiedziała jeszcze w lecie jedna narzeczonka: „wyjeżdżam z tego kraju– nie chcę oglądać tych kolejek– chcę móc sobie kupić dobre kosmetyki”; i w tym momencie stała się dla mnie farsowa. Właśnie, narzeczone. Nazywane też inaczej, w gradacji słów od grubych do eterycznych, w zależności od stopnia zaangażowania uczuciowego i ogólnego wrażenia, jakie robiły. Było tego mnóstwo. Kolega Larry ukuł teorię, że stresy związane z polityką i brakami zaopatrzenia odbierają mężczyznom potencję i stąd nasze powodzenie. Faktycznie prezentowaliśmy styl don Juan&Peer Gynt, prowadząc nieustanną akcję „Więcej” i urządzając kopulodromy. Nie będę tego wątku rozwijał, gdyż poświęciłem mu dedykowane Larremu szokujące opowiadanie pt. „Johny tu es en homme”. Wystarczy powiedzieć, że rozwijaliśmy się towarzysko na warszawskiej Starówce, a kibicująca naszym poczynaniom koleżanka Błaszak mawiała:

- Wy chłopcy źle skończycie.
- My jesteśmy duo nie do zdarcia – odpowiadał dumnie Larry i wznosiliśmy za siebie kolejny toast.

Zaczęła się zima, oglądałem pacyfikację Szkoły Pożarnictwa. Przenikający wiatr i upór, żeby nic się nie zmieniło. 12 grudnia 1981, w sobotę też u Larrego na Starówce urządziliśmy, tzw. prywatkę. Tak się złożyło, że odniosłem wspaniały sukces, czyli zorganizowałem dziesięć skrzynek piwa, w tamtych czasach, jeśli miało się pieniądze, załatwiał się (bo powiedzieć „kupowało” to za mało) dobre rzeczy (piwo, na przykład) i zapraszało towarzystwo na wspólną konsumpcję; szkoda, że zwyczaj ten obecnie jakby zanikał. W każdym razie wypijaliśmy piwo, przyszły dziewczyny i cytując klasyka męskiej (obecnie tu i ówdzie nazywanej szowinistyczno– romantyczną) prozy „oddaly nam, co miały najcenniejszego”, po czym jakoś tak o świecie poszły. O siódmej rano kolega Larry udawał się do pracy w technice Opery Narodowej, która jak wiadomo działa i w święto. Uzgodniliśmy w krótkich, żołnierskich słowach, że ponieważ zostało siedem pełnych skrzynek, zajmę się wydzwonieniem następnych chętnych na prywatkę pań i poczekam na jego powrót. Zupełnie nieubrany wróciłem do łóżka, ale nie chciało mi się spać. Pięknie jest – myślałem – piwa mnóstwo jest, dziewczyny będą, będzie beautiful day.

Nad łóżkiem znajdowało się radio. Z radosnym „co by tu robić” włączyłem je. Jakiś głos skończył właśnie mówić i rozległy się marsze wojskowe. Skojarzyłem, że dają je w radio w niedzielę rano, lecz ich dęty styl nie pasował do mojego rozkosznego nastroju, wyłączyłem je i zasnąłem. Po obudzeniu włączyłem machinalnie, jakiś głos skończył właśnie mówić i rozbrzmiała ludowa muzyczka. Ee, wyłączyłem i zasnąłem znowu. Obudziłem się, odruchowo włączyłem, głos jakiś właśnie skończył mówić, puszczało muzykę poważną. Nie chciałem jej słuchać, nie korespondowała z nastrojem, bo przecież this is beautiful day, pięknie jest, itd...

Z radosnej kontemplacji połączonej z zastanawianiem się, spać czy nie spać dalej, wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Nie dbając o ubiór otworzyłem. Na progu stała koleżanka Blaszak w kożusku. Kontrast naszego nieubranioubrania rozbieszał mnie, gdy wykrzyknęła:

– Joachim! Stan wojenny jest! Czołgi na ulicach! Żołnierzy pełno!

– Czyś ty się Blaszakowi blekotu objadł? – odparłem rozbawiony – jakie czołgi? Jacy żołnierze?

– Żołnierze! Służba zasadnicza. Milicja. Wszystkich legitymują. Aresztują ludzi.

– Ty naprawdę mogłabyś lepsze żarty wymyślać – powiedziałem niewzruszenie, choć zaczynałem czuć, że nie żartuje – Wcale nie zepsujesz mojego dobrego humoru. W ogóle to mamy piwo i zaraz zaproszę jakieś dziewczyny na prywatkę.

Podszedłem do telefonu. Nie było sygnału.

– Co do licha? Telefon się zepsuł?

– Telefony są wyłączone – zakomunikował Blaszak. A następnie jako, że jest obdarczony znakomitą pamięcią, zaczął mi streszczać dekret o wprowadzeniu stanu wojennego. Słuchałem zdziwiony, bardziej z niedowierzaniem niż z wkurwieniem na komunistów, na to wszedł kolega Larry. Operę też zamknęli i wszystko stało się jasne.

Siedzieliśmy we trójkę patrząc w telewizor. Umundurowani spikerzy, Raclawicki i Stefanowicz, odczytywali w kółko przepisy stanu wojennego. Pod stołem mieli butelkę wódki, gdy jeden czytał, drugi schylał się i ćwiczył podstołową. W pewnym momencie Raclawickiemu krzywo poszło i na wizji walczył z pawiem („puść pan pawia” – krzyceliśmy, a może nawet odśpiewaliśmy tę kabaretową piosenkę: „puść pan pawia– po co męczyć go i dusić– paw się męczy, pan się męczy– puść pan pawia puść”). Wspólnik, tj. Stefanowicz na próżno podtykał mu fragment do przeczytania, w końcu musiał odczytać go sam. Na deser był nietoperzowy Jaruzelski. „Bredzi” – skomentowaliśmy krótko.

Teraz łatwo napisać, że ci faceci kalali mundur żołnierza polskiego. Wtedy tego nie czuliśmy. Odbieraliśmy ich popisy jako abstrakcyjne przedstawienie. Już w latach 70. nie wierzono – a władze PZPR w tej niewierze przodowały – iż „socjalizmu trzeba bronić jak niepodległości”. Jednocześnie nikt, z „Solidarnością” włącznie, nie zakładał zmiany ustroju z wiadomych, sowieckich powodów. Chodziło o negocjowanie zmian dobrych dla naszego społeczeństwa. Tymczasem wredne komuchy straszą, więc skoro tak, to ani nam w głowie bać się.

Wieczorem poszliśmy na niewielki spacer. Osławione koksowniki i pojazdy opancerzone sprawiały księżycowe wrażenie. Na Rynku zwiezieni specjalnie okoliczni menel odśnieżali pod czujnym okiem wojskowej władzy. Wtem jedna menelica, która najwyraźniej nie zdążyła od wczoraj wytrzeźwieć dała perorę:

– Co to, śniegu n a z r u c a l i. Ja mam to zbierać? Dlaczego ja mam to zbierać? Ja tego śniegu n a z r u c a ł a m? Trzymaj chłopiec – wręczyła szuflę oniemiałemu żołnierzowi i poszła.

Msza w katedrze i kazanie Glempa; nieprzyjemnie łagodne, chyba można było odwołać się na przykład do Jana Pawła II i „ducha tej ziemi”. Tuż przed godziną policyjną byliśmy świadkami klasycznej rozmowy, powtarzanej potem z ust do ust, ku pokrzepieniu serc. Żołnierz zapytał grzecznie starszkę:

- Przepraszam panią, dokąd pani idzie?
- A czy to ważne?
- Proszę pani, mamy wprowadzony stan wojenny. Nie słyszała pani?
- Jaki stan?
- Stan wojenny. Obowiązuje godzina milicyjna. Zaczyna się za pięć minut.
- Dziecko – powiedziała nagle zupełnie przytomnie. – Ja wiele wojen przeżyłam.

Niemców przeżyłam i Ruskich jak tu weszli, to i tę waszą wojnę przeżyję.

Nasza dezynwoltura wobec oficjalnych komunikatów nie znaczyła, że ich uważnie nie słuchaliśmy. Kolegę Larrego ogarniał niepokój o czepeczki z nadrukiem „Solidarność”, które wyprodukował (taka chałtura dla Regionu) i los ich był aktualnie nieznany; trzeba by jechać do punktu składowania, a wydawało się to ryzykowne. Mnie doskwierał przepis, iż osoby przewożące większą ilość alkoholu zostaną uznane za spekulantów; żadną miarą nie wytłumaczę patrolowi, że wożę skrzynki swojego, prywatnego piwa. Usiedliśmy u Larrego z nie wyrażoną może wprost chęcią przeczekania, zobaczenia, co będzie się działo. Przez następne parę dni niszczyliśmy kompromitujący napój chmielowy grając bez przerwy w sześć kości na diagram przy słodkiej muzyce typu the Carpenters. To nie była chęć ucieczki, a tylko konieczność oswojenia się z czymś jednak groźnym. Z telewizji orientowaliśmy się w sytuacji, wpadali jacyś ludzie, ale gdy tylko zaczynali panikować, nie dawaliśmy dojść im do słowa, „ a idź z tym swoim defetyzmem, my tu gramy w kości, nie przeszkadzaj”. I tak udawaliśmy wbrew faktom, tak bardzo nie chcieliśmy dać się społecznie podzielić.

W końcu trzeba było jednak wyjść. Poszedłem na uniwersytet, gdzie dowiedziałem się od razu, że paru moich znajomych – a za niektórych z nich nie dałbym pięciu groszy – siedzi już z wyrokami za wieszanie ulotek. Dziekan podpisywał wszystkim jak leci urlopy.

– Chcesz Joachim? – zapytała pani Tania, kierowniczką dziekanatu. Nie chciałem, zajęcia i tak zawieszono podobnie jak przyszłość.

Prostym antidotum na opresyjną sytuację stało się kultywowanie więzów rodzinnych i przyjacielskich. Ponieważ telefony nie działały, popołudnia i wieczory przeznaczałem na składanie wizyt przedgwiazdkowych. Gdzieś– nigdzie pojawiły się już pierwsze alkohole domowej produkcji, bardzo średnie zresztą, wymienialiśmy się prezentami i jakoś tak nie rozmawialiśmy o tym, co się dzieje. Z wizyt tych wracałem o normalnych wieczorowych porach niezbyt przejmując się godziną, tfu, milicyjną. Widok absolutnie pustych tramwajów i podróżowanie nimi był także księżycowy. Trwało tak dni parę, aż jednego wieczoru, gdy tylko wyrząłem z bramy domu pewnych znajomych, którzy

tuż po 1989r. wyfasowali dobrze płatne rządowe posady, na chodnik wjechał duży fiat, wypadło zeń paru drabów i znalazłem się w areszcie na ulicy Żytniej.

W życiu nie widziałem tak zadowolonych ze swej pracy ludzi jak ci baryłkowaci policmajstrzy z małego posterunku. Sprowadzali i zamykali kogo się dało: hotelowe prostytutki, menele z notesu dzielnicowego i trochę przypadkowych osób. Właśnie u tych zachwyconych swoją ważnością typków nastąpiła pierwsza konfrontacja z niechcianą władzą.

Wymij wszystko z kieszeni – usłyszałem. Trzeba tu wiedzieć, że byłem ubrany w swój niezniszczalny gruby płaszcz z czarnej skóry, z wyglądu esbecko-faszystowski. Zaletą tego okrycia były przepastne kieszenie, w których mieściła się skrzynka piwa (znowu to piwo). Tym razem miałem w nich różne prezenty i zakupy typu chleb i dezodorant. Wyciągałem je po kolei, nieco powoli, bo w ogóle wyciągało się z tych kieszeni trudno, gdy poczułem jak błysk, że zaraz dostanę od tyłu w łeb. Odwróciłem się szybko, podniesiona ręka z pałą znieruchomiała.

Pan jest funkcjonariuszem ludowego państwa i powinien pan zachowywać się z godnością – powiedziałem. Milicjant zdębiał, po czym zrezygnował mamrocząc „jaki mądry”. Rano kolegium ds. wykroczeń skazało mnie na karę 2000zł. za nieprzestrzeganie wiadomego dekretu. Towarzystwo starówkowe złożyło się po parę groszy i nie dowiedziałem się nawet, kiedy to zapłacono.

Chyba czas już zacząć zmierzać do końca. Jedni walczyli i ginęli, drudzy starali się, aby nie dać się zwariować. Jeżeli nie zabija się strzelając, można zabić śmiechem, a przynajmniej nie dać się zabić strachem. Stan wojenny utrwałił się na dobre i choć my pozostaliśmy tacy sami, czyli normalni, każde następne zetknięcie stawało się pierwszym. A jednak już trzeciego maja roku następnego lataliśmy z kolegą Larrym po dachach na Świętojańskiej i nasuwaliśmy zomowców z góry cegłówkami. Ach, co za przygody. Musiano nas jednakowoż przyuważyć, bo wkrótce nachalnie zainteresowała się nami Rejonowa Komenda Uzupełnień. Ja sobie poradziłem, bo byłem na studiach (i dobrze, że nie chciałem tej dziekanki; zresztą historia nieodwzajemnionych uczuć RKU do mojej osoby to temat na inne opowiadanie), ale Larrego przyskrzynili. Na próżno pił bez przerwy, a nawet wstrzykiwał sobie narkotyki. Pojechał daleko, aż do Szczecina. Nie załamał się jednak i twardo odgrywał alkoholowego wariata. Na przykład, smarował sobie dżiąsła terpentyną z wojskowej stolarni i – rzekomo w delirycznym szale – gonił z siekierą sierżanta po placu apelowym. Przenieśli go za to do karnej kompanii do Orzysza, gdzie robił podobne rzeczy, zaliczając kolejne areszty, aż wreszcie armii się znudziło i wypuściła go, w czym niebagatelną rolę odegrało załatwienie wału korbowego do trabanta jednego majora; cała Starówka załatwiała.

My z koleżanką Błaszak coś zrazu przenosiliśmy (te numery z dziewczyną w ciąży, gdy zatrzymywał patrol każdy pamięta), potem rozrzucaliśmy i tak krok po kroku trafiliśmy do zorganizowanego podziemia. Było bosko, aż do dnia, gdy o świcie z drzwia-

mi wszedł porucznik Lewkowicz z ekipą i w tempie ekspresowym otrzymałem wyrok. Też pierwszy raz; nawiasem mówiąc, nikt nie chce mi oficjalnie powiedzieć, dlaczego ci panowie zaszczycili mnie odwiedzinami. Potem przyszła wolność, koleżanka Blaszak wydała się za kolegę Larrego, a ja nie zostałem ministrem, bo właściwie za bardzo mi nie zależało. Zawsze pamiętam takie letnie popołudnie, gdy zawrócony z wakacji, drukowałem przez trzy dni nakład, po jego odjeździe wyszliśmy na miasto i idąc w słońcu metafizycznie czułem, że jestem u siebie, robię to, co powinienem, że tutaj jest moje miejsce.

Dziś, kiedy siedzimy z koleżanką Blaszak nad szklankami soku, w którym jest dużo procentów i młodość nam umiera, przypominam sobie czasem jak na wiosnę 80 roku, zanim jeszcze wszystko się zaczęło, zaprosiła mnie na irlandzką rozmowę i powiedziała: „Joachim, wyjedź stąd – ty się tu dusisz”. To, czego w życiu nie zrobiłem i nie wiadomo, czy zrobię, minione szanse.

Mówię:

- Cholera, Blaszaku, jakbyśmy wyjechali, bylibyśmy dziś profesorami
- Stanford, czy czegoś w tym rodzaju.

Ona nie podziela moich projekcji, twierdzi, że zachowaliśmy się jak uczciwi ludzie, wcale ich tak wielu nie było, a przyjacielom, którzy przenieśli się za wielką wodę nie ma co zazdrościć. Rzeczywiście, nie ma co, lecz kiedy ujrzałem starszego faceta, z którym siedziałem w pierdlu, aktywnego w opozycji od 68r. jak wśród obszczyrmurków stał w kolejce po darmową zupę, zabolalo. Więc powiadamy sobie:

- Ale przynajmniej walczyliśmy.

I to jest tak samo dobre zakończenie jak „i ja tam byłem, miód i wino piłem”.

Krzysztof Biernacki
Bibuła 5/2007

Łakomiec i klocki lego

W PRL starano się oduczyć obywateli dwu umiejętności – produkowania narzędzi do strzelania i do drukowania. MO, UB, potem SB, wreszcie armia cenzorów miały zapewnić bezpieczeństwo odrzucanej przez Polaków, a narzuconej przez ZSRR, władzy. I jeśli w pierwszym przypadku wychodziło to tak sobie, bo zachowane z wojny zasoby były przez wiele lat niewyczerpane – z dzieciństwa spędzonego na Kurpiach i na Podlasiu pamiętam osoby, które ze znalezionych po lasach części budowały służące kłusowaniu samopały – to w tym drugim przypadku udawało się to bardziej. Przechowywały się co prawda nieliczne egzemplarze urządzeń do drukowania, jakieś powielacze ręczne, jakieś bostonki, ale zanikła umiejętność ich obsługi, nikt też nawet nie myślał o budowie podobnych urządzeń.

Dlatego w 1968 roku, kiedy Bogumiła Blajfer zaczęła produkować ulotki za pomocą wyzmaczki wymontowanej z pralki „Frانيا” (nota bene pralka „Frانيا”, prócz prania, służyła często także do wyrobu masła, a znam nawet przypadek wykorzystania jej silnika do napędzania kosiarki do trawy) przypominać to mogło zapamiętany przeze mnie z dzieciństwa kawał o tym, jak to w czasie wojny „Rusek wynalazł u Niemca na strychu rower” – jako że obywatele Związku Radzieckiego, według obowiązującej wtedy powszechnie wykładni, wynaleźli wszystko.

Powodem blokady dostępu do wolnego słowa i do narzędzi mogących służyć jego produkcji (w stanie wojennym, przypomnijmy, w urzędach i instytucjach państwowych uniemożliwiano dostęp nawet do maszyn do pisania) była waga przywiązywana przez komunistów do tej dziedziny ludzkiej aktywności. I to, mimo że a może, dlatego że pierwszy prezydent Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z nadania Moskwy, Bolesław Bierut, lubił się określać jako „towarzysz sztuki drukarskiej”, co brzmiało jak podkreślanie szlachectwa, bo i szlachectwem było – drukarze to przecież robotnicy pracujący w słowie.

Wagę przywiązywaną nie tylko przez władzę, ale i całe społeczeństwo do zadrukowanego papierka, także w czasach późnego Gierka, czyli drugiej połowie lat 70. ub.w., podkreśla łódzki współpracownik KOR, drukarz, grafik, autor wielu podziemnych okładek i plakatów, Wojciech Hempel, mówiąc, że w owym czasie „latający papierek, a szczególnie lecący w masie, robił piorunujące wrażenie, taki lecący papierek miał ogromną moc.” I władze o tym dobrze wiedziały.

W każdym razie we wspomnianym 1968 r. zaczynać musieliśmy od wyzmaczki pralki „Frانيا”, a potem przejść ponownie cały cykl wynalazczy – folie, sukna, ramy, ramki, nie mówiąc o wyciąganiu ze strychów i piwnic poupychanych tam od wojny urządzeń, jak ręczne powielacze czy nawet, co miało miejsce w stanie wojennym w Sandomierskiem, używanej ponoć przez oddział Jędrusiów bostonki, takiej jak ta, na której swego „Robotnika” (PPS) drukował na początku XX wieku sam Józef Piłsudski, czyli Towarzysz Ziuk.

HARCOWNICY

Na początku stanu wojennego w jednym z numerów pisemka dla najmłodszych „Miś”, ukazała się wkładka dla konstruktorów. Nazywała się „Mały drukarz” i instruowała, jak ze szpulki na nici zrobić małą drukarenkę. Rzecz była nadzwyczaj aktualna, wszak niejeden Polak głowił się wtedy nad skonstruowaniem czegoś, czym można byłoby przywalić komunie i Wronie, czyli powołanej przez gen. Jaruzelskiego Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego (a raczej ocalenia własnego). Numer został wykupiony na pniu... przez dorosłych. Choć nie słyszałem o tym, by skorzystano z podanej przez redakcję „Misia” instrukcji.

Takich, którzy z gorszym lub lepszym skutkiem (częściej gorszym) starali się wymyślić sprzęt drukarski, jednak nie brakowało. A pierwsze próby miały miejsce tuż po powstaniu KOR (Komitetu Obrony Robotników) i pojawieniu się niezależnych biuletynów, „Komunikatu” KOR, „Biuletynu Informacyjnego” i „U Progu”. Wtedy to zresztą doszło do żywych dyskusji, dotyczących powielania wytwarzanych wydawnictw. Opcja bezpieczniejsza (część KOR), żeby przepisywać tak jak to robiono w rosyjskim samizdacie, przegrała jednak z opcją opowiadającą się za użyciem sprzętu drukarskiego (część KOR, lubelskie środowisko „Spotkań”, Nurt Niepodległościowy). Oczywiście w tym okresie pojawiły się pierwsze, przemycone z Zachodu maszyny, począwszy od sprowadzonego przez lubelskich studentów w maju 1976 r. powielacza spirytusowego, przez kolejne powielacze spirytusowe, potem powielacze białkowe, aż po offsety. Sięgnięto też po zakopane po wojnie pozostałości po podziemiu niepodległościowym. Byli i tacy, jak wspomniany Wojciech Hempel czy chemik z Politechniki Warszawskiej, w latach 70. twórca Wydawnictwa Archiwum, Jacek Arct, którzy postanowili zbudować prosty sprzęt drukarski sami, znając metodą prób i błędów.

Oto jak relacjonował swoje próby Wojciech Hempel: „To jest folia aluminiowa. Człowiek pierwotny używał taką folię do pieczenia kaczki. A ten gadżet – to maszyna do pisania. Włożyliśmy pod jej wałek papier ścierny, czyli szmergelpapier, na ten szmergelpapier nałożyliśmy ową aluminiową folię. Czcionka maszyny uderza w tę folię, a szmergelpapier robi w niej małeńkie dziureczki w kształcie literek i powstaje szablon, z którego użyciem potem, przeciskając przez te otworki farbę na papier uzyskujemy wydrukowaną kartkę. Próbowałem tego kilkakrotnie i wychodziło mi trzydzieści, czterdzieści egzemplarzy, choć przeważnie folia pękała wcześniej. I muszę wspomnieć, że w 1978 roku przyjechał do Łodzi szef Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, Mirek Chojewski, i całkiem poważnie zapytał mnie, jakie są możliwości użycia cynfolii do druków podziemnych. Mogłem mu wtedy odpowiedzieć, że żadne.”

Podobny efekt uzyskał Jacek Arct ze swoimi współpracownikami. Choć oni polegali nie na wytrzymałości cynfolii, ale na farbie. Arct wymyślił tzw. technikę kocykową. Polegała na tym, że do płyty szklanej przyklejano sukno grubości 2 – 3 milimetrów, które nasączało się równomiernie farbą drukarską, na tym kładło się matrycę (w 1977 – 78

roku pojawiły się już matryce białkowe, w tym sprowadzone z Japonii przez mieszkającego w Polsce Japończyka Yoshih Umedę, na których NOWA wydrukowała słynną „Czarną Księgę Cenzury PRL”), na matrycę arkusz papieru i po tym papierze przejeżdżało się wałkiem. Farba pod naciskiem wałka przesączała się przez matrycę i na papierze powstawał wydruk. Problem był jednak z farbą, używano takiej, jaką udało się zdobyć, czyli przemycić lub kupić od złodzieja i była to bardzo gęsta farba offsetowa, której przecięnięcie przez otworki w matrycy wymagało wielkiej siły nacisku. Należało ją rozcieńczyć i byłoby po sprawie, ale towarzysze sztuki drukarskiej, czyli Arct z kolegami, wymyślili coś innego. Zamiast rozcieńczyć farbę, jak przyznawał samokrytycznie po latach Arct, „myśmy jak ostatni debile zwiększali nacisk zwiększając ciężar wałka”, dochodząc aż do wałków piętnastokilogramowych, które nadawały się bardziej do uprawiania ćwiczeń kulturyistycznych niż drukowania. Poszli w końcu po rozum do głowy, zaczęli rozcieńczać farbę, i jak twierdzi twórca techniki, okazała się ona całkiem wydajna, miała tylko jeden mankament, co jakiś czas trzeba było zdjąć matrycę i od nowa kocyk nasączyć farbą. Czyli, jednak, sukces...

Były jeszcze inne próby Arcta ze współpracownikami, niektóre udane. Jedna z nich polegała na wykonywaniu matryc powielaczowych z papieru kredowanego, w którym wyciskało się litery uderzając w czcionki maszyny do pisania, papier nasączało się parafiną, którą potem gorącym żelazkiem wypłukiwano z miejsc, w których wyciśnięto litery, tak by stały się przesączalne dla farby. Potem, w stanie wojennym, produkowali też farbę powielaczową. Jak wszędzie, także wśród nich nie było zawodowych drukarzy, nikt nie miał pojęcia o druku, a farbę drukarską zobaczyli wtedy po raz pierwszy w życiu, tak jak i matryce białkowe. Nie było też wtedy jeszcze żadnych podręczników. Potem pojawił się słynny „Poradnik drukarza” autorstwa Witolda Łuczywo, a już na przełomie lat 80 i 90 zarówno Łuczywo, jak i Arct z Teodorem Klincewiczem przygotowali niezależnie od siebie podobny poradnik dla wyzwających się trochę później niż Polacy – Ukraińców i Białorusinów.

STAL SPRĘŻYNOWA, MOSIĄDZ I GUMA DO MAJTEK

Spektakularnym sukcesem skończył się inny eksperyment. Chodzi o opracowanie i upowszechnienie techniki sitodruku. Technika ta była znana i stosowana głównie przez plastyków, czyli znowu Rusek wynajduje u Niemca na strychu rower, jednak warunki podziemne i powszechne braki w zaopatrzeniu, czym charakteryzowało się życie w PRL, sprawiały, że wcielenie w życie nawet znanych pomysłów nie było wcale łatwe i wymagało porządnego łamania głów. Choć czasem... wystarczały konieczność i przypadek, by przypomnieć i nieco odwrócić tytuł słynnej książki Jacquesa Monoda „Przypadek i konieczność” wydanej w Bibliotece „Głosu” w 1979 r. Tak było w wprowadzeniu sitodruku do podziemnego drukarstwa, gdzie wiekopomne zasługi mają: Witold Łuczywo, zatrudniony wtedy w warszawskim Instytucie Chemii Przemysłowej

współpracownik KOR, redaktor „Robotnika” i jeden z twórców podziemnej poligrafii lat 70 i 80, autor wspomnianego już, będącego bestsellerem podziemia „Poradnika drukarza”, jego koledzy, którzy podsunęli mu pomysł zastosowania znanej im techniki sitodruku oraz... guma do majtek.

A oto jak opowiadał o tym sam twórca tej popularnej w podziemiu i niezwykle wydajnej metody druku: „Pomogło to, że pracowałem wtedy w instytucie chemii na Żoliborzu. No i tam znajomi laboranci podsunęli mi pomysł sitodruku. Wzięliśmy farbę offsetową, była potwornie gęsta, jak pasta do butów, więc rozcieńczyliśmy ją, już nie pamiętam czym i zaczęliśmy drukować. No i wrażenie było wspaniałe, bo druk był wyraźny, dzięki fotograficznemu zmniejszeniu na stronę wchodziło chyba z trzy i pół strony maszynopisu, i można było drukować dwustronnie. Ale okazało się, że do obsługi tej ramki sitodrukowej potrzebne są trzy osoby, bo jedna podkładała papier, druga przeciągała farbę rakłą po sicie, no i ktoś jeszcze był potrzebny do unoszenia ramki. Musieliśmy pilnie wydrukować numer „Robotnika”, a były tylko dwie osoby, ja i Basia Felicka. Nie było tej trzeciej do podnoszenia ramy. I wtedy wpadłem na pomysł, żeby do żyrandola przywiązać drugi koniec tej ramki za pomocą gumy, i była to guma od majtek Basi Felickiej. Efekt był taki, że w jeden wieczór zadrukowaliśmy chyba z tysiąc egzemplarzy i jak przyszedłem z tą wiadomością na zebranie redakcji „Robotnika”, to Wojtek Onyszkiewicz niemalże orbitował. Nawet powstał problem, co my z taką masą tej bibuły zrobimy?”.

Trzeba dodać, że potem przeciętny nakład „Robotnika” drukowanego tą techniką wynosił 30 tys. egz., a pojedyncze numery wielokrotnie przekraczały tę liczbę. Mimo tego sukcesu byli tacy, którzy próbowali sitodruk ulepszyć. Oględnie wspominał o tym Łuczywo w rozmowie z Pawłem Smoleńskim (GW, 09.08.2008): „Nie przyjął się sitodruk tylko w Gdańsku, gdzie miejscowi inżynierowie zaangażowani w opozycję uważali, że skonstruują coś własnego i oryginalnego (śmiech). Gdy milicja zarekwirowała im jakąś maszynę własnej produkcji, w protokole napisali, że zabierają urządzenie łańcuchowo – mechaniczne”. O tym to urządzeniu tak opowiadał Bogdan Borsewicz: „Sito wymyślone przez Witka Łuczywę, to był prosty wynalazek, rakla, ramka przyczepiona do gumy od majtek, a ta zaczepiona drugim końcem do jakiegoś gwoźdźca na górze. I to świetnie funkcjonowało. Ale Andrzej Gwiazda powiedział, guma od majtek, jak można, gumę od majtek? On zrobi coś lepszego. Zastąpił gumę łańcuchem od roweru i mnóstwem trybików. Zmierzył grubość kartki, zero i dwie dziesiąte milimetra zdaje się, i na tyle zaprogramował skok łańcucha. I to urządzenie miało brać papier samo. Ale łańcuch nie chciał być tak dokładny, po drugie kartki były różnej grubości, jak to w peerelu, tak, że jak zaczęli na tym drukować, to wszystko, całe mieszkanie zasmarowali farbą, i w końcu rzucili to w kąt.”

Ramki powielaczowe i ramki sitodrukowe miały tę zaletę, że każdy, kto chciał drukować jedną lub drugą techniką, był w stanie zrobić sam dla siebie urządzenie drukarskie. Jak wspominał Łuczywo, potrzebne do tego były cztery listewki, które można było

kupić w sklepie zaopatrzenia plastyków (jako blejtramy), podobnie nylon, czyli odpowiedniej gęstości siatka, którą nabijało się na blejtram (choć ten najczęściej pochodził z przemytu), do tego rakla lub wałek, prostej konstrukcji. Jak oceniał Łuczywo, koszt takiej ramki wynosił tyle, ile kosztowało pół litra wódki, czyli nie przekraczał ówczesnych 70 zł. Stąd pewnie każdy drukarz sitodrukowy czy też ramkowy zajmował się zarazem produkcją sprzętu na własne potrzeby. Choć i tu bywała specjalizacja. Pamiętam, że Adam Kersten w Nowej 2 wprowadził pewien podział zajęć, ja jako drukarz otrzymywałem gotowe już i naświetlone – z naniesionym tekstem ramki, które kto inny wykonywał, a jeszcze kto inny naświetlał. To były lata 1979 – 81.

W stanie wojennym znany mi jest jeden przypadek produkcji ramek powielaczowych na większą skalę, choć też nie była to skala powalająca. Chodzi o produkcję ramek w Instytucie Lotnictwa i Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „Okęcie” w Warszawie. Wspominał o tym w zamieszczonym w książce „Podziemne słowo” (red. Elżbieta Binder, Warszawa 2006) tekście Krzysztof Stasinowski, jeden z twórców pisma „My o Sobie”. Zaczęło się przypadkowo, od zrobienia ramki na potrzeby studentów z NZS. Ramkę wykonali, „składała się z dwóch elementów drewnianych – jak relacjonuje autor – oraz pary zawiasów, sprężyn i uchwytu, które były wykonane ze stali sprężynowanej i mosiądzu.” Jak wspomina Stasinowski: „elementy drewniane, którymi była płyta ze sklejk grubości około 20 mm z wyfrezowanymi dwoma podłużnymi wgłębieniami oraz ramka o wewnętrznych wymiarach nieco większych niż kartka formatu A4 wykonał, dysponujący w domu prawdziwym warsztatem stolarskim, Stanisław Bednarek”. Na niego zaś „spadło wykonanie zawiasów, sprężyn” i „końcowy montaż tego urządzenia”. Na koniec, jak wspomina Stasinowski, „ramka została pomalowana szarą farbą – dla urody”.

Sprawa miała dalszy ciąg, bo wkrótce zorganizowano produkcję takich samych ramek, na podstawie dokumentacji przygotowanej podczas produkcji pierwszej z nich. Wykonano 50 sztuk, bezpiecznie wyniesiono je ze zmilitaryzowanego zakładu, zmontowano i przekazano prawdopodobnie strukturze zwanej MRK”S” (Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarności”), z którą związana była grupa wydająca pismo „My o Sobie”. Przy okazji warto wspomnieć, że samo pismo wcale nie było drukowane na ramkach, bo jego drukarz Krzysztof Zelenay, aby zachować jak najmniej dowodów „przestępstwa”, drukował je bez użycia ramki powielaczowej: „Po prostu: do kawałka blachy przyklejał jeden bok matrycy, używając do tego zwykłego przylepca. Pod matrycę trzeba było położyć kartkę papieru. Matrycę przecierał tamponem umoczoną w farbie drukarskiej.” Farbą do tego proceduru przygotowywał zaś... z sadzy, oleju jadalnego i farby olejnej.

PROTOTYPY

Występujący przez kilka lat w Piwnicy pod Baranami w Krakowie, Janusz R. Kowalczyk mawiał, że rozmówca to taki mówca, który „zabrał głos, ale jego roz”. Wśród

znanych mi konstruktorów bardziej zaawansowanego sprzętu drukarskiego przeważała właśnie tacy „rozmówcy”. I nie dlatego, że po wykonaniu swego urządzenia wpadli, nie znam takiego przypadku, ale dlatego, że praca nad urządzeniem trwała tak długo, że nie było już prawie czasu na jego wykorzystanie, nie mówiąc o budowie kolejnego egzemplarza, zresztą najczęściej założeniem było skonstruowanie urządzenia na własne potrzeby (czy potrzeby struktury, w której konstruktor uczestniczył). W paru przypadkach budowa skomplikowanej maszyny nie została zakończona przed upadkiem systemu komunistycznego, trudno więc powiedzieć, czy efekt tych prac byłby udany.

Zaczął się wszystko już w latach 70. Wspominany wcześniej Jacek Arct, jeden z twórców Wydawnictwa Archiwum, a po ogłoszeniu stanu wojennego konstruktor i producent przeróżnych urządzeń i chemikaliów dla Grup Oporu i Armenii (głęboko zakonspirowana grupa zajmująca się przerzutem sprzętu drukarskiego i produkcją różnych środków chemicznych, jak wyrzutniki do ulotek itp.), wraz ze współpracownikami próbowali też konstruować powielacze. Jak wspomina Arct, powstawały śmieszne konstrukcje, np. powielacz z rur, nie posiadający podajnika. Zamiast podajnika papier podawał człowiek, który miał śledzić czerwoną kreskę wyznaczającą moment podsunięcia kolejnej kartki. I to – wspomina Arct – „był błąd” – właśnie z powodu tej kreski.

Podobne problemy miał Andrzej Fedorowicz, od jesieni 1983r. szef techniki „Tygodnika Wojennego” i konstruktor offsetu, który pracował (wbrew podawanym czasem informacjom, że nie został nigdy użyty) przez kilka miesięcy, zanim udało się zdobyć, a raczej ukraść, kolejną maszynę, offset czeskiej produkcji. Pracował, ale też nie miał podajnika i obsługiwać go musiały aż trzy osoby, jedna nakładająca papier, druga zdejmująca papier i trzecia jeżdżąca wózkiem drukarskim, co nie było zbyt wygodne. Drukowano na nim w specjalnie zbudowanej w tym celu drukarni na warszawskiej Starówce u Zbigniewa Maleszewskiego „Tygodnik Wojenny”, a potem „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, a jednym z drukarzy, którzy na nim pracowali był mieszkający w tym samym budynku Szymon Dederko.

Także tylko prototypem, który nie zdążył wejść do produkcji był offset skonstruowany w 1987 r. przez gdańsko – warszawską ekipę kierowaną przez Ryszarda Pusza (m.in. z Henrykiem Trokowiczem, Januszem Kołodziejczykiem i Edwardem Przybyszem). Prace nad offsetem były finansowane przez działający w drugiej połowie lat 80. Fundusz Wydawnictw Niezależnych, a ich efektem miała być produkcja offsetów na potrzeby podziemnych wydawnictw w całym kraju. Praca nad prototypem trwała aż 4 lata i Okrągły Stół zaskoczył twórców urządzenia zanim przystąpili do seryjnej produkcji.

Słowa te pisałem kilka lat wcześniej, nie wiedziałem wtedy, że offset został uruchomiony, pracował, no i że wciąż istnieje.

A było to tak. Przygotowywałem w 2016 r. dla wrocławskiego Centrum Historii „Zajeźdźnia” wystawę poświęconą wyjątkowej norweskiej organizacji Solidaritet Norge-Polen (Solidarność Norwesko-Polska). Zbierając do niej materiały odwiedziłem wtedy

m.in. działaczy SNP Bjorg Svanstroem i Trygve Heide, którzy jak się okazało, organizowali dla zaprzyjaźnionego z nimi Ryszarda Pusza części do wspomnianego offsetu. Offset ów trafił zresztą jako eksponat na moją norweską wystawę. A od jego twórcy, który przyjechał na jej otwarcie, dowiedziałem się, że maszyna została ukończona i zdążyła jeszcze popracować na pohybel komunie.

Niektóre konstrukcje jednak sprawdziły się w pracy. Taką konstrukcją była maszyna drukarska typograficzna, wymyślona i skonstruowana w drugiej połowie lat 70. przez Mariusza Urbana, lidera Narodowej Grupy Politycznej (potem Ruchu Narodowego). Widziałem ją w jego mieszkaniu w 2003r. (Mariusz Urban zmarł w 2007) i robiła imponujące wrażenie. Cała konstrukcja drewniana była bardzo lekka i można było ją złożyć, tak że mieściła się w worku przeznaczonym do przenoszenia roweru – składaka. Ciężkie były metalowe czcionki, kupione na lewo od zawodowych drukarzy. Wożono ją pod Bydgoszcz, gdzie pracowała. Osobno wożono przygotowany skład, osobno maszynę. Książki oprawiano u introligatora w Gdyni. Ukazało się ich kilkadziesiąt, a jakość nie odbiegała od profesjonalnej. Jednak Mariusz Urban przyznał, że gdyby wiedział, że praca przy pomocy skonstruowanego przez niego urządzenia będzie tak żmudna, spróbowałby drukowania inną techniką. Zresztą wcześniej próbował, bo zanim zabrał się do budowy maszyny drukarskiej, używał powielacza hektograficznego wykonanego z wyżymaczki pralki „Frania”, ale po wydrukowaniu tylko jednego numeru „Biuletynu Niezależnej Grupy Politycznej” drukarze zatruli się tak poważnie, że musieli z tej techniki zrezygnować. Być może przyczyną zatrucia było to, że moczyli papier w denaturacie i potem mokry dwukrotnie przepuszczali przez wyżymaczkę, co wznagało opary.

Podobnym dziwolągiem pracującym na potrzeby podziemia, była wymyślona i zbudowana przez działacza oświatowej „Solidarności” z Gdyni, Bronisława Sarzyńskiego, maszyna drukarska dziełowa skrzyżowana z offsetem, który Bogdan Borusewicz pokazał wcześniej tylko raz jej twórcy, co zainspirowało go do wymyślenia tej dziwnej krzyżówki. W domu Sarzyńskiego przy ul. Piotrkowskiej w Gdyni dobudowano specjalne pomieszczenie w piwnicy, do którego wchodziło się przez pokręcenie jedną z niepozornie wyglądających śrub, gdzie stało to cudo (stoi nadal i nadal jest sprawne). Maszyna służyła przede wszystkim do produkcji ulotek, plakatów, ale też gazet, książek i broszur. Odlewy tekstów sporządzano ze sztucznego tworzywa, maszyna działała na prąd, ale papier trzeba było podawać ręcznie. Miejsce, to ciekawostka, służyło także jako miejsce spotkań ukrywającego się Bogdana Borusewicza z obserwowaną nieustannie przez bezpiekę rodziną.

O skonstruowaniu maszyny wkłësdrukowej w 1983 r., która pracowała na potrzeby Robotniczego Wydawnictwa „Feniks”, wspomina także historyk wrocławskiego niezależnego ruchu wydawniczego Szczepan Rudka w swej znakomitej, wydanej w 2001 r. pracy „Poza cenzurą. Wrocławska prasa bezdebitowa 1973 – 1989”. Píše tam, że urządzenie nosiło miano „Warchol 02” i wydrukowano na nim w latach 1983 – 86 kilka

książek. Niestety SB oficynę rozbiła, a maszyna przepadła bezpowrotnie. Rudka wspomina także inne, mniej udane, próby konstruowania urządzeń poligraficznych przez wrocławskie podziemie. Na podstawie relacji jednego z wrocławskich drukarzy, Jana Koziara, informuje o powstaniu w 1982 r. pięciu offsetów z wyzmaczek wymontowanych z pralek, oczywiście, były to pralki „Frania”! Jeden z wałków wyzmaczki służył do nakładania farby, przez drugi przedostawała się na blachę woda. Offsety te miały niewielką wydajność i służyły tylko do druku ulotek.

Podobnie nie do końca udana była następna konstrukcja. Tak o niej pisze Rudka: „Na początku roku 1983 odebrano od rzemieślnika (...) prototyp offsetu wykonanego na podstawie dokumentacji z 1982 r. Urządzenie było wadliwe i nie udało się go uruchomić. Wówczas członkowie „Solidarności” w jednym z większych wrocławskich zakładów (autor nie podaje ich nazwy – JS.) postanowili, że sami skonstruują podobną maszynę. Wprowadzono w niej zmiany konstrukcyjne i wyposażono w silnik od maszyny do szycia. Okazało się jednak, że jest za słaby i urządzenie trzeba było napędzać ręcznie.”

Szczepan Rudka wspomina inną jeszcze próbę skonstruowania offsetu (także przez Jana Koziara), zamieszcza też w swej książce fotografię urządzenia oraz jego schemat. Jak komentuje, wynalazek ten „najbardziej ze wszystkich konstrukcji przypominał oryginalny offset”. Jednak maszyna nie została nigdy skończona, mimo że pracowało nad nią wiele osób, już od lata 1984r., w tym pracownicy zakładów Poltegor. Podobno zdążono na niej wykonać tylko kilka odbitek „Tygodnika Mazowsze” z 22 listopada 1984 r. (nr 107). Wszystkich zaskoczył 1989 rok.

ŁAKOMIEC

Wit Wojtowicz (ten który w 1976r. przemycił z Londynu do Lublina pierwszy powie-lacz spirytusowy dla polskiej opozycji) na początku stanu wojennego, po wpadce sprzętu – a był on już, po paru latach istnienia niezależnego ruchu wydawniczego, dość liczny – przypomniał sobie zakopane gdzieś na strychu stare numery „Horyzontów Techniki”, którymi zaczytywał się w dzieciństwie, bowiem w jednym z numerów tego pisma znajdował się „przepis na hektograf dla harcerzy”. Posługując się opisami zawartymi w piśmie, taki bardzo prymitywny hektograf zbudował. Ale efekt był niezbyt zachęcający. „Horyzonty Techniki” zapewniały, że uda się wykonać z jednej matrycy 40 odbitek, wychodziło jednak tylko 15 – 16, i to – jak wspomina Wojtowicz – „niekoniecznie najlepszego gatunku”. Dlatego na próbach się skończyło.

Ale sięgnięcie do literatury przedmiotu mogło być właściwym tropem. I nawet dyletanci mogli, jeśli się przyłożyli, osiągnąć obiecujące efekty. Tak zrobili twórcy powstałego w stanie wojennym pisma „Myśli Nieinternowane” i Wydawnictwa „Myśli Nieinternowanej” z Krakowa. Oto jak przed kilkoma laty mówił o tym Tomasz Gugała, pomysłodawca i szef tego przedsięwzięcia: „Zaprosiłem do siebie dwóch kolegów inżynierów: Andrzeja Dudę-Dziewierza – który był moim kolegą ze studiów oraz Adama

Wątor zatrudnionego w PKP. Usiedliśmy sobie na poradniku technika – mechanika, gdzie znaleźliśmy schemat ideowy maszyny offsetowej. Były to trzy cylindry i jakieś zestawy wałków wiszących z lewej i prawej strony. Nigdy w życiu nie zajmowaliśmy się poligrafią. Nigdy nie widzieliśmy maszyny drukarskiej. Ale daliśmy sobie tydzień na rozpracowanie tej maszyny. I po tygodniu zaczęliśmy kreślić jej pierwsze projekty.”

W tym czasie Tomasz Gugała poznał bardzo interesującego człowieka, Wiesława Wazła, który jak się okazało, pracował nad podobnym urządzeniem. Jak wspomina Gugała (na stronach „Myśli Nieinternowanych”): „Rozmowa z Wiesławem była bardzo konkretna. Powiedział: „Mam prototyp, pracuje fatalnie. Może wspólnie coś z tym zrobimy”. Połączyli siły i projekty, i powstał Łakomiec 2, napędzany ręcznie offset, który swoje miano wziął nie od nazwiska ministra handlu wewnętrznego w rządzie gen. Jaruzelskiego, Zygmunta Łakomca. Powodem nadania mu tego miana była jego żarłoczność, charakteryzował się bowiem ogromnym zużyciem farby drukarskiej. „Była to maszyna bardzo prosta – mówi Tomasz Gugała – zbudowana z trzech cylindrów i dwu lub trójwałkowego układu farbowego, gdzie farbę podawało się przy pomocy wałka fotograficznego.” Była wykonana niezbyt dokładnie, więc klekotała cały czas, ale mimo to, był to... offset! Ta maszyna dała początek kolejnym generacjom Łakomców, czyli seryjnej produkcji maszyn offsetowych formatu A-4 (<http://myslinieinternowane.pl/archiwum-mn/fotografie/lakomiec>). Aż po generację szóstą, która była już szalenie precyzyjna w porównaniu z generacjami początkowymi.

Tomasz Gugała wspomina, że zbudowano 20–30. offsetów, nie tylko na własne potrzeby, ale też dla innych struktur, m.in. dla krakowskiego „Hutnika”, którego drukarz Leszek Jaranowski otrzymał w 1988 r. Łakomca 5, w zamian za drukowanie na potrzeby Wydawnictwa „Myśli Nieinternowanej”. Wrocławska Solidarność Walcząca otrzymała z kolei podzespoły do blisko 20. maszyn offsetowych, a w zamian za to dostarczyła Wydawnictwu aparaty do podsłuchu SB. Nie była to jedyna „barterowa” transakcja. Podobną współpracę nawiązano z „Solidarnością” Akademii Górniczo-Hutniczej, gdzie w zamian za druk ich pisma „Dzień” wykonywano w specjalnej technologii zapobiegającej odkształceniom – bloki i bębny do konstruowanych maszyn. Z tą współpracą wiąże się zabawna historia. Oto w pewnym momencie powstał problem braku rur grubościennych, potrzebnych do produkcji offsetów. I wtedy to za pośrednictwem AGH udało się takie rury zamówić w Hucie Batory. Problem był tylko z ich przywiezieniem. Gugała ze Stanisławem Nowakiem pojechali po nie... fiatem 126p, czyli popularnym „maluchem” z przyczepą, na którą zamierzali załadować ponad 1000 kg rur. Tomasz Gugała po latach tak wspominał to zdarzenie: „Wjechaliśmy tam i nasz maluch stanął dokładnie pomiędzy dwoma wagonami sześćdziesięciotonowymi. Wychodzi pracownik z magazynu i pyta: „No to gdzie te rury mamy ładować?” Zobaczył malucha i zaczął się śmiać.”

Wydawnictwo „Myśli Nieinternowanej” było prawdziwym holdingiem, zajmującym się działalnością na wielu polach. A w sekcji technicznej pracowali m.in.: Leszek Książek – główny kon-

struktor maszyn, Andrzej Dziega, Adam Wątor i Władysław Krzek-Lubowiecki. Na potrzeby Wydawnictwa sekcja produkowała również sita, rakle z ebonitu ze specjalnymi uchwytami, umożliwiającymi pracę jedną ręką, skonstruowała także nożną gilotynę do obcinania książek.

Warto dodać, że niektóre wyprodukowane przez holding maszyny padły łupem SB. Tak było z Łakomcem 3, skonfiskowanym 16 maja 1986 r. w mieszczącej się w specjalnie zbudowanym bunkrze drukarni w Wieliczce, czy też Łakomcem 4, skonfiskowanym 20 grudnia tego samego roku w Krakowie. O akcji SB w Wieliczce i Łakomcu 3 wspomina kpt. SB Falkowski w wykonanym na potrzeby śledztwa filmie (<http://mysli-nieinternowane.pl/archiwum-mn/filmy/likwidacja-przez-drukarni-bunkra-w-wieliczce>): „Urządzenie wygląda dość prymitywnie.”, ale jak dodaje esbek: „Wygląda na sprawne”. Łakomiec 2, nb. wywieziony z drukarni w Wieliczce na dwa dni przed wpadką wspólnie ze wspomnianym już Łakomcem 4, przetrwał i jako eksponat znajduje się dziś w zbiorach Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie.

KLOCKI LEGO

Adam Kersten, profesor historii, na przełomie lat 70/80 mój szef w wydawnictwie Towarzystwa Kursów Naukowych Nowa 2, a potem współpracownik w „Tygodniku Wojennym” mawiał, że są trzy stadia rozwoju komunizmu: w każdej wsi spółdzielnia produkcyjna, w każdym mieście uniwersytet, w każdym domu drukarnia. Podobnego zdania musiał być szef Niezależnej Oficyny Wydawniczej, Grzegorz Boguta, kiedy poprosił swego współpracownika Edwarda Przybysza o zorganizowanie produkcji powielaczy. Plan był ambitny, przynajmniej po dwa powielacze miały trafić do każdego z regionów „Solidarności” w kraju. Tak przynajmniej zapamiętał to Przybysz. Czy trafiły? Boguta nie jest już dziś w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Być może nawet sami odbiorcy sprzętu nie zdają sobie sprawy z tego, że otrzymali powielacze produkcji krajowej, a to dlatego, że miały one, dla ochrony przed wpadką, udawać produkt zagraniczny, przemycony z Wolnego Świata. W każdym razie w małym warsztacie, oficjalnie wykonującym produkcję urządzeń elektrycznych, na ulicy Cytrynowej na warszawskich Siekierkach powstało ich ponad 70 sztuk. Nigdy nie wpadły, choć bezpieka mogła o ich produkcji wiedzieć, jako że finansowano to ze środków Funduszu Wydawnictw Niezależnych, którego członkiem jako reprezentant Oficyny Literackiej był Henryk Karkosza, znany dziś jako „Monika” (warto wspomnieć, że także budowę offsetu w Gdańsku finansowano w ramach tego samego przedsięwzięcia i z tych samych środków). Sam Przybysz zachowywał daleko idące środki ostrożności, nie był w środowiskach opozycyjnych, gdzie łatwo mógłby wpaść w oko bezpiece, nie chwalił się swoją produkcją, a także starannie ukrywał pochodzenie sprzętu. M.in. pakując je w pudełka po klockach lego (stąd określenie, którego używał ze swymi współpracownikami na produkowane powielacze). Jego warsztat znajdował się na zapyziałych peryferiach miasta, gdzie diabeł mówi dobranoc i także nie rzucał się w oczy.

A była to prawdziwa fabryka sprzętu drukarskiego i nie tylko drukarskiego. Bowiem już na początku stanu wojennego Edward Przybysz, wraz z kilkoma kolegami zajął się produkcją miniodbiorników radiowych dla internowanych. Mieściły się w 2 pudełkach od zapalek i po podłączeniu do kaloryfera odbierały bardzo czysto RWE, BBC albo Głos Ameryki (wykonano ok. 30 sztuk). Potem Przybysz przystąpił do produkcji gilotyn. Jako inżynier wykonał projekt – i ruszyli. Stał na ostrza przemycali kobiety z Huty Warszawa (bagatela, każdy kawałek po ok. 10 kg!). Resztę otrzymywali z innych, powiązanych podziemnymi nićmi, źródeł, a np. ramy zamawiali w Hydrobudowie na Żeraniu, jako zarejestrowany oficjalnie warsztat (choć oczywiście bez prawdziwej informacji do czego zostaną użyte). Zrobili 300 sztuk. I te 300 sztuk poszło niemal natychmiast. Jak wspomina Przybysz, to była oszołamiająca ilość, ale skoro poszły, to powtórzyli serię, choć z ostrożności zrobili trochę mniej, bo 200. Te też znikły migiem. W końcu przekroczyli 700 sztuk, a potem przekazali dalszą produkcję innej ekipie, ponoć z WSK na Grochowie, gdzie powstało przynajmniej 150 sztuk. Dla każdej gilotyny przygotowywali torbę, dorabiali do niej kółka, bo taka gilotyna ważyła ok. 20 kg, upiększali tę torbę tak, by wyglądała na elegancką torbę podróżną. Wszystko to robili społecznie, jak mówi Przybysz, czasem całymi tygodniami nie wychodzili z warsztatu, jak np. Henryk Skiba, Władysław Król czy Krzysztof Cielecki, który składał i adiustował powielacze, znany alpinista, który zginął tragicznie podczas jednej z wypraw.

Jednak gilotyny były tylko preludium do zasadniczej produkcji. Była to produkcja powielaczy Roneo Vickers 250 i Roneo Vickers 270, lekko zmodyfikowanych, by mogły pracować zarówno jako powielacze ręczne napędzane korbą jak i elektryczne (poruszane silnikiem do wycieraczek wymontowanym z malucha). Produkcja była zgłoszona w fabryce Roneo Vickers we Francji i otrzymała nawet oficjalne błogosławieństwo producenta, co jest prawdziwym ewenementem, gdy uświadomimy sobie, że była to produkcja nielegalna i tajna. Powielacze miały udawać produkt zagraniczny, musiały więc być wykonane równie precyzyjnie jak oryginał i z równie dobrych materiałów, a nawet tak samo polakierowane, co było nie lada problemem. Jak wspomina Przybysz, największe kłopoty sprawiał im bęben, który musiał mieć ponad 11 tysięcy dziurek. Wykonywały go, na oficjalne zamówienie, Wojskowe Zakłady Elektroniczne na Żeraniu, jako część konieczną do produkcji sit „do przesiewania czegoś tam”, jak opowiada ich twórca. Równie dużym problemem było przygotowanie instrukcji, które miały dawać wrażenie przywiezionych z zagranicy. Warto wspomnieć, że powielacz nie był ostatnim produktem, który powstał w skromnym warsztacie na ul. Cytrynowej. Zamyka tę listę wytrząsarka do papieru, służąca do wyrównywania niechlujnie, jak wszystko w PRL-u, ułożonych kart papieru przed ich użyciem i wytrząsania z nich śmieci. Tych zrobiono ok. 30, nie cieszyły się bowiem spodziewanym zainteresowaniem.

Wiemy wiele o produkcji broni przez niepodległościowe podziemie polskie podczas II wojny światowej. Wszyscy znają nazwę „Filipinka” (granat), „Sten” (pistolet maszy-

nowy), „Kubuś” (samochód pancerny zbudowany podczas Powstania Warszawskiego). Skala tamtej produkcji, także jej zorganizowanie jest nieporównywalna z tym, co zrobiło pokolenie walczące nie pistoletem, lecz słowem. Warto jednak pamiętać o różnicach w sposobie funkcjonowania podziemia akowskiego i solidarnościowego, które w porównaniu do zorganizowanej karnej armii, było tylko pospolitym ruszeniem amatorów. A jednak i to pokolenie pokusiło się o stworzenie własnych narzędzi walki z komuną. I gdyby nie Okrągły Stół i upadek PRL, jak zgodnie, choć niezależnie od siebie, żartują Grzegorz Boguta i Tomasz Gugała, pewnie te osiągnięcia byłyby o wiele większe.

A może nawet spełniłoby się proroctwo Adama Kerstena? (chyba lepiej nie...)

Jan Strękowski

Z wielkim szacunkiem

Pierwsze takie działanie, w które zaangażowałem się mocniej, w wydawanie i współredagowanie, to był „Biuletyn Dolnośląski”, który miał wpadkę bardzo poważną już przy drugim numerze. I wtedy mój przyjaciel Jasiu Waszkiewicz poprosił: Kornel, musimy to jakoś, może masz jakieś pomysły, masz mieszkania i tak dalej? Ja miałem taki domek wtedy, jakieś nowe mieszkanie dostawałem, i zaczęliśmy ten „Biuletyn”. To znaczy, to robiło się tak, że zwoziliśmy czy zwoziłem papier, potem tam wszystko inne, jakieś ramki, farba, a dopiero potem przywoziłem drukarzy. Zamykało się ich i oni tam przez tydzień albo czasem przez dwa tygodnie, jak było więcej roboty drukowali. No i tam tym drukarzom zwykle trzeba było jakieś wino, po skończonym nakładzie. Wcześniej nie pozwalaliśmy im pić. Bo ci drukarze często byli tacy, skorzy do alkoholu. To była taka specyfika, bo to ciężka praca zresztą, w tej farbie, w smrodzie, w zamkniętym mieszkaniu, żeby ten zapach się nie wydostawał na klatkę schodową. Tych drukarzy wspominam z wielkim takim szacunkiem.

Opowiadał Kornel Morawiecki (js)

Cicho, czysto i bezpiecznie

Wydawcy „Biuletynu Dolnośląskiego” przed Sierpniem szukając miejsc na druk zamieszczali informacje. Anons brzmiał: cicho, czysto i bezpiecznie możemy drukować w twojej kuchni. Po tym anonsie do redakcji zgłosił się człowiek, który był jednym z filarów „Biuletynu Dolnośląskiego” przez następne lata.

Opowiadał Szczepan Rudka (js)

„Gadała” w komunę

Podziemna działalność radiowa powszechnie kojarzona jest z Zofią i Zbigniewem Romaszewskimi i Radiem „Solidarność”, ale było ona zjawiskiem dużo bogatszym. Owszem Radio „Solidarność” działające w ponad 30 ośrodkach na terenie całego kraju było polskim fenomenem, ale swoją radiofonię miała też Solidarność Walcząca, a niezależną działalność radiową prowadziło też Niezależne Zrzeszenie Studentów i niektóre inne ugrupowania opozycyjne. Zjawiskiem związanym z podziemną radiofonią – będącą jej częścią lub też funkcjonującą obok, niezależnie od niej były tzw. gadały. Były to zestawy składające się najczęściej z magnetofonu, wzmacniacza i głośników. W przypadku „gadał” za emisję odpowiadały najczęściej grupy młodzieżowe, np. w Gorzowie Wielkopolskim Ruch Młodzieży Niezależnej. Podobnie jak w przypadku podziemnego Radia „Solidarność” ośrodkiem, w którym ta działalność przybrała największe rozmiary była Warszawa.

W stolicy audycje przy wykorzystaniu „gadał” przygotowywało – często zresztą wspólnie – kilka grup i środowisk – Radio „Solidarność”, Grupy Specjalne Regionalnego Komitetu Wykonawczego NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze / Grupy Oporu „Solidarni” oraz – w mniejszym stopniu – Federacja Młodzieży Walczącej. Oprócz nich pojedyncze audycje były dziełem innych grup młodzieżowych. Prawdopodobnie również inicjatywami prywatnymi. Niestety nie sposób dzisiaj dokładnie określić liczby wyemitowanych audycji. Według niepełnych danych zebranych przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa w okresie od 7 grudnia 1982 r. do 25 marca 1988 r. audycji miało być 22. Problem w tym, że wykaz ten jest niepełny. Nie uwzględniono w nim np. jednej z najgłośniejszych audycji wyemitowanej 1 sierpnia 1982 r. na warszawskich Powązkach. Takich audycji – w tym również nieudanych, udaremnionych przez Służbę Bezpieczeństwa prób, – było co najmniej o połowę więcej – 36 (zob. tabela na końcu tekstu). Niewykluczone, że było ich zresztą – szczególnie prób – więcej.

PIERWSZA AUDYCJA

Pierwsza audycja przy wykorzystaniu „gadał” została wyemitowana w dniu 1 sierpnia 1982 r. na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach (przy pomniku Gloria Victis, koło Dolinki Katyńskiej) z okazji kolejnej, 38. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Była ona dziełem Grup Specjalnych RKW Mazowsze, a konkretnie zespołu pod kierownictwem „Alka”, czyli Andrzeja Niedka. Wykorzystano urządzenie skonstruowane (w maju 1982 r.) przez Janusza Ramotowskiego „Przema”, Wiesława Siekluckiego z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego oraz inżyniera Józefa Lenartowicza z Instytutu Badań Jądrowych. Natomiast obudowę do niej przygotował Krzysztof Kuran. W tym przypadku Grupy Specjalne działały na zlecenie podziemnych władz regionu. Koordynował ją Tedor Klincewicz oraz Czesław Bielecki, który również dostar-

czył kasetę z nagraniem. Była to wyjątkowo brawurowa akcja, „Gadała” została ustawiona na oczach osób obecnych wówczas na Powązkach, w tym również bezradnego funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej – inspektora Komendy Stołecznej MO B. Bojanowicza. W sporządzonej „na gorąco” notatce służbowej pisał on: „Ok[olo] godz. 17.30 trzech nieznanych mężczyzn umieściło na cokole pomnika AK pudło obszyte brezentem o wymiarach 40x40x40 cm, w którym umieszczone było urządzenie odtwarzające i nagłaśniające”. Jak relacjonował po latach Bolesław Jabłoński: „W momencie kiedy żołnierze pełniący wartę przy pomniku [Gloria Victis] zaczęli odchodzić, zrobiliśmy żywą drabinę (>>Alek<<, Andrzej Rotowski, ja i Jacek Cibor na górze) i gadała została uruchomiona na wierzchołku pomnika”. W akcji ustawienia „gadały” udział brali również m.in.: Anna Lachowska, Wojciech Macioszczyk i szwagier Arka Izdebskiego. Audycja rozpoczynała się i kończyła fragmentami „Hymnu Polski Podziemnej”, zawierała przemówienie Zbigniewa Bujaka, a także nagranie archiwalne z relacją byłego komendanta głównego Armii Krajowej generała Tadeusza „Bora” Komorowskiego o przyczynach wydania rozkazu do rozpoczęcia powstania, fragmenty „Mszy żałobnej w katedrze nowojorskiej” Kazimierza Wierzyńskiego i „Nocnej modlitwy” tego samego autora. Kasetę przygotowały osoby związane z wydawnictwem CDN, a konkretnie Katarzyna Łaniewska ze swoimi współpracownikami, która namówiła do użyczenia głosu „mniej znanych” aktorów.

Oczywiście sprzęt użyty do jej nadania przepadł, ale osobom zaangażowanym w wyemitowanie audycji nic się nie stało. Jak bowiem pisał Bojanowicz: „Ze względu na [bardzo] dużą liczbę osób grupujących się wokół pomnika AK interwencja w stosunku do sprawców tego czynu była niemożliwa”. Był to m.in. efekt „sztucznego tłoku” zorganizowanego przez członków Grup Specjalnych.

AUDYCJE WIĘZIENNE

Do historii przeszła ta z Sylwestra 1982 r. Jednak nie była ona ani jedyną tego rodzaju, ani też pierwszą. Takich audycji, a raczej prób ich wyemitowania Służba Bezpieczeństwa naliczyła łącznie osiem. Dwie z nich (7 grudnia 1982 r. i 28 listopada 1984 r.) nadano, a dokładniej próbowano nadać z dachu Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (dzisiejszej Głównej Szkoły Handlowej) przy ulicy Rakowieckiej 24. Pozostałe sześć (31 grudnia 1982 r., 1 maja 1983 r., 5 czerwca 1984 r. 10 kwietnia i 8 listopada 1985 r. oraz 4 kwietnia 1988 r.) natomiast z okolicznych budynków mieszkalnych, położonych przy ulicy Narbutta.

Do pierwszej, jeszcze nieudanej, próby nadania tego rodzaju audycji doszło 7 grudnia 1982 r. Próbowano ją wyemitować z terenu SGPiS. Na dachu bloku „A” ustawiono popularny wówczas magnetofon marki „Kapral”, wzmacniacz „Akord 40” oraz cztery głośniki „Unitra – Tonsil” (umieszczone na drewnianych stelażach i sprzężone w pary). Aparatura ta miała być zasilana z puszki lampy oświetleniowej. W tym celu urządze-

nia zamontowane na dachu połączono z nią kablem, owiniętym wokół piorunochronu. W zamysle organizatorów emisji włączenie lampy o zmroku miało spowodować uruchomienie aparatury umieszczonej na dachu. Organizatorzy emisji starali się zabezpieczyć przed przypadkowym uniemożliwieniem wyemitowania przygotowanej przez nich audycji – na drzwiach windy umieścili kartkę z napisem: „Winda nieczynna”, a na drabinie prowadzącej na strych drugą o treści: „Zamknięte, naprawa dachu na przejsiu”. Nie przewidzieli oni jednak jednej rzeczy – ludzkiej nadgorliwości. Nadanie audycji uniemożliwili pracownicy szkoły – o przewodzie „łapiącym prąd” przełożonych poinformowała Alicja Turzyńska, a Andrzej Jabłoński i Anna Mikołajewska zdekontowali kable wystające z puszek. Ich szefowie z kolei powiadomili Milicję Obywatelską. Audycję tę próbowano nadać z inicjatywy osób związanych z Wydawnictwem CDN. Miały się na nią składać informacje i komunikaty dotyczące działalności opozycji (np. o procesie przywódcy dolnośląskiej „Solidarności” Władysława Frasyniuka), przemówienie kierującego Regionalną Komisją Wykonawczą „Mazowsze” Zbigniewa Bujaka, wiersz Kazimierza Wierzyńskiego „Na proces moskiewski”, a także piosenki lub ich fragmenty („Solidarni nasz jest ten dzień”, „Żeby Polska była Polską” Jana Pietrzaka i hymn Polski – Mazurek Dąbrowskiego).

Nieco ponad trzy tygodnie później – 31 grudnia 1982 r. – próbę ponowiono. Tym razem jednak już z powodzeniem – o godzinie 22.45 usłyszeli ją uwięzieni opozycjoniści (w tym organizatorzy i działacze warszawskiego Radia „Solidarność”). Do jej nadania wykorzystano podobny sprzęt jak wcześniej. Były jednak dwie różnice – tym razem wykorzystano osiem głośników, a przede wszystkim – wyciągając wnioski z poprzedniej, nieudanej próby – zastosowano niezależne źródło zasilania w postaci dwóch sprzężonych ze sobą akumulatorów samochodowych. Audycja rozpoczęła się od sygnału wywoławczego warszawskiego Radia „Solidarność” (fragmentu wojennej piosenki „Siekiera, motyka”), zwierła pozdrowienia dla członków i sympatyków „Solidarności” więzionych przy Rakowieckiej, przemówienie Bujaka, porady dla przesłuchiowanych, nazwiska domniemyanych donosicieli z mokotowskiego więzienia, informacje – kalendarium działalności opozycji, a także (na zakończenie) skróconą wersję audycji dla – jak to określano – „śpiochów i nieuważnych”. Nie udało się niestety nadać jej całej, gdyż została ona przerwana przez funkcjonariuszy Komendy Miejskiej MO Warszawa – Mokotów, którzy odnaleźli użyty do jej wyemitowania sprzęt. Audycję nadano z inicjatywy osób związanych z Komisją Interwencji i Praworządności Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”, organizowanej przed stanem wojennym przez twórców warszawskiego radia – Zofię i Zbigniewa Romaszewskich. Jej pomysłodawcami i organizatorami byli Jarosław Kosiński i Anna Jaworska.

Tak samą emisję wspomina Kosiński: „Z tego, co pamiętam, tam było tak dwóch – trzech chłopaków i ze dwie dziewczyny, ubrani jak na Sylwestra, z balonikami, no i sprzętem nagłaśniającym. Dzień lub dwa dni wcześniej wymienili kłódkę na strych

na własną, więc w Sylwestra ten element mieli już >>z głowy<<. Na taśmie było na początku kilka minut ciszy, więc po ustawieniu i włączeniu sprzętu, mieli czas na opuszczenie dachu i samej okolicy". Cała operacja została sfinansowana przez „Solidarność” z Instytutu Badań Jądrowych – pieniądze na jej potrzeby przekazała pracownica IBJ Joanna Jankowska. Dzięki niej pozyskano również konstruktora sprzętu nagłaśniającego – Andrzeja Sikorskiego. Autorką części audycji była A. Jaworska, a przemówienie Bujaka przekazało Wydawnictwo CDN. Jak wspominała wiele lat później – aresztowana w lipcu 1982 r. – współzałożycielka podziemnego Radia „Solidarność” Zofia Romaszewska „W czasie sylwestra 1982 miałam spore szczęście [...] Nagle usłyszałam swój głos: >>Tu Radio Solidarność<<... Udało mi się usłyszeć całą audycję. Była całkowita cisza. Po zakończeniu audycji we wszystkich celach zaczęto walić w drzwi i menażki. Zrobił się niesamowity raban [...] Choć brzmi to absurdalnie, był to najpiękniejszy sylwester w moim życiu. To było bardzo podnoszące na duchu”.

Tak z kolei to niezwykle wydarzenie relacjonował Henryk Wujec (w latach 70. działacz Komitetu Obrony Robotników, a w 1981 r. członek Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”), również „goszczony” wówczas przy Rakowieckiej: „Skończyłem właśnie gimnastykę, około jedenastej, położyłem się do łóżka, ale jeszcze nie spałem i nagle usłyszałem znany sygnał Radia >>Solidarność<<, bardzo głośny [...] Klawisze dostali szału, zapalili światło, biegali, krzyczeli, by się kłaść, a my staliśmy zasłuchani. Poleciał cały odcinek i szła powtórka, aż wyłączyli. Niewiele z tego rozumiałem, bo był jakiś pogłos, ale przeżycie było ogromne”. Inny działacz opozycji przedsierniowej i NSZZ „Solidarność” (m.in. członek władz krajowych związku – Komisji Krajowej, a wcześniej Krajowej Komisji Porozumiewawczej) Andrzej Gwiazda tak po latach opisywał reakcje swoje i innych osadzonych: „To była euforia [...] To było poczucie zwycięstwa: >>Ale dokopaliśmy komunie<<”.

Mimo działań Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa (m.in. okresowe kontrole dachów, pozyskanie tajnych współpracowników wśród dozorców bloków w okolicy więzienia, zwiększona ilość patroli milicyjnych w okolicy) podejmowane były również kolejne próby emisji. Notabene według Bolesława Jabłońskiego Grupy Oporu miały przeprowadzić takich akcji od 8 do 10, czyli więcej niż odnotowała to ogółem Służba Bezpieczeństwa. Z pewnością sukcesem zakończyła się kolejna, przeprowadzona w dniu 1 maja 1983 r. przed 23.00. W akcji tej uczestniczyli działacze Grup Specjalnych RKW – przedstawiciele grup „Dratwy” Marka Gajka, „Waldeczków” Wiktora Świercza i „Podchorążówki” Piotra Rutkowskiego. Nadana przez nich audycja przeznaczona była dla osadzonych w areszcie śledczym Teodora Klineciewicza, Waldemara Różyckiego „Suchego” i członków jego grupy.

Akcja ta najprawdopodobniej została przeprowadzona pod kontrolą Służby Bezpieczeństwa – nadzorował ją Marian Kotarski (właściwie Pękalski), kadrowy funkcjonariusz Departamentu II MSW (kontrwywiadu) rozpracowujący warszawskie podziemie. Bar-

dzo zresztą prawdopodobne, że jego „zastługą” był fakt, że udało się ją nadać dopiero za drugim razem, gdyż kilka godzin wcześniej „gadała” nie zadziałała. Warto odnotować, że przy nagrywaniu tej audycji przez Jana Kulczyckiego wykorzystany został po raz pierwszy profesjonalny sprzęt do przetwarzania głosu. Wynikało to z faktu wykorzystania w audycji nagrań innych osób bez ich wiedzy, a tym bardziej zgody, co mogło tym osobom grozić represjami ze strony władz. Aby uniknąć tego problemu w przyszłości postanowiono skonstruować urządzenie kasujące nagranie po jego odtworzeniu. Jego konstruktorem był Wiesław Wojcieszek – inżynier elektronik i „szwagier” Kulczyckiego. Jak informował później jeden z funkcjonariuszy aresztu audycja trwała około 5–7 minut. Zawierała muzykę („Siekierę, motykę” i popularny wówczas kazaczok), a także pozdrowienia dla więźniów i komunikat „Mówi Radio Solidarność”. Aresztanci zareagowali na nią okrzykami: „Niech żyje >>Solidarność<<” oraz „Śmierć komunie”. Co ciekawe najgłośniejszej miały krzyczeć aresztowane kobiety.

Sukcesem okazała się również emisja z 5 czerwca 1984 r. Jak wspominał Wiktor Świercz: „chłopcy ustawili gadałę z pozdrowieniami, piosenkami Jacka Kaczmarskiego, były też pozdrowienia dla >>Waldka<< – czyli dla mnie”. Była ona dziełem Grupy „Waldeczków” i była dobrze słyszalna.

28 listopada 1984 r. przymierzano się do nadania audycji z terenu SGPiS, tym razem z Auli Spadochronowej. Do emisji jednak nie doszło, z nieznanых przyczyn przygotowany wcześniej sprzęt nie został uruchomiony. Zamierzano emitować pod szyldem Radia „Solidarność”, a audycja miała zostać poświęcona męczeńskiej śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Składać się na nią miały oświadczenie RKW „Mazowsze” z dnia 31 października oraz felieton Wiktora Kulskiego poświęcony zamordowanemu kapelanowi. Z kolei audycja z 10 kwietnia 1985 r. zakończyła się interwencją „atandy”, czyli funkcjonariuszy więziennych uzbrojonych w tarcze i pałki, którzy musieli pacyfikować więźniów demonstracyjnie hałasujących metalowymi naczyniami. Wystarczyła melodia wywoławcza Radia „Solidarność”. Ta emisja była dziełem Grup Oporu „Solidarni”, a konkretnie Grupy „Witka”/„Waldka”, której szefem był W. Świercz. Brali w niej również udział członkowie Federacji Młodzieży Walczącej. Audycja zawierała m.in. informacje o ilości więźniów politycznych w Polsce, głodówce protestacyjnej w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej w dniach 17–24 marca w obronie skazanego za odmowę złożenia przysięgi wojskowej Marka Adamkiewicza, procesach Adama Michnika i Władysława Frasyniuka, pozdrowienia od papieża Jana Pawła II i sławnego piosenkarza kanadyjskiego Leonarda Cohena.

Kolejną audycję – w dniu 8 listopada 1985 r. – zorganizowano m.in. z okazji obchodzonego przez opozycję Tygodnia Więźnia Politycznego. Niestety po kilku minutach przerwał ją dozorca bloku, z którego dachu emitowano. Podobnie jak w kwietniu 1985 r. ta akcja była dziełem GO „Solidarni” i FMW. Tak na marginesie do dzisiaj niektórzy uczestnicy tej akcji są przekonani, że emisję audycji przerwali strażnicy więzienni strzelając do doskona-

le widocznej w godzinach nocnych (pomalowanej na biało) „gadały”. W całą akcję było zaangażowanych kilkanaście, a może nawet więcej osób – jeden zespół odpowiedzialny był za wymianę kłódki na dach w celu umożliwienia wejścia na niego kolegom, kolejny za przewóz sprzętu, inni za obstawienie pobliskich ulic. Zaszczyt „główniej roli”, czyli zamontowania na dachu „gadały” przypadł Jackowi Górskiemu (z FMW) i Mateuszowi Mrozowi (z GO). „Asystowali” im Wojciech Nachifło i Jacek Winek, którzy podawali im „gadałę”. Na audycje składały się m.in.: informacje o organizowanym przez opozycję tygodniu więźnia politycznego, akcji bojkotu wyborów do Sejmu i liczenia frekwencji wyborczej, fragmenty homilii ks. Jerzego Popiełuszki z sierpnia 1983 r. oraz pozdrowienia dla aresztowanych. Specjalnie dla Konrada Fałęckiego („Konia”) z Grup Oporu nadano piosenkę „W twoim ogrodzie”. Jak relacjonowano na łamach pisma FMW „Nasze Wiadomości” jeden z wówczas osadzonych, ukryty pod pseudonimem „Polityczny”: „Wszyscy więźniowie rzucili się do okien. Natychmiast też rozpoczęła się tzw. stukanka i informowanie okrzykami innych cel. Nie było to jednak potrzebne. Głośnik był potężny. Słychać było doskonale., Gdy zaczął śpiewać Kaczmarek już po kilku słowach pawilon 3 (polityczny) śpiewał wraz z nim, >>że mury runą, runą...<< [...] W celach zapanowała euforia. Radość, że pamiętają o nas i oczywista duma z wyczynu, jakim było nadanie audycji [...] Długo w nocy komentowaliśmy w celach to wydarzenie. Audycja wywarła także duże wrażenie na więźniach kryminalnych”.

Niekiedy jednak SB uniemożliwiała emisję audycji. Tak było w przypadku tej planowanej na 1 lutego 1988 r., a przeznaczonej dla osadzonego przy Rakowieckiej przywódcy „Solidarności Walczącej” Kornela Morawieckiego. Najprawdopodobniej sukces ten to efekt działalności Mariana Pękalskiego, kadrowego esbeka rozpracowującego Grupy Oporu, których dziełem miała być emisja dla Morawieckiego. W każdym razie o planowanej emisji wiedział jego macierzysty Wydział VI Departamentu II MSW, który 30 stycznia przekazał Wydziałowi III – 2 Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych informację o przygotowywanej akcji. W efekcie SB oraz MO obstawiły okolicę więzienia i w tej sytuacji jej wyemitowanie okazało się niemożliwe.

Do nadania ostatniej audycji „więziennej” doszło nieco ponad dwa miesiące później, w dniu 4 kwietnia 1988 r. Najprawdopodobniej była ona – mimo kontroli operacyjnej Służby Bezpieczeństwa – dziełem Grup Oporu. Na audycję składały się informacje o aktualnych wydarzeniach politycznych w kraju. A jej adresatami byli – według ustaleń SB – Andrzej Kołodziej, Hanna Łukowska-Karniej, K. Morawiecki, Bogusław Szybalski i Krzysztof Wolf. Audycja najprawdopodobniej nie została wyemitowana w całości, gdyż przerwał ją dozorca budynku przy ulicy Narbutta 46/48, na dachu którego umieszczono „gadałę”.

INNE AKCJE Z UŻYCIEM „GADAŁ”

Po raz drugi (po emisji na Powązkach) „gadały” wykorzystano 20 sierpnia 1982 r. w drugą rocznicę powstania Robotniczego Komitetu Strajkowego w Zakładach Mecha-

nicznych „Ursus”. Ponownie za emisję odpowiadały Grupy Specjalne RKW. Akcję, której drugim elementem było opóźnienie dojazdu ZOMO na miejsce demonstracji koordynowali Wojciech Fabiński i Jacek Juzwa. Niestety nie udało się – jak dotychczas – ustalić składu zespołu rozstawiającego „gadałę”. Akcja zakończyła się sukcesem – wyemitowano przemówienie Zbigniewa Bujaka i Zbigniewa Janasa, poinformowano również o buncie internowanych w Kwidzynie, który został brutalnie spacyfikowany.

Po raz kolejny działacze Grup Specjalnych RKW ustawili „gadałę” przed wmurowaniem w dniu 27 września 1982 r. na murach obronnych Starego Miasta tablicy ku czci ofiar demonstracji 3 maja 1982 roku. Dzień wcześniej ukrył ją w dużej wierzbie, rosnącej nieopodal murów Wojciech Macioszczyk. Niestety tym razem próba emisji nie powiodła się – „gadały” nie udało się „odpalić”.

Po raz czwarty akcję nagłaśniającą Członkowie Grup Specjalnych (m.in. Mirosław Dorejko, Paweł Janiszewski i W. Macioszczyk) zorganizowali późną jesienią 1982 r. na warszawskich Stegnach. Co ciekawe była ona – oprócz efektu propagandowego – również, a nawet przede wszystkim elementem zemsty na kierowniku lodowiska, który doniósł na Andrzeja Niedka, że ten w jednej z sal gimnastycznych prowadzi treningi w sportach obronnych. W efekcie imieniny kierownika – donosiela „uczczono” emisją audycji. Uruchomiono też pirotechniczne wyrzutniki ulotek. W efekcie doszło do pożaru dachu. Interweniowała Straż Pożarna, a kierownik lodowiska został zatrzymany.

Kolejne „gadały” Grupy Specjalne ustawiły 3 marca 1983 r. przed Domem Towarowym „Junior” oraz wiosną tego roku nad „Ars Christianą” na rogu ulic Rutkowskiego (obecnie Chmielna) i Nowego Świata. Latem 1983 r. podobne urządzenie miano zamontować przed Hutą „Warszawa”. Wiadomo też, że przygotowywano nadanie audycji na Krakowskim Przedmieściu. Niestety 30 kwietnia 1983 r. wieczorem funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa „ujawnili” przygotowany wcześniej schowek, w którym znajdowały się „dwie kolumny głośnikowe, dwa głośniki oraz urządzenie zasilające złożone z dwóch akumulatorów”. Jak podejrzewali funkcjonariusze SB zestaw ten miał zostać wykorzystany 1 maja podczas zaplanowanej na ten dzień przez podziemie manifestacji. Najprawdopodobniej nie była ona przygotowywana przez żadną z grup młodzieżowych. Według późniejszych ustaleń bezpieki osobą, która „zorganizowała umieszczenie urządzenia nagłaśniającego” miała być Hanna Kassyanowicz-Ratty.

16 grudnia 1983 r. około 16.00 przeprowadzona została kolejna brawurowa akcja Grup Specjalnych. Tym razem ekipa pod kierownictwem „Przemka” (Piotra Rzewuskiego) „gadałę” umieściła w przejściu między Domami Towarowymi „Centrum”. Oprócz niego w akcji uczestniczyli m.in. Wiesław Piątkowski, Janusz Pachniak, Tomasz Karpiński, Mariusz Zieliński, a także ich małżonki. Jak relacjonował po latach Zieliński: „Było po zmroku. Gadała była tak ciężka, że z trudem w dwóch dociągnęliśmy ją na miejsce. Saturator miał ze dwa metry wysokości, chcieliśmy ją na niego wrzucić, byłoby lepiej słycać. Kilka osób w obstawie robiło sztuczny tłok, żebyśmy mogli odskoczyć

do samochodu. Nasze żony stały na posterunku, żeby potem zrelacjonować nam, jak wyszło. Gadała zagadała, ale nie polecała do końca, bo znaleźli się mundurowi, którzy ją zwalili, kopali, aż w końcu zamilkła”. Wyemitowano komunikat Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” z dnia 26 listopada 1983 r. w sprawie obchodów rocznicy grudnia 1970 r. i pacyfikacji Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek” z 16 grudnia 1981 r. oraz oświadczenie RKW „Mazowsze” z 5 grudnia tego roku z wezwaniem do udziału w tych obchodach rocznicowych w dniu 16 grudnia. Tego samego dnia, godzinę później, nadano drugą audycję z dachu budynku głównego Politechniki Warszawskiej. Była ona również dziełem Grup Oporu, niestety nie udało się ustalić której z grup i zawierała tę samą audycję.

W tym czasie Grupy Specjalne RKW dysponowały już opóźniaczami do zapłonu do wyrzutników pirotechnicznych ulotek oraz gadał, co nieco zwiększało bezpieczeństwo uczestników tych niebezpiecznych akcji. Poza tym od jesieni 1984 roku z grupami związany był zespół Michała Mireckiego, w którego skład wchodził m.in. Wojciech Radziwon i Zbigniew Sarata. Zespół ten zajmował się produkcją „gadał”, a także ich ustawianiem. Ich wytwarzaniem zajmowali się również elektrycy zatrudnieni w Przemysłowym Instytucie Telekomunikacji: Andrzej Grabowski, Andrzej Lasecki i Andrzej Arvaniti. Części do nadajników i „gadał” dostarczał jeden z członków Komitetu Paryskiego „Solidarności” Tomasz Łabędź i Jacek Sygnarski ze Szwajcarii. Na Zachód jeździli Bogusław i Wojciech Radziwonowie i M. Mirecki.

13 grudnia 1984 r. została przeprowadzona jedna z bardziej nietypowych akcji – tym razem „gadałę” ulokowano w skrzynce elektrycznej stacji „trafo” w przejściu podziemnym między Alejami Jerozolimskimi, a ulicą Marszałkowską. Była to wspólna akcja Grup Oporu „Solidarni” oraz Federacji Młodzieży Walczącej, a za montaż „gadały” odpowiadali Jacek Winek („Winniczek”) i Wojciech Nachińło („Waldeczek”) z GO. Jak to barwnie relacjonował Górski: „Przebrani w robotnicze dreluchy z torbami monTERSkimi na ramieniu, mają się wcielić w role pracowników zakładu energetycznego. Na pozostałych kilkunastu kolegach spoczęło przygotowanie operacji i obstawienie całego terenu. W przypadku wpadki mamy wszyscy spróbować odbić >>jeńców<<. Atmosfera napięta, my jednak zamiast się denerwować pękamy ze śmiechu widząc jak się wystroili. Z komicznymi beretami z antenką na głowach, znudzonymi minami i >>petem<< bez filtra w ustach spokojnie otwierają >>trafo<, uruchamiają gadałę, zamykają kłódkę i leniwym krokiem oddalają się. W chwilę po odejściu >>facetów w berecikach<< zaczyna się audycja Radia >>S[solidarność]<<. Zbiera się tłum, natychmiast pojawiają się milicjanci, stale patrolujący to przejście. Próbuje utworzyć metalową szafę >>trafo<< w końcu widząc migające światelko”. Audycja była poświęcona trzeciej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego, zawierała również wezwanie do dalszego oporu.

28 lutego 1985 roku odbyły się dwie akcje z „gadałami” – jedną umieszczono w okolicy bramy głównej Zakładów Mechanicznych „Ursus, a drugą w okolicy głównego wej-

ście do Huty „Warszawa”. W pierwszym przypadku przymocowano ją do drzewa poza terenem zakładu, a w drugim do słupa oświetleniowego na jego terenie. Nie wiadomo czym dziełem były obie akcje, ale z pewnością tych samych struktur. Wykorzystano identyczny sprzęt oraz wyemitowano tę samą audycję, „związaną z podwyżkami cen”, a także zawierającą apel do robotników o podjęcie przeciwko nim akcji protestacyjnych. W ocenie SB akcja pod Hutą „Warszawa” miała zakończyć się niepowodzeniem. Jak przynajmniej informowano władze „Emisja nie zwróciła uwagi pracowników huty, była słabo słyszalna ze względu na małą moc nadajnika”. Akcja pod Hutą „Warszawa” została powtórzona 26 czerwca 1985 r. Co ciekawe w tym przypadku „gadały” w obawie przed reakcją zgromadzonych w jej pobliżu 200–300 osób funkcjonariusze nie zdejmowali przez kilka godzin. Na audycję składała się m.in. odezwa TKK NSZZ „Solidarność” z dnia 7 maja 1985 r. w sprawie podwyżek cen, informacje o protestach przeciwko nim w dniu 29 maja. Zawierała też wezwanie do zaprzestania represji. Była ona dziełem Grup Oporu „Solidarni”.

Nie wiadomo czym dziełem było kolejne akcje przy wykorzystaniu „gadał” – w dniach 19 kwietnia oraz 25 maja 1985 r. 19 kwietnia ulokowano ją na bloku mieszkalnym przy ulicy Rutkowskiego 6 (obecnie Chmielna) – zastosowanie w tym przypadku urządzenia automatycznie kasującego odtwarzane nagranie wskazuje, że mogło być ono dziełem Grup Oporu „Solidarni”. 25 maja „gadałę” przytwierdzono do barier na przystanku tramwajowym naprzeciwko sądów przy ul. Świerczewskiego (obecnie Al. Solidarności). Według funkcjonariusza, który ją pierwszy zauważył, słyszalny był sygnał Radia „Solidarność”.

30 kwietnia „gadała” została umieszczona na pierwszym piętrze Hali Marymonckiej. Audycja wyemitowana przy jej pomocy zawierała wezwanie do bojkotu pochodu pierwszomajowego. Jak odnotował inspektor Wydziału Dochodzeniowego Dzielnicy Urzędu Spraw Wewnętrznych Warszawa Żoliborz Marian Rakowski urządzenie nagłaśniające wraz z odtwarzaczem samochodowym marki „Amorator” znajdowało się w „torbie gospodarczej o wymiarach 45 x 40 x 15 cm koloru czerwono-czarno-żółtego z jednym metalowym uchem”. Samo zaś urządzenie nagłaśniające było niewidoczne, a tekst audycji słyszalny. Audycja ta była wspólnym dziełem warszawskiego Radia „Solidarność” (tzw. Programu I) oraz działaczy podziemnej „Solidarności” z Huty Warszawa. Ci pierwsi dostarczyli nagranie i sprzęt potrzebny do jego odtworzenia, tzw. PDB, czyli „pudełko do butów” – nazwę wymyślił szef Radia „Solidarność” Wojciech Stawiszyński, gdyż pierwszy egzemplarz „gadały” produkowany przez radiowców zresztą „seryjnie” (w latach 1983–1984 powstało kilka, kilkanaście sztuk) był zapakowany w tekturowe pudełko od butów, a ci drudzy byli odpowiedzialni za emisję.

Z kolei 3 maja 1985 r. „gadała” na rusztowaniu przy katedrze św. Jana przy ulicy Świętojańskiej została ustawiona przez Andrzeja Grygo, niespełna 21-letniego studenta Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – Akademii Rolniczej (obecnie SGGW),

zaangażowano go też w działalność podziemną (przechowywanie i kolportaż wydawnictw i prasy podziemnej). Niestety został on zatrzymany na „gorącym uczynku” i skazany przez Kolegium ds. Wykroczeń przy Naczelniku Dzielnicy Warszawa-Śródmieście na dwa miesiące aresztu.

Wspólnym dziełem Grup Oporu „Solidarni” oraz tzw. Programu II Radia „Solidarność” była audycja nadana przy pomocy „gadały” w kościele św. Stanisława Kostki w dniu 1 maja 1985 r. Jak wspomina Krzysztof Wolf z podziemnego radia: „Myśmy się tak z nim podzielili, że on [Wojciech Nachiło z GO „Solidarni” – GM] podwiesza na linę maszynę gadającą, a my przygotowujemy teren. Przygotowanie terenu polegało na tym, że myśmy tę linę rozwieszali w ciągu dnia. Przeciągnęliśmy między budynkami tę linę. I żeby ją podwieszać do góry, to trzeba było na chwilę ruch zatrzymać na ulicy. Mielśmy przygotowane dokumenty, dobrze podrobione, że montujemy urządzenia do pomiaru drgań w budynku, na zlecenie Komendy Stołecznej. Podeszliśmy do milicjanta biednego, pokazaliśmy mu te dokumenty, że to montujemy. On nam na te kilka minut zatrzymał ruch na ulicy. Myśmy sobie spokojnie podciągnęli i podziękowaliśmy mu”. Podobnie emisja z 31 sierpnia 1985 r. na ul. Krasińskiego w pobliżu kościoła św. Stanisława Kostki, która była dziełem Grup Oporu i odbyła się na zlecenie szefa tzw. Programu II Radia „Solidarność” Andrzeja Fedorowicza i najprawdopodobniej na dostarczonym przez niego sprzęcie. Należała ona do najbardziej spektakularnych tego rodzaju operacji – „gadałę” umieszczono na stalowych linach (na wysokości piętego piętra) rozciągniętych między remontowanymi budynkami tuż przed emisją audycji za pomocą żyłki wędkarskiej. Przeprowadziła ją grupa „Waldeczków”. Jak relacjonował po latach Wojciech Nachiło: „Spędziliśmy całą noc zamknięci w mieszkaniu, piętro wyżej miała swój sztab Służba Bezpieczeństwa i wielokrotnie usiłowała się dostać do mieszkania przez nas zajmowanego, z którego mieliśmy puścić audycję. Przeżywaliśmy chwile grozy”. Nadano ośmiominutową audycję. Co ciekawe sprzęt wykorzystany na jej potrzeby zdejmowali antyterroryści dowodzeni przez Edwarda Misztala.

Również na zlecenie Fedorowicza GO „Solidarni” (we współpracy z Federacją Młodzieży Walczącej) miały ustawić kolejną „gadałę” w dniu 10 października 1985 r. na skrzyżowaniu ulic Szpitalnej i Rutkowskiego (obecnie Chmielna), najprawdopodobniej miano nadać audycję przedwyborczą. Niestety akcja ta zakończyła się niepowodzeniem. O planowanej emisji, jej rejonie oraz przybliżonym czasie została dzień wcześniej poinformowana Służba Bezpieczeństwa (Wydział III-2 SUSW) i jej funkcjonariusze dokonali „zabezpieczenia rejonu przewidywanego nadawania audycji”. W efekcie zatrzymali oni zarówno osoby zaangażowane w próbę emisji (Pawła Łapińskiego, Jacka Szymaszka, Grzegorza Myszkę i Andrzeja Stankiewicza), jak i wykorzystany w tym celu sprzęt – próba spuszczenia z okna liny, do której miała być przymocowana „gadała” zakończyła się niepowodzeniem, coś się zacięło. W Zakładzie Kryminalistyki KG MO zidentyfikowano później głosy osób, których wypowiedzi miały być wyemitowane, m.in.

Zbigniewa Bujaka, Andrzeja Fedorowicza i Seweryna Jaworskiego. Ten ostatni stanął przed sądem wraz z zatrzymanymi. Oskarżono go o to, że w „celu wywołania niepokoju publicznego [...] wzywał do bojkotu wyborów do Sejmu PRL”. Tak na marginesie, od nieudanej próby emisji odcięło się (na forum „Tygodnika Mazowsze”) kierownictwo Grup Oporu T. Klincewicz i M. Kotarski (M. Pękalski), notabene jednocześnie oferując „ze względu na swoje bogate doświadczenie – pomoc przy organizowaniu tego typu akcji”. Natomiast MSW chwaliło się przed rządzącymi 11 października: „Wczoraj w Warszawie SB i MO w wyniku podjętych działań zlikwidowało w zarodku antywyborczą prowokację podziemia zatrzymując na gorącym uczynku sprawcę instalującego aparaturę nagłaśniająco-odtwarzającą w jednym z najruchliwszych punktów stolicy oraz trzy osoby stanowiące jego >>obstawę<<”.

Z kolei 13 grudnia 1985 r. w czwartą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego nadano przy wykorzystaniu „gadał” dwie audycje – pierwszą w godzinach popołudniowych przed głównym wejściem do Domu Handlowego „Uniwersam” przy Rondzie Wiatraczna i drugą w Pasażu Śródmiejskim w okolicy restauracji „Kaukaska”. Ta pierwsza była jednorazowym dziełem młodzieżowej grupy ulotkowej działającej w ramach podziemnej grupy solidarnościowej z terenu Pragi Południa. Emisję – w imieniu „Solidarności” – zlecił Ryszard Walendzik („Staszek”) oraz Andrzej Czaja (wykładowca i działacz „Solidarności” na Politechnice Warszawskiej). Dostarczyli oni również sprzęt niezbędny do emisji, w tym kasety z nagraniem samej audycji. „Gadałę” zamontowano na wózku do rozwożenia mleka w garażu małżeństwa Nawrotów zamieszkających przy ulicy Chłopińskiego. Z kolei metalowa obudowa chroniąca sprzęt nagłaśniający została najprawdopodobniej wykonana – specjalnie zresztą na potrzeby emisji – przez jednego z działaczy podziemnej „Solidarności” w Warszawskich Zakładach Radiowych „Rawar”.

Miejsce emisji i sposób jej przeprowadzenia – przymocowanie wózka (wraz z umieszczoną w nim „gadałą”) łańcuchem do filaru budynku Uniwersamu – wymyślił Cezary Karwowski (wówczas uczeń XLVII Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Wyspiańskiego w Warszawie). On też przyprowadził wózek ze sprzętem na miejsce emisji. Pomagali mu: Jarosław Karwowski („Kajetan”, student Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, szef grupy), Piotr Środa (student Wydziału Fizyki UW) oraz Jarosław Wrzosek (uczeń XLVII LO im. Stanisława Wyspiańskiego). Udało się wyemitować całą, długą, bo trwającą ponad pół godziny audycję. A wszystko to w nader spektakularnych okolicznościach, gdyż na oczach bezradnych funkcjonariuszy Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej oraz Milicji Obywatelskiej, którzy nie byli w stanie rozbić klódek użytych do zabezpieczenia przed otwarciem pokryw wózka. Jak po latach wspominał Andrzej Czaja, miało zresztą dojść do zabawnej sytuacji. Mianowicie, kiedy „Jeden z rozszluszczonych milicjantów wskoczył na wózek i zaczął go kopać nogami. Ktoś z tłumu zawołał: «Nie nogami, panie sierżancie! Głowę», co wzbudziło powszechny śmiech”. Audycja miała charakter rocznicowy. Zawie-

rała m.in. oświadczenie władz krajowych podziemnej „Solidarności” (Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej) w związku z rocznicą wydarzeń Grudnia '70 z dnia 15 listopada 1985 r., „Przegląd wydarzeń krajowych” Stefana Bratkowskiego, a także tekst poświęcony wyborom do sejmu PRL. Zaczynała się od piosenki Żeby Polska była Polską Jana Pietrzaka. Przygotowali ją: Ewa Cieplińska (kreślarka z Centralnego Ośrodka Badań i Rozwoju Techniki Kolejnictwa), Andrzej Czaja i Ryszard Walendzik. Pierwszych dwoje wcieliło się również w rolę spikerów.

Tak na marginesie, akcja pod Uniwersamem przyczyniła się najprawdopodobniej do powodzenia tej w okolicy restauracji Kaukaska. Otóż Służba Bezpieczeństwa, która dzięki informacjom od tajnego współpracownika pseudonim „Teresa” wiedziała o przygotowaniach do nadania audycji w Śródmieściu, a nawet znała nazwiska osób, która miały w niej wziąć udział. Została jednak zaskoczona wcześniejszą emisją na Pradze Południe, którą błędnie przypisała Federacji Młodzieży Walczącej i – jak można domniemywać – uznała, że albo plany działaczy tej organizacji uległy zmianie lub też, że informacja uzyskana od jej współpracownika była nieprecyzyjna. Audycja została wyemitowana przez nieustalone dotychczas osoby, niewykluczone, iż rzeczywiście związane w FMW – według TW „Teresy” mieli ją wyemitować m.in.: Natalia Dębska, J. Górski, J. Kwiek i Adam Słowik.

Tydzień później (20 grudnia 1985 r.) sukcesem zakończyła się akcja Grup Oporu „Solidarni” – „gadały” umieszczono na antresoli nad wejściem do znanej winiarni „Amfora” przy ul. Kniewskiego (obecnie Złotej), odtwarzając audycję Programu II Radia „Solidarność”. Składały się na nią m.in. informacja o zabójstwie Marcina Antonowicza, oświadczenie TKK w związku z rocznicą Grudnia 1970 r., apel do sygnatariuszy porozumienia helsińskiego, parlamentarzystów i opinii światowej o walkę o poszanowanie praw człowieka i obywatela na świecie, a także życzenia świąteczno-noworoczne dla robotników od RKW „Mazowsze”.

Nic natomiast nie wiadomo jak zakończyła się planowana na 29 grudnia 1985 r. przez FMW emisja na Placu Komuny Paryskiej (obecnie Placu Wilsona). Informował o niej blisko dwa tygodnie wcześniej (16 grudnia) Służbę Bezpieczeństwa ponownie TW „Teresa”. Najprawdopodobniej akcją tą miał kierować Andrzej Stankiewicz. W przygotowaniu audycji brali udział również Piotr Szynkiel i Krzysztof Płaska. Ten drugi był autorem tekstu oraz spikerem.

Również 7 marca 1986 r. przy Krakowskim Przedmieściu z posesji przylegającej do Uniwersytetu Warszawskiego, najprawdopodobniej przy wykorzystaniu „gadały”, wyemitowano audycję Radia „Solidarność”. Niestety nie wiadomo czym ona była dziełem. Nie wiadomo również kto zaplanował audycję przy wykorzystaniu „gadały” w dniu 1 maja 1986 r. z budynku mieszkalnego przy ul. Filareckiej. Możliwe, że planowały ją Grupy Oporu „Solidarni”, gdyż informacje o planowanej audycji uzyskało „zaufane źródło” Departamentu II MSW, czyli co wydaje się bardzo prawdopodobne,

jej funkcjonariusz M. Pękalski. Co nietypowe, tym razem oprócz „gadały” miał również zostać wykorzystany nadajnik emitujący na falach ultrakrótkich. Niestety o planowanej emisji została poinformowana SB, która udaremniła jej nadanie. Po kilku dniach jej funkcjonariusze wytypowali nawet podejrzanego o „bezpośredni udział w zamontowaniu” tego urządzenia – związanego z FMW Adama Słowika.

Również kolejną emisję (planowaną przez Grupy Oporu „Solidarni” na 1 maja 1987 r.) uniemożliwiła Służba Bezpieczeństwa – sprzęt „ujawnili” i zdemontowali wspólnie funkcjonariusze ZOMO i SB. Ponieważ informację na ten temat, a także inne detale dotyczące planowanej audycji, uzyskał Wydział VI Departamentu II MSW można zaryzykować stwierdzenie, że bazował on na informacjach swojego funkcjonariusza Mariana Pękalskiego „uloowanego” w GO. Na jego osobę wskazuje również szczegółowość posiadanych przez kontrwywiad danych, m.in. godzina i miejsce zbiórki osób mających zorganizować nagłośnienie. Planowana audycja miała mieć charakter rocznicowy i składać się m.in. z odezwy komitetu obywatelskiego obchodów święta 1 maja 1987 r. w Warszawie, apelu Porozumienia Struktur „Solidarności” Warszawy, oświadczenia Rady Duszpasterstwa Ludzi Pracy Archidiecezji Warszawskiej czy informacji o aresztowaniach członków organizacji Wolność i Pokój.

Oczywiście „gadały” były ustawiane nie tylko w stolicy, ale również na terenie województwa, np. 27 lutego 1985 r. Służba Bezpieczeństwa „ujawniła” takie urządzenie na jednym z budynków mieszkalnych Pruszkowie. W odtwarzaczu znajdowała się kase- ta z audycją Radia „Solidarność”.

Nie ulega wątpliwości, że apogeum wykorzystywanie tego sposobu emisji audycji to rok 1985 – łącznie 16 prób. Kolejne lata to, przynajmniej w świetle ustaleń władz, jedynie pojedyncze przypadki. Ten widoczny, i gwałtowny spadek liczby audycji przy wykorzystaniu „gadał” wynikać miał z kilku przyczyn. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa chwalili się skutecznością własnej pracy operacyjnej. Jak się jednak zdaje nie był to najważniejszy czynnik. Przeważały raczej inne. Te przyczyny to przede wszystkim spadek atrakcyjności tej formy przekazu – początkowo była ona każdorazowo ważnym wydarzeniem. Istotne były też z pewnością wysokie koszty emisji – wykorzystany sprzęt był w praktyce jednorazowego użytku. Poza tym prezentowany przy wykorzystaniu „gadał” program miał nie być – przynajmniej w ocenie SB – atrakcyjny i stanowić zazwyczaj „chaotyczną zbitkę kilku oświadczeń i apeli struktur podziemnych okraszonych kilkoma stereotypowymi hasłami oraz np. fragmentem piosenki”. Często też (ze względu na duże odstępy czasowe pomiędzy kolejnymi emisjami) przekazywano informacje, stare zdezaktualizowane – zdarzały się nawet dane o działalności opozycji sprzed kilku miesięcy. Poza tym tego rodzaju akcjom nie sprzyjał również – widoczny od połowy lat 80. – kryzys opozycji.

Nie zmienia to faktu. Emisja audycji przy wykorzystaniu tzw. gadał była ważnym i widocznym elementem działalności opozycyjnej. A niektóre z nich – jak np. ta z Syl-

westra 1982 r. czy na Powązkach w dniu 1 sierpnia 1982 r. – należały do najgłośniejszych. Nic, zatem dziwnego, że ta podziemna działalność – jak zresztą cała podziemna radiofonia – należały do najzacieklej zwalczanych przejawów działalności niezależnej w latach 80.

Grzegorz Majchrzak

autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

Zestawienie emisji oraz prób emisji przy wykorzystaniu „gadał” w Warszawie w latach 1982–1989

1.08.1982 r. Cmentarz Powązkowski Grupy Specjalne RKW

20.08.1982 r. Ursus Grupy Specjalne RKW

27.09.1982 r. Stare Miasto Grupy Specjalne RKW

Późna jesień 1982 r. Tor Łyżwiarski „Stegny” Grupy Specjalne RKW

7.12.1982 r. Szkoła Główna Planowania i Statystyki (obecnie Szkoła Główna Handlowa) Porozumienie CDN

31.12.1982 r. ul. Narbutta Radio „Solidarność”

3.03.1983 r. Przed Domem Towarowym „Junior” Grupy Specjalne RKW

3.03.1983 r. Nad „Ars Christianą” – róg Rutkowskiego (obecnie Chmielna) i Nowego Świata Grupy Specjalne RKW

30.04.1983 r. ul. Krakowskie Przedmieście NN

1.05.1983 r. ul. Narbutta Grupy Specjalne RKW

Lato 1983 r. Huta „Warszawa” Grupy Specjalne RKW

16.12.1983 r. Przejście między Domami Towarowymi „Centrum” Grupy Specjalne RKW

16.12.1983 r. Budynek główny Politechniki Warszawskiej (dach) Grupy Specjalne RKW

5.06.1984 r. ul. Narbutta Grupy Specjalne RKW

28.11.1984 r. Szkoła Główna Planowania i Statystyki (obecnie Szkoła Główna Handlowa) NN

13.12.1984 r. Przejście podziemne Al. Jerozolimskie / Marszałkowska Grupy Oporu „Solidarni” / Federacja Młodzieży Walczącej

28.02.1985 r. Zakłady Mechaniczne „Ursus” Radio „Solidarność” (?)

28.02.1985 r. Huta „Warszawa” Radio „Solidarność” (?)

10.04.1985 r. ul. Narbutta Grupy Oporu „Solidarni” / Federacja Młodzieży Walczącej

19.04.1985 r. ul. Rutkowskiego (obecnie Chmielna) NN

30.04.1985 r. Hala „Marymoncka” Radio „Solidarność” / „Solidarność” Huty Warszawa

1.05.1985 r. Kościół św. Stanisława Kostki Grupy Oporu „Solidarni” / Program II Radia „Solidarność”

3.05.1985 r. Katedra Świętego Jana (rusztowanie) Andrzej Grygo

25.05.1985 r. ul. Świerczewskiego (obecnie Al. Solidarności), naprzeciwko sądów NN

26.06.1985 r. Pod Hutą „Warszawa” Grupy Oporu „Solidarni”

- 31.08.1985 r. Ul Krasieńskiego w pobliżu kościoła św. Stanisława Kostki Grupy Oporu „Solidarni” / Program II Radia „Solidarność”
- 10.10.1985 r. Skrzyżowanie ulic Szpitalnej i Rutkowskiego (obecnie Chmielna) Grupy Oporu „Solidarni” / Federacja Młodzieży Walczącej
- 8.11.1985 r. ul. Narbutta Grupy Oporu „Solidarni” / Federacja Młodzieży Walczącej / Program II Radia „Solidarność”
- 13.12.1985 r. Przed wejściem do Domu Handlowego „Uniwersam” przy Rondzie Wiatraczna Młodzieżowa grupa ulotkowa działająca w ramach solidarnościowej grupy podziemnej z terenu Pragi Południe
- 13.12.1985 r. Okolice restauracji „Kaukaska” (Pasaż Śródmiejski) Federacja Młodzieży Walczącej (?)
- 20.12.1985 r. Winiarnia „Amfora” (antresola nad wejściem) Grupy Oporu „Solidarni” / Program II Radia „Solidarność”
- 29.12.1985 r. Pl. Komuny Paryskiej (obecnie Pl. Wilsona) Federacja Młodzieży Walczącej
- 7.03.1986 r. ul. Krakowskie Przedmieście Federacja Młodzieży Walczącej (?)
- 1.05.1986 r. ul. Filarecka Grupy Oporu „Solidarni” (?) / Federacja Młodzieży Walczącej (?)
- 1.05.1987 r. ul. Słowackiego Grupy Oporu „Solidarni”
- 4.04.1988 r. ul. Narbutta Grupy Oporu „Solidarni”

Pożar w drukarni

Jedną z ważniejszych oficyn wydawniczych we Wrocławiu była Inicjatywa Wydawnicza Aspekt. W jednym z mieszkań była drukowana książka i po druku drukarz został włączony piecok, od którego zaczął się pożar. Sąsiedzi wezwali straż pożarną. Straż przyjechała, ale w międzyczasie też wezwali drukarza, który był właścicielem tego mieszkania. No i dochodzi do takiego dialogu, kiedy on tam przyszedł, ze strażakami: Proszę pana, ale my musieliśmy wezwać milicję, bo taki mamy obowiązek. No dobrze, a pomożecie mi to zakryć? Tak. W tym momencie wszystkie te wydrukowane książki, a jeszcze nie sklezione, zostały ukryte w tym mieszkaniu. Ale drukarz, nie wykazał się wdzięcznością w stosunku do strażaków, bo jeden zapytał: A mógłbym dostać egzemplarz? A drukarz odmówił. Dlaczego? Nie chciał dawać czegoś, co mogłoby być dowodem, że coś tu takiego się działo. Mógł spokojnie dać, no, ale był ostrożny.

Opowiadał Szczepan Rudka (js)

Pamiętam, że często się kłóciliśmy. Byłem np. w silnym konflikcie z „Mikołajem”, czyli Adamem Widmańskim, ale i z Władkiem Królem – „Sztruksem” i z Markiem Kubinem – „Afro”. Dla nas – drukarzy najważniejsze było bezpieczeństwo, dla ambitnych organizatorów zaś produkcja (nawet kosztem bezpieczeństwa). I to było źródłem ciągłych, między nami napięć... Dla części osób liczyło się tylko to, aby jak najwięcej i jak najszybciej zrobić. A my, drukarze, chcieliśmy drukować bezpiecznie! Dla nas najważniejsze było chronienie drukarni i własnej dupy!

Po każdej akcji (czyli – wjeździe do drukarni z papierem i wywózce – rozwieszeniu po punktach introligatorskich wydrukowanego „urobku”) szliśmy walić gorzałę. Żeby odreagować stres. To wiele nie dawało, ale chlaliśmy. Naród wtedy patriotycznie pędził bimber. 1410 – Bitwa pod Grunwaldem – przepis na zacier (1 kg cukru, 4 litry wody, 10 dkg drożdży). Kiedyś w sklepie zastanawiam się ile drożdży kupić, a pani – „Jak to, Pan nie wie? Bitwa pod Grunwaldem – 1410!”. Chyba tylko „Sztruks” nie pił. Należał do grzecznych chłopców, takich ideowych harcerzy.

Mój konflikt z „Grubym”. Andrzej Górski to był taki warszawski cwaniak. Pomagał mi, gdy uruchamiałem swój pierwszy offset, u Cypriana Kulickiego, około 1983. Strasznie się mądrzył. Występowałem wobec niego incognito, nie wiedział, że jestem inżynierem poligrafem, że pracowałem w Regionie Mazowsze na Romayorze. Należał do starych drukarzy, jeszcze z lat 70 i próbował mnie traktować protekcyjnie (uparcie uważał zawsze, że to on mnie nauczył poligrafii). A ja to olewałem. Ale jak poszedł siedzieć, nie zlikwidowałem drukarni, którą znał. Bo jakoś nasze trudne relacje nie przekładały się na brak zaufania. Nie pamiętam, kiedy to było. „Grubego” zamykano parę razy. Za którymś razem głodował, chyba z pół roku, właśnie wtedy wydrukowałem w jego intencji ulotki. Na pogrzeb ojca nie dali mu przepustki. Zawziął się, przestał jeść, siłą go karmiono. Wyszedł zniszczony, wrak człowieka.

Występowałem pod ksywą „Jacek”, „Gruby” nie wiedział, jakie mam nazwisko, gdzie mieszkam. Mieliśmy razem coś zrobić, mianowicie ustawić maszynę i to wszystko. O nic się wzajemnie nie wypytywaliśmy.

Nie pamiętam wiele. Zresztą jakoś tak dzisiaj mnie to nie pasjonuje. Nie żyję przeszłością. Ale to był znakomity czas w naszym życiu. Mieliśmy po dwadzieścia parę lat...

Przyszedł 1989 r. i wszystko się skończyło. Niektórzy nie potrafili się odnaleźć. Ludzie, którzy wspólnie działali, przestali się wspierać. A NOWA to było niegdyś potężne, silne środowisko!

Motywy...

Cóż, prawda, wolność i godność, choć zabrzmi to strasznie górnolotnie, są wartościami bezcennymi. I nikt nie może nam ich zabrać. Pozbawić się ich możemy tylko sami, godząc się z kłamstwem i przemocą. W 1976, po Radomiu (miałem wtedy 20

lat) odbywały się na stadionach masowe spędy – manifestacje poparcia dla władzy. Oczywiście nie byłem na takiej masówce, ale zobaczyłem w telewizji akademię na cześć Gierka w katowickim Spodku. Kurwa, przez jakieś pół godziny lała się wazelina, trwały owacje: „Niech żyje towarzysz Gierek, ojciec nasz”, „Jesteśmy za towarzyszem Gierkiem”. I dalej w tym stylu... No, myślałem, że się kurwa zrzygam.

Jednak wtedy, mimo że całym sercem byłem już po „tej” stronie, nie włączyłem się w działania opozycji. Inna sprawa, że wtedy, po wydarzeniach radomskich, zaangażowany byłem „po same uszy” w sprawy bardziej osobiste: związek, ślub, córka... Więc niby miałem wymówkę.

Ale to właśnie 76 był dla mnie przełomowy, ukształtował mnie. Niespecjalnie nawet wydarzenia radomskie – nie byłem, nie widziałem, były dla mnie abstrakcją, ale te wieści, ten Gierek w Spodku! Mimo, że politykę wtedy miałem, mniej więcej, w dupie. To była dla mnie sprawa z obszaru estetyki, „w gruncie rzeczy była to kwestia smaku”. Komuna była po prostu ohydna, a ten spęd w Spodku mi to bardzo wyraźnie uświadomił; to właśnie „kwestia smaku”, niesmaku znaczy, uformowała mój antykomunizm.

W październiku 1981 skończyłem poligrafię na Politechnice Warszawskiej. Od 1 listopada 1981 pracowałem jako drukarz w Regionie Mazowsze Solidarności. Dokładnie miesiąc i trzynaście dni. Solidarność to była już przegrana sprawa, ja jednak chciałem choć raz w swoim życiu zrobić coś sensownego. Zaangażować się w sprawę, która jest słuszną, choćby nawet, kurwa, straconą. Moi rodzice nie potrafili przyjąć tego do wiadomości, matka płakała. Wiesz, starsi ludzie wiedzieli, czym kończy się zadzieranie z czerwonym, wiedzieli, że komuna nie odpuści. A ja pamiętałem rok 76, pamiętałem, że wtedy zabrakło mi determinacji, odwagi aby się zaangażować w ruch przeciw komunie i jak źle się z tym czułem.

13 grudnia... Miałem takiego sąsiada, a mieszkalem wtedy na Woli, który był trochę głuchy, a do tego cierpiał na bezsenność. Gdy w niedzielę 13 grudnia o szóstej rano włączył, jak zwykle głośno, radio, przez ścianę usłyszałem coś dziwnego. Wojna. Już od dawna pojawiały się sygnały, świadczące o tym, że komuniści dążą do konfrontacji, w sobotę wieczorem widziałem w Warszawie jakieś transportery opancerzone, czuło się napięcie.

Spakowałem się, wyszedłem z domu i zacząłem ukrywać. Niepotrzebnie. Okazało się, że nikt po mnie nie przyszedł, nie chciał internować, no przejebane. Jak w jakiejś komedii: koleś się ukrywa przed bezpieką, a bezpieka ma go w dupie.

W poniedziałek poszedłem do kościoła na Placu Zbawiciela. Spotkałem drukarzy z Regionu. Pojechaliśmy do Ursusa. Tam jeszcze trwał strajk. Poszliśmy najpierw na parafię licząc na to, że ktoś stamtąd nas przerzuci na teren fabryki traktorów. Jednak ksiądz bardzo nas namawiał żebyśmy nie wchodzili na zakład, że to już sprawa stracona, że fabryka otoczona ZOMO, że zaraz będą pacyfikować. Że bardziej się przydamy na wolności niż w pierdlu. Mądry człowiek!

Któregoś grudniowego dnia, zupełnie przypadkiem spotkałem na ulicy takiego kolesia, jeszcze ze „starej” NOWEJ – Janka Kozłowskiego czyli „Fryzjera”. Znałem go z Regionu Mazowsze. Wiedziałem, że jest związany z kolportażem Oficyny. Postanowiliśmy coś „ukręcić”, choć wcześniej nigdy nic razem nie robiliśmy. Janek, jako że zajmował się także składaniem i obcinaniem książek (stąd „Fryzjer”), miał u siebie dużo, jeszcze „przedwojennych” książek, od cholery! Podrzucił mi do domu dwie walizki: Miłosza i Barańczaka. No i wszyscy moi znajomi musieli ode mnie kupować „Zniewolony umysł” i „Wiersze prawie zebrane”. Ale to są naprawdę świetne książki! Po jakimś czasie zdołałem upłynnić cały towar.

„Fryzjer” miał w takim sklepie przy Grzybowskiej jakieś układy, kontakty na papier, farbę powielaczową, matryce. Dzięki temu mieliśmy różne rzeczy potrzebne do drukowania.

Decyzja o tym, żeby wchodzić w podziemie, wtedy, tej pierwszej „wojennej” zimy, nie była łatwa. Zapadały bardzo surowe wyroki (wtedy nie wiedzieliśmy przecież, że będą amnestie); już chyba wolałbym być wtedy internowany, to zwolniło by mnie od dylematu: wchodzić, czy nie, w podziemie.

W tym czasie, jakoś na przełomie grudnia i stycznia, funkcjonowała na Pradze pewna drukarnia. Działali w niej Marek Kisz oraz Andrzej Omasta. Dziwna sprawa. Czy to była NOWA? Raczej tak, Kisz był wcześniej jakoś związany z Nową i po 13 grudnia działał pod szyldem NOWEJ. Znajdowała się w mieszkaniu, w bardzo wysokim bloku przy Targowej, róg Kijowskiej. Andrzej Omasta wg badań IPN był agentem SB. Ja pamiętałem go z Regionu Mazowsze. Tam się kręcił, ze wszystkimi przyjaźnił, zawsze uśmiechnięty, taki brat łąta...

Dowoziliśmy im z „Fryzjerem” papier. Wsiadaliśmy do tramwaju, koszmarnie wielkie torby stawiając w dość znacznej odległości od nas. Jakby się „coś” działo, mogliśmy się do nich nie przyznać. Samochody, taksówki były wtedy regularnie kipiszowane. Szczególnie na mostach.

W lokalu tym drukowano z białkowej ramki „Listy z Białoleki” Michnika. Wygląda na to, że drukarnia ta od samego początku była prowokacją. Omasta i Kisz zaangażowali do pracy dwóch młodych 16-letnich chłopaków. Jednym z nich był Emil Barchański.

Jakoś na początku 1982 r. do lokalu weszła „bezpieka”, zgarnęła pracujących tam kilkunastoletnich chłopców. Emil Barchański próbował uciekać balkonami, ale go dorwali. Został strasznie skatowany przez bezpiekę, a mimo to nie „pękł”. Chłopcy wyszli, ponieważ żaden z nich nie skończył ustawowych 16 czy 17 lat i mieli być sądzeni z wolnej stopy. Niedługo później ciało Emila Barchańskiego, wyłowiono z Wisły. Sprawy tej nigdy nie wyjaśniono.

Dlaczego ja w tej drukarni nie wpadłem? Ja tam nie drukowałem, dowoziłem jedynie papier, robiłem też diapozytywy (które nigdy – po wpadce, nie zostały wykorzystane). Myślę, że ja byłem „rozwojowy”, tzn. przewidywany byłem do „odstrzału” w dalszej kolejności, jak już uruchomię własną strukturę. Poza tym tych dwóch chłopaków

przynależało się Omaście do podpalenia (czy oblania czerwoną farbą) pomnika Dzierżyńskiego. Milicja i bezpieka były szczególnie wściekłe, bo stało się to niemal pod ich oknami (Plac Dzierżyńskiego, dziś Bankowy jest tuż koło Pałacu Mostowskich). Tak więc Omasta „upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu”: zlikwidowano drukarnię, oraz aresztowano chłopaków, którzy zbaczycieli pomnik „świętego” – patrona bezpieki.

Marek Kisz, drugi, obok Omasty, szef opisanej drukarni, należał do bardzo dziwnych osób. Wchodzę kiedyś do nadanego przez niego mieszkania przy ul. Grzybowskiej, w którym przez pewien czas przechowywaliśmy papier (żeby nie jeździć pełną ciężarówką po mieście, sklep z którego „Fryzjer” załatwiał papier był, przypomnę – na Grzybowskiej), a tam ludzie w złotych łańcuchach, sygnety, wyglądali jak cinkciarze; inny świat, zupełnie nie pasujący do naszego środowiska!

Przerzuciliśmy ten papier do małego mieszkania Małgosi Zieleńskiej, z ryz papieru zbudowaliśmy jej łóżko. Trzeba dodać, że siostry Małgorzata i Barbara Zieleńskie, córki Jerzego Zieleńskiego, współpracowały z nami przez cały ten „wojenny” czas: przechowywały papier, składały książki; działał też w mieszkaniu Barbary – na Dzielnej punkt kontaktowy: pobieraliśmy tam i zostawialiśmy materiały do druku, głównie blachy offsetowe.

Kisz, tuż przed wypadką na Kijowskiej, trafił do „internatu”. Nigdy więcej go już nie spotkałem.

Pamiętam jeszcze, że wiosną 1982 r. jeździłem do Krakowa. Pomagałem uruchamiać tam drukarnię sitodrukową.

Szczerze mówiąc, jako zawodowy poligraf byłem zadziwiony pomysłowością „amatorów”. Ramka, niesamowity wynalazek!, druk z folii aluminiowej albo z „Kraju Rad” (miesięcznik „Kraj Rad” drukowano na wysokiej jakości grubym, kredowym papierze, który mógł zastąpić matrycę białkową), guma od majtek, pasta Komfort do farby sitodrukowej... To były, dla mnie – zawodowego poligrafa, genialnie proste wynalazki Witka Łuczywo (choć z drugiej strony ja w muzyce też wynalazłem parę rzeczy, a z wykształcenia nie jestem muzykiem. Bo to często właśnie tak już jest, że największych odkryć dokonują amatorzy. Zawodowcy myślą zbyt profesjonalnie, schematycznie, nie mają dystansu do swojej wiedzy).

Ze „Sztruksem” skontaktował mnie chyba Janek „Fryzjer”, mógł to zrobić przez Magdę Bogutę, która na początku „wojny” koordynowała sprawy NOWEJ.

„Fryzjer” wyjechał do Szwecji. W drugiej połowie 1982 r. został internowany, po wypuszczeniu z „internatu” opuścił Polskę.

Taki epizod. Wiosną 82 robiłem diapozytywy do książek „Na skrzyżowaniu Azji i Europy” Te Jot’a oraz „Antologia wierszy wojennych” (obie pozycje 1982 r.). Były drukowane na sicie, pod szyldem NOWA. Drukował je chyba drukarz „przedwojennej” NOWEJ2 Norbert Pietrzak, zresztą bardzo ładnie, to była robota na bardzo wysokim poziomie. Jak na tamte – „wojenne” warunki, oczywiście. Na marginesie dodam, iż okładkę do pierwszej z tych pozycji zaprojektowała moja ówczesna żona.

Gdy z wiadomych powodów przestałem zarabiać w Regionie Mazowsze, miałem się różnych dorywczych zajęć. A potem już zostałem zawodowym kontrrewolucjonistą, drukarzem kręcącym dla podziemia. Nie pamiętam, kiedy zacząłem już „zawodowo” drukować „bibułę”, może na wiosnę 1982 r. Nie, najwcześniej na jesieni. Mieszkałem wtedy na Woli, „Sztruks” często mnie odwiedzał.

Mieliśmy taką słynną maszynę drukarską, o nazwie Geha, która była rozsypującym się trupem. Ale działała, bardzo dużo na niej wydrukowaliśmy. Ten powielacz białkowy pochodził z jakichś starych, „przedwojennych” zapasów. Potem przychodziły różne transporty, dostawaliśmy sprzęt z Zachodu, np. ze Szwecji.

Swoją pierwszą książkę, (Maritaina „Drogami Kłęski”), bardzo zresztą brzydko wyszła (na tej książce okiełznaliśmy tą rozklekotaną maszynę, stosując różne „wynałazki”) drukowałem przy Złotej, koło Centralnego, w mieszkaniu małżeństwa artystów Stoniów. Ona była konserwatorem sztuki, on malarzem. W starym budownictwie, na parterze. To właśnie tam po raz pierwszy odpaliliśmy Gehę (taki grat wielkości dużego telewizora). Z Heniem Skibą. Na początku powielacz znajdował się u Barbary (dzisiaj – Przygodzkiej) narzeczonej Henia, przy ul. Bagno, musieliśmy go przenieść. Barbara wspierała nas przez całą tę wojnę polsko – jaruzelską. U niej (w centrum w dużym bloku; łatwo tam było się zagubić) spotykaliśmy się na robocze odprawy; składała też dla nas książki. W końcu zdołaliśmy okiełznać Gehę i wszystko wychodziło nam coraz lepiej, Vacaty (robione przez nas od drugiego albo trzeciego numeru, czyli od 1983 r.) były całkiem przyzwoite. Składem zajmowały się dziewczyny: Ola Próchnicka i Joasia Nurkowska.

Później mieliśmy punkt przy ul. Waliców. Wielki blok na Osiedlu za Żelazną Bramą. Trzypokojowe mieszkanie. Okna wychodziły na komisariat. Sufit, podłogę wyłożyliśmy grubym styropianem. Sądzę jednak, że sąsiedzi i tak wiedzieli co się tam dzieje. Czy właścicielowi lokalu chodziło tylko o kasę jak twierdzi „Sztruks”? Nie wiem, dla pieniędzy można napadać na banki, „dawać dupy” na „Pigalaku”. Albo donosić bezpiece. Fakt, że przekraczał granice bezpieczeństwa, ale o tym za chwilę. Mieliśmy tam problemy z ukrywaniem dowozu papieru.

„Sztruks” wymyślił kiedyś takie kółeczka. Doszedł do wniosku, że będziemy przywozić „telewizory”. Załatwił wielkie pudła od „Rubinów”, ale gdy wyładowało się je ryzami papieru, nikt nie był w stanie tego unieść. Wpadł więc na pomysł, że można zastoso-
wować takie plastikowe kółka, doczepiane do walizek. No i któregoś razu... Jesteśmy pod blokiem, „telewizory” wyładowane, kółeczka doczepione. Pierwszy z kartonów chwilę jedzie, jedzie, jedzie i... Kółeczko wpadło w kratkę ściekową, zaklinowało się. Stoimy kurwa przed wejściem, biały dzień (bo jakby robiło się to po nocy, wszyscy od razu by się domyślili), a karton, ważący od chuja, ze 200 kilo, nie do ruszenia! Co tu zrobić, no przecież nie będziemy wyciągać z niego przed blokiem, na oczach dozorców ryz papieru (dozorcy, szczególnie w tych wielkich blokach, często pracowali na „dwa etaty”). Jakby tego było mało, stoimy pod oknami komendy milicji.

W sytuacji zagrożenia wstępuje w człowieka jakaś niezwykła energia. „Sztruks” wyzwolił w sobie wielką siłę, uwolnił pudło, wziął je z uśmiechem niemal pod pachę... Życie przynosi takie różne historie.

Wracając do właściciela mieszkania na Waliców. Był osobą nieodpowiedzialną. Jeździł do Gdańska po jakieś znaczki, pisma... Albo się robi drukarnię, albo punkt kolporterski. Łączyć tego nie można. No i skończyło się to dla niego wpadką. Na szczęście byliśmy tam z maszyną krótko i zdążyliśmy się wyprowadzić.

Kiedyś mówię do tego kolesia: „Spluczka cieknie, napraw ją!” „Dobra, luzik”. No i zalało mieszkanie piętro niżej. Przychodzę do lokalu (właściciela nie było), widzę co się dzieje, za chwilę sąsiad z dołu wali do drzwi. Co prawda nic nie powiedział, ale ja po oczach i uśmiechu widziałem, że się domyśla co tam „kręcimy”. Maszyna pracowała nie tyle głośno, co jednostajnie stukła. No, ale gdyby miał donieść, zrobiłby to wcześniej.

Kolejny lokal: Praga (ul. Paca). „Sztruks” miał już nowy pomysł na wożenie i przenoszenie papieru w... szafach! Takich wielkich szafach na ubrania! Szafa z papierem!!! Kurwa, pół tony! Żeby ludzie nie widzieli, taki kamuflaż. Ale co chciałem powiedzieć. Mieszkanie wynajął kumpel „Sztruksa” – Janek, w jakiś pokrętny sposób, od recydysty, alkoholika. Tyle tylko, że „Sztruks” mi o tym nie powiedział, o co byłem później zły na niego. No, ale dobra – skoro nie mamy pewnego lokalu, to może i trzeba kręcić w miejscu mniej bezpiecznym. Tak, tylko, że chciałbym wiedzieć o tym, sam podejmować decyzję, czy wchodzić z robotą do niepewnego lokalu. A „Sztruks” zawsze twierdził, że miejsce jest sprawdzone.

(I wtedy, i dzisiaj oceniam, że to nie było fair. To było narażanie drukarni i ludzi; bez ich wiedzy).

Kiedyś ktoś dobija się do drzwi. Wciąż mieliśmy Gehę. Nie dało się na niej czyścić. Ręce w farbie po łokcie. Patrę przez judasza, wiem, że jak „bezpieka” to i tak wejdzie. Pytam: „Kto tam?” Odpowiedź: „Właściciel”. Myślałem, że to ów, nieznany mi wtedy Janek, kumpel „Sztruksa”, świadomie wynajmujący lokal na drukarnię. Otwieram drzwi, a tu taki koleś, wygląd praskiego menela. Chce się przywitać, ja ręce w fartuchu, w kieszeniach, całe czarne. „Przyszedłem zobaczyć, jak tam mieszkanie”. Wpuściłem go do przedpokoju, jednocześnie pilnuję wejścia do zamkniętego pokoju, w którym stała maszyna. „Można wejść?”. „Wie pan, z dziewczyną jestem” – wybrnąłem! „Aha.” – ze zrozumieniem. Zresztą nawet nie kłamałem, ponieważ tego dnia drukowałem akurat z koleżanką ze studiów Olą Próchnicką (wcześniej składała dla nas „Vacaty”).

No i musieliśmy wynosić się z kolejnego lokalu. Mimo podejmowanych przez nas środków bezpieczeństwa okazało się, że sąsiedzi i tak wiedzieli. Podczas wyprowadzki usłyszeliśmy: „A myśmy tak was tu pilnowali”. Zajmowaliśmy mieszkanie na pierwszym piętrze. To była mała kamienica, jakby domek jednopiętrowy. Charakterystyczny, stał na rogu.

Nie pamiętam, gdzie się później przenieśliśmy z powielaczem. Ale pojawił się offset Roneo Vickers.. Zainstalowaliśmy się z nim u Cypriana Kulickiego na Okęciu. A właściwie to u jego matki i ciotki, bo to one tam mieszkały na stałe, Cyprian miał tam warsztat stolarski. Takie miał hobby, bo to wybitny naukowiec – Profesor antropolog (Cyprian później nauczył się drukować).

Pierwsza „moja” książka na offsecie (tę pamiętam) to Małgorzaty Szejnert „Szczecin: Grudzień – Sierpień – Grudzień” (seria Archiwum Solidarności). A później to były dziesiątki tytułów. Książki, periodyki („Krytyka”, „Vacat”, „Praworządność”, „Puls”...) różne gazetki środowiskowe (artystów – „Wybór”, lekarzy – „Zeszyty Niezależnej Myśli Lekarskiej”, „Hutnicy’82”, gazetka Solidarności PW, studentów z UW...) ale i „Tygodnik Mazowski” (kiedy miał kłopoty z własną poligrafią), ulotki, znaczki (tylko raz, z biało – czerwonymi grafikami Bokiewicza), „Gazeta Wyborowa” (na wybory), jakieś pisemka „eksportowe” po węgiersku i czesku...

Jedna z ostatnich drukarni znajdowała się w Michalinie. Zapuszczona posesja, przedwojenna od dawna niezamieszkała willa z przeszkłonymi drzwiami na taras. Atmosfera horroru. Po nocach wyl ples (Baskerville’ów). Strach było tam nocować, a co dopiero konspirować! Siedzieliśmy z maszyną na strychu.

Pracował też dla nas Włodzimierz Borowski, jeden z najwybitniejszych powojennych artystów wizualnych. W jego domu w Podkowie Leśnej (choć administracyjnie to był bodaj Brwinów) przez kilka lat była drukarnia i odbywał się skład książek. Sam też nauczył się drukować na powielaczu bębnowym AB Dick. To mało znany fakt, bo Włodek nie próbował swojego podziemnego zaangażowania wykorzystywać dla swojej artystycznej kariery.

Co do długości funkcjonowania punktu. W sumie nie istniały sztywne reguły. Czasami przenosiliśmy się, ponieważ właściciele chcieli odpocząć. Dzięki, dwadzieścia cztery godziny na dobę na „dynamicie”. Ja wracałem do domu, tam zawsze miałem „czysto”, luzowałem się, a ci ludzie żyli w ciągłym zagrożeniu. I to oni właśnie są prawdziwymi, choć „cichymi” bohaterami solidarnościowego podziemia.

Kiedyś u Cypriana miałem taką dziwną sytuację. Wszedłem do domu i nagle coś mi się przypomniało, musiałem szybko wyjść. A tu koleś stoi przy ogrodzeniu, przed oknem pokoju, w którym była drukarnia. Myślałem, że to jakiś ciekawski sąsiad, teraz wydaje mi się, iż niekoniecznie... Ciągłe powraca u mnie pytanie: na ile byliśmy inwigilowani przez SB???

Czasem nie było wyboru, czy drukować w mieszkaniu w „mrówkowcu” czy w domku pod Warszawą. Brało się to, co akurat było. Trochę rozumiem „Sztruktura”, jak nie ma lokalu, to trzeba decydować się na to, co jest. Miałem tylko pretensję o to, że nie mówił mi, jak jakieś miejsce nie należało do pewnych. Może obawiał się, że odmówię? Ciągłe się z nim napierdalałem. Oczywiście na słowa. Ale z „Mikotajem” i „Afro” też się kłóciłem.

Raz udało mi się uniknąć odsiadki. Z zatrzymanym przez policję „Afro” jechał „Maksio”, Maciek Radziwiłł. Markowi nie chciało się po mnie jechać na Ursynów, mimo że byliśmy umówieni. Wziął „Maksia”, był bliżej, no i się razem wpierdolił. To wyglądało na przypadek. Inna sprawa, że ten samochód w ogóle nie powinien był jechać, miał coś rozpiędlone, hamulce, sprzęgło, to, że drogówka się do nich przypierdoliła, to nic dziwnego.

My, drukarze, ciągle prowadziliśmy walkę o przestrzeganie zasad bezpieczeństwa. Istniała żelazna zasada: minimum kontaktów, konspira na poważnie.

Nie mam żadnych sygnałów, że coś o mnie wiadano. Nigdy też nie dostałem pałą, nigdy nie byłem przesłuchiwany. Można to interpretować na wiele różnych sposobów. Albo należałem do osób szalenie inteligentnych i świetnie konspirowałem, albo miałem zwyczajnie szczęście.

Kwestie finansowe. Oczywiście chcieliśmy dostawać jak najwięcej kasy. W pewnym momencie, jakoś tak pod koniec lat 80., powołaliśmy nawet „związek zawodowy” drukarzy NOWEJ. Dążyliśmy do ujednolicenia stawek oraz do poprawienia standardów bezpieczeństwa. Płacone mieliśmy za obustronnie zadrukowaną ryzę papieru, łatwo to można było wyliczyć. Za prace organizacyjne, szkolenie ludzi, wożenie, załatwianie papieru, blach offsetowych jednak nigdy nie brałem pieniędzy.

W drugiej połowie lat 80. czuło się już straszne zmęczenie. Paradoksalnie, mimo że zapadały niższe wyroki, coraz trudniej było znaleźć ludzi do współpracy, lokale itd. Ja jednak wciąż działałem. Wcale nie dlatego, że byłem taki twardy, że „Bóg, honor, ojczyzna”. Co miałem innego robić? Życie w komunie było beznadziejnie szare i nudne (wcale nie było tak wesoło jak w filmach Barei). A w podziemiu przynajmniej coś się działo. Konspira stała się po prostu treścią mojego życia.

W 1989 r. wyjechałem do Ameryki. Przez sześć tygodni pracowałem w „Nowym Dzienniku”, potem mnie wyrzucili. Panowały tam straszne relacje międzyludzkie, jak w stadzie świń, albo jak... w komunizmie. Okazało się, że tam też nie pasuję, nie potrafię być grzeczny, pokorny.

Po pół roku wróciłem do Polski. Zastanawiałem się, co z sobą zrobić. Działalność w podziemiu już się skończyła...

Przez wszystkie te lata pracowałem dla NOWEJ. Jeśli miałem wykonać coś „usługowo”, robiłem to w porozumieniu z kolegium redakcyjnym. Pamiętam, że przez jakiś czas drukowałem „Tygodnik Mazowsze” oraz „Praworządność”. Ludzie zajmujący się tym ostatnim pismem byli całkowicie niepoważni. Kiedyś mieliśmy odebrać od nich papier na kolejny numer. Podjeżdżamy, dom naprzeciwko komendy, a tu ryzy niepopakowane, żadnych kartonów. Później odwoziliśmy nakład do jakiegoś ich lokalu. Chodzimy, chodzimy, szukamy, adres podany przez nich nie istnieje! Mamy hasło, „kasztany na Placu Pigalle”, coś w tym stylu. Pukamy do różnych mieszkań. Jakiś facet z uśmiechem mówi: „Ok, ale to nie u mnie”. Kierowca nie chciał zostać z „urobkiem”

na samochodzie, musieliśmy szukać po nocy jakiegoś awaryjnego punktu. Znaleźliśmy go przy Kazury, znajdowała się tam taka nasza słynna intrologatornia (każdy z nas chciał ją obsługiwać, bo mieszkała i pracowała tam taka super ruda laska).

To wszystko nie wyglądało tak, że wchodziłem do drukarni i tylko drukowałem. Ciągle byłem potrzebny także do różnych innych zadań. Kiedyś uruchomiłem w garażu mojego ówczesnego teścia, na Woli, blisko ul. Bema (a „Gruby” właśnie na Bema załatwiał ogromne ilości papieru), punkt przerzutowy. Papier znajdował się w kanale używanym przy naprawach samochodu.

Do przenoszenia ryz najlepiej sprawdzały się worki od papieru toaletowego. Stosowaliśmy do nich takie pasy zaciskowe, jakich używa się do przytwierdzania czegoś do bagażników samochodowych. Później mieliśmy też takie torby, z długimi uszami, uszyte specjalnie do przenoszenia ryz papieru, pod wymiar (na 10, albo 12 ryz).

Do współpracy udało mi się wciągnąć kilka osób z Instytutu Poligrafii Politechniki Warszawskiej. Leszek Olejniczak i Tomasz Dąbrowa bardzo dużo zrobili dla NOWEJ: przygotowywali blachy wysokiej jakości, diapozytywy, załatwiali farbę, materiały do sitodruku... U Tomka Dąbrowy w domu w Piastowie była też przez jakiś czas drukarnia, no i sam też wtedy drukował. Kiedyś dyrektor Instytutu Poligrafii, wpadł do pracowni, w której jeden z pracowników robił dla NOWEJ diapozytywy albo blachy. Na szczęście między panami doszło do porozumienia. Dyrektor bardziej chyba bał się zakablować, niż udawać, że „nic się nie wydarzyło”.

Przygotowanie offsetową uruchomiłem później też na Żoliborzu (w słynącej z knucia przeciw komunie zonie – na Krasińskiego) wspólnie z Piotrkim Liszkiewiczem. U niego w piwnicy. Zawodowy fotograf szybko złapał o co chodzi i robił dla nas diapozytywy i blachy.

Drukowałem sam. No, chyba że kogoś akurat uczyłem. Nie ma takiej potrzeby, aby offset obsługiwały dwie osoby. Gdy maszyna już się kręci, wszystko jakoś idzie. Na początku trzeba jednak rozpakować ryzę, napowietrzyć, podłożyć, użerać się z nierówno przyciętym, niskiej jakości papierem.

Zwykle słuchałem radia, które i tak służyło głównie do zagłuszania maszyny.

Ze sprzętem zawsze mieliśmy różne mniejsze i większe problemy. Powielacze, nawet te offsetowe, z założenia miały drukować jakieś tam ulotki, a nie setki tysięcy stron. A NOWA była olbrzymim przedsięwzięciem, fabryką książek! Nakłady wahały się w granicach 2-7 tysięcy. Człowiek dawał radę, maszyna nie. Nie zajmowałem się naprawą, no może z wyjątkiem jakichś niewielkich usterek.

Pamiętam taką akcję w Podkowie Leśnej. Próbowaliśmy uruchomić jakiś zdezelowany offset A3, Romayora. Czasami umawiano się z ludźmi z drukarni, którzy złomowali jakiś sprzęt. Mieli przypierdolić w niego jakimś młotem, ale tak, żeby jednak zbyt nie rozwalić. No i myśmy go przejmowali. Tym razem Grzesiek Boguta kupił złom w stanie kompletnego rozkładu, który nigdy by dobrze nie działał. „No, ale sko-

ro sprzęt już jest, musi zacząć działać” – kretyńskie myślenie. Jak tylko go obejrzałem, to nie chciałem mieć więcej z tym nic wspólnego.

Zadania podjął się ambitny „Sztruks”. Znalazł lokal w Podkowie Leśnej, u Janka Borowca, a właściwie u jego żony bo Borowiec praktycznie tam nie mieszkał.

Przywiózł mechanika, ręce mu opadły! Tymczasem „bezpieka” dowiedziała się, że zdobyliśmy zełomowaną maszynę, zaczęła węszyć. A fachowców od naprawy Romayorów można było w Warszawie policzyć na palcach.

Pierwszy mechanik przestraszył się i lojalnie wycofał, ale ambitny „Sztruks” zaangażował następnego. No i się skończyło, tak jak się skończyło. Ale to raczej nie był współpracownik bezpieki, tylko doprowadził ich jako ogon albo go czymś zaszantażowali. Ale widać sumienie go ruszyło, bo jak bezpieka przyszła, to stał w oknie i gdy zobaczył Henia Skibę (miał przyjechać rano, a dotarł koło południa, bo zapiliśmy razem poprzedniego dnia), to zaczął dawać mu znaki, by uciekał. Ale „ubecja” musiała kogoś wsadzić, zamknęła więc Bogu ducha winnego Borowca. „Sztruks” miał później straszne poczucie winy, opiekował się jego rodziną. Borowiec siedział prawie rok, od jesieni, października, jakoś tak, a amnestia dopiero w lipcu (na 22 lipca czerwony ogłaszał amnestię). Siedział za kupkę złomu!

W naszej grupie była to jedyna wpadka – ja nie miałem jej nigdy, Henio również.

Warunki, w których przychodziło nam pracować? Kurwa, przejebane!

Po kilku godzinach pracy człowiek po prostu przesiąkał „do kości” smrodem farby i nafty. Mimo, że po zakończeniu drukowania zawsze się starannie myłem (choć czasami była tylko zimna woda) i przebierałem, powrót do domu pociągami, autobusem czy tramwajem był wielkim problemem. Tym bardziej, że na różnych wsiach nieraz drukowaliśmy, pamiętam nawet taki chlewik, który przekształciliśmy w drukarnię.

Zależało mi, aby produkowane przez mnie książki były dobre pod względem edytorskim. Przymierzałem się nawet do wydania albumu ze zdjęciami, robiłem już pewne próby. Nigdy tego pomysłu nie zrealizowałem. Ktoś z redakcji zablokował ten projekt, zadziałała cenzura, bo szykował się album „niepoprawny” politycznie. Tak to bywało z „wolnym słowem” w NOWEJ.

Obok mnie działały różne inne grupy, pracujące dla NOWEJ. Wiedziałem, że istnieją, niektóre znałem, innych nie. Po co? Konspira....

W pewnym momencie pojawił się koleś, syn jakiegoś wysokiego funkcjonariusza MSW. Zgłosił się do „Sztruksa”. Młody chłopak, nie wiem, co się z nim później stało. Fajny koleś. Wiedzieliśmy kim jest jego ojciec, zresztą on tego nie ukrywał. Skoro spotkało go takie nieszczęście, że urodził się w czerwonej rodzinie, tym bardziej należało go „pogłaskać po głowce”.

Tak szczerze uważam, że historii NOWEJ spisać się nie da, jest to zadanie niewykonalne. Jestem „bohaterem” podziemia, medal dostałem. Ale z NOWĄ współpracowały setki, może i tysiące ludzi. Także ci, którzy kolportowali po kilka książek lub udostęp-

niali lokale na magazyny papieru, a choćby tylko czytali nasze druki. Bez tego ogromnego wsparcia nasza działalność nie miałaby żadnego sensu! O wszystkich i wszystkim i tak nie da się napisać! To nie elity robią rewolucję (no, w tym przypadku to kontrrewolucję), tylko ogromna rzesza tych „maleńkich”, trybików. Drugi obieg w Polsce to był fenomen! Nigdy w historii tego świata nie było aż tak wielkiego ruchu na rzecz Wolnego Słowa. I tak wielkiego podziemnego wydawnictwa jakim była NOWA!

Największym konspiratorem był chyba „Sztruks”. Pomijając już te jego pomysły na wożenie papieru w szafach... Wiadomo, matematyk, informatyk, wymyślał różne szyfry. Jeździliśmy czas jakiś po mieście ze wspomaganiem radiotelefonami. „Sztruks” zbudował jakiś niesłychanie skomplikowany szyfr. Mówiło się, powiedzmy: „AO 072549”, a znaczyć to miało np. „kobieta w zielonym płaszczu na rogu Grójeckiej i Banacha”. Trzeba było to niby zapamiętać, wiesz, konspira, przecież nie mogłem nic na kartce spisać. Chyba to olałem. Powiedzmy, czwarta litera alfabetu robiła za ósmą, „l” to skręt w prawo, „p” w lewo, itd. Mieliśmy też skaner, który służył do podsłuchu pasm policyjnych. Radiotelefony mieliśmy nie tylko polskie, ale i porządne, zagraniczne firmy Kenwood. Później je wciąło przy wpadce „Mikołaja” albo „Grubego”.

Przeszliśmy na sposoby „ręczne”. Przed ciężarówką z towarem jechał „na szpicy” „czysty” samochód osobowy, czasem dwa. Ruszał kilka minut wcześniej. Miał za zadanie zawrócić i ostrzec o ewentualnej policyjnej sztrafii, albo tak odciągnąć uwagę glin (np. zrobić takie manewry, jakby kierowca był w sztok zalany) żeby ciężarówka przejechała bezpiecznie. Nie zawsze to działało. Kiedyś z „Żółtym” (Jankiem Abgarowiczem) na Wyczółkach zhartowała nas policja, a na pace mieliśmy full towaru. Wyjechali z bocznej drogi jak szpica była już daleko. Już czułem na rękach zimny dotyk żelaza kajdanek, sprawdzałem w kieszeni czy mam zapas fajek... Moment później nadjechała jednak jeszcze większa ciężarówka. A było to, trzeba wiedzieć, na słynnej „złodziejskiej” drodze. Jak ktoś w Warszawie coś budował, to tam właśnie załatwiał lewy cement, beton, cegły i takie tam. Gliny tak zaabsorbowała kontrola tego dużego wozu, że im po prostu z Jankiem odjechaliliśmy. Kolejny fart w moim życiu...

Był jeszcze w naszej grupie Adam Dziewięcki – „Indianiec”. Uczyłem go drukować na Gehii w lokalu na Pradze. On jednak wołał składać, jeździć z towarem, kolportować... Dużo nam pomagał. Świetny koleś! Obecnie jest światowej klasy specjalistą od chorób nowotworowych jelit.

Piotrek Szwajcer – „Obcas” twierdzi, że my – drukarze i składacze nie chcemy teraz pamiętać, że zarabialiśmy wtedy niezłe pieniądze. Oczywiście, że pamiętam! Dostałem kupę kasy, kiedyś sobie obliczyłem, że zarabiam jakieś 50 dolarów miesięcznie! A średnia pensja wynosiła wtedy 20-25 \$! No ale majątku się nie dorobiłem, nawet nędznego Malucha. Sporo przepijałem. Wiadomo, drukarz pić musi. Ale też mogłem sobie 2 tygodnie jeździć w Tatrach na nartach.

Jednak pieniądze brałem tylko za drukowanie. Konkret – ryza A4 dwustronnie zadrukowana – tyle i tyle. Prócz tego wykonywałem całe mnóstwo innych prac, np. organizacja, szkolenie ludzi, załatwianie materiałów, blach (współpraca z Instytutem Poligrafii)... Angażowały mnie co najmniej na równi z drukiem. A za te prace nie brałem już kasy.

Czasem drukowałem gazety, m. in. „Tygodnik Mazowsze”. Ta część, jakaś połowa, albo 1/3 całego nakładu, która przechodziła przez moje ręce, mieściła się raptem w dwóch niedużych torbach – druk zajmował ze 2 godziny i można było nakład przewieźć w bagażniku osobowego samochodu. Produkcja na naprawdę ogromną skalę, to były książki. Przeliczyłem kiedyś, że w skali roku zużywaliśmy całe wagony papieru.

Staraliśmy się robić jak najmniej ruchu wokół drukarni. Wywożenie towaru było znakomicie organizowanymi akcjami. Ciężarowymi samochodami przywoziliśmy papier, i od razu wywoziliśmy „urobek”. Rozwoziło się go w kilka miejsc. Trwało to bardzo długo, czasem i cały dzień. Jeździli głównie „Żółty” – Janek, a wcześniej „Biały”, czyli Bolek (każdy miał bagażowego białego i żółtego Mercedesa). Brało się ich z postoju na Placu Grzybowskim, żeby w razie czego wyglądało to na usługę – wynajęta bagażówka (to drogie samochody, wtedy kosztowały majątek; w przypadku wypadki strata ogromna). Był jeszcze „Kierownik” – Grześ Michalak, który na początku jeździł z nami (i „towarem”) swoją „taryfą”. Samochód ten miał taką właściwość że bagażnik albo w ogóle nie dawał się otworzyć, albo otwierał się nagle, w czasie jazdy. Później Grzegorz nauczył się drukować, w jego domu była przez czas jakiś drukarnia.

Akcje te przeprowadzaliśmy raz na dwa, trzy, cztery tygodnie. Zazwyczaj po wywozie „urobku”, rozliczaliśmy się za druk na podstawie ilości zadrukowanych ryz. Z drukarni najczęściej wyjeżdżał cały nakład jednej lub kilku pozycji. Dlaczego nie częściej? Przy ewentualnej wpadce samochodu z towarem stracilibyśmy niby więcej, ale najważniejsza była drukarnia i maszyna, to właśnie je należało chronić, ograniczając ruch wokół lokalu. Papier mogliśmy ewentualnie kupić i ponownie zadrukować, natomiast offsetu kupić się w Polsce nie dało. Nie istniały jakieś reguły dotyczące długości funkcjonowania lokalu. Niektóre działały nawet kilka miesięcy.

Po wydrukowaniu jakiejś partii dostawaliśmy harmonię pieniędzy. Stos banknotów w papierowej torebce (taka inflacja wtedy była). Zawsze złotówki. Co robimy? Po tak wyczerpującej i stresującej robocie chodziliśmy chlać. Włóczyliśmy się po wszystkich warszawskich knajpach. „Kongresowa”, „Kamieniolomy”, „Habana”, „Rusałka”, takie ze stripizem, danciem. Knajp w Warszawie nie było wtedy dużo, na upartego w jedną noc można było oblecieć wszystkie. Odwiedzałem też czasem taki lokal na tyłach hotelu Forum, przy Nowogrodzkiej. Piąta rano, a tam można wypić setę i zjeść schabowego z ziemniakami i kapustą zasmażaną! Super żarcie serwowali. To znaczy nie wiem, czy takie super, ale nad ranem smakowało znakomicie. Klimat tam panował jak z czasów Hłaski. Lamperia jasny orzech, tzw. białe obrusy, kelnerki obfitych kształtów w mini spódniczkach i czarnych rajstopach. Władczyni świata, czyli wódy. Normalny

człowiek bał się tam chodzić, rządili tam złodzieje dzielący łupy, prostytutki z Pigalaka... Pierwszy raz trafiłem tam z Markiem Mądrzejewskim, który siedział „pod celą” i zaprzyjaźnił się z jakimś „Ziutkiem Rozpruwczem”, legendarnym bandytą Śródmieścia. Ta Marka znajomość z pierdła była gwarancją nietykalności.

No nie wszystko przepijaliśmy, ale nie udawało mi się odłożyć żadnych pieniędzy. Przynosiłem plik banknotów do domu, kładłem na kupkę i one tak leżały i topniały. Gdy robiło się chudo, rozliczałem kolejną książkę.

Kiedyś, jako zawodowy poligraf „dostałem zadanie” – przygotować się do wyprodukowania kartek na benzynę. Kartki uprawniające do zakupu benzyny drukowano na specjalnym papierze i nie było to takie proste. Na szczęście okazało się, że nie muszę bawić się w fałszerza. Gdyby mnie złapali, dostałbym wyrok kryminalny, pewnie i kilka lat, i nie objęłaby mnie żadna amnestia. Okazało się dość szybko że kartki (prawdziwe, wynoszone z ministerstw, albo policji) można było kupić na bazarze. Żyjemy w Polsce!

Jak wychodziliśmy na powierzchnię, Heniu Skiba wpadł na pomysł, aby wszystkim tym, którzy angażowali się w drugi obieg, udostępniali lokale, samochody itd. podziękować – rozdać takie laurki w postaci ostatniej podziemnej książki NOWEJ z dedykacją. Nawet zrobiłem projekt takiej „laurki”. Nic z tego nie wyszło. Gremium decydentów, z Grześkiem Bogutą na czele, inicjatywę Henia zablokowało. Wtedy już wyraźnie rysował się podział na beneficjentów układów z Magdalenki i resztę, czyli wyrobników podziemia. Osobiste interesy i polityczne ambicje wzięły górę. Przestało istnieć coś takiego jak solidarność (taka zwykła, z małej litery), czy nawet zwykłe poczucie przyzwoitości. Prywatyzacja NOWEJ przeprowadzona przez Grzegorza Bogutę jest tego najlepszym przykładem. To nie było fair. Parę osób na górze odwróciło się plecami i środowisko Oficyny – a była to wcześniej silna grupa – przestało istnieć.

„Papież podziemia wydawniczego” – jak mówi o sobie Grzesiek Boguta (a przepraszam, mówi tylko, że to inni tak o nim mówią, no i nie „Papież”, tylko skromnie – „Wałęsa”) wiosną 89, lub 90 przyjął od „Ślepego”, czyli Jaruzela order. Ha, komuniści przyznaje order za zwalczanie komunizmu!!! To ci dopiero.... Tłumaczył się, że ten order to DLA NAS wszystkich. Taaaaa.....

Uważam, że to szerszy problem: w ogóle ludzie podziemia, ludzie „Solidarności” zostali porzuceni przez swoje elity. Ilu z nas nie dało sobie rady w nowej rzeczywistości, żyje po prostu w biedzie, podczas gdy bezpieka ma superemerytury? Pamiętam jak podczas pierwszej kadencji sejmiku Michnik grzmiał z trybuny, że on nie życzy sobie żadnych przywilejów, żadnych „kombatanckich” emerytur. Ale jaki on miał mandat, by wypowiadać się za całe środowisko?

„Obcas” twierdzi, że po 1989 roku NOWA nie miała już żadnej wartości, że maszyny, papier, magazyny książek były warte grosze. Racja. Ale majątek wydawnictwa, jego potencjał, to nie tylko i nawet nie przede wszystkim maszyny, papier i książki. W przypadku NOWEJ można mówić o ogromnym potencjale: ludziach, którzy znali

się na robocie wydawniczej, know how, kontaktach, „opcjach” na tytuły i pisarzy oraz znaku firmowym! Dla czytelników i dla pisarzy Oficyna była wydawnictwem elitarnym, była marką! Nie zgadzam się z „Obcasem”, uważam, że osiągnięcia i możliwości NOWEJ zostały roztrwonione. Adam Widmański, którego Boguta wyrzucił z naziemnej już NOWEJ, zbudował od zera! potężne wydawnictwo – WAB (nawiasem mówiąc „pierwszą literę” tego skrótu – Wojtku Kuhna nauczyłem przygotowania offsetowej i przez jakiś czas robił dla nas offsetowe blachy w drugiej połowie lat 80).

Już lepiej było rozwiązać firmę i przejść do historii. Bo to co w latach 90 – tych stało się z NOWĄ.... Wstyd i żenada...

Według „Obcasa” bez Grzeska Boguty nie byłoby NOWEJ. Jasne, Grzesiek był ważnym ogniwem w tym ogromnym przedsięwzięciu, ale był tylko jednym z ogniw. Gdyby nie setki ludzi, którzy stanowili tryby tej wielkiej maszyny, nic by nie osiągnął. Przecież NOWA działała z powodzeniem w czasie, gdy Grzesiek Boguta siedział w „internacie”! Bo to nie była hierarchiczna organizacja. Raczej składała się z wielu niezależnych inicjatyw, samoorganizujących się grup. Nie podzielam takiego opisu świata który przypisuje jakąś niezwykłą siłę sprawczą liderom. Na pewno nie ma on zastosowania w przypadku NOWEJ.

Prawdą natomiast jest to że, jak mówi „Obcas”, w innych miastach represje były bardziej brutalne. W Warszawie rzadko katowano ludzi, wyroki zapadały nie aż tak wysokie, jak gdzie indziej. Działało tu kilku odważnych, wybitnych adwokatów. Pracował kiedyś ze mną (składał „Vacat”) , historyk z Białegostoku. Za „bibułę” wsadzili go (w Białymstoku) do celi z jakimiś radykalnymi kryminalistami, wielokrotnym gwałcicielem, mordercą, ludźmi prymitywnymi, totalną patologią. W stolicy coś takiego raczej się nie zdarzało. Kumpel przeżył dzięki temu, że „sprzedał” współwzięniom legendę, iż za każdy dzień odsiadki dostaje od CIA kilkadziesiąt dolarów. Tym udało mu się zdobyć ich szacunek.

Pod sam koniec zaostrzyły się konflikty. Ryzyko było coraz mniejsze, pojawiały się więc nowe grupy. Byli na przykład tacy młodzi ludzie z Otwocka, którzy oferowali, że będą drukować za mniejsze pieniądze. To znaczy najpierw wyszkoliłem ichniego drukarza, po czym „Afro” próbował go rozegrać przeciw nam – starym drukarzom. W NOWEJ zaczął się jeszcze przed 1989 rokiem brutalny kapitalizm. Koordynatorzy próbowali nas między sobą rozgrywać, konfliktować. Dlatego powołaliśmy związek zawodowy drukarzy – związek oczywiście w cudzysłowie, po prostu stwierdziliśmy, że musimy pilnować swoich interesów. Na pewno uczestniczyli w tym Henio Skiba, Cyprian Kulicki, „Kierownik”, czyli Grzegorz Michalik, chyba też składacze. Okazało się, że niczego wielkiego (jak strajk) nie trzeba było robić, wystarczyło, że takie porozumienie poligrafów zawarliśmy, by ukrócić zakusy koordynatorów. Zostałem wtedy przez drukarzy oddelegowany do kolegium NOWEJ, żeby tam pilnować naszych spraw.

Po 89 roku byłem też w „naziemnej” już Radzie Fundacji NOWEJ skąd odszedłem po tym, jak Grzesiek Boguta, (który już wtedy był dyrektorem PWN), z poparciem Adama Michnika, pozbył się Adama Widmańskiego. Adama, który pręźnie działał, żeby naziemną NOWĄ postawić na nogi i zagroziło to monopolistycznej pozycji Grzeška. Wiadomo – wódz – „Wałęsa” może być tylko jeden. Ale, uwaga! – głosowanie w Radzie było na rzecz AWANSU Adama, awansu na dyrektora Franco NOWEJ – firmy, która nigdy nie istniała (znaczy z równoczesnym odwołaniem z Zarządu NOWEJ). Taka manipulacja w najlepszym komunistycznym stylu – degradacja przez, he, he awans.

Mówiąc górnolotnie, całe swoje życie prowadzę walkę o wolność (chodzi też, a może przede wszystkim o wolność wewnętrzną). Ludzie antykomunistycznego podziemia, teraz to widzę wyraźnie, dzielili się na tych, którzy walczyli O wolność, i tych, którzy walczyli Z wrogiem (i dziś bez wroga żyć nie mogą). Wtedy to rozróżnienie nie było specjalnie istotne, bo przeszkoda/wróg były wspólne. To oczywiście trochę uproszczenie, ale wg mnie dobrze wyjaśnia przyczyny podziału w środowisku antykomunistów. Teraz zajmuję się muzyką i to też jest dla mnie droga do wewnętrznej wolności. Wtedy była nią NOWA.

W kilku wątkach skorzystałem ze swoich wspomnień, które spisał i opublikował Łukasz Bertram w książce „Obieg NOW-ej” (IPN 2013)

Ryszard Latecki „Jacek

Ubek dżentelmen

To była taka warstwowa historia. Na strychu siedziała bezpieka, gdzieś tam poniżej mieszkał Piotr Naimski, członek KOR, a gdzieś ciut niżej była drukarnia. Przy czym drukarnia nie wiedziała, że to wszystko tam jest i wyszli ludzie z pakami książek, znaczy z pakami wydruków gotowymi, z torbami. Na dole już czekała taksówka, czy ktoś poszedł po taksówkę. I bardzo miły pan, który cały czas reperował coś w budce telefonicznej, ponieważ to były ładne dziewczyny z tymi torbami, pomógł im to wszystko wnieść do taksówki. Ten pan był oczywiście zewnętrznym ubekiem od Naimskiego.

Opowiadał Jacek Arct (js)

Uratowała mnie tęsknota za żoną i córką Będzie konspiracja – o stanie wojennym, działalności opozycyjnej oczami ojca i córki

MAGDALENA PAWLICA: Tato, zanim opowiesz o swojej działalności w stanie Wojennym, wyjaśnij, jak doszło do próby siłowego zniszczenia „Solidarności” – związku zawodowego, do którego należało 10 milionów osób. Przecież to była realna siła, która mogła zmienić rzeczywistość w naszej ojczyźnie.

CZESŁAW PIOTR STAŃCZYK: Twoja prośba przypomina mi podobne pytanie, jakie zadała mi młoda dziennikarka amerykańska. Czekaliśmy na rozpoczęcie konferencji prasowej, a tu miałem w krótkich słowach wyjaśnić skomplikowane sprawy. Na dodatek trzeba było naszkicować historię po II Wojnie Światowej.

– Co jej powiedziałaś?

– Wyobraź sobie kraj, który wydobył się z niebytu po 123 latach rozbiorów. Prawie natychmiast próbuje go zająć jeden z zaborców. Nie udaje mu się to, dzięki ogromnemu wysiłkowi militarnemu polskiej armii. Polacy mogą cieszyć się wolnością jedynie 21 lat. Ów zaborca – Rosja Sowiecka – ponawia próbę dogadując się z drugim zaborcą – Niemcami i obaj w 1939 r. likwidują Polskę z map Europy. Obaj wprowadzają terror. Po 2 latach kończy się ich współpraca – Niemcy napadają na ZSRS. Ostatecznie Wojnę wygrywają Sowieci i ich alianci zachodni. Nasz kraj zajmuje Armia Czerwona; wydzie dopiero po prawie 50 latach. Rosjanie po 1945r. instalują tu władze komunistów od nich we wszystkim zależne. Praktycznie kraj znów jest pod ich rządami. Terror trwa dalej. Aresztowania, wyroki śmierci, zsyłki na Sybir dla żołnierzy Armii Krajowej, potem „Żołnierzy Wyklętych”, także rozbijanie Kościoła Katolickiego.

– Zapanował pewnie strach wśród ludzi. Nie myśleli o jakimś oporze?

– Tak. Choć byli też tacy, którzy korzystali z nowego „porządku”. Zyskiwali awans społeczny, przejmowali majątek odebrany poprzednim właścicielom. To z nich wywozili się aparat partyjny, milicja i agenci Urzędu Bezpieczeństwa. Większość starała się po prostu przeżyć. W 1956 roku, po śmierci Stalina, terror nieco zelżał i okazało się, że sprzeciw wobec władzy ciągle mimo wszystko jest obecny w sercach Polaków. Nie myślano już o zbrojnej walce, ale o możliwości jakiegoś wpływu na rządzących. Władze nauczyły się rozmywania tego oporu. Swoją umiejętność wykorzystwały w 1968r., kiedy aresztowały przywódców strajków studenckich; w 1970 r. oraz w 1976 r., gdy zrobiły to samo z przywódcami strajków robotniczych i jednocześnie cofnęły podwyżki cen żywności.

– Pewnie warto by tu wspomnieć o opozycji, jaka się pojawiła w drugiej połowie lat 70-tych.

– Gospodarka PRL-owska znalazła się w kryzysie. Wprowadzono kartki na cukier. Kartki – wynalazek czasu wojny, pojawił się ponad 30 lat po jej zakończeniu! Władze

potrzebowały nowych kredytów i dlatego w 1977 roku podpisały Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka i Obywatela, w których zobowiązywały się do przestrzegania wolności dla przeciwników politycznych. Powstały m.in.: Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Komitet Obrony Robotników. Każdy z ruchów wydawał podziemną prasę i książki. Organizowano także niezależne związki zawodowe. Zaczął działać „Uniwersytet Latający”. Komuniści nie chcieli jawnie przeciwstawiać się tym inicjatywom. Robili rewizje, rekwirowali maszyny i wydruki, zamykali na 48 godzin; działacze czasem bili „nieznani sprawcy”.

– A jak było w 1980 r.?

– Zupełnie inaczej. Strajki rozlały się na całą Polskę. Dzięki m.in. Annie Walentynowicz udało się kontynuować protest w Stoczni Gdańskiej, co po długich rozmowach z delegacją rządową przyniosło zgodę komunistów na Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”, z czasem taki związek wywojowali rolnicy, a studenci Niezależne Zrzeszenie Studentów. Dużą rolę odegrali działacze opozycyjni i podziemna poligrafia. Sam drukowałem „Robotnika”, w którym informowano o wydarzeniach w Stoczni Gdańskiej. Euforia i radość z tego, że wreszcie decydujemy o swoim losie, były powszechne. Gazetki związkowe nie przechodziły przez cenzurę i wydawane były w wielu zakładach i regionach. Książki „drugiego obiegu” można było nabyć bez większych problemów. Legalnie wychodził ogólnokrajowy „Tygodnik Solidarność” i to w nakładzie 500 tysięcy egzemplarzy.

– Dlaczego więc skończyło się to stanem wojennym?

– Dziś już znane są dokumenty wskazujące na zamysł władz, by w sprzyjającym czasie zdusić „Solidarność”. W sklepach można było kupić coraz mniej towarów. Miało to stworzyć wrażenie, że tak się dzieje przez NSZZ „Solidarność”. Obserwowałem jak komuniści podpisywali liczne tzw. umowy branżowe, po czym niczego z nich nie realizowali. Wszystko po to, by umacniało się wrażenie chaosu i biedy, a celem było by ludzie zatęsknili za powrotem do starego „porządku”.

– Nadszedł 13 grudnia 1981r. Co się stało w wyniku wprowadzenia stanu wojennego? Dlaczego reżim komunistyczny uciekł się do tego pomysłu?

– Po prostu obawiał się utraty władzy. Co się stało w stanie wojennym? Na ulice wyprowadzono czołgi i liczne patrole wojskowe. Chodziło o przestraszenie ludzi. Internowano ponad 10 tysięcy działaczy „Solidarności”, zakazano działalności związków zawodowych; nie wolno było organizować strajków i demonstracji. Wstrzymano wydawanie gazet i zamknięto granice państwa. Wyłączono telefony, a gdy je włączono, jawnie kontrolowano treść rozmów. Obowiązywała godzina milicyjna.

– Czy ludzie bez sprzeciwu przyjęli stan wojenny?

– Komuniści nagle zabrali wolność i dlatego wielu powiedziało: „Nie!”. Strajki w zakładach jednak wybuchały, więc je pacyfikowano przy pomocy wojska, także strzelając do ludzi, jak np. w Kopalni „Wujek”. Przyjmuje się, że w stanie wojennym zabitych

zostało 56-100 osób. Przed 1980 rokiem konspirowałem i mogłem liczyć na współpracę niektórych. Po 13 grudnia mnóstwo ludzi zaangażowało się w zbieranie pieniędzy na podziemną działalność związkową, uczestniczyło w demonstracjach, kolportowało ulotki i gazetki. Skok ilościowy był ogromny.

– Co się działo w Twoim życiu po wprowadzeniu Stanu Wojennego 13 grudnia 1981 roku?

– Zdelegalizowano Związek Zawodowy „Solidarność”, przestał wychodzić „Tygodnik Solidarność”, w którym pracowałem, więc straciłem pracę, ale dzięki temu miałem czas na konspirowanie. Moja teściowa spytała mnie przed Świętami Bożego Narodzenia: „Co teraz będzie, Piotrze?”. Odpowiedziałem: „Jak to? Będzie konspiracja...”. To było dla mnie oczywiste, konspirowałem przed 31 sierpnia 1980 roku i po 13 grudnia nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić do „knucia”. Wiązało się z tym, większe niż wcześniej, zagrożenie. Komunistyczne władze, ogłaszając stan wojenny, groziły wieloletnim więzieniem osobom przeciwstawiającym się wprowadzonym na siłę „porządkom”. Mało co nie wpadłem pod siedzibą warszawskiej „Solidarności”, gdzie gromadzili się ludzie, zaniepokojeni jawną przemocą. Na szczęście w porę ktoś mnie ostrzegł.

– Potem się ukrywałeś?

– Tak. W „Tygodniku Solidarność” zostały różne rzeczy, m.in. kserograf. Zorganizowałem wywiezienie kserografu z „Tygodnika”. Chciałem go wykorzystać do sporządzania ulotek. Ewakuacji maszyny dokonaliśmy absolutnie bezcennie, przenosząc maszynę piwnicą do następnej klatki schodowej. Kierowca redakcyjnego samochodu zawiózł ksero do kryjówki. Po drodze mijaliśmy liczne patrole wojskowe. Obawiałem się, że ktoś o tym doniesie i dlatego postanowiłem się ukryć.

– Jak wyglądało Twoje ukrywanie się?

– Ukrywałem się przez kilka dni. Chciałem się zorientować, czy ubecja mnie szuka. I tutaj była przedziwna historia. Moja żona przyszła do mieszkania mojego kolegi, żeby dowiedzieć się, co u mnie. A ja akurat tzw. przypadkiem też tam przyszedłem. Chwile po niej. Żona odwróciła się, zobaczyła, że wchodzi jakiś facet. Ja, żeby się zamaskować, zgoliłem brodę i ona nie zareagowała w ogóle na mój widok. Dopiero, jak się odezwałem, to mnie rozpoznała.

– Ja też pamiętam, jak wtedy dziwnie wyglądałeś i że też Cię za pierwszym razem nie poznałam.

– Ale ponieważ po zgoleniu brody okazało się, że mam dwa podbródki, to ponownie ją zapuściłem... (śmiej)

– Czy po wprowadzeniu Stanu Wojennego trzeba było się pozbyć z domu wielu różnych „trefnych” rzeczy?

– Tak, mimo legalnej „Solidarności” i pracy w „Tygodniku Solidarność”, w domu składaliliśmy różne książki. Jedną z nich był „Kurier z Warszawy” Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Właściwie był już prawie złożony, ale brakowało kilku fragmentów książki. Stra-

ciłem kontakt z człowiekiem, który był pośrednikiem i trzeba było w związku z tym wywieźć ją z domu, żeby mieszkanie nie było zagrożone.

– Jak to wyglądało?

– Była zima, w związku z tym zapakowaliśmy zadrukowany papier w paczki i sankami rozwoziliśmy po ursynowskich śmietnikach, a na sankach siedziałaś ty, jako dwuletnia konspiratorka. Z ciężkim sercem to robiliśmy, bo książka była naprawdę wspaniała.

– Wiem, że mama bardzo w tamtych czasach bała się o mnie, że przyjdzie milicja, Ciebie nie było, bo się ukrywałaś... Mamę mogliby aresztować i co wtedy byłoby ze mną? Co się działo w takich sytuacjach z dziećmi?

– Mama miała powody do zdenerwowania. Często w takich sytuacjach zabierali dzieci do domu dziecka... Dla mojej żony to były bardzo trudne przeżycia.

– Jak konspirowałeś po wprowadzeniu stanu wojennego?

– Wszystko zaczęło się od ulotek, które przygotowywałem z Janem Strękowskim, znanym mi jeszcze ze studiów. Rozwoziłem je po mieście samochodem „Tygodnika Solidarność”. To było zupełnie wariactwo, ale o dziwo, nikt nas nie zakapował. Uznaliśmy, że ulotki to trochę mało, że warto by zrobić coś więcej – więc założyliśmy „Tygodnik Wojenny”. Do tego potrzebna była cała redakcja. Spotykaliśmy się w mieszkaniu prywatnym, przygotowywaliśmy matryce na maszynie do pisania, wyklejało się matryce, potem się je fotografowało i to szło do druku. Pamiętam, jak na początku stycznia 1982 r. niosłem pierwszy numer „Tygodnika”. Odebrałem go od drukarza przy ulicy Puławskiej, w dużej torbie, na wierzchu były jakieś stare szmaty. Miałem to zanieść do miejsca głównego kolportażu. Po drodze mijałem patrole zomowców. Oni na mnie patrzyli, ja na nich... i jakoś przeszedłem. Druk był na początku bardzo nieczytelny, ale ważne, że zaczęliśmy wydawać naszą gazetę. Potem ukazało się aż 105 numerów „Tygodnika”, w średnim nakładzie 40 tysięcy egzemplarzy. Pismo ukazywało się do 1985 roku. Kawał czasu!

– Jak to było z noszeniem „trefnego towaru” po mieście? Pamiętam, że mówiłeś, że była jakaś akcja z plecakami?

– Tak, podziemie Solidarności zaapelowało, żeby jak najwięcej ludzi nosiło plecaki. Dzięki temu ci, którzy w tych plecakach nosili bibułę (czyli nielegalnie drukowane książki, gazetki) – mogli się ukryć w tej masie plecakowców. Rzeczywiście sporo ludzi je nosiło.

– Chciałabym, żebyśmy opowiedzieli teraz o takim wydarzeniu z mojego dzieciństwa, które bardzo zapadło mi w pamięć. Byliśmy w wakacje nad morzem i spacerowaliśmy po lesie...

– To jest trudne dla Ciebie, czy trochę jesteś z tego dumna?

– Trochę jestem dumna, że coś takiego przeżyłam, ale jak się komuś opowiada, to to jest niesamowite...

– W kilka osób z „Tygodnika Solidarność” wykupiliśmy wczasy w Darłównu nad morzem, nie wiedząc, że w tej miejscowości będą przetrzymywani internowani. Nie wiedzieliśmy też, że będzie tam więziony nasz szef, redaktor naczelny, Tadeusz Mazowiecki.

– Te miejsca, zwane „internatami” były objęte tajemnicą, nie wiadomo, gdzie dokładnie przebywały osoby internowane?

– Tak, choć trochę się to rozchodziło, ale my wcześniej o tym nie wiedzieliśmy. Komuniści chcieli podzielić Związek, dlatego działaczy wywodzących się z inteligencji internowali w ośrodkach wczasowych, a oddzielnie robotników w bardzo ciężkich miejscach odosobnienia. Następnego dnia po przyjeździe do Darłówna wybraliśmy się na spacer, a już wtedy wiedzieliśmy, że gdzieś w tej okolicy znajduje się „internat”. Zbliżyliśmy się od tyłu tego budynku i nagle znaleźliśmy się przy wejściu. Zobaczyliśmy przerażone miny ubeków, pilnujących obiektu. Mogli pomyśleć, że tą ekipą chcieliśmy np. odbić internowanych. Postawili nas pod ścianą, kazali podnieść ręce, zrewidowali...

– Pamiętam do dziś tę sytuację, choć miałam wtedy 3 lata... Wycelowali w nas karabiny i tak długo trzymali nas pod tą ścianą...

– Zabrali mi aparat, bo chcieli zobaczyć, czy miałam jakąś misję szpiegowską. W każdym razie potem przewieziono nas na komendę i wypuszczono. Ale wtedy po raz pierwszy miałam „okazję” przejechać się samochodem milicyjnym.

– I ostatni (śmiech)

– Ja też nie miałam potem już tej przyjemności.

– Ale potem nas śledzili i chodzili za nami po plażach?

– Tak, było dwóch takich ubeków, którzy za nami chodzili i kładli się na kocach obok nas na plaży, zaraz po tym, jak na nią przychodziliśmy. Kiedy już się posmarowali przed opalaniem, to był ten moment, kiedy należało się czym prędzej zbierać, otrzepując na nich piasek z koców. Wtedy sami przenosiliśmy się w inne miejsce.

– W każdym razie oni byli do rozpoznania, dwóch smutnych panów?

– No tak. Skoro ciągle te same twarze, to nie mogło być przypadkowe. Trochę było mi ich żal, bo pewnie chcieli się trochę poopalać, a my im w tym przeszkadzaliśmy. Przeczytałem gdzieś, że w Stanie Wojennym było najwięcej agentów po 1945 r....

– Czyli, że strasznie dużo osób wciągnięto do współpracy i że ciężko było rozpoznać, kto jest kto, kto jest agentem? Do dzisiaj nie wiesz, nie jesteś pewien, co do niektórych osób?

– Tak, miałam możliwość spojrzenia w swoje papiery i nie wszystkich agentów jestem w stanie rozszyfrować. Ale z drugiej strony tam, gdzie Służba Bezpieczeństwa nie miała swojego człowieka – tam była ślepa i głucha i nie wiedziała, gdzie jest redakcja i kto drukuje...

– Posługiwaliście się pseudonimami, może dlatego ciężko Was było namierzyć...

– Tak, ja byłem „Michał”, a potem po latach okazało się, że mówili na mnie też „Bigos” (śmiech). Były pseudonimy, nie wolno było zapisywać adresów, trzeba było ich

się nauczyć na pamięć. Mieliśmy takiego kolegę z kolportażu, który zapisywał adresy na małych kartkach papieru i wkładał w skarpetki.

– I nosił je cały czas w skarpetkach? (śmiech) Ale przy jakiejś rewizji...

– I jak przychodził czasem do nas i zastanawiał się, pod jaki adres ma iść, to je wyjmował i czasem miał dużą trudność, żeby adresy odczytać... (śmiech).

– Pamiętam, jak na początku pytałam, co robicie... Nie rozumiałam, bo mi nie mówiliście.

– To mogło być dosyć trudne dla Ciebie, bo z jednej strony dziecko nie potrafi milczeć, ma taką naturalną ufnosć i szczerość... W związku z tym na początku mówiliśmy Tobie, że się bawimy... czemu Ty się dziwiłaś. Ale kiedyś zauważyliśmy, że masz już swoją mądrość, więc Cię we wszystko z grubsza wtajemniczyliśmy. Pytałaś, co za to grozi...

– Pamiętam, jak co jakiś czas pytałam, co by było, gdyby nas teraz złapali...

– Widocznie jednak się bałaś. Podziwiałem Twoją dyskrecję. Nic nikomu nie powiedziałeś. Trzeba było być dyskretnym też wobec osób z rodziny. My też drukowaliśmy w domu, w kuchni. Kiedyś przyjechała twoja babcia, a moja teściowa i przyjęliśmy ją w pokoju, a w kuchni było wszystko rozłożone. Dostała obiad, chciała potem odstawić naczynia do kuchni, ale absolutnie jej na to nie pozwoliliśmy. Do końca swojego życia nie wiedziała, że wtedy drukowaliśmy w mieszkaniu... Moja mama się zorientowała, nie wiem jak...

– Co groziło za taką działalność w tamtych czasach?

– Wywalenie z pracy, więzienie, pobicie, konfiskata samochodu, jeśli ktoś przewoził coś nielegalnego samochodem. Było więc sporo sposobów nacisku i każdy z nas potrzebował dokonać rachunku, czy jest gotów na to się narażać...

– Jak wyglądała konspiracja, jak to wszystko było zorganizowane, jak się porozumiewaliście?

– Po pierwsze nie było w tamtych czasach komórek, telefony w czasie Stanu Wojennego nie działały, nie można było np. wezwać Pogotowia Ratunkowego (i z tego powodu zmarło wiele osób). Kontakty między ludźmi zostało zerwane, więc trzeba było po prostu jeździć, odwiedzić człowieka, którego adres się znało, innego sposobu nie było, można było umawiać się gdzieś na mieście.

– Pamiętam, że ze mną chodziłeś w różne miejsca...

– Robiłaś za dobre maskowanie. Tatuś z córeczką na mieście – to może nie ma jakichś opozycyjnych zamiarów.

– Pamiętam np. spotkania na placu zabaw... Czy byłeś w jakimś momencie szczególnie zagrożony aresztowaniem?

– Raz mi się zdarzyło otrzeć o ogromne niebezpieczeństwo. Znalazłem się w ekipie, która od emerytowanego mechanika miała się nauczyć napraw i pracy na dużej maszynie offsetowej. Wyjechaliśmy wszyscy pod Warszawę, dokąd ją przewieziono. Przeglądaliśmy się, jak fachowiec remontuje maszynę. Kolejnego dnia zabrakło kilku

elementów i fachowiec pojechał ich szukać do Warszawy. Wyjeżdżając zapowiedział dwudniową przerwę. Pomyślałem sobie – po co mam tutaj siedzieć; pojadę do rodziny. Tak samo zrobił jeszcze jeden kolega. Po tych dwóch dniach wracam i co widzę – w oknie pojawia się ów fachowiec i wykonuje dziwny ruch ręką. Nie wiem, czy odpędza się od much lub komarów. Idę dalej w kierunku furtki. Wychodzi gospodarz, nachyla się do swojego samochodu i też jakby mnie ręką odpędzał. Już wtedy się zorientowałem, że jest wpadka. Rozejrzałem się: nieopodal stał samochód, a w nim czterech smutnych panów... Trzeba było stamtąd uciekać, jak najprędzej, polami, bezdrożami. Zwiewałem, a oni za mną. Miałem pomysł, żeby dotrzeć do Warszawy i czym prędzej zawiadomić szefa NOW-ej, czyli wydawnictwa, dla którego mieliśmy pracować. On znał namiary na kolegę, który, tak jak ja, wyjechał do stolicy i mógł go ostrzec. Ci ludzie, którzy tam wtedy wpadli, poszli siedzieć...

– Uratowała Cię wtedy tęsknota za żoną?

– Tak, i za córką (śmiech)

– Jak to było w konspiracji, czy każdy każdego znał, wszystkich współpracowników?

– Nie, tak nie było, nie znałem ludzi z kolportażu.

– Czyli tych, którzy roznosili wydrukowane egzemplarze ulotek czy książek do ludzi?

– Tak, był główny kolportaż i potem to szło dalej. A więc absolutnie nie wolno było ich znać, ani oni nie mogli znać ludzi z redakcji czy drukujących. Im mniej się wiedziało, tym lepiej. W razie aresztowania nie wydobyliby informacji na ten temat. Ja znałem kilka osób ze ścisłej redakcji, znałem też drukarzy, bo nimi kierowałem. Znałem też jednego człowieka, który robił mi klisze – kilka lat temu okazało się, że to był agent, nie wiedziałem o tym wtedy. Ale na szczęście nie udało mu się wtedy nic złego zrobić, chociaż pewnie bardzo się starał.

– Pamiętam, że w naszym domu wszędzie pochowane były różne gazetki, książki, jak to wyglądało?

– Przede wszystkim nie wolno było zostawiać tego wszystkiego na wierzchu. Ktośkolwiek by przyszedł, nie mógł się zorientować, że tu się coś składa. A jak składaliśmy lub drukowaliśmy książki, to było to naprawdę widoczne. Jak się kończyło pracę, to trzeba to było wszystko rozłożyć, schować do łóżka, za telewizor, na balkon, do piwnicy, wszędzie...

– Pamiętam, jak w korytarzu pod dywanem leżały gazetki, chodziło się po nich...

– Staraliśmy się być pomysłowi...

– Chociaż na pewno, jakby z rewizją przyszli...

– To by się wpadło, nie da się ukryć. Kiedyś drukowałem u starszego pana, który był w młodości harcerzem i zostały mu harcerskie nawyki i on podchodził do sprawy metodycznie. Jak kończyliśmy drukowanie, to elementy sprzętu do drukowania roznosił we wszystkie zakamarki domu. Byłem przerażony, czy uda się to potem poskładać, odnaleźć, ale udawało mu się. Gdyby była rewizja, to na pewno wszystkich elementów u niego by nie znaleźli.

- Czy wzorowaliście się na konspiracji jeszcze z czasów II wojny?
- Myśmy się naczytali o konspiracji wojennej. Mieliliśmy też pomysł, żeby wydać broszurę Aleksandra Kamińskiego o konspiracji, ale było w niej za dużo odniesień do realiów wojennych, dotyczących działań hitlerowców. Ale pomysł był i to przypomnienie w nas było. Zdarzały się też osoby, które działały w konspiracji w czasie wojny w młodości, a potem wracały do konspiracji już tej z lat 80. Dalej to robiły, może czuły się młodo, dalej były potrzebne krajowi, mogły coś zrobić dla Ojczyzny...
- Można popytać rodziców, dziadków, czy coś knuli w tamtych czasach... Myślę, że często młodzież nie zdaje sobie sprawy, że tak niedawno jeszcze ta konspiracja działała...
- Ważne, żeby osoby, które działały w konspiracji solidarnościowej – spotkały się z zainteresowaniem. Zbierałem informacje o ludziach, którzy działali w podziemiu – dla Ośrodka Karta. Dzwoniłem do nich, a oni mówili: „Po co? O tym już nikt nie pamięta, nie chce słuchać...”. Pamiętam, jak tydzień po tygodniu ochota dzielenia się swoimi przeżyciami wzrastała w tych ludziach. Warto być ciekawym...
- A demonstracje, które odbywały się m.in. z okazji 3 maja... Były oficjalne pochody 1 maja...
- Wtedy 3 maja nie był oficjalnym świętem i tego dnia ludzie podziemia sobie odbijali te oficjalne obchody pierwszomajowe. Oczywiście ZOMO szalało, lali wodę, rzucali gazami, pałowali, ganiłi...
- Wszystkich po kolei, nie bacząc, czy kobieta, czy dziecko?
- Tak, pamiętam taką historię. Dwóch milicjantów dorwało się na ulicy do niepełnosprawnego człowieka, po chorobie Heinego-Medina, chcieli go pewnie aresztować. On się przyczepił do saturatora (urządzenie robiące wodę gazowaną), a oni nie byli w stanie go oderwać. Przyleciały dwie kobitki, zrobiły taki jazgot, broniły go, że faceci nie wytrzymali i zrezygnowali (śmiech).
- Te demonstracje odbywały się głównie na Żoliborzu, po Mszach za Ojczyznę?
- Tak, strasznie dużo osób przychodziło na te Msze, to był pomysł ks. Popiełuszki, było dużo śpiewów, z podniesionymi krzyżami. Kiedyś przyjechało do nas małżeństwo Szwedów i bardzo chcieli pojechać na taką Mszę. Nic nie rozumieli, ale czuli atmosferę, bardzo byli nią poruszeni. Ks. Popiełuszko został potem porwany i zabity. I była Msza pogrzebowa, jego ciało złożono na terenie kościoła. Po pogrzebie ogromny tłum ludzi poszedł w kierunku centrum. Też byliśmy tam wtedy. Został mi taki obraz w pamięci. Już w centrum wisiała reklama filmu, który był wtedy wyświetlany w kinach, o tytule „Diabły w Warszawie”. Na tle tego tytułu pojawiło się ZOMO i sikawki – polewaczki z wodą. Próbowałem zrobić zdjęcie, ale niestety nie wyszło... Fotka byłaby niesamowita.
- Ja też chodziłam z Wami na te demonstracje, pamiętam, jak to wyglądało... Pamiętam też, jak potem w szkole trzeba było malować pochodę pierwszomajową...
- No właśnie, jak miałaś 6 lat, przyszłaś smutna do domu. „Co się stało, Magdusiu?” „A bo tylko mojego rysunku pani nie powiesiła...”. Zaczęliśmy drażnić, co narysowa-

łaś. Okazało się, że miałaś narysować pochód pierwszomajowy i narysowałaś taki, jaki znałaś, Solidarnościowy...

– Na pochody nie chodziłam, tylko na demonstrację...

– Namalowałaś naszą rodzinę ze sztandarem „Solidarności”. Zrozumieliśmy, dlaczego pani nie powiesiła rysunku, trochę trzeba ją było wytłumaczyć, bo sympatyczna była... Nasza lodówka zaczęła funkcjonować wtedy jako miejsce wystawowe, obrazek na niej zawisł... A za rok było znów to samo... Znów dzieci miały rysować pochód pierwszomajowy i Ty wtedy też malowałaś demonstrację...

– Już świadomie to malowałam, wiedząc, że nie powinnam...

– To wtedy nie był już jeden sztandar, tylko duża ilość i wiele osób. Tak więc kolejny rysunek trafił na domową wystawę... Byliśmy z tego bardzo dumni, pokazywaliśmy obrazki wszystkim znajomym, którzy do nas przychodzili...

– Czy warto było konspirować, czy zrobiłbyś tak samo, gdybyś jeszcze raz mógł wybierać?

– O dwóch rzeczach chcę powiedzieć – o tym, że to było trudne i że to była żmudna, codzienna praca, czasem w nocy drukowanie – bo potrzeba było np. czym prędzej wydrukować „Tygodnik Wojenny” albo jakąś broszurę, trzeba było szukać miejsc do druku... Pamiętam, jak drukowałem poza miastem i wcześniej w to miejsce, do tego domu, przyjechał cały samochód transportowy, w nim maszyna offsetowa, papier a meble dla niepoznaki. Tam drukowaliśmy dzień i noc. Tak więc to była ciężka praca... Jakby się zastanowić, czy warto było, to myślę, że tak... Jak miałem podpisać list protestacyjny (w obronie represjonowanych robotników Ursusa i Radomia), to się zastanowiłem, czy dalej wyłącznie będę słuchał Radia Wolna Europa, czy dalej będę tylko po cichu w mieszkaniu narzekał na władzę, czy też przyłożę się, choćby moim podpisem, do zmian w moim kraju... Dlatego postanowiłem zacząć działać i nie żałuję tego, co robiłem... Warto było ponieść te trudy i niebezpieczeństwa, chociaż wiem, że moich bliskich to wiele kosztowało...

– Ja zawsze byłem z Was dumna, z tego, co robiliście... ale mama... to było dla niej trudne...

– Ale to też była wspólna praca, razem drukowaliśmy, Ty też z nami – składałaś karteczki. Każdy miał na miarę swoich możliwości jakąś pracę dla Polski. Kiedyś wydano taki artykuł J. Piłsudskiego „Bibuła”, gdzie on opisywał, jak w jakimś mieszkaniu drukował i bardzo się odnalazłem w tych jego wspomnieniach... Po latach się okazało, że mój dziadek konspirował i też ówczesna ubecja, zwana wtedy Ochroną, chodziła po jego śladach i musiał zwiewać. Czyli to konspirowanie przenosiło się z pokolenia na pokolenie, więc może nie można inaczej, może tak właśnie trzeba...

Czesław Piotr Stańczyk

Bibuła 16/2018

Papier, farba... skok

Zakup papieru to było przedsięwzięcie! Sklepy miały polecenie informować o zakupie, zdaje się, więcej niż dwóch, trzech ryz. Najpierw trzeba było przeprowadzić rozpoznanie czy mają papier powielaczowy. On musiał być powielaczowy, bo był miętki, wciągający farbę. Na zwykłym papierze do maszyny do pisania to farba nie schła. Najpierw więc trzeba było się dowiedzieć czy jest papier powielaczowy, wywołując odruch zainteresowania sprzedawczyni. No bo nie każdemu obywatelowi w PRLu był potrzebny akurat powielaczowy. Potem należało zniknąć na jakiś czas, żeby to zainteresowanie zanikło. A następnie podjechać dwiema taksówkami, zakupić pięćdziesiąt ryz i na sygnale zwać, wiedząc, że ona na zapleczu próbuje wykręcić trzycyfrowy numer na bezpiekę. Ale najczęściej to się udawało.

Opowiadał Andrzej Mietkowski (js)

Worek Matek Boskich

Zajmowaliśmy się też jeszcze czymś, co można by nazwać galanterią podziemną, mianowicie znaczki, kotwice, emblematy et cetera, et cetera. To produkowała namiętnie Warszawa, która prawdopodobnie miała lepsze możliwości techniczne. Także Dom Słowa Polskiego, gdzie robiono różne rzeczy z polimeru. I to wchodziło tutaj, na lubelski, ale nie tylko rynek lubelski. Jakiś człowiek kiedyś zaoferował mi dwa worki, nie wiem, czy to się tak odmienia, Matek Boskich Wałęsowskich. Był to jakiś prywaciarz, który wpadł na ten pomysł. No i rzeczywiście ja te dwa worki od niego przejąłem, przeliczywszy dokładnie ilość i potem może z trzy miesiące z tym się bujałem, bo nie sposób było tego szybko upchnąć. Niedawno przeczytałem w internecie takie opowiadanko kolegi z Holandii, który przypomniał mi, że on także był jednym z tych, którzy całą siatkę tego otrzymali i wiozł te Matki Boskie do Zamościa, siatka na przystanku mu się rozleciała, te Matki Boskie na chodnik upadły i miał z tym pewien kłopot logistyczny, no, ale ludzie pomogli mu pozbierać i szczęśliwie pojechał.

Opowiadał Bernard Nowak (js)

Młodzież z partią się rozliczy
– co wydawaliśmy

Młodzieżowa prasa niezależna

- BOP nieregularnik Ruchu „Wolność i Pokój” regionu BOP. Bełchatów. 1988
- AB [Akcja Bezpośrednia] pismo młodzieży przy SW [Agencja Informacyjna Solidarności Walczącej Oddział Pomorze Zachodnie].
- Czterdzieści i Cztery nieregularnik członków i sympatyków NUMS. Białystok. 1989
- Korekta analizy, historia, literatura, propozycje. Białystok. 1987
- Nasz Głos pismo młodzieży szkolnej Białegostoku organ Młodzieżowego Komitetu Obrony Społecznej. Białystok.. 1982-89
- Śledzik białostocki kurier szkolny pismo Niezależnego Zrzeszenia Uczniowskiego. Białystok.. 1989-90
- Ulotna Agencja Prasowa „Tur” Młodzieżowy Komitet Obrony Społecznej w porozumieniu z NSZZ „Solidarność” Region Białystok. Białystok. 1984
- Dzwonek pismo młodzieży szkolnej wydawane przy wsparciu Bielskiego Komitetu Oporu Społecznego. Bielsko-Biała. 1988-90
- Panta Rhei pismo Ruchu Bielskiej Młodzieży Niezależnej. Bielsko-Biała. 1989
- Czerwony Sztandar brzeskie pismo RMN. Brzeg. 1989
- Agnus pismo Ruchu „Wolność i Pokój”. Bydgoszcz. 1988-89
- Bez Cenzury niezależny periodyk. Bydgoszcz. 1989
- Głos Wolnego Ucznia. Bydgoszcz. 1985
- Raport pismo Rady Programowej RMD Wolność Oddział Bydgoszcz. Bydgoszcz. 1985-87
- Spod Ławki Federacja Młodzieży Walczącej. Bydgoszcz. 1987-88
- Ukos-II nieregularnik Bydgoskiej Niezależnej Oficyny Wydawniczej Ukos-II Uczniowski Komitet Oporu Społecznego. Bydgoszcz. 1983-85
- Surowica pismo młodych. Chełm. 1986
- Strzelec magazyn Federacji Młodzieży Walczącej. Chojnice. 1989
- Niezależna Reduta IIIB LO-2. Cieszyń. 1989
- Dyskurs. Częstochowa. 1988-89
- Flauta pismo młodzieży żadnej [Ruch „Wolność i Pokój”]. Częstochowa. 1988-90
- Buffalo młodzieżowy biuletyn informacyjny. Elbląg. 1989
- Dublin nieregularnik WiP. Elbląg. 1988-89
- Partyzant pismo członków i sympatyków NUMS-u Region Elbląg. Elbląg. 1989
- A Cappella. Gdańsk. 1986-89
- A Cappella dodatek ulotny do nieregularnika Ruchu „Wolność i Pokój”. Gdańsk. 1987-88
- Anty pismo Federacji Młodzieży Walczącej uczniów IV L.O. Gdańsk. 1988-89
- Anty-militarysta dodatek informacyjny A Cappelli. Gdańsk. 1988
- Bez Tytułu nieregularnik II LO. Gdańsk. 1988
- BISZ Biuletyn Informacyjny Szkół Zawodowych. Gdańsk. 1984-86
- BIT Biuletyn Informacyjny Topolówka pismo młodzieży III LO. Gdańsk. 1983-88

- BITO-MONITOR superspecjalne wydanie dwóch zaprzyjaźnionych pism młodzieżowych Wyd. strajkowe. Gdańsk. 1988
- Biuletyn Informacyjny Szkół Zawodowych. Gdańsk. 1984-87
- Biuletyn Inspirowany Myślą Sfrustrowanych Twórców FMW. Gdańsk. 1989
- Bratniak pismo młodych. Gdańsk. 1977-81
- Ckumiak nieregularnik FMW CKUME. Gdańsk. 1989-90
- Conradinum pismo Federacji Młodzieży Walczącej przy TSBO – Gdańsk. Gdańsk. 1988-89
- Czas Młodych pismo Niezależnej Unii Młodzieży Szkolnej. Gdańsk. 1989
- Dwójka pismo młodzieży II LO w Gdańsku. Gdańsk. 1984-89
- Dzienniczek Ucznia Siódemki pismo Federacji Młodzieży Walczącej uczniów VII LO Gdańsk. Gdańsk. 1987-88
- Emisariusz biuletyn informacyjny VIII LO. Gdańsk. 1984-85
- Formacja Przyszłość ZS. Gdańsk. 1988-89
- Forum Młodych FMW. Gdańsk. 1989
- Gilotyna niezależne pismo młodzieży I LO w Gdańsku. Gdańsk. 1981
- Głos Szkoły Grupa Młodzieży Niezależnej „Kierunki”. Gdańsk. 1982-83
- Homek pismo Ruchu Alternatywnego. Gdańsk. 1983-90
- Jedenastka [pismo XI LO]. Gdańsk. 1988
- Jednodniówka Gdańskiego środowiska Ruchu Młodej Polski. Gdańsk. 1988
- Jedność niezależne pismo Międzyszkolnego Komitetu Koordynacyjnego „Solidarność Młodych”. Gdańsk. 1984-85
- Jedynka pismo młodzieży I LO w Gdańsku. Gdańsk. 1984-86
- Kierunki niezależne pismo uczniów szkół średnich Grupa Młodzieży Niezależnej. Gdańsk. 1982-83
- Klakson pismo Federacji Młodzieży Walczącej ZSS [Zespołu Szkół Samochodowych] w Gdańsku. Gdańsk. 1989-90
- Komunikat Regionalny Komitet Organizacyjny NUMS. Gdańsk. 1989
- Kres pismo społeczno-polityczne młodzieży Wybrzeża Gdańskiego. Gdańsk. 1984-85
- Krzyk. Gdańsk. 1982
- Libertad. Gdańsk. 1980-81
- Ława pismo uczniów IV Liceum Ogólnokształcącego. Gdańsk. 1988
- Magazyn Topolówka kwartalnik publicystyczny młodzieży III LO w Gdańsku. Gdańsk. 1989
- Mały Wywrotowiec dwutygodnik niezależnego zrzeszenia młodzieży X LO. Gdańsk. 1988-89
- Milo nr 9 miesięcznik informacyjny Liceum Ogólnokształcącego. Gdańsk. 1987-89
- Młodzi Solidarność. Gdańsk. 1987
- MON STOP Ministerstwo Obrony Narodowej – stop Federacja Młodzieży Walczącej i Ruch „Wolność i Pokój” [Ed.] Gdańsk. 1988

- Monit i Mały Wywrotowiec pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Gdańsk. 1988
- Monit pismo Federacji Młodzieży Walczącej FMW IX LO. Gdańsk. 1984-90
- Myśl Niezależna pismo młodzieży IX LO. Gdańsk. 1984
- Na Wewnątrz gazeta V LO. Gdańsk. 1989-90
- Neptun [pismo młodzieżowe dla uczniów szkół zawodowych]. Gdańsk. 1987
- Neptun metafizyczno-naturystyczna gazeta wschodnioeuropejska. Gdańsk. 1988
- Neptun pismo Federacji Młodzieży Walczącej Gdańsk. Gdańsk. 1988
- Norma pismo Federacji Walczącej Liceum Ekonomicznego w Gdańsku. Gdańsk. 1989
- Nowy Kaduceusz miesięcznik literacki młodzieży Topolówki. Gdańsk. 1984
- Opornik pismo V LO. Gdańsk. 1984-88
- Opozycja '88 pismo niezależnych młodzieżowych środowisk politycznych. Gdańsk. 1988
- Panorama Łąkowej pismo FMW ZSZ „Elektromontaż” and ZNTK. Gdańsk. 1989
- Pap-a niezależne pismo młodzieży IV i X LO [Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku]. Gdańsk. 1984
- PAP-a niezależne pismo młodzieży IV LO [w Gdańsku] biuletyn informacyjny agencji FMW. Gdańsk. 1983
- Pet w Maśle biuletyn wewnętrzny Międzyzmiastówki Anarchistycznej. Gdańsk. 1989
- Piard szmatławiec młodych kpiarzy. Gdańsk. 1980
- Piśsudczyk pismo Federacji Młodzieży Walczącej Reg. Pomorze Wschodnie. Gdańsk.. 1989-90
- Podaj Dalej [pismo ukrytych ekstremistów]. Gdańsk.. 1982
- Sieć serwis informacyjny Koła Oporu VIII LO w Gdańsku. Gdańsk. 1985
- Solidarność Młodych pismo niezależnych środowisk młodzieżowych. Gdańsk. 1988-89
- Solidarność Młodych pismo NSZZ „Solidarność” Region Gdańsk. Gdańsk. 1988-89
- Spartakus Strajkowy. Gdańsk. 1988-90
- Śpięcie pismo FMW przy ZSE nieregularnik Federacja Młodzieży Walczącej. Gdańsk. 1989
- Spiskowiec pismo Federacji Młodzieży Walczącej uczniów ZSZ WPK Federacja Młodzieży Walczącej. Gdańsk. 1989
- Startówka pismo Federacji Młodzieży Walczącej SSP 92/SP 90 FMW Zaspą. Gdańsk. 1989
- Szaniec pismo młodzieży Polskiej Partii Niepodległościowej Okręg Gdańsk. Gdańsk. 1989
- Szkolnica pismo uczniów ZSZ, LZ, LO i TE PnOE FMW. Gdańsk. 1989
- Szpalta biuletyn Federacji Młodzieży Walczącej przy VIII LO Gdańsk. Gdańsk. 1988
- Szwejk ulotkowe pismo Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego. Gdańsk. 1986
- Świadomość Klub Myśli Historycznej „Wprost”. Gdańsk. 1981
- Tarcza niezależne pismo szkół średnich – Trójmiasta. Gdańsk. 1985
- Trawa organ międzynarodowego stowarzyszenia dupków żółtych. Gdańsk. 1986-87
- Tu Jedenastka pismo Federacji Młodzieży Walczącej uczniów XI LO. Gdańsk. 1988-89
- U Nas W Dwójce pismo Towarzystwa Miłośników Języka Ojczystego im. Władysława Pniewskiego. Gdańsk. 1989

Uczeń. Gdańsk. 1983
 Uczeń niezależne pismo młodzieży szkolnej. Gdańsk. 1980-81
 Walce niezależne pismo młodzieży II LO w Gdańsku. Gdańsk. 1981
 Walce niezależne pismo parlamentów uczniowskich II i I LO w Gdańsku. Gdańsk. 1981
 Węzeł niezależne pismo młodych robotników. Gdańsk. 1981
 Why Not. Gdańsk. 1989
 Wiatr od Morza pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Gdańsk. 1987-89
 Wprost niezależne pismo młodzieży licealnej. Gdańsk. 1981
 Wtyczka pismo Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Gdańsk. 1989
 XYZ magazyn Grupy „Niezależnych”. Gdańsk. 1985
 Zjadacz Radia pismo dla młodych i bogatych. Gdańsk. 1984
 Zmiana pismo Solidarności Młodych Stoczni Północnej. Gdańsk. 1988-89
 Zwarcie pismo Federacji Młodzieży Walczącej Zespołu Szkół Łączności. Gdańsk. 1988
 Antymantyka magazyn Federacji Młodzieży Walczącej. Gdynia. 1988-90
 Azyl pismo dla myślących. Gdynia. 1989
 Buntownik pismo Federacji Młodzieży Walczącej Zespół Szkół Mechanicznych. Gdynia. 1989
 Krzyk Oksywie magazyn FMW V LO w Gdyni FMW. Gdynia. 1988-89
 Polenta pismo Federacji Młodzieży Walczącej ZSHG. Gdynia. 1989
 Rota pismo Federacji Młodzieży Walczącej IV LO Gdynia. Gdynia. 1988-89
 Ściana [Uczniowski Komitet Odnowy. Gdynia. 1981
 Wacek pismo Federacji Młodzieży Walczącej VI LO w Gdyni. Gdynia. 1989
 Zew pismo Federacji Młodzieży Walczącej Warmii i Mazur. Giżycko. 1989
 Budzik dwutygodnik młodzieży gliwickiej. Gliwice. 1984-85
 FA-art kwartalnik Ruchu „Wolność i Pokój”. Gliwice. 1988-90
 Stan Ducha młodzieżowy dodatek literacki „Manifestacji Gliwickiej”. Gliwice. 1982
 Ekstrema pismo głogowskiej młodzieży niezależnej. Głogów. 1989
 Odwet RMN. Głogów. 1989
 School pismo głogowskiej młodzieży niezależnej. Głogów. 1989
 Kreska pismo Federacji Młodzieży Walczącej Warmii i Mazur. Gołdap. 1988
 Bez Przemocy. Gorzów Wlkp. 1987-88
 Iskra. Gorzów Wlkp. 1982
 Pokolenie niezależne pismo Polski Walczącej. Gorzów Wlkp. 1983-90
 Ruch Młodzieży Niezależnej ulotka – reklama. Gorzów Wlkp. 1989
 Sokół dodatek historyczny. Gorzów Wlkp. 1987-88
 Sokół pismo młodzieży myślącej I LO. Gorzów Wlkp. 1984-88
 Szaniec młodzieżowy biuletyn informacyjny. Gorzów Wlkp. 1983-90
 Zeszyty Samokształceniowe Ruch Młodzieży Niezależnej. Gorzów Wlkp. 1986-87
 Alarm anarchizm. Grodzisk Mazowiecki. 1989

- Ciach WiP Międzyzmiastówka Anarchistyczna. Grodzisk Mazowiecki. 1987-89
- Trans – Atlantyka. Grodzisk Mazowiecki. 1989
- Prawy Zjazdnik organ patriotyczno-terrorystycznego skrzydła Jastrzębia „Głodna Hiena” im. J. Lipawskiego. Jastrzębia Góra. 1981
- Zsyp czyli odwosdonos pismo Międzyszkolnego Komitetu Oporu w Jastrzębiu. Jastrzębie Zdrój. 1988
- Dzienniczek Ucznia pismo alternatywne młodzieży jeleniogórskiej. Jelenia Góra. 1988
- Kotlina pismo niezależnej grupy młodzieżowej. Jelenia Góra. 1988
- Prometeusz Samorządne Organizacje Uczniowskie MKZ NSZZ „Solidarność”. Młodzież. Solidarność. 1981
- Wyspa. Jelenia Góra. 1989
- Implozja. Kalisz. 1989
- Straża kamiennogórski organ RMN. Kamienna Góra. 1988-89
- Szarża. Kamienna Góra. 1989
- Anty-Trio Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej ZSZ. Kartuzy. 1989
- Akcja pismo Akademickich Grup Działania i Organizacji Młodzieżowej Konfederacji Polski Niepodległej. Katowice. 1988
- Brać Uczniowska [Uczniowski Ruch Odnowy red. uczniowie szkół średnich]. Katowice. 1981
- Formacja Przyszłość Klub Młodzieży Solidarnej. Katowice. 1988
- Przebojem pismo Młodzieżowego Ruchu Oporu „Niepodlegli”. Katowice. 1988-90
- Uczniowska Solidarność periodyk bez ambicji politycznych, przeznaczony dla młodzieży. Katowice. 1981
- Nawiasem Mówiąc [pismo członków i sympatyków NUMS przy ZS im. J. Krasickiego] Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej. Kędzierzyn-Koźle. 1988-89
- Larwa pismo Federacji Młodzieży Walczącej Warmii i Mazur. Kętrzyn.. 1987-89
- Jodła pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Kielce. 1989
- Młoda Myśl Ludowa biuletyn informacyjny ZMW „Wici” Ziemi Kieleckiej. Kielce. 1981
- Nurt gazeta ruchu „Solidarność” Regionu Świętokrzyskiego. Kielce. 1988
- Ziemia Kielecka Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Kielce. 1981
- Goniec Młodzieży Młodzieżowa Komisja Koordynująca NSZZ „Solidarność” Pobrzeże. Kołobrzeg. 1983
- Rewers pismo Ruchu „Wolność i Pokój”. Kołobrzeg. 1987-89
- Niezależni miesięcznik konińskiej młodzieży niezależnej. Konin. 1989
- A-TAK. Koszalin. 1989
- Awers Ruch Alternatywnej Młodzieży Polskiej. Koszalin 1989-90
- Unit nieregularnik uczniów Regionu Pobrzeże. Koszalin. 1989
- ABC Młodych pismo informacyjne młodzieży szkolnej. Kraków. 1986-88
- ABC pismo informacyjne młodzieży szkolnej Federacja Młodzieży Walczącej. Kraków. 1987-90

- AC/DC pismo Zespołu Szkół Elektrycznych nr 2 im. Bogdana Włosika FMW. Kraków. 1989-90
- Bess Tytółuf nieregularnik FMW XI-ego L.O. in Cracow. Kraków. 1989
- Bez Cenzury federacyjne pisemko uczniów IV LO w Krakowie. Kraków. 1989
- BMW biuletyn Młodzieży Walczącej. Kraków. 1987-90
- Boa FMW Technikum Geologiczne. Kraków. 1989
- Brygada Ruina pismo Zespołu Szkół Budowlanych nr 2 w Krakowie-N. Hucie. Kraków. 1989-90
- Budzik pismo III LO Federacja Młodzieży Walczącej. Kraków. 1989
- Contra Organizacja Młodzieżowa Konfederacji Polski Niepodległej. Kraków. 1987
- Czterdzieści i Cztery biuletyn informacyjny Młodzieżowej Formacji Reakcyjnej „Dywery”. Kraków. 1982
- Detonator niezależne pismo młodzieżowe KPN Kraków. Kraków. 1988
- Dwunastka pismo szkolne Federacji Młodzieży Walczącej. Kraków. 1989
- Elektryk pismo Zespołu Szkół Elektrycznych nr 2 im. B. Włosika. Kraków. 1988
- FBI Federacyjny Biuletyn Informacyjny Federacja Młodzieży Walczącej. Kraków. 1989-90
- Fotogazetka FMW. Kraków. 1989
- Gadżetka antysamorząd XVI LO. Kraków. 1989
- Iskra pismo uczestników Ruchu „Wolność i Pokój”. Kraków. 1988-89
- Komunikat / Porozumienie Młodych „Niepodległość i Demokracja”. Kraków. 1980
- Krecik. Kraków. 1985
- Kręgi, Kręgi Wspólnoty Nadziei Ruch Cywilizacji Miłości. Kraków. 1984
- Kwit WiP-u Ruch Wolność i Pokój. Kraków. 1989
- Mały Konspirator. Kraków. 1982
- Mury nieregularnik Federacji Młodzieży Walczącej XVI-go L.O. Kraków. 1989
- Nasz Głos biuletyn informacyjno-kulturalny młodzieży walczącej NSZZ „Solidarność” szkół średnich województwa krakowskiego i okolic. Kraków. 1986-88
- Nasze Sprawy pismo Tajnego Komitetu Szkolnego Federacji Młodzieży Walczącej Zespołu Szkół Technicznych Huty im. Lenina. Kraków. 1988-89
- Niecenzurowane pismo Federacji Młodzieży Walczącej VII LO FMW. Kraków. 1989
- Obok pismo młodzieży demokratycznej. Kraków. 1989
- Ogryzek gazetka klasy VI f Szkoły Podstawowej 149. Kraków.. 1989-90
- Pancernik Patiomin organ Naszej Wszechmocnej Organizacji Agentura FMW. Kraków. 1989
- Patria niezależne pismo młodzieży szkolnej. Kraków. 1985
- Piątka czaczaracza Federacji Młodzieży Walczącej V LO. Kraków. 1989
- Podaj Dalej pisemko federacji Młodzieży Walczącej IX LO w Krakowie. Kraków. 1989
- Semafor pisemko FMW Technikum Kolejowego FMW [Federacja Młodzieży Walczącej]. Kraków. 1989-90

- Sen Śmieciarza pismo XI LO. Kraków. 1989
- Solidarność Młodych pismo niezależnych środowisk młodzieżowych. Kraków. 1989
- Spod Ławki pismo grup sympatyków ze szkół podstawowych. Kraków. 1989
- Stan Cywilny pismo garnizonu krakowskiego Ruchu „Wolność i Pokój”. Kraków. 1987-89
- Staszek pismo uczniów szkół ponadpodstawowych. Kraków. 1986-89
- Strzelec pismo Związku Strzeleckiego. Kraków. 1989
- Szkolniak biuletyn informacyjny młodzieży krakowskich szkół średnich. Kraków. 1983
- Śmieiej pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Kraków. 1989
- Uczeń Krakowski niezależny od nikogo organ prasowy. Kraków. 1981
- Vis niezależne pismo krakowskiej młodzieży licealnej. Kraków. 1981
- Wolność i Pokój pismo Ruchu „Wolność i Pokój”. Kraków. 1987-88
- Wronie Zwierciadło. Kraków. 1982-83
- Wyzwolenie pismo młodych katolików. Kraków.. 1980-81
- Zew pismo Niezależnego Związku Młodzieży. Kraków. 1982-83
- ABC Młodych pismo informacyjne młodzieży szkolnej. Kraków-Nowa Huta. 1985-87
- Elektryk pismo Zespołu Szkół Elektrycznych nr 2 im. Bogdana Włosika. Kraków-Nowa Huta. 1988
- Goniec Podkarpacki pismo młodzieży Podkarpacia. Krosno. 1986-88
- Piśsudczyk pismo Młodzieżowego Ruchu „Niepodległość”. Leszno. 1985
- Piśsudczyk Wielkopolski pismo młodzieżowe. Leszno. 1986-89
- Bez Cenzury [miesięcznik II LO w Lubinie] II Liceum Ogólnokształcące. Lubin. 1989
- Biuletyn Okręgowej Rady ZMD w Lublinie. Lublin. 1981
- Czarno na Białym pismo Ruchu Młodzieży Niezależnej „Świt”. Lublin. 1985-87
- Głos Młodych. Lublin. 1982-83
- Kiks dwumiesięcznik uczniów Liceum Plastycznego, Liceum Muzycznego i Liceum Ogólnokształcącego im. Unii Lubelskiej. Lublin. 1981
- Kornik miesięcznik młodzieży szkolnej I LO im. Stanisława Staszica. Lublin. 1981
- Koziołek lubelski serwis informacyjny. Lublin. 1988
- Młodzieżowa Bibuła dla Wszystkich pismo Ruchu Młodzieży Niezależnej „Świt”. Lublin. 1985
- Powiedzmy Zespół Szkół Ekonomicznych im. A.J. Vetterów. Lublin. 1981
- Rekontra pismo Organizacji Młodzieżowej KPN „Zapora” Obszar IV Lublin. Lublin. 1989
- Spotkania niezależne pismo młodych katolików. Lublin. 1977-88
- Szaniec pismo polityczne młodzieży. Lublin. 1980-81
- Świt młodzieżowa bibuła dla wszystkich. Lublin. 1985-86
- To i Owo pismo Grupy Skonfederowanej z Ruchem Młodzieży Niezależnej. Lublin. 1986-88
- Ucho miesięcznik młodzieży szkolnej I LO im. Stanisława Staszica. Lublin. 1981
- Zamojszczak miesięcznik młodzieży II Liceum Ogólnokształcącego im. J. Zamoyskiego. Lublin. 1980-81

- Bomba nieregularnik Międzyszkolnego Komitetu Oporu FMW Reg. Łódzkiego. Łódź. 1989-90
- Czas Jest Nasz pismo młodzieży XII LO im. S. Wyspiańskiego w Łodzi. Łódź. 1981
- Glizda nieregularnik młodych Polaków FMW. Łódź. 1989
- Jednodniówka Łódzkiego Środowiska Ruchu Młodej Polski. Łódź. 1989
- Jutro... in Victis Victi Victuri. Łódź. 1985-87
- Komentarz pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Łódź. 1989-90
- Kormorany biuletyn informacyjno-literacki Niezależnego Ruchu Uczniów Szkół Średnich. Łódź. 1980
- Nieregularnik Federacji Młodzieży Walczącej Region Łódź. Łódź. 1989
- Przezięcie Pały pismo Ruchu „Wolność i Pokój”. Łódź. 1988-89
- Stara Wiara biuletyn Federacji Młodzieży Walczącej [pismo FMW Regionu Centralnego Łódź-Częstochowa]. Łódź.. 1989-90
- Zawsze Solidarni pismo Federacji Młodzieży Walczącej w Łodzi. Łódź. 1989
- Zbroja Międzyszkolny Komitet Uczniowski Federacji Młodzieży Walczącej. Łódź. 1989
- Trybuna Federacyjna Federacja Młodzieży Walczącej. Miechów. 1989
- Korek pismo Ruchu Młodzieży Niezależnej. Międzyrzecz. 1988-90
- Przerywnik Federacja Młodzieży Walczącej Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego. Niepołomice. 1989-90
- Za Pięć Dwunasta pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Nowy Sącz. 1989
- Ponuraczek biuletyn informacyjny uczniów L.O. im. J. Słowackiego w Oleśnicy. Oleśnica. 1989
- Libertus pismo Niezależnej Unii Młodzieży Szkolnej. Olsztyn. 1989
- Omega Federacja Młodzieży Walczącej. Olsztyn. 1985
- Rezonans czasopismo Samorządu Uczniowskiego „Od Nowa” przy Zespole Szkół Mechaniczno-Elektrycznych im. Tadeusza Kościuszki. Olsztyn. 1981
- Sąd Kapturowy pismo FMW WiM [Warmii i Mazur] Olsztyn. Olsztyn. 1989
- Agitka Ruchu Wolność I Pokuj[!]. Opole. 1989
- Alternatywa miesięcznik młodzieżowy Organizacja Młodzieży Niezależnej. Opole. 1987-88
- Dobry Jaśko. Opole. 1989
- Down-Art pisemko Pierwszej Opolskiej Artystycznej Grupy Działań Depresyjnych. Opole. 1989
- Gazeta Wybiórcza pismo Młodzieżowego Ruchu Oporu Solidarności Walczącej – Opole. Opole. 1989
- Młokos pismo młodzieży Regionu Śląska Opolskiego „Solidarność”. Opole. 1985
- Na Bieżąco serwis informacyjny Młodzieżowej Grupy Niepodległościowej „Pokolenie 80-88”. Opole. Solidarność. 1989-90
- Pokolenie [Osiemdziesiąt-Osiemdziesiąt Osiem] 80-88 niezależne pismo młodych [pismo Młodzieżowej Grupy Niepodległościowej]. Opole.. 1988-89

- Serwis Informacyjny Ruchu „Wolność i Pokój”. Opole. 1987-88
- Zły Jaśko biuletyn opolski Koło „Nowa Kultura” Ruch „Wolność i Pokój”. Opole.. 1989
- Quo Vadis Ruch Młodzieży Ostródzkiej. Ostróda. 1989
- Z Podniesioną Głową pismo Ruchu Katolickiej Młodzieży Niepodległościowej. Piaseczno. 1989
- Akcja młodzieżowe pismo PPS. Płock. 1988
- Elektryk niezależne pismo uczniów Zespołu Szkół Elektrycznych w Płocku. Płock. 1989
- Jagielloniak pismo szkolne FMW LO im. Władysława Jagiełły. Płock. 1989
- Małachowiak pismo szkolne L.O. im. Stanisława Małachowskiego. Płock. 1989
- Młody Konfederat pismo grupy młodzieżowej KPN Okręg Płock. Płock. 1981
- Orlęta FMW. Płock. 1986-88
- Orlęta FMW. Płock Kutno. 1986-89
- Agora nieregularnik młodzieży I LO Poznań. Poznań. 1986-89
- Antykomucha nieregularnik uczniów Technikum Mechanicznego im. KEN przy HCP. Poznań. 1989
- Archiwum pismo historyczne SKOS. Poznań. 1988-89
- Echo Dwójki pismo uczniów II LO im. H. Modrzejewskiej. Poznań. 1985-87
- Ekoforum nieregularnik ekologiczny Ruchu „Wolność i Pokój”. Poznań. 1988
- Forum pismo młodzieży poznańskiej. Poznań. 1985
- Głos Orląt Organizacja Młodzieżowa KPN Okręgu Poznańskiego. Poznań. 1989
- Głos SKOS-ów pismo Komisji Koordynującej Szkolnych Kół Oporu Społecznego. Poznań. 1982-89
- Gzub pismo młodzieży przy Solidarności Walczącej Oddz. Poznań. Poznań. 1989
- Już Jest Jutro niezależny głos artystyczny. Poznań. 1987-89
- Kultura Niezależna niezależne pismo młodych. Poznań. 1983
- Młodzi Walczą niezależne pismo młodych. Poznań. 1984-85
- Młodzież Wszechpolska. Poznań. 1988
- MON STOP (Poznań) Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej [Ed.] Poznań. Poznań. 1988
- Nie pismo młodzieży VIII LO w Poznaniu. Poznań. 1986-87
- Ość pismo inicjatywy działań niekonwencjonalnych. Poznań. 1989
- Pokolenie Walczące antysocjalistyczne pismo młodych. Poznań. 1983-85
- Signum [wyd. przy współpracy z Ruchem „Wolność i Pokój”]. Poznań. 1988-8
- Świadectwo pismo młodzieży V i VI LO w Poznaniu. Poznań. 1988-89
- Wiarus pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Poznań. 1989-90
- Wiraż pismo Szkolnych Komitetów Oporu Społecznego. Poznań. 1982
- Wolny Licealista. Poznań. 1982-83
- Wybór [pismo młodzieżowe poświęcone kulturze]. Poznań. 1988
- Bełkot Przemyski. Przemyśl. 1987
- Kresowiak pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Przemyśl. 1989

U.K.R.aina pismo anarchistów. Przemysł. 1987

Zatoka pismo Federacji Młodzieży Walczącej Ośrodek Puck. Puck. 1989

Zawiszak niezależne pismo drużyn zawiszackich L.O. im. A.J. Czartoryskiego w Puławach. Puławy. 1980-81

Zgrzyt pismo młodzieży wydawane przy drużynach NRH i II LO. Puławy. 1981

Tęcza nieregularne pismo Grona Młodzieży Niezależnej. Racibórz. 1989-90

Konfederat pismo Organizacji Młodzieżowej KPN przy VI L.O. im. J. Kochanowskiego w Radomiu. Radom. 1989-90

Solidarność Młodych miesięcznik. Radom. 1989

Twierdza pismo młodych. Radom. 1989-90

UFO-R uczniowski front odmowy. Radom. 1987

Szlaban pismo Federacji Młodzieży Walczącej przy ZSR. Rusocin. 1989

Ekspulsja pismo Klubu Młodzieży ROW-u. Rybnik.. 198

Zmowa pismo Federacji Anarchistycznej. Rzeszów. 1989-90

Bąbel. S. L. 1979, 1981

Czesiek pisemko. S. L. 1981

Informa nieregularne pismo młodych Piłsudczyków. S. L. 1981

Kupa krótki uczniowski przegląd aktualności organ samorządu szkolnego. S. L. 1988

Legion Młodych pismo młodych. S. L. 1984

Wojsko i Ty [Ruch Społeczeństwa Alternatywnego]. S. L. 1985

Żołnierz Polski czyli jak i o co walczyć. S. L. 1981

ABC Ruch Młodej Polski Region „Podlasie”. Siedlce. 1981

Młoda Myśl niezależne pismo Ruchu Młodej Polski Regionu „Podlasie”. Siedlce. 1981

Paranoja nieregularnik frontu artystycznego „Sabinka”. Siedlce. 1986

Licealista miesięcznik Ruchu Młodzieży Solidarnej. Sieradz. 1989-90

Cambridge pismo Federacji Młodzieży Walczącej ZSH [Zespołu Szkół Handlowych]. Sopot. 1989

Iż Pojmem Ducha Praw ... Duszpasterstwo Harcerskie. Sopot. 1986-87

Rota (Sopot). Sopot. 1980-81

Twe-twa epismo uczniów Trójmiasta. Sopot. 1989

Bajtel. Sosnowiec. 1987-89

Obecni pismo młodych i wolnych ze Stalowej Woli. Stalowa Wola. 1989

Biuletyn Informacyjny [Tymczasowy Międzyszkolny Komitet Uczniowski].Starachowice. 1989

Liczą się Czyny pismo młodzieży walczącej. Strzelin. 1988-90

Manowce Zespół Szkół Zawodowych im. Bohaterów Westerplatte. Strzelin. 1989

RMS biuletyn informacyjny Ruchu Młodzieży Solidarnej. Sulechów. 1987, 1989-90

Ława niezależne pismo młodzieży suwalskiej. Suwałki. 1980-81

Ad Vocem dwutygodnik informacyjny WiP. Szczecin. 1987-90

- Chaos bibuła niezależna Technikum Mechaniczno-Energetycznego Federacja Młodzieży Walczącej. Szczecin. 1989
- Echo szkolna bibuła Federacji Młodzieży Walczącej Liceum Portowe. Szczecin. 1989
- Federatka szkolna bibuła Federacji Młodzieży Walczącej Liceum Portowe ZSZ ZPS. Szczecin. 1989
- Gryfiak pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Szczecin. 1989
- Lustro Federacja Młodzieży Walczącej Pomorze Zachodnie. Szczecin. 1986-89
- Metal pismo Federacji Młodzieży Walczącej w Szczecinie ZSM nr 1. Szczecin. 1989
- Pismo Ruchu „Wolność i Pokój”. Szczecin. 1987-89
- PMW Polska Młodzież Walcząca. Szczecin. 1984
- Pranie Mózgu FMW Ruch Społeczeństwa Alternatywnego. Szczecin. 1986
- Skafander magazyn literacki. Szczecin. 1988-89
- Słowo pismo Ruchu Katolickiej Młodzieży Niepodległościowej. Szczecin. 1988
- Szydło szkolna bibuła Federacji Młodzieży Walczącej LO nr 1. Szczecin. 1989
- UFO pismo Uczniowskiego Front Odnowy. Szczecin.. 1981
- Penetrator biuletyn informacyjny „FMS” wolna myśl historyczna przy I LO w Świdnicy. 1981
- Pravda pisemko Ruchu Młodzieży Niezależnej. Świebodzice. 1988
- BIŚ Biuletyn Informacyjny Świecia Federacja Młodzieży Walczącej. Świecie. 1989
- Reformator Federacja Młodzieży Walczącej. Świecie. 1989
- My pismo młodzieży Liceum Ogólnokształcącego w Świnoujściu. Świnoujście. 1981
- BIMST Biuletyn Informacyjny Młodzieży Szkolnej Tarnowa pismo Federacji Młodzieży Walczącej miasta Tarnowa. Tarnów. 1988-89
- Wojtek podkarpackie pismo młodzieży. Tarnów. 1985
- Konik nieregularnik Federacji Młodzieży Walczącej Region Tomaszów Mazowiecki. Tomaszów Mazowiecki. 1988
- Kornik. Tomaszów Mazowiecki. 1988
- Bastion młodzieżowy miesięcznik społeczno-historyczny. Toruń. 1984
- Bełkot. Toruń. 1989-90
- Droga nieregularnik III LO NUMS. Toruń. 1989
- Grześ pismo nasze skierowane jest do uczniów szkół ponadpodstawowych, jak również do wszystkich tych, którym nieobca jest sprawa naszej wspólnej przyszłości. Toruń. 1984-85, 1990
- Impuls pismo Ruchu „Wolność i Pokój”. Toruń. 1989
- MON STOP Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej [Ruch] „Wolność i Pokój”. Toruń. 1988
- Nawa pismo młodych katolików [pismo wydawane pod auspicjami Ruchu „Wolność i Pokój”]. Toruń. 1988-89
- Pochop pismo młodzieży Torunia. Toruń. 1989-90
- Prawda BIS nr 13. Toruń. 1981

- Quo Vadis [Grupa Poszukiwania Alternatywnych Sposobów Oporu Społecznego]. Toruń. 1983
- Tadzio pismo IV Liceum Ogólnokształcącego imienia Tadeusza Kościuszki. Toruń. 1989
- Telegram pismo uczniów szkół średnich Torunia. Toruń. 1988
- Victoria Niezależne Struktury Młodzieżowe KPN Toruń. Toruń. 1987-89
- Jesteśmy gazetka uliczna Ruchu Młodzieży Niezależnej. Wałbrzych. 1988
- MON STOP uczniowski biuletyn UB dodatek anarchistyczny [Ruch Młodzieży Niezależnej] [Ed.] Wałbrzych. Wałbrzych. 1988
- Quo Vadis pismo młodzieży szkół wałbrzyskich. Wałbrzych. 1989
- SB Szkolny Biuletyn rozporowychodnik młodzieży szkół wałbrzyskich. Wałbrzych. 1981, 1988-90
- Uczniowski Biuletyn. Wałbrzych. 1981
- Bakcyl pismo niecodzienne frustracje, problemy, negacje. Warszawa. 1989
- Bez Debitu nieregularne pismo młodzieży warszawskiej. Warszawa. 1982
- Bez Przyłbicy pismo Niezależnego Zrzeszenia Uczniowskiego SKOS II LO im. St. Bato-rego w Warszawie. Warszawa. 1981
- Bibuła biuletyn informacyjny Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. Warszawa. 1983
- BIMPOL biuletyn informacyjny młodzieży polskiej. Warszawa. 1987-89
- Biuletyn Federacji Anarchistycznej. Warszawa. 1989-90
- Biuletyn Informacyjny NOM. Warszawa. 1983
- Biuletyn Informacyjny Regionalnego Komitetu Założycielskiego Niezależnej Unii Młodzieży Szkolnej. Warszawa. 1989
- Biuletyn Informacyjny Ruchu Harcerskiego Rzeczypospolitej. Warszawa. 1989
- Biuletyn Informacyjny Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej. Warszawa. 1989
- Biuletyn Oporu organ uczniowskiego Frontu Odnowy pismo nieperiodyczne. Warszawa. 1982
- Biuletyn WiP Ruch „Wolność i Pokój”. Warszawa. 1986-87
- Bolek pismo młodzieży I LO [im. B. Limanowskiego] Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej. Warszawa. 1989-90
- Bomba pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Warszawa. 1989
- Bulwa niezależny biuletyn młodych demokratów z Konopczyńskiego „Solidarność”. Warszawa. 1989-90
- Bunt. Warszawa. 1984
- Cognitio. Warszawa. 1985
- Czas Przyszły Ruch „Wolność i Pokój”. Warszawa. 1987-89
- Czwarta Fala. Warszawa. 1988
- Dezterter dwutygodnik informacyjny Ruchu „Wolność i Pokój”. Warszawa. 1987-88
- Donosiciel pismo młodzieży Reya. Warszawa. 1989

- Emisariusz biuletyn informacyjny VIII LO Koło Oporu VIII LO. Warszawa. 1984-85
- Filaret niezależna gazетка młodych. Warszawa. 1982
- Fraternite. Warszawa. 1989
- Gazeta Młodego Konfederata pismo grup młodzieżowych KPN. Warszawa. 1981
- Gazeta Rządowa organ Rady Uczniowskiej XIV Liceum Ogólnokształcącego. Warszawa. 1989
- Gazetka Zespołu Szkół Fototechnicznych. Warszawa. 1989
- Gnom gazeta Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. Warszawa. 1982-83
- Harcownik miesięcznik młodzieżowy. Warszawa. 1983-84
- Hotel Lambert pismo młodzieży Polskiej Partii Niepodległościowej. Warszawa. 1988-90
- Informa (Warszawa) MKO. Warszawa. 1986
- Informator Uczniowskiego Ruchu Odnowy. Warszawa. 1981
- Informator związek Młodzieży Demokratycznej Okręgu Warszawskiego. Warszawa. 1981
- INTRO biuletyn informacyjny „Solidarności” uczniowskiej – Czacki. Warszawa. 1989
- Iskernik Szczep 81. Warszawskich Drużyn Harcerzy. Warszawa. 1986-87
- Izm pismo młodzieżowe. Warszawa. 1981
- Jaskółka czasopismo literackie [Klub Literacki w XLI LO im. J. Lelewela]. Warszawa. 1981
- Kabel miesięcznik uczniowski. Warszawa. 1981
- Katatymia kwartalnik nieregularny. Warszawa. 1987-88
- Kombinat niezależne od zgredowskich elit pismo młodych. Warszawa. 1989
- Korespondent informator młodzieżowy. Warszawa. 1988-89
- Kosik. Warszawa. 1982
- Kryzys pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Warszawa. 1989
- Legion pismo centralne Federacji Młodzieży Walczącej. Warszawa. 1989
- Lolek niezależny biuletyn informacyjny Liceum nr 1 w Warszawie. Warszawa. 1989
- Łącznik do harcerek i harcerzy Warszawy. Warszawa. 1987-88
- Łącznik Duszpasterstwo Harcerskie. Warszawa. 1987-88
- Młoda Polska organ Pierwszej Młodzieżowej Brygady Niepodległościowej. Warszawa. 1982-83
- Młodzież Narodowa pismo Narodowego Odrodzenia Polski. Warszawa. 1988-89
- Mucha pismo szkół podstawowych. Warszawa. 1987-88
- Na Prawach Rękopisu pismo Rady Szkolnej XLI LO im. J. Lelewela [w Warszawie]. Warszawa. 1987
- Na Przeciw czasopismo RMD „Wolność”. Warszawa. 1985-86
- Nasz Głos niezależna gazeta młodzieżowa. Warszawa. 1983
- Nasza Walka pismo organizacji „Solidarność Młodych”. Warszawa. 1989
- Nasze Wiadomości pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Warszawa. 1985-89
- Neopromień pismo nieregularne XXVII L.O. [im. T. Czackiego] w Warszawie. Warszawa. 1988

- Nie Chcemy Komuny pismo członków i sympatyków Konfederacji Polski Niepodległej
Ob. I Warszawa. Warszawa. 1986-90
- Nowe Horyzonty pismo młodzieżowe. Warszawa. 1986-90
- Okienko niezależne pismo dzieci. Warszawa. 1986-89
- Orzeł niezależny tygodnik młodzieżowy. Warszawa. 1982-84
- Piknik biuletyn informacyjny Niezależnej Grupy Samorządowej AISA „eksperyment”
– Górski. Warszawa. 1989
- Pleśniadek miesięcznik młodzieży XXX LO. Warszawa. 1989
- Pod Prąd miesięcznik młodzieży szkół średnich. Warszawa. 1988-89
- Pokolenie. Warszawa. 1982-83
- Pokolenie niezależne pismo młodzieży. Warszawa. 1982
- Polska Młodych katolickie pismo młodzieży. Warszawa. 1982
- Próba niezależny dwutygodnik młodzieży. Warszawa. 1989
- Prymityw [gazetka XLI Liceum Ogólnokształcącego im. J. Lelewela w Warszawie]. Warszawa. 1986-87
- Pryzmat niezależne pismo młodzieży akademickiej. Warszawa. 1980-81, 1988-89
- Przedświt pismo Międzyszkolnego Komitetu Odnowy. Warszawa. 1981
- Refleks dwutygodnik młodych KPpRM. Warszawa. 1981
- Rewolta nieregularny brukowiec warszawskich anarchistów. Warszawa. 1989-90
- Róbmę Swoje pismo Z.S.Z. „Huty Warszawa”. Warszawa. 1988
- Salwa pismo Frontu Wyzwolenia Społecznego Federacja Anarchistyczna. Warszawa. 1989-90
- Sarmata pismo Federacji Młodzieży Walczącej. Warszawa. 1989
- Semafor pisemko FMW Technikum Kolejowego FMW [Federacja Młodzieży Walczącej. Warszawa. 1989-90
- Serwis Informacyjny CZI Federacja Młodzieży Walczącej, Centralny Zespół Informacji. Warszawa.. 1984-85
- Serwis Informacyjny Ruchu „WiP”. Warszawa. 1986-87
- Serwis Informacyjny Uniwersytet Warszawski [Związek Młodzieży Demokratycznej]. Warszawa. 1981
- Shool Sempołowska informacje. Warszawa. 1989
- Siedemnastka miesięcznik pod redakcją uczniów XVII LO im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Warszawa. 1987-89
- SIS Serwis Informacyjny Solidarności. Warszawa. 1988-89
- Słowo Niepodległe pismo katolickiej młodzieży niepodległościowej. Warszawa. Solidarność. 1987-89
- Sto Jeden pismo młodzieży Liceum Lelewela i Górskiego. Warszawa. 1988-89
- Stop informator pismo młodzieży szkolnej. Warszawa. 1989-90
- Strzelec pismo Konfederacji Polski Niepodległej organ KAB [Kierownictwa Akcji Bieżącej] Organizacji Młodzieżowej KPN. Warszawa. 1983

- Sulimczyk pismo 16 WDH im. Zawiszy Czarnego. Warszawa. 1987
- Sympatyk niezależne pismo młodzieży Mazowsza. Warszawa. 1983-84
- Szaniec pismo Związku Młodzieży Narodowej. Warszawa. 1981
- Szklane Domy biuletyn informacyjny Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. Warszawa. 1983
- Szkoła Polska. Warszawa. 1982-83
- Szmata rot and roll. Warszawa. 1979
- Świt Niepodległości pismo grupy afiliowanej przy Konfederacji Polski Niepodległej Obszar I Warszawa. Warszawa. 1986-90
- Tasak pismo ZMD. Warszawa. 1981
- Teka niezależny informator międzyszkolny. Warszawa. 1982-84
- Trans organ Partii Radykalnej w Polsce gazeta nie codzienna. Warszawa. 1988
- Tu Jest Polska pismo Ruchu Katolickiej Młodzieży Niepodległościowej. Warszawa. 1988-90
- Tygodnik MRO. Warszawa. 1984
- Uczeń Polski niezależne pismo młodzieży szkolnej. Warszawa. 1979-81, 1983-84, 1988
- Wektor niezależne pismo uczniowskie. Warszawa. 1982-84
- Wiadomości i Dokumenty Ruchu Wolność i Pokój. Warszawa. 1988
- Wielka Gra młodzieżowe pismo oświaty niezależnej. Warszawa. 1987-89
- Wieści Szkolne. Warszawa. 1982
- Wolny Gryf Zespół Szkół Poligraficznych. Warszawa. 1988
- Wolny Uczeń nieregularnik Konfederacji Młodzieży Polskiej wydawany przy współpracy z Federacją Młodzieży Walczącej. Warszawa. 1989
- Wprost niezależne pismo młodych Polaków. Warszawa. 1980
- Wprost pismo młodych. Warszawa. 1986-87
- Wydarzenia pismo informacyjne młodzieży szkół Warszawy. Warszawa. 1987-90
- Żandarm Wolności nieregularne pismo młodzieży warszawskiej. Warszawa. 1982
- Młody Ursus pismo młodzieży solidarnej i Ruchu „Wolność i Pokój”. Warszawa – Ursus. 1989
- Bądź Gotów miesięcznik instruktorów i harcerzy starszych Hufca ZHP Wejherowo. Wejherowo. 1986
- Wolni pismo Federacji Młodzieży Walczącej Wejherowo. Wejherowo. 1989
- [Czwarta B] 4-B Bez Domu Niezależna Unia Młodzieży Szkolnej. Włocławek. 1989-90
- Fu!rczość. Wodzisław Śląski. 1989
- Pankordet uwolnić słonia. Wołomin. 1989
- [Dziesiątka] X niezależne pismo X LO. Wrocław. 1987
- [AA] pismo Pomarańczowej Alternatywy]. Wrocław. 1981
- [AA] gazeta surrealistyczna. Wrocław. 1981
- 2 Razówka informator BWN. Wrocław. Solidarność. 1989
- Akcent pismo okolicznościowe wydane przez Szkolny Komitet Uczniowski IX LO. Wrocław.. 1989

- Antyk antykomunistyczne pismo Grupy Solidarności Walczącej. Wrocław. 1987
- Balon gazetka szkolna ZSE we Wrocławiu. Wrocław. 1988
- Banita. Wrocław. 1986-87
- Barykada pismo Federacji Młodzieży Walczącej Oddział Wrocław. Wrocław. 1989-90
- Biuletyn Informacyjny redakcje pism „Sumienie” i „Liczą Sił Czyny”. Wrocław. 1988
- BIUST Biuletyn Informacyjny Uczniów Szkół Technicznych nieperiodyczne pismo młodzieży szkolnej. Wrocław. 1987-89
- BUSZ Biuletyn Uczniów Szkół Zawodowych pismo MK „S” NSZZ „Solidarność”. Wrocław. 1989
- Być Albo Nie Być niezależne pismo III LO im. Adama Mickiewicza. Wrocław. 1985-86
- Chcąc Nie Chcąc nieregularnik uczniów V LO. Wrocław. 1989
- Co Było? serwis informacyjny Ruchu „WiP”. 1988
- Co u Nas pismo młodzieży szkolnej. Wrocław. 1984-85
- Czkawka dziennik wegetów. Wrocław. 1988
- Demokracja prawa społeczne Ruch Młodzieży Niezależnej Dolny Śląsk. Wrocław. 1989
- Dezterter nowi więźniowie sumienia. Wrocław. 1987-88
- Dodatek Ekologiczny wyczytane w prasie i nie tylko. Wrocław. 1988
- Dwunastka pisemko uczniów XII LO Wrocław. Wrocław. 1989
- First Lady wychodnik obozowy jednodniówka poobozowa RMN. Wrocław. 1989
- Gołąbek ZSŁ [Zasadnicza Szkoła Łączności], Wrocław. Wrocław. 1989-90
- Gryps Uczniowski Front Odnowy. Wrocław. 1989-90
- Hej informator uczniowski. Wrocław. 1988-89
- Impuls niezależny miesięcznik młodzieży. Wrocław. 1983-86
- IPA Integracyjny Papier Anarchistyczny. Wrocław. 1989
- Iskierka pismo młodzieżowe. Wrocław. 1985
- Jawniak organ SKU 3 LO. Wrocław. 1989
- Jawniak organ SKU 3 LO. jednodniówka. Wrocław. 1989
- Kamień Wyrostka. Wrocław. 1984-85
- Kaskoda nieregularne pismo młodzieży EZN-u. Wrocław. 1989
- Koliber konserwatywno-liberalne pismo młodzieży. Wrocław. 1985-88
- Kotwica pismo młodzieżowe. Wrocław. 1985
- Kropelka dodatek społeczno-kulturalny pisma młodzieży szkolnej „Co u Nas”. Wrocław. 1984
- Le Va Tyva. Wrocław. 1986
- Manifest PKWN 2 MKO [Międzyszkolny Komitet Oporu]. Wrocław. 1987
- Młody Demokrata organ Okręgowej Rady ZMD Dolnego Śląska. Wrocław. 1981
- Młody Robotnik pismo Związku Młodzieży Pracującej „Robotnik”. Wrocław. 1981
- Młody Technik niezależne pismo uczniów Zesp. Szkół Mech.-Elektr. Wrocław. 1987
- Młodzież pismo Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. Wrocław. 1983-84

- MON STOP [Międzyszkolny Komitet Oporu]. Wrocław. 1988-89
- Na Przemiał jednodniówka obozowa Międzyszkolny Komitet Uczniowski. Wrocław. 1989
- Nasza Buda pismo uczniów SP 97. Wrocław. 1989
- Neptuś nieperiodyczne pismo uczniów Zespołu Szkół Elektronicznych RMN MKU. Wrocław. 1988-89
- Nieperiodyczny Biuletyn Informacyjny ZSZ ŻŚ. Wrocław. 1987
- Niezależna TKSBK nieregularnik XIV LO. Wrocław. 1988
- Niezależny Biuletyn Informacyjny. Wrocław. 1987
- No! Fiócher zapiski obozowe Międzyszkolny Komitet Oporu. Wrocław. 1989
- Number Nine '9 niezależne pismo IX LO. Wrocław. 1987
- Nyś pismo młodzieży szkolnej XII LO. Wrocław. 1987
- Od Pał do Pał organ Grupy Działań Dziwnych RKL [ukazuje sił tylko na terenie SP 5]. Wrocław. 1988
- Odkłamane Wiadomości Historyczne pismo wydawane przez NSZZ „Solidarność” Region Dolny Śląsk z przeznaczeniem dla młodzieży Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ „S” Region Dolny Śląsk. Wrocław. 1984
- Piśsudczyk pismo Młodzieżowego Ruchu „Niepodległość”. Wrocław. 1985
- Pokolenie niezależne pismo młodzieży VII LO. Wrocław. 1987
- Polka pismo nowe, niepoważne i jajowe MKO Dolny Śląsk. Wrocław. 1988
- Pomarańczowy Małolat. Wrocław. 1988
- Poza Kontrolą. Wrocław. 1987
- Prolet organ [Pomarańczowej Alternatywy]. Wrocław. 1987-88
- Pytania. Wrocław. 1983
- Quo Vadis? Uczniowski Komitet Odnowy Społecznej UKOS. Wrocław. 1980-81
- Samochodzik niezależne pismo Zespołu Szkół Samochodowych nr 2, ul. Borowska 105. Wrocław. 1987
- Serwis Ekologiczny Ruchu „Wolność i Pokój”. Wrocław. 1988-89
- Serwis Informacyjny dodatek do pisma Krajowej Rady Związku Młodzieży Demokratycznej Młody Demokrata. Wrocław. 1981
- Serwis Informacyjny Dolnośląskiej Okręgowej Rady Związku Młodzieży Demokratycznej. Wrocław. 1981
- Serwis Informacyjny Młodzieżowego Ruchu Oporu „Solidarność” Dolny Śląsk. Wrocław. 1984
- Solidarność Młodzieży pismo Młodzieżowego Ruchu Oporu „Solidarność”. Wrocław. 1985-88
- Szkoła Międzyszkolny Komitet Oporu. Wrocław. 1986-90
- Szkoła Podziemna. Wrocław. 1985-86
- Ściana obozówka koncentracyjna. Wrocław. 1989
- TKSBK nieregularnik XIV LO. Wrocław. 1989
- Tra-Lala. Wrocław. 1987
- Trójka nieregularnik uczniów III LO Liceum Mickiewiczowskie. Wrocław. 1989

- Tytuł Bez Znaczenia Międzyszkolny Komitet Uczniowski. Wrocław. 1989
- Tytuł Później kurier ekologiczny WiP – Wrocław. Wrocław. 1987
- U Siebie gazeta plakatowa Ruchu Młodych Katolików „U Siebie” Wrocław. Młodzież. 1989
- Uczeń Niepokorny nieperiodyczne pismo uczniów szkół elektronicznych. Wrocław. 1988
- Ukosem pismo Międzyszkolnego Uczniowskiego Komitetu Odnowy Społecznej. Wrocław. 1981
- Uwolnić Frasyniuka biuletyn informacyjny. Wrocław. 1986
- Verbum niezależne pismo V L.O. Wrocław. 1985-86
- W Brew pismo Ruchu „Wolność i Pokój” oraz krewnych i przyjaciół królika. Wrocław. 1987-89
- W Służbie Narodu organ Cewy jednodniówka poobozowa. Wrocław. 1989
- Wieszcz miesięcznik literacko-historyczny Międzyszkolnego Komitetu Oporu wchodzącego w skład Federacji Młodzieży Walczącej. Wrocław. 1986
- WiP pismo Ruchu „Wolność i Pokój”. Wrocław. 1986-87
- WiPek organ kilku uczestników Ruchu „Wolność i Pokój” z Wrocławia. Wrocław. 1988-89
- Wirus. Wrocław. 1989
- Witamy w Szkole Międzyszkolny Komitet Oporu FMW Dolny Śląsk. Wrocław. 1987-89
- Wolna Polska pismo Rady Regionalnej Młodzieżowego Ruchu Oporu „Soidarność” Dolny Śląsk. Wrocław. 1982-89
- Wolności Błyszczcy Zorza nieregularnik IX LO im. Juliusza Słowackiego. Wrocław. 1989-90
- Wściekle Psy serwis informacyjny Wspólnoty „Wolność i Pokój”. Wrocław. 1989
- Wyrostek pisemko młodzieży szkolnej. Wrocław. 1983-87
- Wyzwanie pismo Ruchu Młodych Katolików „U Siebie”. Wrocław. 1989-90
- Wzrastanie pismo młodzieży duszpasterstw akademickich. Wrocław. 1985-86
- Zakazane Wiadomości Historyczne pismo Agencji Wydawniczej Solidarność Walcząca z przeznaczeniem dla młodzieży. Wrocław. 1985
- Zamiast miesięcznik uczniów Dolnego Śląska Międzyszkolny Komitet [Uczniowski NUMS]. Wrocław. 1989
- Zarysy młodzieżowy miesięcznik społeczno-kulturalny. Wrocław. 1983
- Zero. Wrocław. 1985-86
- Zeszyty Duszpasterstwa Pokoju im. Otto Schimka Wspólnota „Wolność i Pokój”. Wrocław. 1989
- Zlepek jednodniówka obozowa Międzyszkolny Komitet Uczniowski. Wrocław. 1989
- Antykoncepcja Komuny obozowe pisemko RMN-u jednodniówka poobozowa. Wrocław Opole. 1989
- Ferment Zabrzańska Grupa Niezależna. Zabrze. 1989
- Czubajka Społeczny Ruch Oporu. Zakroczym. 1987
- Aqua Vitae międzyuczelniany dwutygodnik Koła Młodzieży Katolickiej. Zielona Góra. 1981
- Żuk-owo pismo Federacji Młodzieży Walczącej uczniów z Żukowa Reg. Gdańsk. Żukowo. 1989

(oprac. J.Bachtin)

Spis treści

Wojciech Borowik	5
Cerowanie pamięci	11
Galera Repassage. Czyli wielka podróż w przeszłość	12
Telekonferencja 30.III.1982	33
Okiem Aborygena, czyli „tego, kto był tu od początku” (30 i więcej lat SPP)	43
Pobudka... czytelnicy	66
Krytycy się organizują	67
2.10.87	70
Amazonki kontra komuna	71
Śladami „Marii”...	73
Obiad	77
Odpływające molo	79
Grudzień 1970 w działaniach opozycji demokratycznej.....	80
„Żyjmy dłużej” scenariusz filmu dokumentalnego, który nie powstał	86
Przepraszam, złodzieju	93
Jak artyści w Norwegii popierali „Solidarność” w okresie stanu wojennego.....	94
Powstanie i działalność towarzystwa „POMOST” oraz pisma „MIĘDZYMORZE” (1986–1990)	100
Offset od Barei	124
Sto Jaruzelów	125
Sto Jaruzelów	126
Madonny do retuszu!	133
Medalierzy	137
Czarna biżuteria Ludwiki Ogorzelec.....	140
Wojna plakatowa	143
Kultura niezależna za kratami.....	144
Nasze bitwy pod Grunwaldem	149
Demode	150
Stan wojenny po raz pierwszy (nowelka eseistyczna).....	161
Łakomiec i klocki lego.....	167
Z wielkim szacunkiem.....	178
Cicho, czysto i bezpiecznie.....	178

„Gadała” w komunę.....	179
Pożar w drukarni.....	193
1410	194
Ubek dżentelmen	208
Uratowała mnie tęsknota za żoną i córką	209
Papier, farba... skok	218
Worek Matek Boskich.....	218
Młodzież z partią się rozliczy – co wydawaliśmy	219
Młodzieżowa prasa niezależna.....	220